JERZY DOWIAT

POLSKA — PAŃSTWEM ŚREDNIOWIECZNEJ EUROPY



WARSZAWA 1968

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

OD AUTORA

Książka, którą przedkładam Czytelnikowi, różni się od innych prac poświęconych podobnej tematyce — dziejom średniowiecznej Polski — zarówno treścią, jak i formą. Choć bowiem zawiera chronologicznie uporządkowany wykład historii Polski od wieku IX po połowę XV, nie wyczerpuje tematu i do miana syntezy polskiego średniowiecza nie może i nie chce pretendować. Jest ona w zamiarze autorskim zaledwie etapem na drodze do takiej syntezy.

Ponieważ zadanie skreślenia obrazu dziejów tej epoki było wielokrotnie podejmowane tak przez poszczególnych uczonych, jak przez kolektywy autorskie, nie wydawało mi się potrzebą najpilniejszą przedstawianie raz jeszcze aktualnego stanu badań i systematycznego wykładu panujących w polskiej historiografii poglądów, zwłaszcza że w stosunku do wielu z nich mam zastrzeżenia krytyczne. Uważałem natomiast za pożyteczne polemiczne ustosunkowanie się do niektórych utartych, acz często nie uzasadnionych dostatecznie sądów, których rewizja prowadzić może do zasadniczych zmian w podręcznikowym obrazie historii. Adresując książkę do Czytelnika znającego ten obraz, przesuwałem się więc nieraz pobieżniej po kwestiach, na które nie potrafiłbym zaproponować nowego spojrzenia, omawiałem zaś szeroko te zespoły faktów, które próbuję oświetlić inaczej niż

to jest dotychczas przyjęte. Niektóre pominięcia wynikają też czasem z innego niż u innych badaczy poglądu na rolę poszczególnych wydarzeń. Tak więc problematyce sąsiedztwa z państwem krzyżackim poświęcam uwagę dopiero od momentu zajęcia przez nie Pomorza i walk z Łokietkiem, ponieważ — według mego zdania — dopiero wówczas sprawa krzyżacka nabrała wagi w dziejach Polski. Z podobnych względów mało w tym tomie o unii polsko-litewskiej: doceniam jej znaczenie, ale wydaje mi się, że dopiero po roku 1569, a w najlepszym razie za Zygmuntów, oba te narody utworzyły jedno państwo; do tego zaś czasu stosunki polsko-litewskie są problemem polityki zagranicznej i tak je też potraktowałem.

Niedostatek źródeł, jaki odczuwa historyk średniowiecza, sprawia, że obraz tej epoki nie może być zbudowany wyłącznie z elementów mających charakter naukowych pewników. Tych jest tak niewiele, że musimy je uzupełniać hipotezami, a nawet tylko przypuszczeniami i prawdopodobieństwami. Nie obywa się bez nich żadna synteza dziejów Polski średniowiecznej, nawet najzwięźlejsza, przeznaczona dla szkoły czy encyklopedii. Nie sposób za każdym razem na nie wskazywać bez szkody dla zwartości wykładu. W niniejszym tomie wiele tych hipotez zostało zastąpionych przez inne. O ile to było możliwe, starałem się informować o ich dyskusyjności, zwłaszcza wtedy, gdy dany pogląd formułuję tu publicznie po raz pierwszy; nie czyniłem tego wówczas, gdy w bibliografii mogłem powołać własną pracę, w której już wcześniej uzasadniłem swe tezy i omówiłem sądy odmienne.

W związku z hipotetycznością wielu ustaleń, jakie książka proponuje, może się nasunąć pytanie, czy słuszną jest rzeczą przedstawiać je w wykładzie prze-

znaczonym nie tylko dla specjalistów. Pytanie to rozstrzygnąłem pozytywnie. Prowadzenie sporów naukowych w zamkniętych gabinetach źle służy sprawie kultury humanistycznej narodu, odcina wykształcony ogół niespecjalistów od informacji naukowej, skazując go na wybór między dogmatycznie ujętym wykładem szkolnym a nie zawsze odpowiedzialnym komentarzem dziennikarza czy literata, stwarza wreszcie fałszywe wrażenie, jak gdyby dzieje były już dostatecznie znane, a problem polegał tylko na ich mniej czy więcej interesującym przedstawieniu.

Obruszając się jednak na apodyktyczność cudzych sądów łatwo nie zauważyć tego samego grzechu u siebie. Ponieważ zaś i wzgląd na przejrzystość wykładu i — nieraz — pasja polemiczna nie pozwalały na czynienie w tekście zbyt wielu zastrzeżeń, korzystam z prawa do przedmowy, by z całym naciskiem raz jeszcze podkreślić, że nie referuję dogmatów, lecz propozycje. Dalsza dyskusja i rozwój badań może ujawnić niesłuszność poszczególnych sądów. Z tym musi się zawsze liczyć każdy badacz. Dostateczną satysfakcją będzie dla autora, jeśli zdoła Czytelnika taką dyskusją zainteresować.

WIEK IX I PIERWSZA POŁOWA X WIEKU

SPOŁECZEŃSTWO WCZESNOŚREDNIOWIECZNE

Rozważając dzieje Polski sprzed lat tysiąca, z czasów formowania się państwa polskiego lub jeszcze wcześniejszych, zwykliśmy skupiać uwagę na wydarzeniach — głównie politycznych — na instytucjach takich, jak państwo czy Kościół, w ostatnim okresie również na gospodarce, a więc sposobach uprawy roli lub poziomie ówczesnego rzemiosła. Na każdy z wymienionych tematów można bez trudu podać dość obfitą bibliografię; jeżeli nawet nie zawsze będą to opasłe tomy, to w każdym razie mnogość drobniejszych opracowań monograficznych przedstawianych w formie artykułów w periodykach specjalistycznych składa się już na pokaźny dorobek naszej nauki. A przecież czasy te sprawiają wciąż wrażenie ciemnych. Daleko do tego, by nasza wyobraźnia poruszała się po wczesnośredniowiecznych ziemiach polskich z taką łatwością, z jaką przemierzać może zakątki starożytnych Aten lub Rzymu. Dzieje się tak zapewne przede wszystkim dlatego, że w badaniach nad początkami Polski umyka zbyt często z naszego pola widzenia podmiot wszelkich wydarzeń: człowiek i społeczeństwo.

Nie jest to przypadek ani tym mniej zła wola. Nie ma historii bez źródeł i w sposób naturalny nauka

bogaci się przede wszystkim o znajomość tych zjawisk, o których posiadane źródła same chętnie mówią. Kronika dworska opowiada o czynach wojennych władców, o zmianach granic państwa, o stosunkach z sąsiadami. Umiejętne oddzielenie prawdy od kłamstwa, faktu od pochlebnego komentarza daje nam wiedzę o tych sprawach. Wykop archeologiczny odsłania nam fundamenty budynków, przetrwałe w ziemi dawne narzędzia, szczątki kostne hodowanych zwierząt, tu i ówdzie zakonserwowane ziarno prosa. Stykamy się bezpośrednio ze śladem odległej przeszłości, widzimy na własne oczy stan ówczesnej techniki, znajomość upraw, sposób budownictwa. W jakiś sposób wiedza ta zbliża nas oczywiście także do ówczesnego człowieka, ale czyni to jednostronnie. Obrazu społeczeństwa w tych odległych wiekach żadne z posiadanych źródeł bezpośrednio nam nie dają. Nic więc dziwnego, że na badania nad nim kolej przychodzi na ostatku i że przy nich spotykamy się z największymi trudnościami.

Mimo to rekonstrukcja życia społecznego Słowian nie jest niemożliwa, gdyż nowoczesna nauka historyczna ma już dawno za sobą ten etap rozwoju, gdy była zdolna jedynie do weryfikacji bezpośrednich świadectw źródłowych i w tematyce badań pozostawała w niewolniczej niemal zależności od posiadanego materiału. Współcześnie historyk sam formułuje pytanie, na które pragnie uzyskać odpowiedź i potrafi zmusić źródło, pozornie obojętne dla danej kwestii, by mu udzieliło pomocy. Badacz, upodobniając się w tym do detektywa, potrafi dziś z panegiryku na cześć władcy, z żywotu świętego ascety, z suchej notatki prawnej dowiedzieć się rzeczy, o których autorzy tych utworów lub zapisek wcale nie zamierzali informować. Podobnie dostarczony przez archeologię materialny

ślad życia człowieka przeszłości spełnić może rolę owej szczypty popiołu na popielniczce, z którego Sherlock Holmes i jemu podobni odczytywali cechy charakteryzujące człowieka, który ów ślad pozostawił.

Tam, gdzie brak jakichkolwiek śladów działalności interesującego nas społeczeństwa w danym okresie historycznym, posługujemy się metodą retrogresywną. Uważnie przyglądamy się społeczeństwu nieco późniejszemu, próbując oddzielić jego cechy świeżo nabyte od uformowanych w minionych stuleciach. Chwytamy się też metody porównawczej, gdy sięgamy po źródła dotyczące społeczeństw obcych nawet etnicznie, ale żyjących w zbliżonych do naszego warunkach, prowadzących analogiczną działalność gospodarczą, znajdujących się na tym samym stopniu rozwoju form życia politycznego. Zakładamy wówczas, że z jednej strony podobne stosunki ekonomiczne kształtowały społeczeństwa o podobnej strukturze, z drugiej zaś strony możliwość osiągnięcia analogicznego stopnia rozwoju organizacyjno-politycznego była wynikiem pokrewieństwa struktury społecznej.

Skombinowanie tych wszystkich danych wzajemnie się uzupełniających, a i kontrolujących, pozwala wyrobić sobie pewien pogląd na życie społeczne na ziemiach polskich w dobie kształtowania się form państwowych. W odróżnieniu od faktów bezpośrednio czytelnych w źródłach, pogląd ten — wynik rozumowania pośredniego — ma wartość jedynie hipotezy naukowej. Historyk odtwarzający przeszłość jest pod tym względem w gorszej sytuacji od detektywa rekonstruującego przebieg przestępstwa; prawidłowość konstrukcji tego drugiego sprawdza się bowiem przez pochwycenie sprawcy zbrodni, podczas gdy historyk jest pozbawiony możliwości tak bezspornego poświadczenia słuszności swych przypuszczeń. Do pewnego

stopnia poprawność jego postępowania badawczego weryfikuje jednak brak sprzeczności między jego hipotezami a faktami bezpośrednio potwierdzonymi w źródłach oraz możliwość wyjaśnienia przy pomocy tych hipotez procesu historycznego.

Unikając zbyt subiektywnych i nie dających się jeszcze dość przekonywająco uzasadnić przypuszczeń można stosunki na ziemiach polskich w dobie wczesnego średniowiecza, w wiekach VI-X, przedstawić następująco.

Społeczeństwo tutejsze było niewątpliwie społeczeństwem rolniczym. Znaczy to, że większość ludności zajmowała się głównie uprawą roli i że ten dział produkcji wywierał dominujący wpływ na organizację społeczeństwa, jego poglądy i obyczaje. Podstawową jednostkę gospodarczą stanowiła wielka rodzina patriarchalna, obejmująca trzy pokolenia lub więcej. W prowadzonym przez ojca rodziny gospodarstwie uczestniczyli także jego dorośli i żonaci synowie oraz ich potomstwo.

Rodzina miała w swej wyłącznej dyspozycji pewien obszar roli uprawnej. Świadomie nie mówimy tu o własności, ta bowiem jest kategorią prawną i to stosunkowo późną. Pojęcie własności dokładnie ograniczonego kawałka ziemi rodzi się w warunkach jej głodu. W czasach omawianych problemem gospodarczym nie był w zasadzie brak ziemi nadającej się pod uprawę, lecz przeciwnie — brak dostatecznej siły roboczej, by rozszerzać areał upraw. Ziemia, której nie miał kto uprawiać, nie przynosiła korzyści, a więc nie miała wartości. Nabierała jej dopiero w rękach ludzkich. Ich możliwości produkcyjne określały też rozmiary obszaru, jaki rodzina użytkowała.

Na członkach rodziny spoczywały nie tylko prace związane bezpośrednio z uprawą roli i łączącym się

z nią chowem bydła, lecz także — w warunkach gospodarki zbliżonej do naturalnej — wyrób narzędzi pracy, naczyń i ubrania, budownictwo i jego konserwacja, organizowanie ochrony życia i mienia przed klęskami żywiołowymi, dzikimi zwierzętami i napastnikami, słowem: rozliczne czynności, od których wykonywania uwolniły rodzinę rolniczą w późniejszych stuleciach wyspecjalizowane grupy ludzi. Biorąc to pod uwagę, trudno jest ustalić czas pozostający na podstawowe czynności produkcyjne, a — co za tym idzie — obliczyć współczynnik stosunku między liczbą rąk do pracy a uprawianym obszarem. Nie był to zresztą zapewne współczynnik stały, lecz zależał od miejscowych warunków klimatycznych i glebowych. Próby orientacyjnych obliczeń, oparte na przesłankach teoretycznych, zawsze zawodnych, pozwoliły sformułować hipotezę, że typowe ówczesne gospodarstwo rodzinne — źreb — mierzyło około 50 ha obszaru (Franciszek Bujak; wg Henryka Łowmiańskiego — 44 ha). Pamiętać przy tym trzeba, że prowadzono jeszcze na ogół gospodarkę bardzo ekstensywną i nie cały ten obszar bywał rok rocznie uprawiany, lecz znaczna jego część leżała odłogiem.

Różnorodność zadań, którym musiało sprostać gospodarstwo, wymagała kooperacji większej liczby osób dorosłych i to właśnie hamowało dążność żonatych już synów do gospodarczego usamodzielniania się; mała rodzina, złożona z męża, żony i nieletnich dzieci, nie podołałaby prowadzeniu odrębnej gospodarki. Powodzenie działalności gospodarczej, możność zaspokojenia potrzeb codziennych wszystkich jej członków wymagały stałej pracy kilku dorosłych osób, toteż troska o dostateczną liczbę rąk do pracy w rodzinie miała wyjątkowo doniosłe znaczenie. Jak się zdaje, zapotrzebowanie na ręce niewieście nie było mniejsze,

lecz nawet większe niż na męskie, na kobietach bowiem spoczywały zadania wymagające większej rytmiczności w pracy, obowiązki codzienne, a nie tylko związane z okresami nasilenia prac polowych. Stąd pochodziła zarówno dążność do wczesnego ożenku, jak z drugiej strony niechęć do oddawania córek z domu i żądanie za nie materialnego ekwiwalentu.

Rzutowało to na pewne obyczaje rodzinne. Tak więc znali Słowianie instytucję snochactwa, polegającą na tym, że w dążeniu do powiększenia liczby rąk roboczych żeniono nieletniego jeszcze chłopca z dojrzałą już panną, w stosunku do której obowiązki małżeńskie wypełniał zastępczo teść lub inny dorosły mężczyzna jej nowej rodziny. Wytłumaczalna też staje się przedmałżeńska swoboda obyczajowa dziewczyn słowiańskich, o czym informuje podróżnik arabski; dopuszczalność utrzymywania przedślubnych stosunków z mężczyznami pozwalała utrzymać dłużej zdolną do pracy córkę w rodzicielskim domu. Jej późniejszy mąż nie będzie czynił jej zarzutu z dawniejszych romansów; przeciwnie, będzie niemile zaskoczony znajdując oblubienicę dziewicą, nie tylko dlatego, jak sądzi Arab, że w oczach innych nie okazała się ponętna, ale głównie chyba dlatego, że nabierze podejrzeń, iż złą robotnicę oddała rodzina przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Z tego, co powiedzieliśmy o wartości pracy kobiecej, nie wynika jednak słuszność innej informacji źródła arabskiego, według którego posiadanie potomstwa żeńskiego wzbogacało rodzinę, zaś liczni synowie ją zubożali. Córka bowiem prędzej czy później odchodziła z domu, podczas gdy syn nie tylko wnosił rodzinie własną pracę, ale następnie przyprowadzał żonę i wreszcie na rzecz własnej rodziny płodził potomstwo.

Sumę siły roboczej w rodzinie powiększano nie tylko drogą naturalną przez zawieranie małżeństw i staranie się o liczne potomstwo. Zdarzało się, że przyjmowano do niej obcych. Różnie się przecież plotły losy ludzkie. Pomór, wojna czy inne okoliczności sprawiały, że grupy rodzinne ulegały zniszczeniu, pozostawały z nich przy życiu pojedyncze jednostki lub grupki tak małe, że nie były zdolne do samodzielnego gospodarowania. Stanowiło dla nich konieczność życiową przytulenie się do jakiegoś większego zespołu, któremu w zamian wnosiły swoją zdolność produkcyjną. Przyjmowano je, dopełniając obrzędów znamionujących wejście ich w nową wspólnotę rodzinną.

Siłę rodziny pomnożył też czasem jeniec pozostawiony przez odpartego napastnika, czy też przypadły z podziału łupów po wyprawie, w której brali udział mężczyźni z tego domu. Z naszego punktu widzenia niewolnik praktycznie stawał się także członkiem wspólnoty, uczestnicząc z innymi tak w jej pracach, jak i w jej plonach. Jego pewne upośledzenie przejawiało się w tym, że z jego głosem nie liczono się tak, jak z opiniami innych dorosłych członków wspólnoty. Dzielił pod tym względem los nieletnich dzieci i widocznie w ten sposób to odczuwano, skoro nazwą *otroka* określano zarówno niewolnego, jak i niedorosłego.

Dążenie do powiększania liczebności rąk do pracy w rodzinie miało jednak swoje granice. Wielka rodzina nie rosła w nieskończoność, lecz wyłaniała z siebie nowe. Czasem działo się tak wtedy, gdy umarł dziad — głowa wspólnoty, a jego synów stać było na to, by samym stanąć na czele odrębnych od siebie, a dostatecznie licznych rodzin. Ale nie było to regułą. Jeśli rodzina nie przekroczyła zanadto swymi rozmiarami optymalnej liczebności, śmierć dziada nie pociągała za

sobą jej rozbicia. W kompetencje zmarłego wchodził najstarszy z braci i poza tym nic się nie zmieniało w mechanizmie jej funkcjonowania. Nie żadne względy formalne decydowały o rozszczepianiu się wielkich rodzin, ale — podobnie jak o ich trwałości — stanowiły o tym względy gospodarcze. Stawało się to wtedy, gdy liczba rąk roboczych okazywała się za wielka w stosunku do potrzeb gospodarstwa, którego też nie można było bez końca rozszerzać, gdyż rosnąca odległość pól od domostwa zwiększałaby nieopłacalnie czas potrzebny na ich uprawę. Najekonomiczniejszym rozwiązaniem, stosowanym powszechnie, było wówczas oddzielenie się części rodziny, by rozpocząć własną gospodarkę gdzieś w sąsiedztwie, na polach już uprzednio siłami całej niepodzielnej jeszcze wspólnoty do tego celu przygotowanych. Na odkrytych przestrzeniach przygotowanie takie nie wymagało zabiegów nadmiernie pracochłonnych, w okolicach lesistych polegało ono na kilkuletnim karczunku i wypalaniu leśnych pozostałości.

Głową rodziny był jej patriarcha, najstarszy z mężczyzn, *gospodź* lub *gospodzin*, z czego i gospodarstwo. Przesadne są mniemania o jego autokratycznej władzy nad rodziną. Był on niewątpliwym autorytetem opartym na płynącym z wieku doświadczeniu, tradycji i — o czym niżej — sprawowanych funkcjach kultowych, ale w sprawach dotyczących całej wspólnoty nie byli pozbawieni głosu także pozostali dorośli mężczyźni; tym, że głos zabierali — zarówno w kręgu rodzinnym, jak i na szerszym forum — różnili się właśnie od *otroków*. Gospodzin podsumowywał raczej ogólne zdanie lub jednał rozbieżne sądy, niż by miał narzucać decyzje nie znajdujące poparcia. Bywało oczywiście różnie, bo różni zdarzają się ludzie i różne okoliczności wiodą nieraz do nietypowych rozstrzy-

gnięć; zakres władzy patriarchy zależał na pewno w znacznej mierze od siły jego własnej indywidualności i od charakterów pozostałych członków rodziny. Wzajemne stosunki nie zawsze musiały się układać sielankowo, pola do konfliktów nie brakło. Niejednokrotnie, można przypuścić, syn przeciwstawiał się ojcu. Musiałby jednak, aby postawić na swoim, pociągnąć za sobą całą wspólnotę, co mogło się zdarzyć tylko wyjątkowo. W przeciwnym razie miał do wyboru albo poddać się woli ojca, albo wyjść ze wspólnoty. Byli tacy, którzy decydowali się na ten krok ostateczny, ale tym samym zrywali z dotychczasowym ustabilizowanym trybem życia. Niezdolni do założenia w pojedynkę własnej gospodarki, musieli szukać innego sposobu zapewnienia sobie egzystencji. Mniej zaradni kończyli na tym, że przytulili się gdzieś do obcej rodziny, niektórzy — uzdolnieni do rzemiosła — potrafili z niego uczynić źródło utrzymania, jeszcze inni powiększali grono tych, co zajmowali się rabunkiem — *chąsą* — wiodąc żywot urozmaicony, ale i niebezpieczny.

Aby wejść na te drogi, trzeba było odwagi i zaciętości, która większości nie była dana. Toteż groźba wykluczenia ze wspólnoty rodzinnej, z unormowanego osiadłego życia, przeważnie skutkowała i stanowiła dostateczną sankcję władzy ojcowskiej.

W jeszcze większej, bo podwójnej zależności znajdowała się kobieta, poddana nie tylko zwierzchnictwu ojca rodziny, ale i władzy męża, który był jej panem i sędzią. Cudzoziemskie relacje z owych czasów podkreślają z podziwem wierność żon słowiańskich, nie dostrzegając często, że wymuszał ją strach przed okrutnymi karami: potwornym okaleczeniem lub nawet śmiercią. Ale, nie sięgając tak daleko, w posłuszeństwie trzymała kobietę groźba wypędzenia, wyklu-

czenia ze wspólnoty rodzinnej, poza którą nawet silnemu mężczyźnie niełatwo było zorganizować sobie życie. Mimo wszystko nie każda potrafiła uchronić się od losu *poćpiegi*, oddalonej żony. Otoczona bardziej pogardą niż współczuciem wracała czasem do domu rodziców, czasem wybierała życie nierządnicy, dla której to kategorii kobiet Słowianie od najdawniejszych czasów mieli rodzime określenie — świadectwo, że nie były to sytuacje trafiające się sporadycznie.

Wskazujemy tu, oczywiście, na wypadki skrajne i, jeśli nawet nierzadkie, to w żadnym razie nietypowe. Mimo niewątpliwego społecznego upośledzenia, praktycznie położenie kobiet nie było złe. Młode i ładne przywiązywały do siebie, jak w każdej innej epoce, swych mężów, a dla rodziny były cenne jako robotnice i matki. Starsze ubytek sił wyrównywały doświadczeniem, pożytecznym nie tylko przy organizacji codziennych prac domowych, ale i przy przyuczaniu do nich młódek, przy pomocy w połogu czy w chorobie. Lecznictwo stawało się domeną płci słabej; same przy domu hodowały niektóre zioła, inne zbierały po lesie i łąkach, znały ich skuteczność i zastosowanie. Z lecznictwem szła w parze biegłość w zabiegach magicznych, opanowanie zaklęć i gestów, które nie tylko miały ratować przed nieszczęściem, ale i je sprowadzać. Nic więc dziwnego, że szanowano i bano się takiej kobiety „wiedzącej" — wiedźmy — która odczyniała uroki, ale mogła je również rzucać na wroga.

Najtrudniejsze życie miała kobieta młoda jeszcze, ale niepłodna i chorowita. Brzydził ją sobie rychło mąż, koso spoglądała na nią nowa rodzina. Takiej właśnie groziło wypędzenie, chyba że mimo swych braków zdołała okazać się potrzebna lub też zamożność domu pozwalała na zbytek litości.

Litości jednak zazwyczaj brakło, nawet w stosunku do starych i zasłużonych, ale już steranych i niedołężnych. Nie każdy gospodzin dożywał w spokoju swych lat jako pan domu i rozrodzonego potomstwa lub choćby jako wygrzewający się przy domowym ognisku zdetronizowany patriarcha, któremu syn odebrał wprawdzie rządy, ale nie żałuje miejsca i strawy. Bywało, że pasmo jego życia przerywano brutalnie wynosząc go z domu w las, by tam skonał z zimna i głodu. Zmuszała do tego bieda, a nie utrwalony obyczaj, stąd i tych wypadków, choć poświadczonych, nie uznamy za typowe. Przeważnie przed takim losem chroniła starca tradycja jego autorytetu, zabobonny lęk przed obrazą duchów opiekuńczych, ludzkie przywiązanie, a wreszcie śmierć, która częściej wyprzedzała kompletne niedołęstwo niż na odwrót.

Archeologia nie rozpoznała jeszcze dostatecznie typowych siedzib ludzkich tego okresu, koncentrując swe badania na osadnictwie grodowym, a nie na siołach (czy raczej *siodłach*, jeśli chcemy użyć formy pierwotniejszej). Wydaje się, że przeważało osadnictwo jednodworcze i że *siodła* poszczególnych rodzin rolniczych pozostawały w stosunku do siebie w dość znacznych odległościach. Osiedlano się bowiem tak, by bez zbytniego marudzenia dostawać się do uprawianych przez siebie pól, a ten postulat, wobec rozległości obszarów uprawnych, nie sprzyjał powstawaniu zwarcie zabudowanych osad wiejskich, jakie znamy z okresu późniejszego. Najbliższe sobie *siodła* dzieliła więc odległość kilkuset metrów. Nie było to tak wiele, by miało stanowić o izolacji gospodarującej rodziny. Łatwo wyliczyć, że przyjmując założone proporcje mogło się zmieścić w kole o promieniu jednego kilometra nawet 7—9 *siodeł*. Faktycznie było ich zapew-

ne mniej, w każdym jednak razie wystarczało to, by funkcjonował współżyjący ze sobą zespół sąsiedzki.

Więzy sąsiedzkie obejmowały zresztą znaczniejsze przestrzenie, nie kilku, lecz kilkudziesięciu czy nawet kilkuset kilometrów kwadratowych, w których obrębie mieściły się *siodła* rodzinne z przynależnymi do nich obszarami uprawnymi oraz niczyje, użytkowane wspólnie, przestrzenie leśne i łąki. Cały ten kompleks tworzył opole, zorganizowaną wspólnotę rodzin odrębnie gospodarujących, ale ze sobą współpracujących, połączonych licznymi interesami i występujących solidarnie na zewnątrz. Podstawę tej solidarności tworzyły już nie więzy krwi, jak było we wcześniejszym społeczeństwie rodowym, lecz fakt sąsiedztwa i wzajemnej ekonomicznej zależności. Inna rzecz, że małżeństwa między sąsiadami tworzyły też wciąż nowe związki pokrewieństwa, a współżyjące ze sobą rodziny tworzyły mit rzekomego pochodzenia ich wszystkich od wspólnego przodka. Były to jednak zjawiska już wtórne.

Więź sąsiedzką tworzyły potrzeby natury zarówno ekonomicznej, jak psychologicznej. Rodzina, nawet liczebna, nie wszystkim zadaniom mogła sprostać wyłącznie własnymi siłami. Współpraca z sąsiadami już w okresach nasilenia prac polowych, jeśli nawet niekonieczna, ułatwiała ich sprawne przeprowadzenie. Wypas bydła na wspólnych pastwiskach, organizowany wspólnie, zaoszczędzał rąk roboczych. Obławy na leśnego zwierza przynosiły tym większe korzyści, im więcej ludzi w nich uczestniczyło. Kooperacji wymagało też zabezpieczenie mienia przed klęskami żywiołowymi: wznoszenie tam przeciw powodzi, tłumienie pożaru, nocna stróża przed ogniem, rabunkiem lub niespodziewaną napaścią. Indywidualne niepowodzenia, jak rok złych plonów, przejściowy niedostatek sił ro-

boczych w rodzinie, i inne, których nigdy nie brak, łatwiej było przetrwać bez katastrofy, gdy można było liczyć na pomoc sąsiadów, którym z kolei spieszyło się z przyjazną odpłatą, gdy ich przycisnęła zła dola. Z drugiej strony naturalne u człowieka pragnienie życia towarzyskiego, rozmowy, rady, poczęstunku zacieśniało współżycie w ramach opola.

O wspólnych sprawach opola, o przedsięwzięciach, które należało podjąć, radzili wspólnie gospodzinowie uzgadniając między sobą tryb ich przeprowadzenia. Gdy stawano w obliczu wypadków szczególnie ważnych, a zwłaszcza nietypowych, gdzie brak precedensów utrudniał decyzję i rodził spory, zwoływano wiec opolny, na którym zjawiali się wszyscy dorośli mężczyźni. Ich siła była przecież potrzebna tak przy podejmowanych dla dobra opola pracach, jak przy jego obronie, z natury więc rzeczy powinni byli uczestniczyć w podejmowaniu decyzji. W praktyce jednak ich uczestnictwo ograniczało się raczej do obecności przy obradach i głośnego wyrażania aplauzu lub protestu wobec zdań wypowiadanych w dyskusji, niż do aktywnego w niej uczestniczenia. Stanowiska w poszczególnych rodzinach bywały już przecież wcześniej uzgodnione, a wyglądało poważniej, gdy na forum publicznym wypowiadali je ojcowie rodzin. Młodsi swym stawiennictwem oraz życzliwym pomrukiem wyrażającym solidarność z poglądem rodzica wzmacniali autorytet jego wypowiedzi. Im było ich więcej, im bardziej krzepkie bary prezentowali, tym bardziej oczywiście przyczyniali znaczenia zdaniu swego przedstawiciela wśród starszyzny opolnej.

Spoglądając na stosunki panujące w opolu tylko formalnie, przywiązując wagę jedynie do ich schematu organizacyjnego, ulega się wrażeniu, że panowała w nim idealna niemal równość, wzorowa demokracja

wolnych mężów. W rzeczywistości społeczeństwo to było przeważnie znacznie już zróżnicowane, a udział poszczególnych rodzin czy reprezentujących je jednostek w życiu opola wcale niejednakowy. Miejsce w społeczeństwie zależało od wielu czynników, wśród nich przede wszystkim od zamożności, siły oraz indywidualnych zdolności.

Różnice w zamożności wypływały nieuchronnie z faktu prowadzenia przez poszczególne rodziny odrębnej gospodarki. Analogicznie dobrane zespoły ludzkie w podobnych warunkach osiągają zwykle niejednakowe rezultaty. Składają się na to tak przyczyny subiektywne — różnice w umiejętnościach poszczególnych ludzi — jak i obiektywne trudności, które spotykają jednych, omijają innych. We wczesnośredniowiecznej gospodarce rolnej, której przeciętny efekt ledwie zapewniał rodzinie utrzymanie, każde odchylenie od owej przeciętnej normy na plus czy minus pociągało za sobą ważkie konsekwencje. Osiągnięcie wyjątkowo wysokich plonów stwarzało nadwyżki ponad własne potrzeby konsumpcyjne. Odwrotnie, niepowodzenia powodowały niedobór, który zmuszał do zwrócenia się o pomoc sąsiedzką. Gdy sukcesy przeplatały się z klęskami, jak zresztą najczęściej bywało, prowadziło to do rozwinięcia się instytucji pomocy sąsiedzkiej w myśl zasady: „dziś ty mnie, jutro ja tobie". Inaczej jednak układały się wzajemne stosunki, gdy na skutek splotu przeciwności jedni przez wiele lat z rzędu musieli się o tę pomoc zwracać, inni zaś równie długo byli w stanie jej dostarczać. Wzajemna pomoc przekształcała się w tych okolicznościach w jednostronne świadczenia, co z reguły prowadzi do uzależnienia się biorącego od dającego, a także do postępującego rozwierania się nożyc między poziomem życia jednych i drugich.

Niekoniecznie mechanizm ten trzeba sprowadzać do długu, który rósł po jednej stronie i którego spłacanie uniemożliwiało odzyskanie samowystarczalności gospodarczej. Niekoniecznie wierzyciel świadomie nadużywał swej przewagi gospodarczej, by w zamian za pomoc żądać w charakterze procentu dodatkowych świadczeń w postaci nie należnych mu normalnie usług. Wiadomo wprawdzie, że rosnące zadłużenie prowadziło w skrajnych wypadkach nawet do popadnięcia w niewolę niewypłacalnego dłużnika, ale zjawisko to stanie się częstsze już w społeczeństwach bardziej zróżnicowanych. W równej formalnie wspólnocie wypadki takie zdarzały się chyba tylko sporadycznie. Stałe korzystanie z cudzej pomocy wytwarza jednak zawsze poczucie uzależnienia. Dobroczyńcy niezręcznie jest odmówić nawet, gdy nie żąda, lecz prosi. Świadomość, że trzeba będzie zwrócić się do sąsiada o pomoc, wstrzymuje przed sprzeciwieniem się jego poglądom. W konsekwencji bogatsi członkowie opola będąc faktycznymi, czy choćby tylko potencjalnymi, wierzycielami sąsiadów, stawali się czynnikiem decydującym o sprawach całej wspólnoty.

Ich kierownictwo wynikało na pozór z zaskarbionego zaufania, z utrwalonego autorytetu. Nie naruszało przyjętych form ani obyczaju. Nie likwidowało rady starszyzny opolnej ani wiecu opolnego, lecz faktycznie podporządkowywało sobie te instytucje.

Drugą, obok zamożności, podstawę autorytetu w opolu stanowiła siła. Ona przecież decydowała na tym stopniu rozwoju cywilizacyjnego zarówno o produkcji, jak o bezpieczeństwie. Pełnowartościową jednostką w społeczeństwie był człowiek silny fizycznie, zespołem budzącym szacunek — zespół ludzi silnych. Nic więc dziwnego, że znaczenie tych rodzin w opolu, w których skład wchodziła większa liczba mężczyzn

w sile wieku, przewyższało znaczenie tych, w których przeważali starcy, chorzy, kobiety i dzieci.

Najczęściej, co prawda, siła szła w parze z zamożnością. Z jednej bowiem strony warunkowała ona osiągnięcie powodzeń w gospodarstwie, z drugiej zaś — dostatek pozwalał na mobilizację siły tak w drodze rozbudowy rodziny, przyjmowania do niej obcych i niewolnych, jak przez sumowanie sił własnych z siłami rodzin uzależnionych.

Naturalna przewaga bogatszych i silniejszych nie zamykała przecież całkowicie drogi do wybicia się jednostkom o szczególnych walorach osobistych. Zdolności, wykazywany wielokrotnie rozsądek i spryt także stawały się podstawą autorytetu. Nieprzypadkowo jednak wspominamy o tych źródłach autorytetu w ostatniej kolejności. Walory te bowiem sprawdzały się przede wszystkim w powodzeniu osobistym. Wyjątkowo uzdolniona jednostka bywała za taką uznawana wówczas, gdy potrafiła przyczynić się do wzrostu zamożności swej węższej wspólnoty — rodziny. Wówczas zaś trudno już mówić, że jej autorytet powstawał niezależnie od pozycji majątkowej.

Dotychczas rysowaliśmy obraz społeczności opolnej w sposób świadomie uproszczony: jako wspólnotę wielkich rodzin opierających swą egzystencję na prowadzeniu gospodarki rolnej i hodowlanej. Pomijaliśmy tu konsekwencje sygnalizowanego już procesu wyłamywania się poszczególnych jednostek ze wspólnot rodzinnych, procesu dokonującego się stale, choć nie nabierającego charakteru zjawiska masowego. W nim przecież upatrujemy siłę napędową zmian dokonujących się w tradycyjnym modelu życia społecznego.

Większa część owych zbuntowanych jednostek ginęła lub przystosowywała się w końcu do tych form życia, w jakich wzrosła, przytulając się do nowej rodziny.

Jeszcze inni popadali w niewolę, też jednak lądując w gospodarstwie wielkorodzinnym. Jakaś wszakże część potrafiła zerwać całkowicie z dotychczasowym sposobem bytowania, szukając utrzymania — jak już wspominaliśmy — w rzemiośle lub w rabunku.

Jedni i drudzy odegrali w przemianach społecznych rolę doniosłą.

Z samodzielnym rzemiosłem spotykamy się na naszych złemiach od czasów należących jeszcze w pełni do starożytności europejskiej. Przekonały nas o tym wykopaliska archeologiczne lat ostatnich, które ukazały m. in. rozległe skupisko ośrodków produkcji ceramicznej z III w.n.e. w rejonie Igołomi pod Krakowem, a także ślady kopalnictwa i wytapiania rudy żelaznej. To wyspecjalizowane rzemiosło, produkujące w skali masowej towar na odległe nieraz rynki zbytu, zniknęło w ciągu IV—VI w.; wpłynęła na to, być może, w pewnym stopniu katastrofa cesarstwa rzymskiego, może też ekspansja aktywniejszych grup słowiańskich na południe Europy. Tradycje rzemieślnicze nie zanikły zapewne na naszych ziemiach w zupełności; wyraża się przypuszczenie, że kontynuowali je rzemieślnicy wędrowni. W znaleziskach stwierdzamy jednak wyraźne cofnięcie się techniki rzemieślniczej, wskazujące, że rzemiosło trwało głównie jako zajęcie uboczne ludności rolniczej dla zaspokojenia własnych potrzeb domowych i produkcyjnych.

Począwszy od VI w. sytuacja zaczynała się zmieniać. Stałe, chociaż powolne, doskonalenie się wytworów rzemiosła wskazuje na wzrost udziału w tej produkcji rzemieślników zawodowych. Nie odradzają się jeszcze skupienia ludności utrzymującej się z zajęć pozarolniczych; te powstawać będą w kilka wieków później, gdy ustabilizują się instytucje potrzebujące takich skupień. Ale wśród ludności rolniczej coraz częściej zjawia

się rzemieślnik, zaspokajający tę część jej potrzeb, której zaspokojenie siłami własnego gospodarstwa domowego staje się zbyt trudne.

Podstawowa masa ludności jeszcze przez wiele wieków kultywować będzie model samowystarczalnego gospodarstwa domowego, którego członkowie opanowawszy najpotrzebniejsze techniki produkcyjne znaczną część przedmiotów użytkowych będą wytwarzać sami. Ale obecność osiadłego niedaleko rzemieślnika-specjalisty, spod którego ręki wychodzą wyroby dystansujące jakością to, co zdolni są wytworzyć członkowie rodziny rolniczej, budzi zaciekawienie, a następnie potrzebę dysponowania takimi wyrobami.

Szczególną rolę odegra tu zwłaszcza kowal, rzemieślnik produkujący i udoskonalający narzędzia pracy. On przyczyni się do tego, że drewniane narzędzia uprawy roli zaczną przechodzić ewolucję, uzupełniane stopniowo częściami żelaznymi. A więc do orki stosuje się w okresie od VI do X w. coraz częściej radło z żelazną radlicą. Drewnianą bronę opatruje się tu i ówdzie żelaznymi zębami. Żelazne ostrza lub przynajmniej okucia zjawiają się przy motykach i rydlach.

Nowe narzędzia rolnicze pozwalały osiągać wyższe plony, ale przede wszystkim ułatwiały pracę rolnika, zwiększały wydajność pracy jednostkowej, pozwalały radzić sobie z gospodarstwem przy użyciu mniejszej liczby rąk roboczych. W dalszej konsekwencji łagodniał terror wielkiej rodziny w stosunku do jednostki, która odkrywała możliwość gospodarowania niekoniecznie w tak licznym zespole. Toteż tam, gdzie technika uprawy roli postępuje najbardziej, obok gospodarstwa wielkorodzinnego pojawiać się będzie coraz częściej gospodarstwo małej rodziny. Typ wielkiej rodziny przestaje być jedyną postacią samodzielnej

jednostki gospodarczej. Dorośli mężczyźni coraz chętniej będą się emancypowali spod władzy patriarchy tworząc własne gospodarstwa. Oni też staną się najgorliwszymi rzecznikami postępu technicznego, umożliwiającego im samodzielność.

W inny sposób na rozkład starego modelu organizacji społecznej wpływali ci z niej wychodźcy, którzy oparli swą egzystencję na rabunku. Łącząc się w bandy niepokoili ludność osiadłą nagłymi napadami. Specjalizując się w takim trybie życia nabierali sprawności w walce, starali się też o odpowiedni oręż, a działając przeważnie przez zaskoczenie zdolni byli sterroryzować gromadę o wiele większej od siebie liczebności. Groźba napadów łupieskich zmuszała więc członków wspólnoty opolnej do stałej czujności i organizacji skutecznej obrony. Na dorosłych mężczyzn spadał obowiązek pełnienia kolejno tak zwanej stróży, czyli czuwania — zwłaszcza nocą — czy nie zbliża się kto obcy, by w takim wypadku zaalarmować śpiących sąsiadów. Ale te środki ostrożności nie zawsze mogły wystarczyć dla zapewnienia bezpieczeństwa nawet wtedy, gdy ich organizacja wykraczała poza ramy jednego opola i obejmowała porozumieniem kilka lub kilkanaście sąsiednich. Skuteczna obrona wymagała dysponowania pewną liczbą młodych mężczyzn, podobnie wyćwiczonych w walce, jak napastnicy, a poza tym specjalnych strażnic oraz umocnionych punktów, z których można by było odpierać pierwszy impet natarcia, póki nie nadciągną zaalarmowane posiłki.

Zapewnienie w ten sposób stałej obrony wykraczało już zazwyczaj poza możliwości pojedynczego opola i prowadziło do rozwoju więzi organizacyjnej w szerszym zasięgu, obejmującej obszar większej liczby wspólnot, a zwanej w literaturze naukowej niezbyt ściśle organizacją plemienną. Plemię, w swym pier-

wotnym sensie, oznaczało jednostkę organizacji opartej na związkach krwi. Organizacja, o której w tej chwili mówimy, miała już niewiele wspólnego ze społeczeństwem rodowym, skupiała grupy sąsiedzkie, jej podstawą było terytorium. Stąd mówi się także o organizacji plemienno-terytorialnej, a proponowano też inne określenia, jak organizacja kantonalna lub regionalna, które jednak nie weszły dotąd w powszechniejsze użycie. W naszych wywodach będziemy się posługiwali zamiennie wszystkimi tymi terminami.

Organizacja zespołu sąsiadujących ze sobą wspólnot opolnych wzorowała się na formach wykształconych już w pojedynczym opolu. Tak samo więc najwyższą instancją, przed którą stawiano sprawy najbardziej doniosłe i sporne, był wiec wszystkich dorosłych mężczyzn plemienia. Tak samo, jak w opolu, więcej praktycznie znaczyły opinie naczelników rodzin, wśród nich zaś grupy najmożniejszej. Przewaga tych ostatnich wzrastała jednak w skali większego regionu szybciej jeszcze niż w skali opola. Im bardziej przybywało trudnych zadań organizacyjnych, im na większym terytorium musiały być rozwiązywane, tym mniej się do nich garnęli ubożsi, zaabsorbowani walką o byt rodziny, chętnie je składając na możniejszych, w powszechnej opinii mędrszych, mających też więcej czasu, a i faktycznie szersze horyzonty. Z nich tworzyła się grupa arystokracji plemiennej, która — działając zresztą w interesie ogółu — wzmacniała jednocześnie własne stanowisko społeczne.

Z grona owej arystokracji wybierano ludzi do pełnienia różnych, stałych lub sporadycznych funkcji kierowniczych, w szczególności zaś dowódcę obrony, zwanego prawdopodobnie wojewodą. Stawał on na czele mężczyzn plemienia, gdy trzeba było chwytać

za broń. Organizacja obrony plemiennej nie spoczywała już jednak wyłącznie na pospolitym ruszeniu uzbrojonej ludności osiadłej. Tworzono też stałą siłę zbrojną spośród młodych ludzi, którzy zerwali więzy rodzinne, a częstokroć już zaznajomili się z wojaczką uczestnicząc w bandach zajmujących się *chąsą*. Interes był przecież obopólny. Ludzie tacy byli potrzebni plemieniu, które nie mogło zbytnio odrywać swych osiadłych członków od gospodarki, a z drugiej strony owi rabusie nie mogli długo żyć poza wszelkim społeczeństwem, kryjąc się w puszczy i całe bytowanie opierając jedynie na uniesionym z napadów łupie. Plemię potrzebowało zbrojnych i nie obciążonych żadnymi obowiązkami ludzi, ludziom tym zaś okazywała się niezbędna stała baza, namiastka domu, regularne otrzymywanie strawy i przyodziewku. Za te świadczenia brali na siebie chętnie obowiązek obrony określonego terytorium.

W tym charakterze stawali się zbrojną drużyną plemienia, pozostającą pod komendą wojewody. Oni teraz wypatrywali nieprzyjaciela, co zresztą nie musiało zwalniać i osiadłej ludności od obowiązku stróży. Oni w razie napaści pierwsi dawali jej odpór nawiązując walkę, zanim ogólny alarm nie pozwolił włączyć się do niej pobudzonym mieszkańcom chat. Stałą siedzibę znajdowali drużynnicy w grodach wznoszonych w celu skuteczniejszej obrony plemienia przez jego członków.

Stosunkowo duże nasycenie grodami ziem polskich i w ogóle słowiańskich już na kilka wieków przed uformowaniem się państwa polskiego jest od dawna znane historiografii. Dokładniejsze rozpoznanie archeologiczne wielu grodzisk w ciągu ostatniego dwudziestolecia pozwoliło jednak lepiej zrozumieć ich funkcje i sprostować niektóre mylne poglądy. Sądziło

się mianowicie dawniej, że grody wczesnośredniowieczne nosiły charakter refugialny, to znaczy służyły za schronienie okolicznej ludności na wypadek wrogiego najazdu. Mniemanie to jest obecnie raczej przebrzmiałe. Większość odkrytych grodów z VII—IX w. ma niewielkie rozmiary i funkcji takiej pełnić nie mogła. Były to drewniano-ziemne warownie służące stosunkowo nielicznej załodze zbrojnej, w których mieścić się mogły ewentualnie także rezydencje wielmożów. Nie tak dawno odkryto wprawdzie w Małopolsce i w Lubelskiem grody innego typu, znacznie większe (Stradów, Chodlik); choć funkcja ich nie jest dotąd ostatecznie wyjaśniona, przecież i one nie stanowią przykładu grodów refugialnych. Chodzi tu raczej o wypadek obwarowania pewnego kompleksu osadniczego. Nie wyłączając tedy możliwości istnienia innych jeszcze, dotąd nie znanych, wariantów budownictwa grodowego, jako typowy gród epoki uważamy fortyfikację obronną przeznaczoną dla drużyny.

Utrzymanie drużyny wymagało od społeczeństwa nie tylko wznoszenia i konserwowania grodów, ale także żywienia ich załóg. Część płodów rolnych, a zwłaszcza hodowanego dobytku, gdzie o wygospodarowanie nadwyżek było łatwiej, trzeba było przeznaczać na potrzeby organizacji wojskowej. Pobieranie od poszczególnych gospodarstw tych świadczeń wymagało z kolei osobnej organizacji i specjalnych funkcji, które — jak i inne funkcje społeczne — zagarniali możniejsi. Powstawała namiastka aparatu skarbowego.

Stała siła zbrojna i wybieranie świadczeń od wolnych gospodarzy stwarzały zupełnie nowe elementy organizacji społecznej, elementy właściwe państwu. Treścią referowanych przemian było więc stopniowe przeobrażanie się terytorialnych organizacji wolnych

wspólnot w organizacje państwowe. Proces ten dobiegał końca w momencie, gdy faktyczna władza w plemieniu oderwała się od ogółu wolnych, a przejęta została przez owe organy, co do swej genezy służebne wobec społeczeństwa, rychło jednak realizujące wolę uprzywilejowanej mniejszości.

Stać się tak musiało, raczej prędzej niż później, gdyż w odczuciu drużynników ich władzą i chlebodawcą nie była bynajmniej cała wspólnota, ale jej reprezentanci, którzy bezpośrednio troszczyli się o potrzeby wojów i nimi dowodzili. Szczególnie łatwo zacieśniały się więzy między drużyną i wojewodą, jeśli ten ostatni potrafił swym ludziom zaimponować znajomością fachu, osobistą dzielnością i zapobiegliwością, a jednocześnie stwarzał im liczne sposobności urozmaiconego życia i bogacenia się. Drużynnicy bowiem nie zamierzali poprzestawać na świadczonych im na codzień dobrach. Przechodząc na usługi organizacji regionalnej nie wyrzekali się *chąsy*. Nadal wyprawiali się w odleglejsze okolice po łupy, prowokowali też spory z sąsiednimi plemionami, aby ich ziemie podporządkować własnej organizacji i ściągnąć z nich dań dla siebie. Jeśli wojewoda prowadził ich często na takie wyprawy i potrafił je zorganizować tak, by wracali z nich z sukcesem, zaskarbiał sobie wierność drużyny i mógł na nią liczyć także w konfliktach wewnątrzplemiennych; przy jej poparciu mógł sięgnąć po władzę w plemieniu i rozszerzać ją terytorialnie coraz dalej.

*

Podany zarys kierunków rozwojowych społeczeństwa słowiańskiego w pierwszych stuleciach średniowiecza jest bez wątpienia schematem. Wskazuje on na dominujące tendencje, ale oczywiście nie uwzględ-

nia wielu drugorzędnych czynników, które ową drogę komplikowały. Przede wszystkim musimy sobie zdać sprawę, że rozwój społeczny nie przebiegał równomiernie na całym obszarze naszych ziem. Opisane przemiany mogły dokonać się nawet w ciągu życia jednego pokolenia, a mogły też rozciągać się na kilka wieków. Nie jest to tylko domysł. Wszak już w VII w. znamy słowiańską wieloplemienną organizację polityczną, obejmującą rozległe terytorium i przynajmniej dla zewnętrznego obserwatora noszącą cechy państwa. O tym tak zwanym „państwie Samona" wiadomości dotarły do nas przypadkowo, dzięki konfliktowi Samona z państwem Franków. Gdyby nie to, nie wiedzielibyśmy nic o jego istnieniu, gdyż po śmierci swego naczelnika ów związek plemienny rozpadł się, a pamięć o nim nie zachowała się w tradycji słowiańskiej. Jest więc zupełnie prawdopodobne, że analogiczne organizacje wytwarzali Słowianie i gdzie indziej. Niektórzy uczeni domyślali się ich także na ziemiach polskich. Choć trudno tę koncepcję podzielić, gdyż właśnie na naszym terytorium brak było czynnika przyspieszającego tworzenie się tego typu organizacji, jaki na południe od Karpat stanowiło zagrożenie zewnętrzne ze strony koczowników awarskich, to jednak mniejszych rozmiarów związki terytorialne o pewnych elementach państwa tworzyły się zapewne i tutaj.

Z drugiej strony zauważamy istnienie grup osadniczych bardzo zacofanych, które jeszcze w dobie organizowania się państwa polskiego nie wyszły poza zaczątki organizacji opolnej.

Nierównomierność rozwoju społecznego nie polegała też wyłącznie na tym, że jedne ośrodki wyprzedzały inne tempem dokonujących się przemian. Drogą od opolnej wspólnoty sąsiedzkiej do regionalnego pań-

stewka, od społeczności równych do coraz znaczniejszego rozwarstwienia majątkowego, a następnie także klasowego, nie posuwano się systematycznie naprzód, jak mógłby to sugerować schemat. Owszem, na każdym etapie tej drogi mogły następować załamania i nawroty wstecz. Nowe zjawiska, a tym bardziej nowe instytucje, powstając pod wpływem sprzyjających okoliczności, nie zawsze zdołały się ustabilizować i niknęły z chwilą, gdy owe okoliczności przestały być aktualne. Rodziny wyrastające zamożnością ponad sąsiadów spychały klęski żywiołowe, napady z zewnątrz, nieudolność ich naczelników lub inny przypadek z powrotem do poziomu ogólnego. Zagrożenie, pod którego wpływem tworzyła się organizacja regionalna, przemijało, a wraz z nim często rozprzęgały się formy ogółowi już niepotrzebne. Przedwczesne ambicje wojewodów plemiennych wspólnota potrafiła nieraz okiełznać, sięgającego po władzę jednostkową przywódcę stracić, a jego drużynę rozpędzić. Póki nowe formy organizacyjne nie okrzepły, nie okazały się niezbędne na dłuższy czas, póty wystarczyła śmierć jednostki, by kierowane przez nią dzieło rozsypywało się niemal automatycznie. Tak przecież się stało ze wspomnianym państwem Samona.

Ale gdy jedne twory upadały i ginęły, powstawały inne i w sumie rozwój szedł drogą ukazaną w naszym schemacie. Katastrofa tych czy innych możnych rodzin, efemeryczność niektórych organizacji terytorialnych nie zmieniały faktu, że z każdym następnym wiekiem w skali kraju pojawiało się coraz więcej możnych, że coraz większy dystans dzielił ich od ogółu członków wspólnot sąsiedzkich, że okazywały się wciąż trwalsze i coraz gęstszą siecią pokrywały ziemie nad Odrą i Wisłą pierwociny państw.

GEOGRAFIA POLITYCZNA ZIEM POLSKICH DO POŁOWY X W.

W połowie IX w. ludy sąsiednie znały już wcale dobrze kilkanaście państewek regionalnych różnej wielkości i siły, egzystujących na terytorium Polski. Stosunkowo najobszerniejsza ich lista zachowała się w lakonicznej zapisce zwanej *Geografem Bawarskim*. Jest to notatka łacińska zatytułowana: *Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju*. Zawiera listę kilkudziesięciu nazw ludów mieszkających na wschód od Niemiec, a na północ od Dunaju; przy części z nich podano liczbę *civitates*, co tłumaczy się przeważnie jako *grody*. Autorstwo i cel zapiski nie są z całą pewnością znane. Wydają się jednak przekonywające hipotezy Henryka Łowmiańskiego, oparte na najsumienniejszej dotychczas analizie zabytku. Według niej pierwotny tekst powstał ok. 844 r. i był znacznie krótszy; obejmował on listę plemion przeważnie słowiańskich sporządzoną z polecenia króla Ludwika Niemca. Jej autorem mógł być mnich Rudolf, autor współczesnej części rocznika fuldajskiego, wyróżniającego się spośród ówczesnych źródeł niemieckich zainteresowaniem dla spraw słowiańskich. Rzeczona zapiska miała zostać przesłana królowi Ludwikowi do Ratyzbony, gdzie tamtejsi mnisi z klasztoru Św. Emmerama sporządzili z niej kopię, którą uzupełnili wieloma nowymi nazwami, z dużo już gorszą niż pierwszy autor znajomością stanu faktycznego.

Właśnie ta druga część *Geografa Bawarskiego* zawiera między innymi nazwy plemienne z terytorium Polski. Część z nich znamy także z innych źródeł, część kojarzy się łatwo z nazwami przetrwałymi aż do dziś. Dotyczy to przede wszystkim Śląska, gdzie zapiska wymienia Ślężan z 15 grodami, Dziadoszan

z 20 grodami, Opolan z 20 grodami i Golęszyców z 5 grodami. Poza tym za pochodzące z ziem polskich uważa się ludy, których nazwy w oryginalnej pisowni zabytku są następujące: *Glopeani, Busani, Velunzani, Vislane, Verizane, Lendizi, Prissani.* Lokalizacja ich, a częściowo także brzmienie tak zapisanych nazw wywołuje liczne spory.

Zanim zajmiemy się każdym z nich z osobna, zwróćmy uwagę, że żadna z tych nazw nie występuje w źródłach wcześniejszych, a stąd nie mamy pewności, czy te organizacje terytorialne, o których wspomina *Geograf Bawarski*, są tworami świeżej daty, czy też mają za sobą długotrwałą tradycję. Niestety, wcześniejsi pisarze dostarczający nam wiadomości o Słowianach nie dysponowali dokładniejszą orientacją w stosunkach panujących na północ od Karpat. Ich relacje są zresztą całkiem ogólnikowe, Słowianie są w nich traktowani najczęściej albo jako jednolity wielki lud, albo też odróżnia się wśród nich Wenetów, Antów i Sklawinów, które to trzy nazwy odpowiadają prawdopodobnie pojęciom Słowian zachodnich, wschodnich i południowych. Takich szczegółów, jak nazwy plemienne nie znali ani pisarze bizantyńscy, ani zachodni. Jedynym wyjątkiem są połabskie związki plemienne Obodrzyców i Wieletów, które weszły w kontakt z państwem Karola Wielkiego i pozostawiły sporo śladów w rocznikach frankijskich.

Istnieją natomiast pewne tradycje późniejsze oraz ślady pośrednie, czerpane z materiału toponomastycznego, to znaczy z brzmienia nazw miejscowych, które prowadzą do przypuszczeń, że u schyłku starożytności, przed wielką ekspansją słowiańską V - VI w., na ziemiach polskich istniały związki plemienne o nazwach znanych później w innych rejonach Słowiańszczyzny, a mianowicie Obodrzyce, Serbowie, a zwła-

szcza Chorwaci. Część członków tych plemion przesunęła się następnie na zachód, nad Łabę (Obodrzyce, Serbowie Łużyccy) oraz na południe, na Bałkany (Serbowie, Chorwaci). Przesłanki tego twierdzenia są bardzo sporne; nie referujemy tu ich nawet, gdyż nadają się tylko do dyskusji w wyspecjalizowanym gronie historyków i filologów. Gdyby jednak tak było w rzeczywistości, to rychły zanik tych nazw na terytorium polskim i występowanie na ziemiach zajętych przez te plemiona już w IX w. zgrupowań o nazwach zupełnie innych potwierdzałby naszą obserwację z poprzedniego rozdziału, że w ciągu pierwszych wieków średniowiecza geografia polityczna naszych ziem była zmienna, że organizacje plemienne tworzyły się i rozpadały, a na ich miejsce powstawały nowe związki o innej często podstawie terytorialnej.

Nazwy *Geografa Bawarskiego* odpowiadają więc sytuacji z połowy IX w., której nie wolno przenosić ani nadmiernie wstecz, ani — jak się okaże — naprzód. Chodzi tu o mniejsze i większe państewka regionalne. Ich rangę określa liczba wymienianych przez autora zapiski *grodów*. Ten ostatni termin jest zresztą mylący. Archeologia wykazała, że na terytoriach najdokładniej Niemcom znanych, na Połabiu, rzeczywista liczba grodów z tego czasu jest znacznie wyższa, niż wynikałoby to z danych *Geografa Bawarskiego*. W zapisce nie podawano więc zapewne liczby grodów wszelkiego rodzaju, lecz te tylko, które miały charakter centrów administracyjnych, a zatem grody-czoła opoli. W ten sposób, rejestrując w gruncie rzeczy liczbę wspólnot opolnych, wchodzących w skład danego państewka, autor w przybliżeniu dawał pojęcie o jego wielkości.

Zestawienie maleńkiego związku Golęszyców, obejmującego 5 okręgów opolnych, z takimi, przy których

nazwach *Geograf* wymienia 100, 200 czy nawet 400 grodów, obrazuje nam znów ową nierównomierność rozwoju poszczególnych regionów naszego kraju.

Inna rzecz, że dokładność i wiarygodność danych *Geografa* maleje, w miarę jak opisuje on terytoria coraz odleglejsze od granic państwa Karolingów. Mamy więc podstawy wątpić, czy liczba 231 grodów, jaką przypisuje autor Bużanom = *Busani*, związkowi plemiennemu nad górnym Bugiem, nie jest przesadzona. Z drugiej jednak strony nie wiemy przecież, jak rozległe terytorium mógł sobie ten efemeryczny twór podporządkować. Jego krótkie istnienie — wcześniej znamy w tym miejscu Dulebów, później zaś Wołynian — mogło być właśnie wynikiem nadmiernego rozrostu, po którym nastąpił rozpad.

Podobnie można by sądzić także o tajemniczych *Glopeani*, których ostatnio próbuje się odczytywać jako Goplan i lokalizować na Kujawach, a którym *Geograf Bawarski* przypisał „400 grodów lub jeszcze więcej". Osobiście nie jestem przekonany o tym, że w zapisie *Glopeani* kryje się nazwa Goplan, nie znana zresztą skądinąd, a tylko prawdopodobna jako wiążąca się z Gopłem. Wydaje mi się, że nie powinno się zakładać przesunięcia w tekście litery *l* o dwa miejsca wstecz, skoro wiadomo, że w zwyczajach średniowiecznych pisarzy próbujących oddać łacińskim alfabetem dźwięki innych języków połączenie *gl* służyło niejednokrotnie do zapisania głoski *ł*. Jeśli byśmy jednak przyjęli identyfikację *Glopeani* = Goplanie, to trzeba by przyjąć, że był to znów jakiś związek efemeryczny, utworzony może dla doraźnego celu, skoro nazwa ta zanika, a najwyżej w kilkadziesiąt lat później terytoria te wejdą w skład państwa Polan, mającego swój ośrodek w Gnieźnie.

Z innych nazw *Geografa Bawarskiego* dwie — *Ve-*

lunzani i *Prissani* to zapewne państewka pomorskie Wolinian i Pyrzyczan, *Verizane* zaś — to może Wiercianie nad górną Wartą. Są to jednak tylko domniemania.

Donioślejsze znaczenie ma należyta interpretacja nazw: Wiślanie i Lędzice.

O pierwszych z nich wzmiankują liczne, jak na te czasy, źródła i to z różnych kręgów geograficznych. Wymienia więc ich patrzący z północy król Alfred angielski u schyłku IX w., podobnej nazwy używa słowiański *Żywot św. Metodego* z tego samego okresu. Obydwa wspomniane źródła podają też pewne szczegóły, które mogą służyć lokalizacji Wiślan. Treścią przekazu słowiańskiego jest anegdota o proroczym zmyśle św. Metodego: „Miał też Metody dar proroczy i wiele spełniło się z jego przepowiedni... Pogański książę bardzo silny, siedząc w Wiśle [lub w Wiślech] urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał. Posławszy więc do niego kazał mu [Metody] powiedzieć: Dobrze by było synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej. Wspomnisz moje słowo. Tak się też stało". Z kontekstu wynika niedwuznacznie, że chodzi o terytorium pobliskie państwu wielkomorawskiemu, a więc nad górną Wisłą.

O sąsiedztwie Wiślan z państwem wielkomorawskim informuje też król Alfred: „Morawianie mają na zachód od siebie Turyngów i Czechów i część Bawarów, a na południe od nich po drugiej stronie Dunaju jest Karyntia, rozciągająca się ku południowi aż do Alp. ...Potem na wschód od Karyntii z tamtej strony puszczy jest kraj Bułgarów, a stamtąd na wschód jest Grecja. A na wschód od Moraw jest kraj Wiślan, a na wschód stamtąd jest Dacja, gdzie pierwej byli Goto-

wie". Określenie stron świata nie zawsze jest tutaj dość precyzyjne, ale samo sąsiedztwo Wiślan z Morawami nie ulega wątpliwości.

Sama nazwa Wiślan odnosi się wyraźnie do ludu osiadłego nad Wisłą, czy w dorzeczu Wisły. Cytowane teksty informują dodatkowo, że do Wiślan należy kraj nad górną Wisłą. Żaden z nich nie dostarcza jednak danych, które by pozwoliły określić rozległość ich terytorium. Ogólnikowy zwrot *Żywota św. Metodego* o „bardzo silnym" księciu nie może niczego wyjaśnić, zwłaszcza że i termin *książę* jest wieloznaczny; nie wiadomo czy u Wiślan był jeden, czy wielu takich książąt. *Geograf Bawarski* nie daje nam nawet materiału do porównań, gdyż przy Wiślanach nie notuje liczby okręgów grodowych.

Kwestia granic terytorialnych Wiślan jest przedmiotem dyskusji w nauce, ale dyskusja ta dotyczy jednego tylko odcinka: rozciągłości kraju Wiślan na wschód. Zagadnienie powstało w związku z dokumentem biskupstwa morawskiego z XI w., w którym granicami diecezji objęto terytoria do niej nie należące: Śląsk i Małopolskę aż po Styr. W tym dokumencie, spornej zresztą autentyczności, fragment o granicach robi wrażenie przejątku z opisu granic biskupstwa wielkomorawskiego w IX w., które mogło — przynajmniej formalnie — rozciągać swą jurysdykcję na uzależnione od Wielkich Moraw ziemie Śląska i Wiślan. Stąd zaś powstało pytanie, czy granice Wiślan nie opierały się na wschodzie o Styr.

Taką hipotezę większość badaczy neguje. Rzeczywiście, nawet podana interpretacja źródeł dokumentu biskupstwa morawskiego do takiego wniosku nie upoważnia. Jeśli wpływy wielkomorawskie miały dotrzeć nad Styr, to łatwiej sobie wyobrazić jakąś akcję w tym kierunku ze strony samego Świętopełka morawskiego,

niż przyjmować wcześniejsze podporządkowanie tych ziem ośrodkowi krakowskiemu.

Dyskusja nad wschodnim zasięgiem Wiślan przesłoniła historykom fakt, że nie jest nam znany również ich zasięg północny. Ponieważ w drugiej połowie X w. bieg górnej Wisły po Kraków należał do Czech, dalej zaś na północ ziemie nadwiślańskie wchodziły w skład państwa Piastów, przyjęło się mniemać, że granica północna posiadłości czeskich w X w. pokrywa się z granicą Wiślan z IX w. Teza ta jednak nie ma właściwie podstaw. Tekst *Żywota św. Metodego* mówi o wzięciu księcia wiślańskiego do niewoli, sugeruje jego pokonanie przez Morawian, pozwala przypuszczać wtargnięcie Morawian na ziemie Wiślan, ale przecież niczym nie przesądza, czy całe terytorium Wiślan zostało podporządkowane państwu wielkomorawskiemu, czy tylko jego część. Nie wiadomo także, czy po upadku Wielkich Moraw ich dziedzictwo nadwiślańskie zostało od razu przejęte przez Czechy, czy raczej stan posiadania Przemyślidów w drugiej połowie X w. miał znacznie świeższą genezę.

Wróćmy do *Geografa Bawarskiego*. Pominięcie liczby okręgów przy nazwie Wiślan, brak nawet jakiegoś ogólnego omówienia w rodzaju „bardzo wiele”, musi zastanowić. Powstaje pytanie, czy w tym kontekście Wiślanie oznaczają tego typu twór wczesnopaństwowy, co ugrupowania bliżej określone, czy też stanowią inną jakość. Wydaje się dopuszczalna możliwość, że nazwą tą określano zbiorczo plemiona osiadłe w dorzeczu całej Wisły. Hipotezę tę wzmacnia fakt, że u *Geografa* brak plemienia, którego lokalizację trzeba by wyznaczyć nad średnią lub dolną Wisłą.

Do sprawy tej wrócimy za chwilę. Tymczasem zajmijmy się Lędzicami.

Nazwę tę znamy również z więcej niż jednego po-

świadczenia. Uczony cesarz bizantyński Konstantyn Porfirogeneta, piszący w połowie X w., przekazał ją nam w formie *Lendzaninoi*, czyli Lędzianie. Oboczność końcówek *-icy* i *-anie* występuje nieraz w nazwach plemiennych, np. o wspomnianych już Dziadoszanach czytamy również jako o Dziadoszycach. Tak więc Lędzice i Lędzianie są niewątpliwie tą samą nazwą. Że pod nią krył się lud o dużym znaczeniu i rozgłosie, wnioskujemy z faktu używania później przez niektóre narody nazwy na oznaczenie Polaków: południowosłowiańskie Ledianie oraz węgierskie Lengyel, wymawiane jako Lendiel.

Powszechnie przyjmuje się pogląd, że tego samego pochodzenia jest termin litewski Lenkas oraz ruski Lach. Ma to uzasadnienie w etymologii nazwy Lędzianie, którą wyprowadza się od wyrazu *lęda*, oznaczającego pole uzyskane przez wykarczowanie lasu. W języku ruskim polskiemu *ę* odpowiadała w tym wypadku samogłoska *a*, nasze lędy nazywano ladinami, a stąd Ladianin, w zgrubiającym zaś skróceniu — Lach.

Rozpowszechnienie różnych wariantów nazwy Lędzian w rozszerzonym znaczeniu — latopis ruski rozumie pod Lachami nie tylko ogół plemion wczesnośredniowiecznego państwa polskiego, ale i połabskich Wieletów — tłumaczy dostatecznie zainteresowanie tym ludem w nauce. Do tej pory jednak nie nastąpiło w niej ujednolicenie poglądów na siedziby Lędzian.

Starsza hipoteza, której obecnie broni samotnie Kazimierz Tymieniecki, umieszcza Lędzian w Wielkopolsce i identyfikuje ich z późniejszymi Polanami. Przesłanką tego sądu jest wymienienie Lędziców w rejestrze *Geografa Bawarskiego* w kontekście plemion zachodnich jako sporego państewka — 98 grodów — przewyższającego wielkością zarówno Wieletów (95

grodów), jak i wszystkie organizacje polityczne na Śląsku razem wzięte. Dodatkowym argumentem ma być jeszcze występowanie na terenie Wielkopolski nazw miejscowych o pniu *Ląd-*, *Lęd-*, *Led-*.

Większą popularnością cieszy się jednak teraz inna hipoteza, która za punkt wyjścia bierze fakt rozciągnięcia nazwy Lędzian na ogół plemion polskich przez naszych wschodnich sąsiadów. Sugeruje to, że siedziby tego ludu znajdowały się na wschodnich czy raczej południowo-wschodnich krańcach ziem polskich, w bliskim sąsiedztwie Rusi i Węgier. Potwierdzałaby to także wzmianka Konstantyna Porfirogenety, według którego *Lendzaninoi* płacili trybut Kijowowi. Wnioskować by więc można, że Lędzianie siedzieli gdzieś w dorzeczu Sanu, na wschód od Wiślan, i że — tak jak ci ostatni — ulegli u schyłku IX w. państwu wielkomorawskiemu, w X zaś wieku, po jego upadku, przeszli pod luźne zwierzchnictwo Rusi Kijowskiej.

Oponując takiemu przedstawieniu, profesor Tymieniecki wyjaśnia karierę nazwy Lędzian na wschodzie oraz relację Konstantyna Porfirogenety o ich stosunkach z Rusią późniejszą ekspansją ośrodka wielkopolskiego. Około połowy IX w. organizując jeszcze tylko okoliczne ziemie, w ciągu następnych stu lat miał rozszerzyć swe władanie na wschód aż po granice ruskie. Jakaś część tego terytorium mogła się w X w. dostać przejściowo w zależność od Kijowa, czego odbiciem jest wiadomość Porfirogenety. Zorganizowanie ziem na wschodzie późniejszej Polski przez państwo Lędzian tłumaczy przejęcie tej nazwy na zbiorcze określenie Polski przez Ruś i Węgry, a za ich pośrednictwem także przez ich niektórych sąsiadów.

Wywód K. Tymienieckiego bardziej przekonuje niż nowsze w tym względzie pomysły. Na wschód od Wisły nie widzimy miejsca na znacznych rozmiarów

państwo kantonalne, do jakiego nie dorósł np. Śląsk. Późniejsze dzieje Polski wskazują, że na wschodzie organizacja społeczna i polityczna nie osiągnęła tego stopnia rozwoju, co na jej ziemiach zachodnich. Jeszcze w początkach XII w. teatrem życia wewnętrznopolitycznego w Polsce są właściwie wyłącznie ziemie i ośrodki położone na zachód od Wisły. Dopiero w warunkach rozbicia dzielnicowego obszar między Wisłą a Bugiem nabierać będzie stopniowo znaczenia.

Kształt Polski, jaka ujawnia się nam w drugiej połowie X w., potwierdza, że kierunek ekspansji ośrodka gnieźnieńskiego szedł w poprzednich dziesięcioleciach na wschód. Poza jego zasięgiem pozostawały ziemie południowe — Kraków i Śląsk — związane z Czechami. Na północnym zachodzie wpływy wieleckie dotarły wcześniej niż gnieźnieńskie. Pomorze podporządkował sobie dopiero Mieszko I. Jego poprzednikom przypadło zaś w udziale systematyczne rozszerzanie władania na wschód, gdzie widocznie nie napotykano poważniejszego oporu, a więc i znaczniejszej organizacji politycznej.

Ostatnio wysunięto przypuszczenie, że dysponujemy jeszcze innymi, zepsutymi zapisami nazwy Lędzian w X w. W tym sensie próbuje się interpretować przekaz saskiego kronikarza Widukinda z Korbei, który o naszym Mieszku I podał, że podlegali jego władzy Słowianie o nazwie *Licicaviki*. Dawniej doszukiwano się w nich jakiegoś drobnego plemienia na pograniczu wielkopolsko-pomorskim lub na samym Pomorzu, zgodnie z kontekstem Widukinda, który wprowadził postać polskiego księcia w związku z walkami prowadzonymi przez niego na tamtym terenie. Sam byłem zdania, że *Licicaviki* są zepsutą formą Lutyków, którą to nazwą określano ówcześnie Wieletów. Miałoby to uzasadnienie w tym, że Mieszko opanował właśnie te

tereny Pomorza Zachodniego, które znajdowały się uprzednio pod wpływami wieleckimi, a w każdym razie były Wieletom bardzo bliskie etnicznie. Sformułowanie Widukinda może się jednak odnosić także do całego państwa Mieszkowego, a w takim razie nie byłoby wykluczone, że mamy tu do czynienia z jeszcze jednym wariantem nazwy Lędzian.

Taka interpretacja znalazła poparcie w innym niż dotąd przytaczany fragmencie dzieła Konstantyna Porfirogenety. Uczony cesarz wspomina mianowicie tradycję rodu południowosłowiańskiego księcia Michała Wyszatycza, który do nowych siedzib miał przybyć znad rzeki *Dicike*, pod którą to nazwą rozumie Wisłę. Już znacznie dawniej zwracano uwagę, że zapis Porfirogenety uległ zapewne zniekształceniu przez pomylenie dwóch bardzo podobnych do siebie wielkich liter greckich: lambdy i delty. Tak więc, gdzie w wydaniach tekstu mamy *Dicike*, należałoby czytać *Licike*, a forma ta daje się już bez trudu nawiązać do Widukindowych *Licicaviki*.

Autor bizantyński popełnił oczywiście błąd nazywając w ten sposób Wisłę, która pod swoją jedyną nazwą była znana jeszcze w starożytności. Przeniósł najprawdopodobniej na rzekę nazwę ludu nad nią osiadłego. Jeśli byli nim Lędzianie, to nasunąć się musi jednak pytanie, dlaczego wystąpili tu w formie tak bardzo odkształconej, skoro ten sam pisarz w innym miejscu wykazuje znajomość formy poprawnej — *Lendzaninoi*. Tymieniecki wyjaśnia to w ten sposób, że Porfirogeneta otrzymał obydwie interesujące nas wiadomości o Lędzianach z dwóch różnych źródeł — ruskiego i niemieckiego — a ze względu na odmienność form w tych środowiskach używanych nie skojarzył, że chodzi o ten sam lud, mianowicie o członków

organizacji państwowej obejmującej tereny od Warty i Noteci po styk z Rusią.

Do tej pory wszystko to wygląda logicznie i nie nasuwałoby zastrzeżeń, gdyby nie to, że skądinąd wiemy o państwie Polan na terenie późniejszej Wielkopolski, które w miarę swej ekspansji terytorialnej ogarnęło resztę ziem przyszłej Polski etnograficznej i tak utworzonemu państwu polskiemu dało też swoją nazwę. Ci Polanie okazują się więc identyczni z Lędzianami Tymienieckiego i za takich uznał ich ten uczony wskazując, że zmiany nazw ludów nie są zjawiskiem niespotykanym.

Kiedy jednak zmiana taka mogła się dokonać? W połowie X w. i jeszcze za Mieszka I mielibyśmy poświadczonych wciąż tylko Lędzian, a nazwa Polan pojawi się po raz pierwszy dopiero na przełomie stulecia następnego, za panowania Bolesława Chrobrego. Chwila to dla zmian nomenklatury nawet odpowiednia: państwo ówczesne stało się wtedy już czymś całkiem innym niż poprzedzające je organizacje regionalne i zasługiwało na nową nazwę. Sęk w tym jednak, że nazwy Polan nie sposób uznać za nową. Nowe było może w XI w. rozszerzenie jej na cały obszar państwa dynastów gnieźnieńskich. Obok tego rozszerzonego znaczenia utrzymywało się jednak długo jeszcze jej znaczenie węższe, ograniczone do późniejszej Wielkopolski, a więc pochodzące z czasów przed ekspansją terytorialną na wschód, czyli przynajmniej z IX w., a więc z lat bliskich relacji *Geografa Bawarskiego*.

Wskazywaliśmy już wyżej, że obserwowane często zmiany nomenklatur w geografii politycznej tego okresu odbijają zazwyczaj upadek jednych organizacji regionalnych i powstawanie na zbliżonym obszarze terytorialnym organizacji nowych. Badania archeolo-

giczne, szczególnie rozległe i intensywne na terenie Wielkopolski, nie wskazują, by podobne przeobrażenia miały tu nastąpić w ciągu IX i X w. Sam główny ośrodek Polan, Gniezno, wykazuje niczym nie zakłócony rozwój od schyłku VIII w.

W świetle tych obserwacji postawienie znaku równania między Lędzianami i Polanami, traktowanie obu tych nomenklatur jako kolejnych nazw tej samej organizacji politycznej, nie wydaje nam się prawdopodobne. Dobrze poświadczona nazwa Polan dla państwa gnieźnieńskiego musiała się ugruntować najpóźniej w ciągu IX w., choć — oczywiście — mogła pozostawać nie znana *Geografowi Bawarskiemu.*

W takim zaś razie zakres pojęcia Lędzianie był widocznie inny. Jeżeli w pewnych okolicznościach obejmowano nim także Polan, kiedy indziej zaś kojarzono go z Wisłą, a także z pograniczem ruskim, jeżeli nadto w języku kilku ludów występuje ono od dawna jako synonim Polski, jako pojęcie zbiorcze obejmujące wszystkie plemiona między Karpatami i Bałtykiem, to najprawdopodobniej już w IX w. taką właśnie zawierało ono treść. Konkurowało zaś zapewne z inną znaną źródłom nazwą o tym samym charakterze, z nazwą Wiślan. Przypuszczać tak można zwłaszcza po analizie drugiego z cytowanych przekazów Konstantyna Porfirogenety. Jeśli nazwę Lędzian — *Licików* przenosi on na rzekę Wisłę, to widocznie miał żywo w pamięci, że kraj tamtejszy był nazywany tak samo jak rzeka. A że istotnie tak było, wiemy z *Żywota św. Metodego* i jego charakterystycznego określenia: w *Wiślech* lub w *Wiśle.*

Jeśli chodzi o *Geografa Bawarskiego*, to wszystkim znawcom tego zabytku wiadomo, że wiedza jego autora malała szybko w miarę posuwania się na wschód. Jego opis pasa ziem między Łabą i Odrą jest

drobiazgowy i wierny; na obszarach bardziej odległych nie jest już w stanie wyodrębniać tak drobnych organizacji, jakie dostrzegał na Śląsku. Zauważa tam albo twory znaczniejsze, albo operuje pojęciami zbiorczymi. Wydaje się, że większość terytorium późniejszej Polski skwitował wzmianką o Wiślanach bez podania bliższych szczegółów. O poważnej już zaś organizacji Polan wiedział wprawdzie, ale nie znał ich nazwy i dlatego określił ich używaną wtedy nazwą zbiorczą Lędziców, których odłam Polanie rzeczywiście stanowili.

Sumując powyższe uwagi otrzymujemy zarys geografii politycznej ziem polskich w IX w. nieco odmienny od powszechnie ostatnio przyjmowanego. Zwykło się bowiem mówić o dwóch rozwijających się równolegle ośrodkach kształtowania się państwa polskiego: polańskim w Gnieźnie i wiślańskim w Krakowie, obok których miało wyrosnąć w IX w. jeszcze kilka znaczniejszych państewek terytorialnych. Kres istnieniu państwa Wiślan miała położyć ekspansja wielkomorawska, co z kolei umożliwiło Gnieznu stopniowe zjednoczenie ziem polskich. Moim jednak zdaniem stan organizacyjny większej części naszych ziem przedstawiał się podobnie, jak znany tak dokładnie z *Geografa Bawarskiego* stan Śląska. Powstawały mianowicie bardzo drobnych rozmiarów organizacje regionalne jednoczące od kilku do dwudziestu wspólnot opolnych. Właśnie niski jeszcze stopień organizacji politycznej umożliwił podporządkowanie ziem południowych zakarpackiemu państwu wielkomorawskiemu, mimo że ten i ów wojewoda wiślański mógł się do czasu uważać za księcia bardzo potężnego i urągać wiele silniejszym, ale odgrodzonym górami sąsiadom. Słabą organizacją można też tylko wytłumaczyć uleganie wschodnich Lędzian odległemu Kijowowi, anga-

żującemu swoją potęgę na całkiem innym przecież szlaku.

Tu i ówdzie powstawały, być może, także organizacje rozleglejsze, były to jednak efemerydy, twory jednego pokolenia, wynik chwilowych potrzeb lub ambicji zdolnej i szczęśliwej jednostki. Rozsypywały się one rychło, gdy minęły okoliczności, które powołały je do życia. Na to, żeby mogły się ustabilizować, trzeba było długotrwałego utrzymywania się sprzyjających warunków. Dla państw połabskich — Obodrzyców i Wieletów — które przez kilka wieków zdołały utrzymać się na widowni historycznej, warunki te stwarzało zapewne obcoplemienne sąsiedztwo, dopingujące do czujnej obrony. Inny, nie znany nam zespół czynników uwarunkował trwałość osiągnięć organizacyjnych ośrodka gnieźnieńskiego, wybijającego się spośród jemu podobnych gdzieś od schyłku VIII w. O jego powodzeniach zadecydowała, być może, dogodna pozycja wyjściowa do ekspansji. W każdym razie dzieje jego w ciągu dwóch stuleci były, jak się zdaje, niemal nieprzerwanym pasmem sukcesów w skupianiu pod swoją władzą nowych ziem. Już w połowie IX w. państwo Polan obejmowało zapewne całą Wielkopolskę, a w ciągu niecałych stu lat następnych rozszerzało się systematycznie na wschód, docierając najpierw do Wisły, a następnie przekraczając ją i podporządkowując sobie ziemie nad Sanem i Bugiem. U progu drugiej połowy X w. zobaczymy je, jak zwracając się na północ ku ziemiom pomorskim rozpoczyna nową epokę swych dziejów — tysiącletniego już dziś państwa polskiego.

W pierwszych fazach swej ekspansji Polanie uniknęli szczęśliwie konfliktów z dwiema siłami, które w tym samym czasie sięgały z zewnątrz po sąsiadujące z nimi ziemie obecnej Polski. Tak więc w orbitę wpływów

państwa wielkomorawskiego dostali się w drugiej połowie IX w. południowi Wiślanie — ziemia krakowska — oraz Śląsk. Nie wiemy jeszcze — może w przyszłości pomoże to wyjaśnić archeologia — jakie formy przybrała zależność tych obszarów od morawskiego Welehradu. Może stanęły w większych grodach załogi morawskie, by czuwać nad wybieraniem należnej ich księciu dani, a może trwały tu nadal miejscowe organizacje polityczne płaceniem trybutu tylko dokumentując swą zależność od potężnego sąsiada. Ustała ona z początkiem X w., gdy w walkach z Madziarami państwo wielkomorawskie uległo katastrofie. Bardziej odległe od najeźdźców części tego państwa mogły zacząć żyć odrębnym, samodzielnym życiem politycznym. Na arenie dziejów pojawiło się księstwo czeskie. Z tej strony Karpat jednak upadek Wielkich Moraw nie przyspieszył procesów państwotwórczych; około połowy X w. ziemie te ulegają zwierzchnictwu Pragi.

Od północy posuwały się w kierunku Polan wpływy wieleckie. Ich ekspansja pozostawiła w źródłach jeszcze mniej śladów niż morawska, z trudnością też daje się schronologizować. Jeszcze jednak u *Geografa Bawarskiego* Wieletowie nie przekroczyli dolnej Odry: na wschód od nich funkcjonowało odrębne państewko Wieluńczan-Wolinian z 70 grodami, a więc jednoczące widocznie sporą część zachodniego Pomorza. W sto lat później Wolin pozostaje już w związku z Wieletami, choć nie wiadomo, czy z całym poprzednio mu podległym terytorium.

W ciągu pierwszej połowy X w. zanikały już na ziemiach polskich drobne, niezależne organizacje polityczne. Granice władztwa czeskiego i polańskiego, a z drugiej strony polańskiego i wieleckiego przybliżały się do siebie. Można przypuścić wtedy występowanie pierwszych, sporadycznych jeszcze kon-

fliktów między tymi trzema organizacjami zachodniej Słowiańszczyzny. Istnieje w źródłach nikły i niepewny, ostatnio kwestionowany nawet, ślad bliższych powiązań politycznych między Czechami i Wieletami w tym czasie. Są one bardzo prawdopodobne, byłyby bowiem realizacją znanej dyplomatycznej zasady, że sąsiedzi sąsiadów są naturalnymi sojusznikami. Zbliżenie czesko-wieleckie nie przyniosło jednak w efekcie poważniejszego nacisku obu partnerów na Polan. Ekspansję ich hamował wzmagający się nacisk innego pretendenta do panowania nad Słowiańszczyzną — Niemiec.

PAŃSTWO POLAN

O organizacji wewnętrznej państw słowiańskich w IX—X w. nie pisze się wiele. Nie mówiąc już o takich tworach, których samo istnienie z trudnością wydobywamy ze źródeł, nawet o ustroju głośnego w dziejach państwa wielkomorawskiego niewiele wiadomo. Dla kronikarzy jedynym symbolem państwa bywał zazwyczaj książę i na jego konto zapisywano wszelkie sukcesy lub niepowodzenia militarne i polityczne, a przeważnie tylko te uznawano za godne pamięci. Pod taką sugestią również dawniejsza historiografia długo skłonna była patrzeć na wczesnośredniowieczne państwa słowiańskie jak na despotyczne monarchie, jak na prywatną własność jednostki lub panującego rodu.

Dopiero w czasach najnowszych wnikliwsze zwrócenie uwagi na różne dane pośrednie skłoniło naukę do odrzucenia takich poglądów i do uświadomienia sobie decydującego nieraz wpływu mniej lub więcej licznej grupy możnowładczej na rządy tymi państwami, a także do dostrzegania w pewnych wypadkach doniosłej roli, jaką odgrywał ogół społeczeństwa,

a zwłaszcza jego uzbrojona część, wówczas jeszcze bardzo liczna.

Mimo to pozostaje wciąż dogmatem dla większości autorów monarchiczna forma ustroju tych państw, a dogmat ten bywa dla niektórych tak niewzruszony, że tym organizacjom politycznym, w których władzy monarchicznej nie udaje się odnaleźć, odmawiają po prostu miana państwa.

Od dawna jednak znane są przykłady wczesnośredniowiecznych państw słowiańskich, które ustroju monarchicznego nie znały. Do nich należało państwo Wieletów aż po schyłek swego istnienia w połowie XI w., podobną organizację miały przynajmniej niektóre państewka zachodniopomorskie, w szczególności Wolin. Brak śladów władzy książęcej na tym terenie zwracał już uwagę współczesnych obserwatorów i dlatego jest bardzo dobrze poświadczony źródłowo.

Czytamy więc o Wieletach w relacji arabskiego Żyda Ibrahima ibn Jakuba, zdającego sprawę ze swej podróży do krajów słowiańskich w 966 r.: „Nie mają króla i nie dają się prowadzić jednemu, a sprawującymi władzę wśród nich są ich starsi". Dokładniej opowiada o tym w kilkadziesiąt lat później kronikarz niemiecki Thietmar, biskup Merseburga: „Te zaś wszystkie plemiona, zwane razem Lucicami, nie mają nad sobą jednego władcy. Swoje ważne sprawy roztrząsają na zgromadzeniu w drodze wspólnej narady i aby przywieść jakąś sprawę do skutku muszą wszyscy wyrazić zgodę. Jeżeli jakiś tubylec sprzeciwia się na zgromadzeniu już powziętym decyzjom, okładają go kijami, a jeżeli stawia jawny opór poza zgromadzeniem, wówczas albo pozbawiają go majątku konfiskując go w całości lub podpalając, albo też płaci on w ich obecności należną wedle stanu sumę pieniędzy".

Przeciw wyrażanym dawniej przypuszczeniom, że

u Wieletów dokonała się jakaś degeneracja pierwotnego ustroju monarchicznego, przemawia porównanie cytowanych wyżej tekstów z tym, co o znanych sobie Słowianach pisał jeszcze w VI w. wybitny historyk bizantyński, Prokopiusz z Cezarei: „... Sklawinowie i Antowie nie podlegają władzy jednego człowieka, lecz od dawna żyją w ludowładztwie i dlatego zawsze wszystkie pomyślne i niepomyślne sprawy załatwiane bywają na ogólnym zgromadzeniu".

Ze słów tych wynika, że dla obserwatora z zewnątrz organizacja państwa Wieletów nie różniła się w zasadzie od tej, jaką znano u Słowian w VI w., a jej cechą najbardziej rzucającą się w oczy był brak władzy naczelnej jednostki.

W X—XI w. ustrój Wieletów wydawał się jednak niespotykanym poza tym nigdzie *curiosum*, a i nowożytne piśmiennictwo historyczne przeciwstawiało nader chętnie „republikańskich" Wieletów ich najbliższym sąsiadom Obodrzycom, u których dopatrywano się ustroju monarchicznego. Rzecz polega jednak na nieporozumieniu, a u jego źródła leżało nadmierne uleganie sugestii terminologii źródeł, które wymieniają zgodnie książąt obodrzyckich począwszy już od VIII w. lub nawet obdarzają ich tytułem królewskim. Kim zaś w rzeczywistości byli owi książęta poucza nas źródło duńskie, *Żywot Kanuta Lawarda*, narzuconego Obodrzycom jako ich władca. Ten, oskarżony przed królem duńskim, jakoby chciał sobie również przywłaszczyć tytuł królewski, tak sprawę miał wyjaśniać:

„Nie uważam się za winnego przywłaszczenia sobie tytułu króla. Slawia bowiem nie miała króla. Mojej władzy powierzona nie nazywała mnie królem. Zwyczajowo bowiem dla określenia już to czyjejś godności, już to z uszanowaniem zwykła każdego nazywać *knese*.

To słowo jednak Duńczycy, mylnie je tłumacząc, uważają za tytuł królewski".

Dowiadujemy się więc, że tytuł *knezia, knędza*, z którego rzeczywiście powstał później tytuł książęcy w znaczeniu godności monarszej, pierwotnie nie zawierał takiej treści, lecz był tytułem grzecznościowym wyrażającym uszanowanie dla osób zasługujących na nie ze względu na godność lub stan. W Polsce Bolesław Chrobry podkreślał swoją cześć dla stanu duchownego stosując ten właśnie tytuł do jego przedstawicieli, co przyjęło się w naszym języku w formie *ksiądz*. Takich *knędzów* było w społeczeństwach słowiańskich wielu, jednym z nich był także dowódca wojskowy, ale nie należy go utożsamiać z monarchą, chociaż istniała naturalna tendencja do przekształcania się godności wojewody w instytucję stałą, następnie dziedziczną, w końcu zaś przywłaszczającą sobie prerogatywy monarsze.

W specjalnej rozprawie wykazywałem przed kilku laty, że wbrew pozorom w ustroju Wieletów, Obodrzyców i państw pomorskich podobieństwa górowały nad różnicami, te zaś ostatnie wyrażały się głównie w torach ewolucji ustrojowej. Możnym wieleckim udało się uchronić, by żaden z nich nie zyskał przewagi nad resztą i aż do swego upadku państwo wieleckie nie przeistoczyło się w monarchię. U Obodrzyców rola wojewody rosła stopniowo wśród ciągłych zmagań wojennych, choć społeczeństwo długo przeciwdziałało wykształceniu się władzy dziedzicznej i jej zwycięstwo zbiegło się właściwie z momentem utraty przez to państwo całkowitej niezależności od obcych. Na Pomorzu Zachodnim monarchia utrwaliła się dopiero w połowie XII w., co wiązało się z ekspansją Pomorzan na ziemie wieleckie i obodrzyckie.

Gdy brak nam źródeł informujących o stosunkach

wewnętrznych w innych państewkach regionalnych Słowian, najwłaściwiej będzie zaufać analogiom. Przypuszczamy, że większość organizacji wymienianych w zapisce zwanej *Geografem Bawarskim* przypominała organizację wielecką. Władzę w nich sprawowała starszyzna, czyli możniejsi, zwani przez resztę swych współplemieńców *knędzami*. Ich autorytet opierał się na faktycznej przewadze w życiu gospodarczo-społecznym, która pozwoliła im narzucać własną wolę zgromadzeniu ogólnemu wolnych, wiecowi. Sporadycznie wybijał się na czoło możnych wojewoda, czyniąc niejednokrotnie próby ustabilizowania swej władzy, ale długo jeszcze próby takie likwidowano prędzej lub później, jak to dużo wcześniej, bo w V lub VI w. obserwował jeden z pisarzy bizantyńskich: „... Sklawinowie ... są zuchwali, samowolni, nie znoszą nad sobą panowania, tak że zabijają nieraz swego wodza i rządcę przy wspólnym posiłku lub w podróży".

Jedynie nieustające wojny i to nie tak obronne, jak przede wszystkim pełne sukcesów wyprawy zdobywcze i ekspansja terytorialna stwarzały warunki, w których władza dowódcy wojskowego nie stawała się przemijającym epizodem, lecz utrwalała się w rękach uzdolnionej jednostki, a potem także jej rodu, stając się zalążkiem dziedzicznej monarchii. Można przypuszczać, że proces taki u Polan rozpoczął się dość wcześnie, najprawdopodobniej już w IX w. Dowodu na to nie dopatrujemy się jednak w zapisanej przez kronikarza z XII w. liście rzekomych poprzedników pierwszego znanego współczesnym źródłom księcia polskiego Mieszka I. Słuszność trzeba przyznać tym uczonym, którzy sceptycznie odnoszą się do możliwości przetrwania tak długo tradycji ustnej. W następnym rozdziale spróbujemy jeszcze wyjaśnić genezę owych imion, przypisanych przez kronika-

rza władcom Polan. W tym zaś zajmiemy się materiałem bardziej, według nas, przekonującym o stosunkowo dawnej metryce dynastii książęcej Polan.

Wpierw jeszcze kilka uwag ogólniejszych. Wskazywaliśmy już wyżej, że siedzibą drużyn zbrojnych i ich przywódców stawały się w owym czasie wznoszone na ten właśnie cel grody. Powstawało ich wiele i każdy z nich służył miejscowej grupie przywódczej, miejscowym możnym. Wyrastanie w skali państewka jednego z grodów ponad inne może więc być świadectwem zdobywania przewagi przez jedną z tych grup, przez określony ród lub nawet jednostkę. Stabilizacja zaś takiego stanu rzeczy, systematyczne zwiększanie się roli naczelnej tego jednego grodu wiąże się najprawdopodobniej już z wytwarzaniem się dynastii. Tam bowiem, gdzie o władzę toczyła się jeszcze rywalizacja, gdzie na czoło wybijał się to jeden, to drugi *knędz*, pociągało to za sobą — o ile to się da obserwować — także zmiany w hierarchii ośrodków grodowych. U Wieletów w XI w. takie walki wewnętrzne zostały przez obserwatorów z zewnątrz zanotowane jako wojna ośrodków peryferyjnych przeciw stołecznej wówczas Radogoszczy. W znacznie lepiej znanej historii Pomorza Zachodniego z XI i początku XII w. rywalizacja grodów występuje już bardzo wyraźnie: to Wolin, to Białogard, to Kołobrzeg, to znów Szczecin, Kamień i Uznam starają się uchwycić hegemonię i dzieje się to dopóty, dopóki nie wytworzy się dynastia książęca, w której rękach władza pozostanie już na stałe.

U Polan kariera Gniezna nie datuje się dopiero od X w., gdy jego nazwa pojawi się po raz pierwszy w źródłach pisanych. Obecny stan rozpoznania archeologicznego grodu gnieźnieńskiego, które zawdzięczamy prowadzącej na nim od lat prace wykopaliskowe ekipie

pod kierownictwem Kazimierza Żurowskiego, pozwala na nakreślenie wcześniejszej jego historii.

Wzniesienie jego przypadło — jak już wspominaliśmy — na schyłek VIII w. Na Górze Lecha — w miejscu obronnym już z łaski samej natury, zabezpieczonym od wschodu głębokim jarem rzeki Srawy, z pozostałych zaś stron bagnami oraz dwoma jeziorami (Święte i Jelonek) — wyrosła osada. W jej najwyższej, północnej części wałami drewniano-ziemnymi wydzielono dwa obwarowane człony: rezydencję wielmoży i podgrodzie, uprzywilejowaną część osady. Z analizy znalezisk wynika, że ludność osady przygrodowej nie traktowała uprawy roli i hodowli jako głównego zajęcia — tym zajmowali się mieszkańcy osad dalej położonych, znajdujących się z zewnętrznej strony pasa bagien i jezior; tu zaś, w bezpośrednim sąsiedztwie grodu i pod jego ochroną, skupiono głównie rzemieślników różnych specjalności. Mamy tu więc do czynienia z osadnictwem zaplanowanym pod kątem potrzeb grodu i jego załogi, co z jednej strony świadczy o sporej już ingerencji władzy w życie społeczne, z drugiej zaś — o względnej liczebności skupionej w grodzie załogi, głównego — choć niekoniecznie jedynego — odbiorcy wytwarzanych przez osadę rzemieślniczą przedmiotów. Już w tej pierwszej fazie swego istnienia gród gnieźnieński nie reprezentował sobą typu gródka chroniącego wspólnotę opolną, ale był ośrodkiem władzy. Jeżeli jeszcze nie naczelnej władzy państwowej, to przynajmniej instytucji stanowiącej jej ważny element i do pełni władzy aspirującej.

Że aspiracje te uwieńczył sukces, świadczyć się zdaje brak widocznego kryzysu, czy choćby zahamowania w dalszym rozwoju ośrodka. W połowie IX w. dwuczłonowy gród przekształcił się w trójczłonowy,

gdyż nową część otwartej dotąd osady przygrodowej otoczono silnym wałem. Także obronności pozostałej części nie powierzano już wyłącznie naturze i piersiom zbrojnych, lecz teren otoczono fosą i zabezpieczono palisadą. Tę zaś zastąpiono w drugiej połowie X w., pewnie już z rozkazu Mieszka I, nową linią wałów.

Fazy rozwoju grodu gnieźnieńskiego odpowiadają fazom rozwoju państwa polańskiego. Z uzasadnieniem więc przypuszczamy, że tu uformował się ośrodek dowódczy Polan i że, zanim jego reprezentantem został Mieszko I, pozostawał już od przeszło wieku w rękach jego przodków.

Stabilizacja władzy wojewody i przekształcenie się jej we władzę panującego monarchy o prerogatywach już znacznie rozleglejszych, niż tylko wojskowe, możliwe były jedynie wtedy, gdy częściowo przynajmniej pozostawały w zgodzie z interesem społeczeństwa, a zwłaszcza jego grupy wiodącej. Bez tej zgodności można sobie wyobrazić przejściowe sukcesy wojewody w walce z rywalami, ale nie utrwalenie się zasady jednostkowej władzy, choćby nawet była ona faktycznie i prawnie mocno ograniczona.

Rozpatrzmy więc, co o takiej zgodności stanowiło.

Dla ogółu rodzin gospodarujących na roli i w trudzie codziennej pracy wyrywających ziemi płody potrzebne człowiekowi do utrzymania się przy życiu państwo kierowane przez księcia stawało się przede wszystkim gwarantem bezpieczeństwa. Konieczność przeznaczania części pracy i jej owoców na utrzymanie aparatu państwowego była opłacającym się w ostatecznym rachunku ekwiwalentem strat, jakie zadawali rabusie, gdy wyłączna przed nimi obrona spoczywała na słabej organizacji opolnej. Co prawda, zadanie to mogło wykonywać każde państwo, nie tylko monarchiczne, ale dopiero monarchia kładła kres ostrzej-

szym formom wewnętrznej rywalizacji, przybierającym charakter wojen wewnętrznych, które niosły zniszczenia nie hen, daleko, poza granice, ale rujnowały własne osiedla i pola.

Dla najaktywniejszej i najambitniejszej młodzi, szarpiącej wędzidła obowiązujących w jej środowisku norm postępowania, popadającej w konflikty z autorytetem władzy rodzicielskiej, książę stawał się olbrzymim magnesem przyciągającym. Na jego grodzie, w jemu służącej drużynie oczekiwały ją możliwości wyładowania energii, przygód, sławy wojackiej, beztroskiego oczekiwania jutra, a wreszcie łatwego wzbogacenia się łupami wojennymi, po osiągnięciu zaś dojrzałego wieku — nagrody książęcej. W służbie księcia próbowało się też smaku władzy, co dla wielu stanowić mogło znaczną atrakcję.

Rzemieślnik zyskiwał w grodach książęcych, które go potrzebowały, odbiorcę wytwarzanych wyrobów, pozwalającego, a nawet nakazującego poświęcić się w większym stopniu specjalizacji. Skupienie różnych rzemiosł na podgrodziu pociągało też za sobą ustalenie się w tym miejscu targu, ściągającego nie tylko okoliczną ludność rolniczą, ale i zawodowych kupców obsługujących oddalone od siebie dzielnice i kraje. Rzemiosłu stwarzało to warunki, by produkować już nie wyłącznie na konkretne zamówienie, lecz na rynek, dla nieznanego odbiorcy.

Poparcie wymienionych grup społecznych dla instytucji monarchy miało doniosłe znaczenie, chociaż grupy te w miarę budowy państwa w coraz mniejszym stopniu oddziaływały bezpośrednio na kierunki jego rozwoju. Polityka stawała się domeną możnych.

Rozwój organizacji plemienno-terytorialnych sprzyjał wzrostowi rozwarstwienia społecznego. Chwytając w swe ręce funkcje społeczne, uczestnicząc bar-

dziej aktywnie niż pozostała ludność w przedsięwzięciach militarnych, możni opolni bogacili się już nie tylko w wyniku lepszych osiągnięć gospodarczych. Majątek ich pomnażał się częścią świadczeń ludności, przywłaszczaną z tytułu pośredniczenia w ich ściąganiu; wyprawy wojenne dawały im uczestnictwo w lepszej części łupu oraz brańców. Część gromadzonych w ten sposób zasobów wędrowała po prostu do skrzyń, lub — co wydawało się pewniejsze — do schowków wykopywanych w ziemi. Łopata archeologa nieraz wydobywa z warstw wczesnośredniowiecznych garnki napełnione monetami i innymi kosztownościami. Zasobność ujawniała się i w bogatszym ubiorze, w noszeniu wszelkich ozdób, w hojniejszym wyposażaniu grobów zmarłych drogocennymi przedmiotami. Równości członków wspólnot opolnych zaprzeczały coraz bardziej różnice zewnętrzne, łatwo uchwytne dla oka: sposób odżywiania się, strój, ilość wolnego czasu i formy korzystania z niego.

Na uzyskanie tych zewnętrznych efektów szła jednak tylko część wzrastającego majątku. Daleko lepszy użytek z niego można było zrobić rozszerzając i intensyfikując gospodarstwo. Zaopatrzenie w udoskonalone narzędzia pracy sprzyjało uzyskiwaniu wyższych plonów, rozszerzano też hodowlę. Właśnie liczba zwierząt hodowlanych najwcześniej zaczęła wyróżniać gospodarstwa możnych od gospodarstw ich uboższych sąsiadów. Stada wypasane na łąkach stanowiących wspólną własność opola zmieniały faktyczne stosunki wewnątrz wspólnoty. To, co było wspólne, służyło teraz przede wszystkim najmożniejszym, aż w powszechnym przekonaniu stawało się ich własnością.

Wzrost liczby rąk roboczych, które dawał przypływ brańców, rodził również tendencję do rozsze-

rzania areału upraw. Pracą niewolnej czeladzi można było wyrwać lasowi nowe obszary pól. Równe niegdyś wielkością gospodarstwa w opolu różnicowały się i pod tym względem. Gdy nie starczało już w najbliższym sąsiedztwie miejsca na rozszerzenie gospodarstwa, osadzano brańców w dalszej okolicy. Ich praca i nakłady możnej rodziny pozwalały stworzyć nowe wsie, których niewolni gospodarze mieli obowiązek oddawania części plonów panu. Obie strony były z tego zadowolone. Niewolnik stawał się gospodarzem, którego życie codzienne nie odbiegało od życia wolnych członków opola; jedynym śladem jego zależności pozostawał obowiązek dzielenia się z panem uzyskanym przychodem. Ale i pod tym względem niewiele różnił się od sąsiada wolnego, ale zadłużonego, także corocznie zanoszącego część swego przychówku i plonów możnemu wierzycielowi. W praktyce ci i ci stawali się ludźmi feudalnie zależnymi, choć według prawa jednych zaliczano jeszcze do wolnych dziedziców, drugich zaś do niewolnych, przytwierdzonych do nieswojej ziemi.

Apetyty możnych rosły. Nie dość im było, że na skutek przewagi gospodarczej ich udział w korzystaniu z obszarów wspólnoty przekraczał wszelkie znane dawniej proporcje. Dążyli też do prawnego usankcjonowania zmienionego stanu faktycznego, do formalnego zawładnięcia ziemią wspólnoty. Nie było to jednak łatwe, gdy wskazywanie granic posiadłości należało do funkcji opola, funkcji honorowanej zresztą jeszcze długo także przez wysoko już zorganizowane państwo feudalne.

Prawny wyłom w stosunkach własnościowych umożliwiło jednak stworzenie zasady monarchicznej. Władca-monarcha, niezależnie od tego, jak bardzo był faktycznie w swej władzy ograniczony, symbolizował

samą ideę suwerennej władzy na podległym jego panowaniu terytorium. W jego osobie skupiło się pojęcie najwyższego wodza, ale i najwyższego sędziego, prawodawcy zwierzchniego pana wszystkiej ziemi. Jak wskazują zachowane w źródłach przykłady z ziem słowiańskich, bardzo wczesnym jego uprawnieniem stało się ingerowanie w stosunki własnościowe i przeprowadzanie nowych rozgraniczeń.

Dokonywał ich książę przez ceremonię zwaną *ujazdem*, a polegającą na objechaniu w asyście świadków wytyczanej granicy. Pierwszy znany nam przykład ujazdu pochodzi z ziem Słowian panońskich już w IX w. Nie można oczywiście przypuszczać, by ujazd miał charakter całkowitej samowoli książęcej. Starcy opolni zachowywali formalnie swe przywileje przy rozgraniczaniu posiadłości. W ten lub inny sposób uzależnieni jednak od możnego sąsiada stwierdzali zgodnie z jego wolą stan faktyczny użytkowania, ujazd zaś książęcy zamieniał go w prawo.

Posłużyliśmy się przykładem dość dobrze czytelnej w źródłach funkcji wewnętrznej monarchii, nie chcąc wprowadzać tu bez koniecznej potrzeby wniosków wydedukowanych z teoretycznych przesłanek, do których zawsze wolno ustosunkować się sceptycznie. Naszą intencją było pokazanie, jak korzystna okazywała się dla ówczesnych dążeń najmożniejszej warstwy społeczeństwa instytucja monarchii. Zapewne korzyści te nie ograniczały się do kwestii związanych z rozgraniczaniem posiadłości, tkwiły w ogóle w prawotwórczych kompetencjach panującego. To zadecydowało, że choć monarchia ograniczała polityczne znaczenie poszczególnych ambitnych rodzin, choć odbierała niejednemu nadzieję na sięgnięcie samemu po najwyższą władzę, dawała w zamian stabilizację osiągniętej przez możnych przewagi nad pozostałą

ludnością i jeszcze coś więcej: stwarzała warunki do przekształcania się tej warstwy, wyodrębniającej się dotąd głównie korzystniejszą sytuacją majątkową, w odrębną klasę wielkich właścicieli ziemskich, czerpiącą dochody z pracy uzależnionej ludności.

Ale i w zakresie znaczenia politycznego nie oddawali możni zbyt wiele. Władza monarchiczna wytworzyła się drogą ewolucyjną. Panujący skupiał w swym ręku coraz więcej prerogatyw, ale nie łączyło się to zrazu z likwidacją ukształtowanych już dawniej instytucji. We wczesnych fazach rozwoju państw monarchicznych istniał nadal wiec wolnej ludności, aczkolwiek odmienił bardziej swój pierwotny charakter. Z czynnika stanowiącego przekształcał się najpierw w organ aklamujący wnioski przedstawiane przez starszyznę, by w ostatniej fazie swego istnienia zejść do roli zupełnie biernej, do roli zgromadzenia przyjmującego do wiadomości postanowienia zapadłe na innym forum. W pierwotne kompetencje wiecu wchodziła natomiast możnowładcza starszyzna obradująca wspólnie z księciem panującym i pod jego przewodnictwem. Podsumowanie przez księcia wyników narad stawało się decyzją obowiązującą, ogłaszaną ogółowi. Na zewnątrz książę występował więc jako jedyny rozkazodawca. Jego zarządzenia, wydawane po wysłuchaniu opinii innych możnych, nie mogły jednak pozostawać z nimi w sprzeczności. W przeciwnym razie nie miałyby wielkich szans realizacji, która zależała przecież od współuczestniczenia w niej całej grupy kierowniczej państwa.

W ten sposób możni, rezygnując na rzecz jednostki z zewnętrznego blasku władzy, nie rezygnowali całkowicie z udziału w tym, co stanowi jej treść.

Być może, trzeba w tym miejscu przeprowadzić rozróżnienie między sytuacją tych możnych, których

podstawy znaczenia wyrastały w pobliżu głównego ośrodka kształtującej się monarchii, a tych, którzy reprezentowali tereny bardziej oddalone. Położenie pierwszych było znacznie mniej korzystne. Znajdowali się oni w zasięgu bezpośredniego działania książęcej siły zbrojnej. Rozgrywka między nimi a tym, który uchwycił władzę naczelną, już się dokonała i nie oni wyszli z niej zwycięzcami. Opozycja z ich strony, czy choćby niechęć do współdziałania z władcą pociągała z jego strony szybką interwencję. Jak to było jeszcze w przedmonarchicznej tradycji, zbiorowość, której wolę reprezentował teraz książę, karała krnąbrnego pozbawieniem majątku „konfiskując go w całości lub podpalając", co było równoznaczne z pozbawieniem go na przyszłość społecznego znaczenia. Wiodło to w konsekwencji do takiego stanu, że na ziemiach skupionych wokół ośrodka monarszego rola możnych tak bardzo malała, że sam panujący i jego rodzina zostawali jedynymi właściwie możnowładcami na wielką skalę.

Zupełnie jednak inaczej rozwijały się stosunki na ziemiach położonych peryferyjnie. Weszły one w skład państwa stosunkowo później, czasem przechodząc fazę dobrowolnego związku federacyjnego z ośrodkiem naczelnym, częściej zapewne podporządkowując się mu po przegranej batalii. Nawet jednak w tym ostatnim wypadku zwycięzcy nie pozostawali w zdobytym kraju na stałe. Na to aparat pierwotnego państwa był jeszcze zbyt mało rozbudowany. Nie mógł się zazwyczaj zdobyć na więcej, niż na osadzenie w jednym lub kilku grodach opanowanego obszaru wydzielonych z drużyny załóg, które miały interweniować w razie prób otwartego buntu. Rządzić tym obszarem trzeba było jednak w zasadzie przy pomocy zastanej tu organizacji, przy pomocy miejscowych możnych. Ten

i ów spośród nich, aspirujący do roli niezależnego książątka, dał prawdopodobnie głowę, większość jednak godziła się z zależnością, niekoniecznie nawet w uznaniu przewagi militarnej zdobywcy, ale w wyniku przeprowadzenia rachunku korzyści, jakie niosła im nowa sytuacja. Zależność ograniczała się bowiem do dzielenia się z dalekim księciem uzyskiwanymi dochodami, do płacenia mu określonego trybutu-dani oraz do zobowiązań wierności w sensie niełączenia się z nieprzyjacielem i wspomagania swoich w wojnie. Generalną zaś korzyścią było uzyskanie w księciu i stojącej do jego dyspozycji sile gwarancji zajmowanej pozycji społecznej.

Jeszcze u schyłku X w. w państwie Polan, które już przekształciło się w państwo ogólnopolskie, jego obszar określano odróżniając właściwe państwo gnieźnieńskie, gdzie władzę wykonywał bezpośrednio książę, od powiązanych z nim luźniejszymi więzami *pertynencji*, jak to formułuje dokument łaciński, czyli terytoriów uzależnionych. W ciągu też paru wieków następnych, coraz lepiej oświetlanych przez rosnące w liczbę źródła, stwierdzamy brak na terenie Wielkopolski rodów możnowładczych tak wielkiego formatu, jaki reprezentowali możnowładcy z *pertynencji*.

Krzepnięcie rozrastającego się państwa zacieśniało związki jego ośrodka z *pertynencjami*. Możni tych ostatnich z pokolenia w pokolenie czuli się w coraz większym stopniu urzędnikami książęcymi, z woli władcy a nie z układu miejscowych stosunków czerpiąc legitymację swej lokalnej pozycji. Wraz z tym wychodzili też poza ramy lokalnej pierwotnie roli, stając się współrządcami całego państwa, a nie tylko bezpośrednio podległego im terytorium. Nie oznaczało to wprawdzie całkowitego odrzucenia dawnych tradycji odrębności, będą się one jeszcze przez dłuższy

czas odzywać raz po raz, ale coraz skuteczniej rywalizowało z nimi poczucie odpowiedzialności za cały kraj. Następowała stopniowa integracja klasy panującej, integracja jej wspólnego państwa.

A że żywym symbolem jego jedności była przede wszystkim dynastia, sprzyjało to jej dalszej stabilizacji, nabierającej w państwie Polan już w X w. niewątpliwych cech tradycji dynastycznej.

Natomiast krótkotrwała przynależność Polski południowej w charakterze pertynencji do państwa wielkomorawskiego, a później czeskiego, nie mogła wystarczyć, by ludność tych ziem poczuła się silniej związana z zakarpackimi ośrodkami władzy. Niebawem też odpadnie od nich łatwo, dużo łatwiej niż ludność Pomorza wyzwoli się od ogarniających ją wpływów ośrodków wieleckich. Najbardziej jednak wystawionym na agresję silniejszych sąsiadów i wewnętrznie skłóconym Wieletom nie było dane utrzymać się długo w roli niezależnego państwa. Jedynym możliwym hegemonem w procesie jednoczenia ziem między Karpatami i Bałtykiem pozostał więc monarchiczny ośrodek gnieźnieński.

POGLĄD NA ŚWIAT I KULT RELIGIJNY

Sfera życia psychicznego, poglądu na świat, tak zwanej kultury duchowej ludności prapolskiej, są to zagadnienia najbardziej wymykające się badaniu historycznemu, bez których przybliżonego choćby poznania obraz społeczeństwa byłby kaleki, a jego rozwój często niezrozumiały. Gdy do znacznej części przejawów życia kulturalnego, jak na przykład do twórczości poetyckiej tego okresu, mamy drogę całkowicie zamkniętą na skutek absolutnego braku źró-

deł, tym więcej staramy się odczytać z dostępniejszych naszemu poznaniu wierzeń religijnych.

Wprawdzie i w tej kwestii wnioski nasze pozostaną wysoce hipotetyczne, gdyż o wierzeniach przedchrześcijańskich na ziemiach polskich nie mamy żadnych wiarygodnych relacji pisanych, a nader skromny materiał archeologiczny z tego okresu nie nabierze wymowy, póki do jego interpretacji nie będzie się można posłużyć tekstem źródłowym. Tak zwany materiał przeżytkowy, obyczaje i wierzenia, które zastajemy u ludu w wiekach późniejszych, a które wydają się obce panującemu wtedy oficjalnie chrześcijaństwu, trzeba traktować z wielką podejrzliwością, by jako pozostałość czasów pogańskich nie zaklasyfikować tego, co albo reprezentuje magię powstałą już na podłożu chrześcijaństwa, albo też zostało przyniesione przez obcych przybyszów — tak duchownych, jak świeckich — z innych obszarów kulturowych.

W tej trudnej sytuacji punktem wyjścia mogą być jednak dla nas wiadomości płynące ze źródeł dotyczących innych rejonów Słowiańszczyzny. Chociaż przekonanie o całkowitej jedności kulturowej pierwotnej Słowiańszczyzny uległo ostatnio poważnemu zachwianiu, w tym wypadku mamy jednak prawo posługiwać się w pewnym zakresie analogiami, ponieważ zasadnicze podobieństwo typu wierzeń jest dla Słowian poświadczone źródłowo. Bardzo skrupulatny, krytyczny i wyraźnie kwestiami religioznawczymi zainteresowany historyk bizantyński z VI w., Prokopiusz z Cezarei, relacjonuje:

„...Sklawinowie i Antowie... także co się tyczy innych szczegółów te same mają, krótko mówiąc, urządzenia i obyczaje, jedni i drudzy, ci północni barbarzyńcy. Uważają bowiem, że jeden tylko bóg, twórca błyskawicy, jest panem całego świata i składają mu

w ofierze woły i wszystkie inne zwierzęta ofiarne. O przeznaczeniu nic nie wiedzą ani nie przyznają mu żadnej roli w życiu ludzkim, lecz kiedy śmierć im zajrzy w oczy, czy to w chorobie, czy na wojnie, ślubują wówczas, że jeśli jej unikną, złożą bogu natychmiast ofiarę w zamian za ocalone życie, a uniknąwszy składają ją, jak przyobiecali, i są przekonani, że kupili sobie ocalenie za tę właśnie ofiarę. Oddają ponadto także cześć rzekom, nimfom i innym jakimś duchom. I składają im wszystkim ofiary, a w czasie tych ofiar czynią wróżby...".

Prokopiusz z Cezarei znał wprawdzie tylko niewielką część plemion słowiańskich, te mianowicie, które w swej ekspansji południowej starły się w VI w. bezpośrednio z Bizancjum. Wśród nich byli jednak wychodźcy z różnych rejonów Słowiańszczyzny i — jak na ogół zgodnie przyjmuje nauka — Sklawinowie i Antowie reprezentowali różne odłamy Słowian. Obserwacje historyka bizantyńskiego na temat analogicznych rysów w wierzeniach jednych i drugich można więc rozciągnąć na ogół ówczesnych ludów słowiańskich. Tym bardziej zaś można to czynić bez ryzyka poważniejszego błędu, że i dane językowe prowadzą do tego samego wniosku: spora część słownictwa odnoszącego się do zjawisk nadprzyrodzonych i form kultowych ma metrykę bardzo starą i została przyjęta przez wszystkie języki słowiańskie. Nie dotyczy to jednak nazw bogów znanych nam z X - XII w.; ich imiona nie mają znamion powszechności i próby odnalezienia wśród nich hipotetycznego wspólnego boga wszystkich Słowian zakończyły się rezultatem negatywnym.

Samą relację Prokopiusza rozumiano też nieraz jako rzekome poświadczenie istnienia wspólnego boga słowiańskiego. Nieliczni dopatrywali się w niej także

świadectwa o pierwotnym monoteizmie Słowian. W rzeczywistości jednak zacytowany powyżej w przekładzie tekst nie upoważnia do takich wniosków. Pisarz bizantyński nie mówi o wierze Słowian ani w jedynego boga uniwersalnego, ani o wspólnej czci różnych plemion dla tego samego bóstwa. Forma redakcyjna tego tekstu wskazuje wyraźnie, że autorowi chodziło jedynie o podkreślenie analogii, m. in. faktu, że zarówno Sklawinowie i Antowie niezależnie od kultu licznych demonów czczą również jednego — ale nie koniecznie tego samego — boga o szerszym zasięgu działania.

Liczniejsze dane źródłowe, napływające w późniejszych wiekach, pozwalają stwierdzić, że chodziło tu o bóstwo plemienne, opiekuna całej wspólnoty, w przeciwieństwie do demonów, mających zakres działania bardziej ograniczony. Owe bóstwa plemienne władały jedynie własnym ludem i w zasadzie nie były czczone przez wspólnoty sąsiednie, mające inne bóstwa opiekuńcze.

Tak rozumiemy wzmiankę Thietmara piszącego w początkach XI w. o Wieletach: „Ile okręgów w tym kraju, tyle znajduje się świątyń i tyleż wizerunków bożków doznaje czci od niewiernych...", którą uznajemy za wiarogodną z tym tylko zastrzeżeniem, że pod określeniem „świątynia" należy rozumieć miejsce kultowe, a nie budowlę. W XII w. trzy żywoty świętego Ottona biskupa Bambergi, który kierował misją chrześcijańską wśród Pomorzan, dostarczają wielu dowodów na to, że w każdym okręgu oddawano cześć innemu, lokalnemu bogu. Piszący w tymże stuleciu historyk Słowian połabskich, Helmold, wyliczając bóstwa słowiańskie sam zaznacza ich plemienno-terytorialny charakter: „...szczególną cześć odbierali

Prowe, bóg ziemi stargardzkiej, Siwa, bogini Połabian, i Radigast, bóg ziemi obodrzyckiej".

Tego rodzaju kult wydaje się u Słowian nie pierwotnym, ale stosunkowo świeżym, gdyż jego geneza wiąże się z powstawaniem trwalszych organizacji terytorialnych. Starszy był kult licznych demonów, który zresztą nie zdołał już stopić się z kultem bóstwa plemiennego w jeden system wierzeń. Na próżno staramy się odnaleźć między nimi związki w formie choćby hierarchicznego podporządkowania demonów bóstwu naczelnemu. Jedne i drugie były, jak się zdaje, od siebie wzajem niezależne, miały różne i nie krzyżujące się z sobą zakresy działania. O religii Słowian można więc mówić tylko z wielkimi zastrzeżeniami; poza bardzo późnymi wyjątkami Słowianie nie doszli do jednolitego, zwartego systemu wierzeń, godnego nazwy religii. Ich próby wyjaśnienia zjawisk przyrody i losu ludzkiego wytworzyły wiele różnorodnych wierzeń, nie stanowiących spójnej całości.

Bardzo rozwinięty kult demonów, o którym wspominają najstarsze źródła pisane, a którego ślady odnajdujemy też w materiale etnograficznym, nie da się już odtworzyć w szczegółach. Informatorzy wzmiankowali o nim ogólnikowo, bardziej zainteresowani kultem naczelnym. Do danych wyciąganych z materiału etnograficznego trzeba, jak już wskazywaliśmy, podchodzić z wielką ostrożnością. Posługiwanie się analogiami jest pożyteczne, gdy ograniczamy się do odtwarzania pewnego typu myślenia i interpretowania świata, musi jednak zawieść przy badaniach nad konkretnymi wyobrażeniami, lokalnie różniącymi się od siebie.

Nie kusząc się więc o odtwarzanie imion poszczególnych istot nadprzyrodzonych, będących przedmiotem wierzeń słowiańskich, ani szczegółów obrzędów

kultowych, stwierdzamy tylko ogólnie, że wśród demonów, które w pojęciu Słowian zaludniały świat, można wyróżnić liczne kategorie. Szczególną rolę grały najbliższe człowiekowi bóstwa opiekuńcze rodu i domostwa. Siedliskiem tych pierwszych, zwanych pewno *rodem* i *rodzanicami*, które to nazwy spotykamy w źródłach ruskich, było ognisko domowe. Stąd kult ogniska domowego był najpospolitszy u Słowian i wiązały się z nim rozmaite obrzędy i zwyczaje, utrzymujące się wśród ludu także w wiele wieków po ich chrystianizacji. Dotyczyły one zwłaszcza przyjmowania nowych osób do wspólnoty rodzinnej, a więc wprowadzenia do domu zaślubionej niewiasty i nowo narodzonego dziecka. Z późniejszych praw zwyczajowych o pradawnej prawdopodobnie genezie zasługuje na uwagę wymuszanie przez dziewczęta małżeństwa przez zasięście u ogniska domowego wybranego mężczyzny; jeśli dziewczyna przesiedziała tam określony czas, a następnie wykonała wydane polecenie przyniesienia wody, stawała się członkiem rodziny. Z kultu ogniska domowego można by też wyprowadzić powszechnie u Słowian obowiązujące — ku podziwowi obcych — prawo gościnności: gość bowiem, który siadł przy ognisku, znajdował się tym samym pod opieką bóstw rodzinnych i przestawał być obcym.

Kult ogniska domowego rozszerzył się następnie na kult ognia w ogóle, toteż Słowian nazywano czcicielami ognia. Być może przyczynił się do tego także zwyczaj palenia zwłok zmarłych, wpływając na sakralizację ognia. Ogień nabierał też charakteru symbolu płodności; w tym związku rozpatruje się obrzęd przeskakiwania młodych mężczyzn przez ognisko podczas uroczystości letniego przesilenia słonecznego, która w folklorze przetrwała pod nazwą święta Kupały. Cześć dla świętego ognia odznaczała się dużą

trwałością i długo współistniała z chrześcijaństwem. Na Rusi wypominali to w kazaniach duchowni, biadając, że ludzie modlą się do ognia nazywanego Swarogiem. W tej ostatniej nazwie, w innej formie znanej również Słowianom zachodnim, doszukiwano się nieraz imienia rzekomego najwyższego bóstwa Słowian. Wszystkie teksty identyfikują jednak Swaroga z ogniem, może właśnie z ogniskiem domowym i raczej dopatrywalibyśmy się w nim nazwy bóstwa opiekuńczego rodu.

Powszechnie też występował u Słowian charakterystyczny dla ludów rolniczych kult płodności, jego formy nie są jednak dotąd należycie zbadane. Jak się wydaje, nie znano odrębnego bóstwa płodności — niektóre jego funkcje przypisywano bóstwom rodu, co było logiczne — a odnoszono się ze czcią do wszystkiego, co mogło płodność symbolizować, począwszy od naturalistycznych wyobrażeń organów płciowych, aż po bardzo odległe skojarzenia. Może nawet niesłusznie mówi się o kulcie płodności; dysponujemy świadectwami raczej magii płodności. Praktyki z tej dziedziny łączono zwłaszcza z uroczystościami wiążącymi się z cyklem prac rolnych, jak wspomniane już święto letniego przesilenia słonecznego.

Także uroczystościom rodzinnym związanym z narodzeniem dziecka i małżeństwem, o ile można sądzić z materiału etnograficznego, właściwe były obrzędy związane zarówno z kultem domowo-rodzinnym, jak i z magią płodności. Mniej orientujemy się w kultowym znaczeniu pogrzebu, gdyż pogląd Słowian na losy pośmiertne człowieka trudno wydedukować wyłącznie z jego zewnętrznych form; palenie zwłok ma swą genezę higieniczną i może się łączyć z bardzo rozmaitymi wyobrażeniami o znaczeniu śmierci. Troska o wyposażenie grobu w przedmioty codziennego użyt-

ku i miłe zmarłemu, a także w jadło, przeczy jednak opinii Thietmara, jakoby Słowianom obca była wiara w dalsze życie po śmierci. Niewątpliwie Słowianie przypisywali zmarłym jakiś rodzaj bytu, lecz jesteśmy pozbawieni danych o konkretnych wyobrażeniach na ten temat. To, czym mógłby w tym względzie posłużyć materiał etnograficzny, jest już zbyt przesiąknięte wpływem pojęć chrześcijańskich.

Poza wierzeniami i obrzędami dotyczącymi życia rodziny, a koncentrującymi się wokół kultu bóstw opiekuńczych rodu i domostwa oraz magii płodności, daje się stwierdzić u Słowian wiara, że każde niezamieszkane przez ludzi miejsce, a w szczególności góry, lasy, zarośla, rzeki, jeziora, mokradła i inne miejsca niebezpieczne pozostają pod panowaniem lokalnych demonów, które mogą szkodzić człowiekowi, jeśli nie zjedna sobie ich przychylności ofiarami lub zaklęciami. Znano też postacie bezwzględnie wrogie ludziom, jak na przykład demony choroby. Większość wymienionych demonów miała działać w kręgu bardzo ograniczonym przestrzennie, stąd też nie mógł się wokół nich rozwinąć kult powszechny. Niektóre tylko z nich, jak bóstwa wysokich, z daleka widocznych gór, nabierały większego rozgłosu. Toteż właśnie o kulcie rozwijającym się na górze Ślęży i na Łyścu mamy świadectwa zarówno pisemne, jak archeologiczne i podaniowe.

Panowanie demonów stanowiło jednak tylko jeden z elementów obrazu świata utrwalonego w świadomości ówczesnych ludzi. Reprezentantami tajemnych sił bywały, ich zdaniem, także niektóre przedmioty, rośliny, a również i obdarzeni szczególnymi właściwościami ludzie. Wierzono, że taki lub inny rytuał posługiwania się narzędziami lub innymi przedmiotami codziennego użytku przesądza osiągnięcie pożą-

danego rezultatu lub — na odwrót — fiasko podjętych poczynań. Zaskakująca nieraz wiedza praktyczna w zakresie leczniczych właściwości ziół przybierała postać wiary w magiczne właściwości nie tylko ich samych, ale też rozbudowanych obrzędów przy ich zbieraniu, zaparzaniu i podawaniu choremu. Często do tych ostatnich przywiązywano większą wagę niż do samego leku, co w konsekwencji prowadziło nawet do zerwania związku obrzędowych formuł z lekiem i stosowania przeciw chorobie wyłącznie zaklęć, zamawiań i innych sztuczek magicznych. Moc leczenia, a także moc szkodzenia i sprowadzania nieszczęścia, przypisywano również określonym osobom, czy to posiadającym specjalną wiedzę w tym zakresie — stąd „wiedźmy" — czy też wyposażonym w nadnaturalne właściwości — „złe oczy".

Panujący pogląd na świat był więc poglądem magicznym. Mylilibyśmy się jednak, gdybyśmy chcieli wyciągać z tego wniosek o zasadniczej odmienności struktury myślenia człowieka ówczesnego i współczesnego. Słowianin początków średniowiecza, podobnie jak i inni mieszkańcy Europy, nie był człowiekiem pierwotnym; zresztą i w stosunku do tego ostatniego nie utrzymały się w nauce teorie, przypisujące mu niezdolność do logicznego myślenia i krytycyzmu. Przeczą temu z dostateczną siłą osiągnięcia ludzkości w zakresie kultury materialnej, osiągnięcia właściwe każdemu stadium jej rozwoju cywilizacyjnego. Są one świadectwem poprawności myślenia człowieka od zarania jego dziejów.

Zapewne nie była to poprawność odpowiadająca w pełni rygorom współczesnej metodologii naukowej, ale przecież i dziś zadośćuczynienie im przedstawia trudność nawet dla umysłów w tym kierunku specjalnie szkolonych. W codziennym życiu, w potocz-

nych rozważaniach grzeszymy nieraz, jak nasi przodkowie sprzed wieków, przeciw wielu zasadom arystotelesowskiej logiki, co jednak nie zmienia faktu, że myślimy — generalnie biorąc — logicznie. Nie zmiana też struktury ludzkiego myślenia sprawiła to, że nasz obraz świata staje się coraz bardziej racjonalny, ale wzrost nagromadzonego przez naukę doświadczenia, pozwalającego rewidować przekonania nie wytrzymujące z nim konfrontacji.

Panujące niegdyś powszechnie magiczne wyobrażenia i mity zbudował także umysł ludzki kierując się właściwą mu logiką. Fałszywość powstałego z nich obrazu świata była funkcją przyjęcia błędnych przesłanek, do których gruntownej rewizji ówczesny zasób doświadczenia społecznego nie dawał jeszcze dostatecznego materiału. Konfrontacja doświadczeń z odziedziczonymi wierzeniami odbywała się jednak stale i przyczyniała się do ewolucji pojęć; ewolucji powolnej i nie dość może konsekwentnej, gdyż hamowała ją — tak jak dziś — tradycja, ciśnienie konserwatywnej opinii, lenistwo umysłowe, a wreszcie głęboko zakorzeniony strach przed zemstą sił nadprzyrodzonych.

Tę ograniczoną rewizję wyobrażeń religijnych można dostrzec obserwując stosunek ludności słowiańskiej do demonów. Codzienne doświadczenie życiowe podważało coraz bardziej wiarę w potęgę przynajmniej niektórych z nich. Wystarczało, że niedopełnienie raz i drugi właściwego zabiegu magicznego nie pociągnęło za sobą spodziewanego nieszczęścia, by rozum zaczął z tego wyciągać wnioski. Nie prowadziły one zrazu do niewiary — wymagałoby to zakwestionowania zbyt wielu aksjomatów — ale zmieniały pogląd na charakter i właściwości demonów. Nie przypisywano im wielkiego rozumu, sądząc nawet, że stają one pod tym

względem niżej od człowieka, który potrafi je oszukać. W późniejszych, chrześcijańskich już wiekach pogląd ten przeniesiony na diabła, w pojęciach ludowych bardzo dalekiego od biblijnego szatana, wyraził się w bajkach w częstym motywie diabła oszukanego. Niebezpieczeństwo ze strony demonów groziło człowiekowi przez ich złośliwość, kapryśność i egoizm, godzące się dobrze — podobnie jak u dzieci — z naiwnością. Liczono się więc z demonami nadal, ale miejsce składanych im ofiar i zaklęć zajmowały coraz częściej zabiegi mające w swej intencji wywieść demona w pole: niespełniane obietnice lub udawanie innej osoby czy nawet zwierzęcia.

Deprecjacji nie uległ jednak cały świat nadprzyrodzony, lecz tylko niektóre spośród licznych demonów: te mianowicie, które miały wpływać na powodzenie lub niepowodzenie człowieka w takich dziedzinach jego działalności, w których coraz bardziej stawał się dlań jasny związek między własnymi umiejętnościami i zapobiegliwością a osiąganym efektem. Tam, gdzie człowiek stawał nadal wobec tajemnicy i niewytłumaczalnego przypadku, w obliczu klęsk żywiołowych, kaprysów pogody, nieurodzaju, chorób i śmierci, wciąż jeszcze przypisywał zły los woli demonów, drżał przed nimi i błagał je o życzliwość przestrzegając skrupulatnie praktyk, które uznało za skuteczne doświadczenie poprzednich pokoleń.

Trzeba bowiem pamiętać, że postęp techniczny w społeczeństwach Słowiańszczyzny plemiennej dokonywał się wprawdzie nieprzerwanie, ale powoli; nowe zdobycze utalentowanych jednostek czy grup ludzkich długo pozostawały ich wyłączną własnością, zanim się rozpowszechniły. Słabszy rozwój komunikacji i w ogóle wszelkich środków łączności niż środków produkcji sprawiał, że moment pojawienia się

nowego narzędzia dzieliły nieraz nawet wieki od okresu powszechnego i stałego posługiwania się nim. Był to więc postęp, którego z perspektywy jednego pokolenia czy najdłuższego życia ludzkiego nie sposób zaobserwować. Człowiek dokonywał życia widząc wokół siebie taki sam świat, jaki zastał, a nawet taki, jaki pamiętali jeszcze ci, którzy w jego młodości byli już starcami.

Nietrudno pojąć, jak w tych warunkach kształtowało się w umysłach ludzkich pojęcie o świecie. Brak widocznych w powszechnej skali osiągnięć rozumu ludzkiego prowadził do jego niedoceniania; w sukcesach jednostkowych zarówno obserwatorzy, jak i ci, którzy sami je osiągnęli, dopatrywali się mniej zasługi człowieka, niż przychylnej interwencji czynników metafizycznych. Sukcesy te zresztą, podobnie jak klęski, nie zmieniały natury świata; ten rozumiano jako niezmienny. Skoro zaś świat nie miał podlegać zmianom, to istota mądrości ludzkiej polegała nie na odkrywczości czy wynalazczości, lecz na sumie doświadczenia życiowego, dającego znajomość świata odpowiednio bogatą, by już nie trafiać na sytuacje bez precedensu, a do każdej spotkanej móc zastosować wypróbowane recepty postępowania.

Stąd utrwalał się autorytet starców w społeczeństwie, zawsze tak charakterystyczny dla okresów stabilizacji. Doświadczenie starców i ich wiedza o świecie, który od dawna obserwowali, zdawały się cenniejsze niż siła i zaradność fizyczna. Starców przy tym nie było wielu w czasach niezwykle krótkiej przeciętnej życia ludzkiego; ich utrzymanie nie ciążyło materialnie społeczeństwu i problem zbędności osobników nie odgrywających już czynnej roli w produkcji nie nasuwał się ze zbyt wielką siłą. Z drugiej zaś strony sędziwy wiek na tle niskiej przeciętnej

stawał się tym bardziej legitymacją mądrości, której wiele było trzeba, by szczęśliwie ominąć wszystkie niebezpieczeństwa, jakie człowiekowi zagrażają w różnych fazach jego życia.

Przekonanie o niezmienności świata oraz autorytet starców kształtowały wspólnie światopogląd tradycjonalistyczny i konserwatywny, pozostający daleko w tyle za rzeczywistymi umiejętnościami człowieka, który go wyznawał. Stąd pozornie niepojęta sprzeczność między praktyczną działalnością ludzi, w swojej istocie racjonalną, a ich opiniami o świecie i o sobie samych, które kształtowała magia. Człowiek nie uświadamiał sobie jeszcze, jak aktywną i jak w gruncie rzeczy nadrzędną rolę spełnia w świecie, czuł się słaby wobec otaczających go tajemnic, przypisywał zarówno nieznane, jak i już praktycznie opanowane, igraszkom nadprzyrodzonych mocy.

Tworzenie się nowych wspólnot terytorialnych, a wraz z tym powstawanie pojęcia pomyślności zbiorowej, interesu całej organizacji, prowadziło do narodzin nowego kultu: kultu bóstwa opiekuńczego plemienia. Jego geneza mogła być rozmaita i zapewne rzeczywiście rozmaita bywała. Albo więc do roli bóstwa plemiennego urastał któryś z lokalnych demonów o większej niż inne sławie — szczególnie były do tego predysponowane demony wyniosłych wzgórz — albo kształtowano ten nowy kult na wzór kultu rodzinnego, wiążąc go z ogniskiem — temu zawdzięczał może swą nazwę wielecki Swarożyc. W tych organizacjach, w których wcześnie zaczęła się kształtować monarchia, bóstwo rodowe wodza-księcia przekształcało się w opiekuna całej społeczności, w tym charakterze narzucane może odgórnie, jak i na Rusi kult Peruna.

Kult boga plemiennego nie konkurował ze starym

i zakorzenionym kultem demonów, lecz go uzupełniał. Zakresy działania demonów i bóstwa naczelnego nie krzyżowały się ze sobą, pozostawały całkowicie odmienne. Demony wpływały na codzienne życie jednostki i rodziny, na ich powodzenie lub niepowodzenie. Wszystko to pozostawało natomiast poza sferą zainteresowań bóstwa plemiennego. Jego kult nie znalazł dlatego żadnego odbicia w obrzędowości rodzinnej. Interwencji boga plemiennego oczekiwano jedynie w sprawach publicznych, interesujących całą zbiorowość, w indywidualnych zaś o tyle, o ile wiązały się ze sprawą publiczną. Proszono więc boga o zwycięstwo w wojnie, a przy tym i o wyniesienie życia z wojny; mógł się do niego też zwracać złożony niemocą wojak, by dany był mu powrót do zdrowia i udział w przygotowywanej wyprawie. Choć zapewnienie powodzenia w wojnie wybija się na plan pierwszy pośród zadań bóstwa plemiennego, spodziewano się jego pomocy także w pokojowych przedsięwzięciach, ale raczej tych tylko, które miały znaczenie dla całej wspólnoty. Stawał się więc bóg dawcą powszechnego urodzaju, u plemion nadmorskich patronował połowom i żegludze.

Boga wyobrażano sobie antropomorficznie, jako postać o wielokrotnie spotęgowanych cechach ludzkich. W wierzeniach spełniał on funkcje wodza plemiennego wyposażonego w nadnaturalne zdolności: olbrzymią siłę, mądrość, przenikliwość. Także koń jego był niedościgły, miecz — najostrzejszy, tarcza — niezawodna. Szczególnie cenioną cechą bóstwa była jego zdolność przewidywania przyszłości. Jak się zdaje, nie przypisywano mu jednak absolutnej wszechwiedzy. Nawet rugijski Świętowit w XII w., którego kult był już w dużym stopniu modelowany na wzór chrześcijański, nie miał tej właściwości i aby wiedzieć, co

się w jego państwie dzieje, miał je objeżdżać każdej nocy. Zwielokrotniona do granic nieomylności, choć mająca swój wzór w sprawności zdolnego wodza i władcy, sztuka przewidywania skutków zamierzonej czynności wystarczała jednak, by przed każdym zbiorowym przedsięwzięciem uważano za konieczne zasięgnąć opinii bóstwa poprzez wróżbę. Bez wróżby nie rozpoczynano siewów, nie wyprawiano się na morze, nie podejmowano wyprawy wojennej. Orzeczenia bóstwa przyjmowano jako obowiązujące, odstępując nieraz od zaawansowanych już w realizacji planów.

Stosunek między bogiem i pozostającą pod jego opieką wspólnotą rozumiano jako wymianę wzajemnych świadczeń. Bóg miał swemu plemieniu służyć dobrą radą, przestrzegać przed niebezpieczeństwami, a w walkach z wrogiem rzucać na szalę cały swój rozum i siłę. Za to należało dbać o niego tak, jak o człowieka: zapewnić mu wygodną siedzibę i usługi, składać w ofierze żywność, a nawet pieniądze i kosztowności. Jako najwyższemu wodzowi należała się mu najlepsza część łupów wojennych.

Bogaciło to ośrodek kultowy. Cześć oddawano bowiem bóstwu tylko w jednym miejscu, gdyż pojmowane ściśle antropomorficznie nie było też wszechobecne. Miało swe stałe miejsce pobytu — na górze, w gaju lub w grodzie — i tam ciągnęły pielgrzymki z ofiarami i po wróżbę.

Do ofiar oraz do posłuszeństwa objawionym przez wróżbę zaleceniom ograniczały się obowiązki człowieka wobec swego boga. Na straży tych obowiązków stało całe społeczeństwo, aby przez wybryk jednostki cały lud nie utracił życzliwości swego opiekuna. Nie przypisywano natomiast słowiańskim bogom żadnych określonych wymagań natury etycznej. Nakazy i zakazy, dotyczące stosunków między ludźmi, nie miały

sankcji bogów plemiennych, wynikały bezpośrednio z interesu społecznego, a pewne elementy ich sakralizacji dostrzegamy w łączeniu elementarnych więzi społecznych z kultem ogniska domowego.

Czczono bogów pod widzialną, materialną postacią. Nie zawsze był to posąg, czasem drzewo lub skała przypominająca kształty ludzkie, czasem ociosany słup. Rzeźbione posągi zaczęły się zjawiać raczej w końcowej fazie trwania pogaństwa na ziemiach słowiańskich, gdy Polska rozwijała się już jako kraj chrześcijański. Stawianie posągów bogom było wyrazem daleko idącej ewolucji wierzeń, kiedy — między innymi także pod wpływem chrześcijaństwa — idole stawały się wyobrażeniami bóstwa. Pierwotnie jednak nimi nie były. W świętym drzewie, kamieniu, słupie czy uznanym za boga wykopanym gdzieś posążku Hermesa widziano nie jedynie symbol bóstwa, lecz czczoną istotę. Ewentualne zniszczenie bałwana oznaczało unicestwienie bóstwa, jego śmierć, której — jak ludzie — podlegali też słowiańscy bogowie.

Koncepcja bóstwa antropomorficznego, śmiertelnego i nie wyposażonego w żadną z cech Boga uniwersalnego, nie miała nic wspólnego z monoteizmem. W świadomości swych czcicieli ich bóg nie był też bynajmniej jedynym bogiem na świecie, ponieważ nie był bogiem całego świata. Jak demony, tak i on miał określony zasięg działania: był bogiem swego plemienia. W innych wspólnotach czczono innych bogów, których Słowianin nie uważał za fałszywe i przyznawał im realny byt jako opiekunom i wodzom tamtych plemion, ludów czy państw.

Walkę między dwoma ludami rozumiał więc Słowianin jako równoczesną walkę dwóch bogów, wyposażonych w podobne możliwości i umiejętności. Odniesione zwycięstwo wzmagało podziw, zaufanie

i wdzięczność dla własnego bóstwa, poniesiona klęska nie odwracała od niego czcicieli, gdyż rozumiano, że w zmaganiu równych także bóg nieprzyjaciół może się czasem okazać szczęśliwszy czy silniejszy. Dopiero seria klęsk, dowodząca stałej niższości własnego bóstwa, mogła zachwiać ufnością w jego moc. I wtedy jednak trwano najczęściej przy starym kulcie. W każdym razie uznanie przewagi boga nieprzyjaciół nie prowadziło do oddawania mu czci. W przyjętej koncepcji był on bowiem związany węzłami solidarności jedynie z własnym społeczeństwem, pozostawał więc bogiem wrogów i tylko im mógł być użyteczny.

Jeśli wobec słabości własnego bóstwa lub jego zniszczenia oglądano się za nowym nadprzyrodzonym opiekunem, to poszukiwano go wśród bogów plemion sojuszniczych, walczących o te same cele, z tym samym nieprzyjacielem. Tak więc wśród Słowian połabskich XII w., coraz bardziej zagrożonych przez agresję niemiecką, ponoszących stale porażki w walce z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem, tracących wiarę w moc własnych bóstw plemiennych, szerzył się kult Świętowita, boga niepodległej wciąż i groźnej jeszcze dla agresorów Rugii, ponieważ — jak trafnie to określił kronikarz — on właśnie spośród bóstw słowiańskich „najbardziej jaśniał zwycięstwami".

Powszechne przywiązanie do bóstw plemiennych stwierdzamy jednak dopiero w schyłkowej fazie pogaństwa słowiańskiego, kiedy trwające przy nim państewka zachodniosłowiańskie stawiały rozpaczliwy opór w obronie swej niepodległości. Wówczas sprawa niezależności własnej organizacji politycznej stała się już bliska każdemu, lud nękany przez najeźdźcę musiał ciągle chwytać za broń, a to właśnie stwarzało sytuację, kiedy najgorętsze modły kierowały się nie do lokalnych czy rodzinnych demonów, lecz do bo-

ga — pana i wodza całej społeczności. W innych warunkach, gdy dla większości sprawą najbliższą było powodzenie w domu i w gospodarstwie, pierwszorzędne znaczenie miała przychylność bóstw opiekuńczych rodziny oraz okolicznych demonów, magia płodności i zdrowia, z kultem zaś boga plemiennego wiązała się ściślej jedynie część społeczeństwa, ta mianowicie, która uczestniczyła w sprawowaniu władzy, a więc możni i ich klientela oraz drużynnicy. Względnie płytkie zakorzenienie się tego kultu i jego mała popularność w opolach stały się przyczyną, że nie pozostawił on śladów w późniejszych wierzeniach ludowych, w przeciwieństwie do utrzymujących się w nich aż do naszych dni wyobrażeń magicznych i demonologicznych.

Toteż i w polskim materiale etnograficznym nie znajdziemy żadnych wskazówek dotyczących kultu wyższego na naszych ziemiach. Próby odnalezienia jego śladów w toponomastyce — w etymologii nazw miejscowych — nie dały przekonywających rezultatów. Zwrócono wprawdzie uwagę na nazwy typu: Swarożyn, ale, jeśli istotnie należy je wiązać ze Swarogiem, wskazują one na powszechny u Słowian kult ognia, nie zaś na wykształcenie się naczelnego kultu plemiennego. Relacjami pisanymi o wierzeniach plemion polskich nie dysponujemy; pierwszy zajął się tym tematem dopiero Jan Długosz w XV w., a obraz pogaństwa polskiego, który stworzył, jest adaptacją mitologii grecko-rzymskiej i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Tylko wiarogodna wzmianka Thietmara o kulcie góry Ślęży w połączeniu z potwierdzającymi ją danymi archeologicznymi pozwala domyślać się istnienia kultu plemiennego na Śląsku, choć trudności związane z datowaniem odkrytego tu obiektu kultowego mogą to przekonanie osłabiać. Po-

dobne miejsce kultowe odnaleziono też w Górach Świętokrzyskich, z pewnym prawdopodobieństwem można by domyślać się śladów jakiegoś kultu na Wzgórzu Tumskim w Płocku, o jego zasięgu niczego jednak nie da się powiedzieć.

Nic pewnego nie orzekła też archeologia o Gnieźnie, gdzie chciałoby się lokować centrum kultu plemiennego Polan.

W tym stanie badań nie dysponujemy właściwie dowodem, czy przed przyjęciem chrześcijaństwa plemiona zamieszkujące późniejszą Polskę, w szczególności zaś Polanie, zdążyły stworzyć swe naczelne kulty plemienne, czy też pozostały jedynie przy wierzeniach lokalnych.

Pewne światło na to zagadnienie rzuca najstarsza kronika polska, dotąd jeszcze w tym aspekcie nie analizowana.

Jej anonimowy autor, zwany potocznie Gallem, opowiada w pierwszych trzech rozdziałach kroniki o kolejach państwa gnieźnieńskiego w ciągu kilku pokoleń przed połową X w. Treścią rozdziału pierwszego i drugiego jest anegdota o dwóch tajemniczych wędrowcach czy pielgrzymach, którzy trafili do Gniezna. Niewpuszczeni przez straże na gród, gdzie rezydujący książę Popiel wyprawiał ucztę w związku z postrzyżynami swych synów, udali się na podgrodzie i tam przyjął ich ubogi rataj książęcy Piast, również przygotowujący się do postrzyżyn syna i kłopoczący się niedostatkiem jadła i napitku dla sproszonych gości. Za sprawą wędrowców, wzruszonych gościnnością Piasta, zapasy przez niego przygotowane cudownie się rozmnożyły, co pozwoliło projektowany skromny poczęstunek przekształcić w obfitą ucztę, na którą gospodarz nie wahał się zaprosić samego księcia. Wśród ogólnego wesela dokonano ceremonii po-

strzyżyn Piastowego syna, a nieznajomi dobroczyńcy nadali mu imię Siemowita.

Rozdział trzeci wypełnia opowieść o zmianie panującego w Gnieźnie. Po strasznej śmierci Popiela, który za liczne zbrodnie został pożarty przez myszy, miano za sprawą bożą wynieść na stolec książęcy Siemowita. Ten władał sprawiedliwie i rozszerzył granice państwa.

W uzupełnieniu tej opowieści otrzymujemy też listę dynastyczną poprzedników Mieszka I. Po Siemowicie miał zostać księciem syn jego Leszek, po nim zaś syn tegoż Ziemomysł, ojciec Mieszka. Nie dowiadujemy się o nich żadnych szczegółów, prócz powtarzającej się przy każdym imieniu wzmianki o dalszym rozszerzaniu terytorium państwowego.

Nie ulega wątpliwości, że konstrukcja Gallowa została zlepiona z wielu wątków. Są między nimi także obce. Bez trudu odnajdujemy prawzór cudu dokonanego w chacie Piasta w ewangelicznej opowieści o godach w Kanie Galilejskiej. Legenda o myszach powtarza się w kilku wersjach na zachodzie Europy. Wtopienie tych zapożyczeń w historię dynastii polańskiej nie było zapewne przypadkowe; przypuszczalnie wynikło ze skojarzenia ich przez autora z nasuwającymi analogie do nich opowieściami krajowymi. Tak więc elementami cudu w Kanie Galilejskiej mógł nasycić Gall jakiś mit płodności wspominany przy uroczystościach rodzinnych; może zresztą już przed nim czyniło tak miejscowe duchowieństwo.

Szkielet opowieści kronikarza tworzą wątki polskie. Jest ich kilka i Gallowi nie udało się tak ich przetworzyć, byśmy nie dostrzegli szczelin między nimi. Anegdoty z drugiego i trzeciego rozdziału robią wrażenie wyjętych z dwóch różnych opowieści o przeciwnym sobie nastawieniu uczuciowym. W pierwszej

z nich Popiel jest postacią pozytywną. Nie obciąża go nawet zarzut niegościnności, gdyż straże bez jego wiedzy odpędzają wędrowców od bram grodu. Nie ma w sobie wyniosłości tyrana, bez wahania przybywa na przyjęcie u Piasta, czego Gall nie omieszkał wyeksponować przeciwstawiając go pochlebnie pysznym książętom czasów sobie współczesnych. Natomiast w drugim rozdziale ten sam Popiel jawi nam się niespodzianie jako powszechnie znienawidzony zbrodniarz.

Ta niekonsekwencja w rysunku postaci Popiela zwróciła już uwagę późniejszych kronikarzy, którzy opowieść Galla powtarzali modyfikując pewne szczegóły. Stworzyli więc oni wersję o dwóch Popielach, z których pierwszy miał być władcą dobrym, drugi zaś zbrodniczym tyranem.

Czemu jednak przypisać ową dwoistość Popielowego oblicza w wersji Galla? Wskazówką może być obserwacja, że także imię tego władcy zapisywał kronikarz różnie: raz w postaci przez nas użytej i współcześnie powszechnie przyjętej, drugi raz w formie, którą należałoby odczytywać jako Pąpil. Wnosimy z tego, że kronikarz zetknął się z tradycją o Popielu w dwóch regionach kraju, w których mówiono niece różnymi narzeczami. W jednym z tych regionów była to tradycja pochlebna, w drugim — niechętna. Podtrzymywałoby to więc wyrażane niejednokrotnie w literaturze przypuszczenie, że w historii zastąpienia Popiela Siemowitem kryje się tradycja walk plemiennych.

Czy jednak Siemowit był autentycznym protoplastą historycznej dynastii, której pierwszym niewątpliwym przedstawicielem jest dopiero Mieszko I? Kwestia wiarogodności podanej przez Galla listy książąt jest wciąż przedmiotem kontrowersji między historykami

polskiego średniowiecza. Jej obrońcy powołują się na większą pamięć ludzi i ludów niepiśmiennych oraz na względy kultowe, które kazały przechowywać w pamięci imiona przodków. Na tej zasadzie uważają za wielce prawdopodobne, że jeszcze w XII w., na dworze Bolesława Krzywoustego, umiano wymienić antenatów księcia polskiego do dziewiątego pokolenia, to jest do Siemowita. Zapytać by się jednak chciało, dlaczego — jeśli tak wielką wagę miano przykładać do tej tradycji — nie zapisano jej, skoro już od półtora wieku dwór dysponował usługami ludzi pióra. Wydaje się raczej, że to od Galla i od popularyzatora jego listy, autora drugiej z kolei kroniki polskiej, Wincentego Kadłubka, dowiedzieli się synowie i wnukowie Krzywoustego o imionach swych przodków i począwszy od połowy XII w. zaczęli je nadawać swym dzieciom. Bardzo też przemówiła nam do przekonania sceptyczna uwaga Kazimierza Tymienieckiego, że „powoływanie się naszych wielbicieli etnografii egzotycznej na olbrzymią pamięć np. Polinezyjczyków jest mieczem obosiecznym, gdyż zawierzając ślepo tej pamięci musielibyśmy się pogodzić z pochodzeniem np. od wieloryba".

Argumenty obu stron są jednak natury subiektywnej i wolelibyśmy swą opinię oprzeć na bardziej racjonalnym gruncie. Dlatego wracamy do wymienionych przez Galla imion, by je zweryfikować w oparciu o skatalogowany już w nauce zasób imion słowiańskich. Okazuje się, że jedynie Ziemomysł jest imieniem znanym skądinąd w Słowiańszczyźnie. Jest ono między innymi poświadczone dla IX w. na kartach ewangeliarza z Cividale. Pozostałe nie tylko nie są znane, lecz także nie wykazują nawiązań do innych używanych przez Słowian imion. Nie zastanawiając się w tej chwili nad imieniem Popiela, Piasta

i jego żony Rzepki — żadne z nich nie należy do typów spotykanych jako imiona osób — rozpatrzymy jedynie rzekome imiona dynastycznych poprzedników Mieszka I. Z nich Siemowit reprezentuje na pozór najpowszechniejszy u Słowian typ imion złożonych dwuczłonowych, takich jak Ziemomysł, Świętopełk, Bolesław, Włodzisław, Gościrad i inne. Jednakże złożenia z *-wit* są w imiennictwie osobowym niezmiernie rzadkie i trafiają się w epoce bardzo już chrześcijańskiej. Człon *-wit* jest natomiast charakterystyczny dla zachodniosłowiańskich nazw bóstw plemiennych: Świętowit, Jarowit, Rujewit. Co więcej, także pierwszy człon imienia Siemowita kojarzy się nam z mitologią; wśród znanych ze źródeł ruskich bóstw znajduje się przecież Siem.

W te same rejony pojęciowe wiedzie również analiza imienia Leszka. Jego etymologia jest niejasna, a sugestię Aleksandra Brücknera, by jego brzmienie odczytać jako L'stek, wypadnie odrzucić po zbadaniu Gallowych zasad ortograficznych. Niedaleko natomiast Leszkowi do demona znanego na Rusi pod nazwą *leszy*.

Słuszności nasuwającej się supozycji, że Gall zbudował listę dynastyczną z postaci mitologicznych, nie można oczywiście dowodzić wyłącznie zbieżnościami etymologicznymi. W sukurs przychodzi nam jednak sam kronikarz. Miał on zwyczaj informować co pewien czas czytelnika, skąd czerpie tę lub inną wiadomość. Czasem powoływał się na źródło pisane, częściej wzmiankował, że dowiedział się o czymś od starców, nieraz zaznaczał, że jedni przedstawiają dane wydarzenia tak, a drudzy inaczej. Wiadomości o pierwszych książętach także — według własnych słów — zaczerpnął z opowiadań „starców sędziwych", robi jednak przy tym następującą charakterystyczną uwa-

gę: „Lecz poniechajmy rozpamiętywania dziejów tych wypadków, których wspomnienie zaginęło w niepamięci wieków i które uległy skażeniu błędami bałwochwalstwa, a wspomniawszy je tylko pokrótce, przejdźmy do przedstawienia tych rzeczy, których wierna pamięć żyje".

Kronikarz zadeklarował się tu zupełnie wyraźnie jako zwolennik modnego w jego czasach euhemeryzmu, teorii nawiązującej do poglądów starożytnego filozofa Euhemera, który mity o bogach tłumaczył jako zniekształcenie tradycji historycznych o dawnych królach i bohaterach. Zgodnie z tą teorią Gall zetknąwszy się z mitami polskimi, które usłyszeć jeszcze można było od sędziwych starców, uznał je za opowieści o dawnych książętach Polan „skażone błędami bałwochwalstwa", czyniącego z rzeczywiście działających postaci — bogów. Próbował wyłuskać z nich coś racjonalnego, rozwiódł się szerzej o czasach Popiela — Pąpila (chyba jakiegoś demona wodnego, sądząc po etymologii), ale zadanie okazało się zbyt trudne i w dalszym ciągu postanowił „poniechać rozpamiętywania dziejów tych wypadków" i „wspomnieć je tylko pokrótce" w postaci suchej listy imion książęcych, za jakie poczytał nazwy bóstw.

Nie on jeden tak postępował. Euhemerowską metodą interpretacji pogańskich mitów religijnych posługiwali się kronikarze w całej średniowiecznej Europie, zarówno przed Gallem, jak i po nim, wprowadzając do genealogii władców imiona miejscowych bogów pogańskich. Na obszarze kultury germańskiej rozpoznajemy to łatwo, ponieważ obficiej przechowały się tam źródła mitologiczne. W naszym wypadku autentyczne imię polańskiego boga plemiennego Siemowita pozostałoby nieznane, gdyby nie zużytkował go w przedstawiony wyżej sposób dociekliwy kroni-

karz. Dzięki niemu rozprasza się też nasza wątpliwość, czy na ziemi Polan rozwinął się kult plemienny. Okazuje się, że pamięć o nim trwała jeszcze na początku XII w., a do jego ostatecznego zapomnienia przyczyniła się może też Gallowa interpretacja, która na stary mit religijny nauczyła patrzeć jak na historyczną legendę o początkach panującej dynastii.

W najlepiej oświetlonych źródłami społecznościach religijnych Słowian kult plemienny pociągał za sobą utworzenie i rozbudowę wyodrębnionej organizacji kultowej. Za wzorem Rugii i Pomorza próbowano więc i na innych ziemiach doszukiwać się wspaniałych świątyń obsługiwanych przez pełniącą zawodowo swe obowiązki hierarchiczną organizację kapłańską. Badając skrupulatnie dostępne źródła dochodzimy jednakże do odmiennego wniosku. Z natury wierzeń słowiańskich wynikało pełnienie funkcji kultowych przez naczelników organizacji społecznej. W zakresie kultu rodzinnego funkcje te należały do głowy rodziny. Poza zinstytucjonalizowanym kultem leżała szeroka sfera magii, której opanowanie — w większym niż powszechny stopniu — rodziło rozmaite wiedźmy, czarowników i wieszczków, nie stanowiących jednak ani odrębnej kasty ani — tym mniej — organizacji. Kult plemienny zarówno pod względem genezy, jak form, miał wiele wspólnego z rodzinnym. Jego celebrowanie pozostawało więc przywilejem rządzących, stanowiło ich dodatkową funkcję. Gdzie władza pozostawała w rękach oligarchii możnych, tam starszyzna plemienna występowała w roli pośredników między ludem i bóstwem. W miarę rozwoju kultu, jego upowszechnienia, funkcje kapłańskie powierzano określonym osobom spośród możnych, a podpatrując obyczaj chrześcijańskich sąsiadów kopiowano w ostatniej fazie pogaństwa słowiańskiego ich formy organiza-

cyjne. Z ich recepcją spotykamy się właśnie na Rugii w XII w., choć opowieści duńskiego kronikarza o hierarchicznej organizacji kultowej z arcykapłanem na czele nie w pełni odpowiadały rzeczywistości i są — jak się zdaje — wynikiem nieporozumienia.

Gdzie walki z chrześcijańskimi sąsiadami nie determinowały kierunku rozwojowego rodzimego kultu, tam tego typu organizacja nigdy nie powstała. Kapłaństwo nie wydzieliło się z zespołu funkcji kierowniczych i pozostawało w państewkach oligarchicznych przywilejem starszyzny, w państewkach monarchicznych zaś przywilejem księcia. Było to tym naturalniejsze, że w tych ostatnich kult naczelny rozwijał się często z kultu dynastycznego monarchy.

Brak zorganizowanego oporu przeciw mającej nastąpić w drugiej połowie X w. decyzji przyjęcia chrztu przez księcia Polan zdaje się potwierdzać, że w jego państwie nie istniała niezależna od niego organizacja kultowa zdolna przeciwstawić się takiej decyzji.

OKOŁO 960 — 1138

NARODZINY PAŃSTWA POLSKIEGO I JEGO MIEJSCE W EUROPIE

Często używano dawniej w naszym piśmiennictwie historycznym sformułowania, że państwo polskie pojawiło się na widowni dziejowej w latach sześćdziesiątych X w. Istotnie, zwraca uwagę fakt, że gdy z trudnością doszukujemy się słabych i niewyraźnych ech wcześniejszych dziejów państwa Polan i w ogóle ziem polskich, to począwszy od lat 963—966 płyną zewsząd wcale bogate o nich relacje. Wspominają o nich raz po raz kroniki, roczniki i źródła klasztorne z terenu Niemiec, charakteryzuje państwo polskie podróżnik arabski, wiedzą o nim w Kijowie, a i rodzime nasze dziejopisarstwo średniowieczne reprezentowane przez pierwszy rocznik polski od tych właśnie lat rozpoczyna swoje zapiski.

Nagły napływ źródeł nie jest dziełem przypadku, lecz stanowi świadectwo zmieniającej się w tym czasie sytuacji geopolitycznej ziem polskich.

Przez długi czas, aż do połowy X w., państwo Polan nie stykało się bezpośrednio z żadnym konkurentem, otoczone ze wszech stron ziemiami o niższym stopniu rozwoju politycznego, które stopniowo wchłaniało. Oddzielone dość jeszcze prymitywnymi organizacjami plemiennymi od terenów będących przed-

miotem ekspansji margrabiów saskich, a także od ziem, na których kształtowały się wczesnofeudalne państwa słowiańskie — Ruś, Czechy i Wieletowie — pozostawało również na uboczu wielkich szlaków handlu dalekosiężnego, wiodących na północy przez Morze Bałtyckie, a na południu przez Śląsk i Kraków. Ta okoliczność sprzyjała z jednej strony rozwojowi terytorialnemu państwa Polan, z drugiej zaś — była powodem słabej orientacji reszty świata w stosunkach tu panujących. Jeszcze w początkach lat sześćdziesiątych X w. Polanie byli dla saskiego kronikarza Widukinda po prostu „barbarzyńcami dalej mieszkającymi".

Od połowy X w. sytuacja poczęła się zmieniać, do czego przyczynił się tak wzrost terytorium polańskiego, jak przede wszystkim znaczne rozszerzenie się zainteresowań niemieckich w kierunku wschodnim.

Niemcy ówczesne nie stanowiły jednolitego państwa i chociaż pięć księstw wchodzących w ich skład uznawało formalnie nadrzędność władzy królewskiej, każde z nich broniło usilnie swej odrębności i niezależności. W szczególności ludność terytoriów o starszej tradycji państwowej odnosiła się niechętnie do saskich Ludolfingów, którym przypadła godność królewska. Pierwszy dynasta saski wyniesiony do tej godności, Henryk I (919—936), zyskał poparcie tylko ojczystej Saksonii oraz Frankonii; Bawarów i Szwabów musiał siłą skłaniać do uznania swego wyboru, a nie chcąc powiększać zadrażnień zrezygnował z aktu koronacji i praktycznie nie ingerował w sprawy księstw południowych. Główny wysiłek poświęcał lokalnym sprawom saskim, umocnieniu sił własnego księstwa i jego ekspansji na ziemie słowiańskie. Także i na tej drodze interesy saskie krzyżowały się jednak nieraz z bawarskimi. Szczególnie nieprzyjemne

było dla Bawarów narzucenie przez Henryka I w r. 929 własnej zwierzchności Czechom, leżącym od dawna w strefie bawarskich wpływów kościelnych i politycznych. Konflikt został jednak załagodzony, zaspokojono pretensje obydwu rywali w ten sposób, że król zadowolił się formalną zwierzchnością nad Czechami nie eliminując tam faktycznych wpływów bawarskich ani nie zmieniając kościelnego podporządkowania czeskiej Pragi bawarskiemu biskupstwu w Ratyzbonie. Właściwa ekspansja saska kierowała się odtąd na ziemie Słowian położone na północ od Sudetów między Łabą i Odrą, gdzie niebawem powstały dwie marchie pod zarządem Hermana Billunga i Gerona.

Mimo ostrożnej polityki Henryka I wobec książąt niemieckich panowanie dynastii saskiej w Niemczech nie było popularne. Na to, że się jednak utrwaliło, decydujący bodaj wpływ miało zagrożenie zewnętrzne ze strony Węgrów. Ci ugro-fińscy koczownicy, w Europie ówczesnej nazywani najchętniej Hunami, szerzyli rzeczywiście postrach nie mniejszy niż Attyla, wódz prawdziwych Hunów, w V w. Usadowiwszy się po rozbiciu państwa wielkomorawskiego na nizinie panońskiej przedsiębrali stamtąd niszczące wyprawy w kierunku zachodnim i poprzez Niemcy docierali nawet do Włoch. Drżąc przed walecznymi, ale i okrutnymi hordami ludność krajów zachodnich błagała Boga w codziennych litaniach: „Od napadów Hunów wybaw nas, Panie!”. Strach przed Węgrami przeważył też w Niemczech nad tendencjami separatystycznymi. Gdy Henryk I najpierw zapewnił Niemcom dziewięć lat spokoju, zawarłszy z Węgrami w r. 924 rozejm za cenę daniny, po ich zaś upływie odparł zwycięsko nowy najazd nad rzeką Unstrutą (933), sukcesja jego

syna, Ottona I (936 - 973), była zapewniona. Gdy zaś nowemu królowi, energiczniej niż ojciec umacniającemu swą pozycję w Niemczech, zagroził bunt książąt, znowu najazdy węgierskie na Bawarię (954 - 95) sprawiły, że całe Niemcy skupiły się przy monarsze. W walkach z Węgrami wziął udział także czeski lennik, książę Bolesław I Okrutny. Otton I pobił na Polu Lechowym koło Augsburga węgierskich najeźdźców, którzy odtąd zaniechali napadów. Stłumienie w tym samym roku groźnego powstania Słowian połabskich podniosło jeszcze bardziej prestiż królewski.

W kilka lat później pomnożyła go udana interwencja we Włoszech, dokąd wezwał króla papież Jan XII zagrożony w Państwie Kościelnym przez lokalne włoskie siły polityczne. W 961 r. przeszedł więc Otton I Alpy, pokonał papieskiego przeciwnika Berengara z Ivrei i pozbawiwszy go korony włoskiej sam ją przywdział. W 962 r. wkroczył do Rzymu, gdzie papież przyozdobił go koroną cesarską. W ten sposób godność ta, której blask przygasł w ciągu poprzedniego stulecia, nadana teraz jednemu z najpotężniejszych monarchów Europy nabierała znów tego znaczenia, jakie łączył z nią niegdyś Karol Wielki: znaczenia najwyższej władzy w świecie zachodniochrześcijańskim.

Zasięg tej władzy docierał już do granic państwa Polan. Już wcześniej bowiem, prawdopodobnie w okresie walk z Węgrami w 955 r., lennik Ottona Bolesław czeski, występując jako spadkobierca dawnych tradycji i uprawnień państwa wielkomorawskiego, podporządkował sobie Śląsk i Kraków, zaś w 963 r. saski margrabia Gero narzuciwszy zwierzchnictwo Łużyczanom oparł granicę swej monarchii o środkową Odrę i stał się w rejonie ziemi lubuskiej bezpośrednim sąsiadem Polan.

Niespodziewanie wpływy niemieckie zdawały się okrążać Polan także od wschodu. Państwo kijowskich Rurykowiczów, których ekspansja sięgała już na pobliski Wołyń, zdradzało od kilku już lat zainteresowanie chrześcijaństwem. Księżna kijowska Olga w czasie swego pobytu w Konstantynopolu w 957 r. przyjęła chrzest, a jeżeli za tym nie nastąpiło wprowadzenie chrześcijaństwa jako kultu państwowego na Rusi, to przyczyną wahań była może niechęć do otwierania drogi wpływom bizantyńskim. Myśli o chrystianizacji widocznie jednak w Kijowie nie zarzucono, bo w dwa lata później zjawiło się u Ottona I poselstwo ruskie z prośbą o wydelegowanie misjonarza. W 961 r. udał się też do Kijowa wyświęcony na biskupa mnich z Trewiru imieniem Adalbert, a choć z usług jego prędko tam zrezygnowano, przecież misja ta była świadectwem rozmachu planów ottońskich w stosunku do Wschodu.

O planach tych wiedziano zapewne sporo na grodzie gnieźnieńskim. Nie było również chyba tajemnicą, że już w czasie kampanii węgierskiej 955 r. Otton I ślubował powołanie do życia w Magdeburgu metropolii kościelnej dla ziem słowiańskich zarówno tych, które już się znalazły pod zarządem margrabiów saskich, jak i tych, które leżały jeszcze na wschód od granic królestwa niemieckiego, a jako cesarz wymógł akceptację swego projektu przez papieża i synod rzymski. Jeśli realizacja tego zamierzenia przewlekła się ostatecznie aż do r. 968, to sprawił to tylko opór tych biskupów niemieckich, którzy na rzecz nowej prowincji kościelnej mieli uszczuplić obszar podlegający dotąd ich jurysdykcji.

Zdawano więc sobie sprawę w Gnieźnie, że sytuacja kraju zmieniła się w ciągu kilku lat zasadniczo. Marchie saskie, Czechy i Ruś zamykały drogi łatwej

ekspansji. Pozostawał jeszcze kierunek na Pomorze, ale za Pomorzanami stali Wieletowie, a wreszcie i tu docierał wpływ saski. Oto skłócony z cesarzem jego krewniak Wichman zjawił się wśród walczących z Polanami Wieletów i uczył ich sztuki zwyciężania z takim powodzeniem, że na ich czele dwukrotnie pokonał drużynę polańską, zabił książęcego brata, a wtargnąwszy w głąb kraju uniósł z niego wielki łup.

Państwo gnieźnieńskie znalazło się już zatem otoczone Europą, która chwaliła po łacinie chrześcijańskiego Boga i która za najwyższą władzę uznawała papieża i cesarza, rozmaicie zresztą rozumiejąc ich wzajemny stosunek. Od tej Europy nie można było uciec, nie można się było schować przed nią do rodzimej puszczy, trzeba było znaleźć w niej miejsce. Elementarna znajomość zasad polityki wskazywała, że miejsce to będzie tym wygodniejsze, im prędzej i bardziej samodzielnie się je wybierze, im atrakcyjniejsze wartości zaproponuje się światu, do którego zdecydowało się wejść, im wreszcie mniej będzie się w owym świecie samotnym.

W przetłumaczeniu na język praktyczny oznaczało to program następujący: zjawić się przed cesarzem jako państwo chrześcijańskie, wziąć na siebie część zadań realizowanych dotąd przez saskich margrafów, a przy tym szukać bliższych związków z tymi elementami w cesarstwie, które dynastii saskiej są niechętne.

Program ten został bezbłędnie zrealizowany, a jego wcielenie w życie ułatwiła okoliczność, że skaptowanie Polan leżało także w planach tradycyjnego już rywala Sasów u wschodniej granicy cesarstwa — w planach bawarskich. Bawaria, rozporządzając decydującymi wpływami w Czechach, szukała nowych partnerów, którzy by z jednej strony mogli tarasować

drogę ewentualnym najazdom węgierskim, czyniąc zbyteczną pomoc cesarską, z drugiej zaś strony popierali książąt bawarskich w ich rozgrywkach wewnątrz Niemiec. Tak samo więc, jak blok bawarsko-czeski przyciągał oczy Gniezna, tak państwo Polan, najrozleglejsze z krajów słowiańskich, jak je współcześnie określali obcy, było warte zabiegów Ratyzbony i Pragi.

W tych warunkach łatwo doszło do zadzierzgnięcia sojuszu między Pragą i Gnieznem, którego przypieczętowaniem stało się — zwyczajem epoki — małżeństwo dynastyczne. Jak podaje rocznik krajowy, w r. 965, lub rok wcześniej, jakby wynikało z innych danych, książę polański o archaicznie dziś brzmiącym słowiańskim imieniu Dzigoma, znany później jako Mieszko I, wprowadził w swoje łoże córkę praskiego księcia Bolesława I Dobrawę.

Jednocześnie podjęto kroki wstępne do zamierzonej chrystianizacji państwa polańskiego. Do papieża Leona VIII (963—965) udało się poselstwo z prośbą o wydelegowanie do kraju Polan misji. Uzyskanie jej miało stworzyć fakt dokonany, sprzeczny z planami cesarza, który całą misję słowiańską chciał skupić w rękach mającej niebawem powstać metropolii magdeburskiej. Jeśli ta dywersja miała się udać, trzeba się było spieszyć, ponieważ w tym samym r. 965 cesarz opuścił Włochy zamierzając następną Wielkanoc spędzić na pograniczu wschodnim, gdzie czekała rozstrzygnięcia sprawa losów marchii osieroconej przez Gerona, który zresztą już wcześniej, złamany stratą jedynego syna, porzucił udział w życiu publicznym i oddał się dewocji. Można było przypuszczać, że swój pobyt w Magdeburgu Otton uświetni ustanowieniem tam nowej metropolii kościelnej. Sens

akcji gnieźnieńskiej polegał więc na próbie uprzedzenia tego faktu.

Okoliczności krzyżowały jednak plany. Poselstwo polańskie, wzmocnione dobrze widzianą w kołach kościelnych siostrą Dobrawy Mladą, późniejszą ksienią klasztoru Św. Jerzego w Pradze, nie zastało już prawdopodobnie Leona VIII przy życiu lub trafiło do Rzymu na ostatnie chwile życia papieża, zmarłego w marcu 965 r. Trzeba było czekać na wybór jego następcy; potem zaś rozmowy z nowym zwierzchnikiem Kościoła Janem XIII przedłużały się, choć papież ten — w odróżnieniu od poprzedników — nie był bynajmniej gorliwym poplecznikiem planów cesarskich.

Gdy okazało się, że na decyzję Rzymu w zamyślonym pierwotnie terminie nie ma co liczyć, książę gnieźnieński postanowił nie czekać przynajmniej z własnym chrztem na specjalną misję. Udał się do Ratyzbony, gdzie też miał dobrego ambasadora w osobie brata Dobrawy Strachkwasa, mnicha w klasztorze Św. Emmerama, pozostającego w bliższych stosunkach z tamtejszym biskupem Michałem. Ten ostatni udzielił chrztu księciu Polan i jego niedawno narodzonemu synowi, prawdopodobnie zgodnie z kanonami w Wielką Sobotę, a więc 14 kwietnia 966 r. Fakt ten znalazł odbicie w imionach uzyskanych przez nowochrzczeńców. Książę Dzigoma stał się na cześć biskupa Miszką, to jest Michałkiem, co późniejsze pokolenia odmieniły w Mieszkę lub Mieszka, jego zaś syn otrzymał imię ojca chrzestnego obydwu — czeskiego Bolesława.

Teraz mógł się Mieszko I przedstawić cesarzowi jako chrześcijański sąsiad jego posiadłości. Choć w pewnym stopniu jego pospieszny chrzest pokrzyżował saskie plany misyjne, to w gruncie rzeczy no-

wo powstała sytuacja zadowalała także cesarza. Wielkim uproszczeniem polityki ottońskiej byłoby bowiem przypisywanie jej dążenia do podporządkowania za wszelką cenę wszystkich ziem słowiańskich marchiom saskim. Imperialny program Ottona I otworzył przed nim daleko szersze perspektywy, do których realizacji saskie miecze nie mogły już być środkiem jedynym. Cesarz potrzebował na wschodzie sojuszników, a nie zrywających się wciąż do powstań ujarzmionych wbrew swej woli Słowian. Nadmierny rozrost marchii też nie był mu na rękę. Umocnienie władzy królewskiej w Niemczech wymagało taktyki uniemożliwiającej wyrastanie potężnych feudałów zdolnych przeciwstawić się monarsze.

Wszystkie te względy sprawiły, że Otton I powitał życzliwie pojawienie się nad Wartą chrześcijańskiego księcia. Jeszcze w tym samym roku doszło do zawarcia sojuszu cesarza z Mieszkiem. Oczywiście, był to sojusz nierównych partnerów ze wszystkimi tego konsekwencjami. Stroną wiodącą w nim pozostawało z natury rzeczy cesarstwo, ale cesarstwo uniwersalne, instytucja naczelna zachodniego świata chrześcijańskiego, a nie królestwo niemieckie, czy tym mniej Sasi. Uznanie nadrzędnej pozycji cesarstwa mieściło się milcząco w fakcie przyjęcia przez Mieszka chrztu i nie wymagało dodatkowych deklaracji ani hołdu lennego. Doktryna cesarstwa, pojmowanego wówczas jako ramię zbrojne i instytucja opiekuńcza Kościoła rzymskiego, obdarzona szczególną misją nawracania ludów pogańskich, narzucała innym władcom chrześcijańskim obowiązek współdziałania w tym dziele przez świadczenia materialne lub pomoc orężną. W zastosowaniu do aktualnej wtedy sytuacji politycznej na północno-wschodnich rubieżach Niemiec realizacja tego obowiązku Mieszka miała się zapewne wyrazić

we wzięciu przez niego na siebie głównego ciężaru walki z pogańskimi Wieletami. Ale takie zobowiązanie trudno uważać za narzucone państwu polańskiemu, skoro walka z Wieletami była już przez nie podjęta i odpowiadała całkowicie obranemu podówczas przez Gniezno kierunkowi ekspansji. Zyskanie dla polityki antywieleckiej szyldu akcji prowadzonej na zlecenie cesarza w interesie Kościoła i chrześcijaństwa oznaczało raczej sukces Mieszka, zyskującego teraz podstawy do żądania od wasali cesarskich, zwłaszcza od panów saskich, współdziałania z jego wysiłkami.

Sojusz Mieszka z cesarstwem pociągnął też za sobą inne jeszcze, pomyślne dla przyszłości państwa Polan, rozstrzygnięcia. Otton I uznając Mieszka za władcę chrześcijańskiego pozostawiał w jego ręku akcję misyjną we własnym kraju; tym samym Polska miała pozostać poza zasięgiem uprawnień misyjnych Kościoła saskiego. Ku zadowoleniu obu stron została załatwiona sprawa spadku po Geronie: jego marchię podzielił cesarz na sześć części, kierując się oczywiście przede wszystkim własnym interesem, ale jednocześnie demonstrując tym krokiem zaufanie do przyjaznej postawy Mieszka i osłabiając zagrożenie Polski, które po podbojach łużyckich Gerona powstało z tej strony.

Za sukcesem dyplomatycznym przyszły w następnych latach realne osiągnięcia militarne i polityczne. W nowej wojnie z Wieletami w 967 r., w której Mieszka posiłkowała konnica czeska, a on sam wystąpił po raz pierwszy oficjalnie jako sprzymierzeniec cesarski (*amicus imperatoris*), Polanie rozgromili przeciwników. Wichman poległ. Miecz jego odesłał Mieszko przebywającemu już znowu w Rzymie cesarzowi jako dowód, że z przyjętej na siebie roli wywiązuje się zwycięsko. Pośrednią odpowiedzią na to było pi-

smo cesarskie do panów saskich, nakazujące im współdziałanie z księciem polańskim. Jednocześnie posłowie Mieszka przywieźli z Rzymu do kraju wyznaczonego wreszcie kierownika misji, biskupa Jordana (968). Nieco później, choć w tym samym jeszcze roku, utworzona metropolia magdeburska działalnością swą objęła tylko ziemie leżące na zachód od posiadłości Mieszka.

Zwycięstwo nad Wieletami utorowało Polanom drogę na Pomorze nadodrzańskie. Niebawem opanowali także Pomorze nadwiślańskie, gdzie na polecenie Mieszka wzniesiono nowy gród w Gdańsku. Słowiański neofita swą aktywnością usuwał w cień saskich margrabiów, spadkobierców potężnego Gerona. Jeden z nich, Hodon, nie mogąc tego ścierpieć, rozpoczął akcję na własną rękę, nie przeciw Wieletom jednak, ale właśnie przeciw Polanom, aby zagarnąć Pomorze dla siebie, co stało w tak jaskrawej sprzeczności z instrukcjami cesarza, że i przez opinię saską przyjęte zostało kwaśno. Dezaprobata była tym większa, że ekspedycja Hodona doznała bolesnej klęski pod Cedynią (24 VI 972) i saskie nekrologi wzbogaciły się zapiskami wielu imion poległych w tym boju panów saskich. Incydent ten ściągnął znów na wschodnie rubieże państwa cesarza, który wezwał przed swe oblicze do Kwedlinburga obu antagonistów (marzec 973).

Wynik cesarskiego rozjemstwa był w zasadzie pomyślny dla Mieszka; jego prawa do Pomorza zostały całkowicie uznane. Wydaje się jednak, że tym razem cechowała Ottona I mniejsza niż dawniej życzliwość w stosunku do księcia gnieźnieńskiego. Miał bowiem cesarz zażądać przysłania na swój dwór najstarszego syna Mieszkowego, Bolesława, w charakterze zakładnika i chyba nie odczuto tego w Gnieźnie mile, skoro — jeśli wierzyć późnemu i o spornej wartości

informacyjnej źródłu — rodzice małego jeszcze książątka przesłali wówczas jego włosy nowo kreowanemu papieżowi Benedyktowi VI, oddając chłopca tym symbolicznym aktem pod opiekę drugiego zwierzchnika świata chrześcijańskiego.

Chłód Ottona I wobec Mieszka da się łatwo wyjaśnić. Cesarz przestrzegał równowagi sił i jak przed kilku laty obawy jego budził rozrost marchii Gerona, tak teraz baczył, by w zbyt wielką siłę nie urosło państwo polańskie. Zaniepokojenie jego było tym większe, że troską starego cesarza, czującego zbliżanie się śmierci, stawało się coraz bardziej zapewnienie sukcesji synowi. Poczynił ku temu wszelkie możliwe kroki. Jeszcze małym chłopcem kazał koronować Ottona II na króla (961), potem także na cesarza (967). Nie tajne mu jednak było, że tych faktów dokonanych nie aprobuje dwór bawarski i że w osobie księcia Bawarii Henryka Kłótnika syn znajdzie konkurenta do władzy królewskiej. Zabiegał więc o osłabienie znaczenia i zwartości bloku bawarsko-czesko-polańskiego. Po śmierci biskupa Ratyzbony Michała wprowadził jako jego następcę i zwierzchnika kleru Bawarii oddanego sobie Wolfganga (972). Zaraz potem i z pomocą tegoż Wolfganga wyjął Czechy spod kościelnej zależności od Ratyzbony, przyczyniając się do erekcji upragnionego przez Przemyślidów biskupstwa w Pradze (973), które zostało podporządkowane odległej metropolii w Moguncji. Danie Czechom własnego biskupa miało ich zobowiązać wobec Ottonów, związanie Pragi z Moguncją — rozluźnić związki czesko-bawarskie. W kontekście tych posunięć rozpatrywać należy i kroki podjęte w stosunku do trzeciego członka niebezpiecznego bloku. Bolesław Mieszkowic na dworze cesarskim miał powstrzymać ojca od wystąpień wrogich Ludolfingom.

Wyrokom kwedlinburskim nie stało się chyba zadość za życia Ottona I, który w dwa miesiące po rozmowach z Mieszkiem zamknął oczy na wieki (7 V 973). Obawy jego nie okazały się natomiast przesadne. Henryk Kłótnik wystąpił istotnie z pretensjami do tronu niemieckiego skupiając przy sobie dość liczne grono stronników w samych Niemczech oraz obydwu przyjaciół słowiańskich: czeskiego Bolesława II Pobożnego i Mieszka I. Rozgorzała walka, w której niemieccy poplecznicy Henryka zostali wkrótce pokonani, ale sam Henryk w oparciu o Czechy stawiał opór Ottonowi II aż do 977 r. i dopiero druga z kolei wyprawa młodego cesarza na ten kraj zapewniła mu zwycięstwo. Co robił Mieszko w latach 974 - 977, tego dokładnie nie wiemy, najwidoczniej jednak wytrwał w dawnym sojuszu mimo śmierci Dobrawy (977), bo i na jego kraj skierował Otton II wojska (979) po uporaniu się z niespodziewanym najazdem francuskim. Wyprawa na Polskę, której szczegółów nie znamy, nie przyniosła Sasom wielkich sukcesów, ale kapitulacja pozostałych członków koalicji antyottońskiej skłaniała także naszego księcia do ugody. Równie gorąco pragnęła jej strona przeciwna, tak że względnie spokojnie przyjęto w Niemczech wybryk Mieszka, który porwał sobie z klasztoru w Kalbe mniszkę Odę, córkę margrabiego marchii północnej Dytryka. Za cenę pokoju pozwolono mu ją zaślubić (980) licząc, że to małżeństwo przyczyni się do wyparcia z Gniezna wpływów czeskich i bawarskich i do zastąpienia ich saskimi.

Nie stało się tak w każdym razie zaraz. Mieszko czuł się może dotknięty brakiem pomocy przeciw Duńczykom, którzy w latach osiemdziesiątych dążyli do opanowania ujścia Odry, i przeciw księciu kijowskiemu Włodzimierzowi Wielkiemu, który w 981 r.

podporządkował sobie południowo-wschodnie *pertynencje* państwa gnieźnieńskiego z Przemyślem i Czerwieniem-Czermnem. Co prawda układ z 966 r. przewidywał, jak się zdaje, wzajemną pomoc sasko-polańską jedynie przeciw poganom, nie wiemy jednak, czy w r. 980 nie sugerowano rozszerzenia zakresu współdziałania. Może też rezerwa Gniezna wobec Sasów miała inne przyczyny; nie znamy bliżej indywidualności otaczających Mieszka I, dlatego nie możemy określić ich roli w wytyczaniu linii politycznej państwa. Zasługuje przecież na uwagę postać biskupa Jordana, z którego śmiercią dopiero zbiegnie się zasadnicza zmiana orientacji dworu gnieźnieńskiego.

Nie kusząc się więc o rozstrzygnięcie wątpliwości, do czego brak nam źródeł, stwierdzimy tylko, że także po zaślubieniu Ody Mieszko I pozostawał wierny dawnym powiązaniom politycznym i gdy po przedwczesnej śmierci Ottona II (983) znów rozgorzała w Niemczech walka między stronnikami trzyletniego syna cesarskiego Ottona III a Henrykiem Kłótnikiem, po stronie tego ostatniego wystąpiła i tym razem koalicja bawarsko-czesko-polańska, wzbogacona udziałem jeszcze jednego słowiańskiego władcy: Mściwoja obodrzyckiego. Niebawem jednak nastąpił zwrot w polityce Mieszka I. Gdy niezdecydowane postępowanie księcia bawarskiego zapowiadało ponowną klęskę jego stronnictwa, książę gnieźnieński przeszedł na stronę ottońską. Tym samym rozeszły się też jego drogi z Czechami, którzy nadal aktywnie występowali przeciw Sasom.

Decyzję Mieszka przesądziła chyba nie tylko chęć znalezienia się w obozie zwycięzcy, lecz bardziej inne przesłanki. Większą swobodę manewrowania obiecywało utrzymanie się na tronie królewskim dziecka, czyli perspektywa wielu lat niewieścich rządów re-

gencyjnych. Poza tym ottońska polityka na wschodzie była raczej zbieżna z interesami Gniezna; dotyczy to przynajmniej jej jednego elementu: kierunku antywieleckiego. Udziałem Mieszka w saskich wyprawach przeciw Wieletom w r. 985 i 986 przypieczętowane też zostało pojednanie księcia Polan z nowym władcą Niemiec. Natomiast dom bawarski zdawał się reprezentować tendencję do zmiany polityki wschodniej i próby pojednania z Wieletami. Wśród popleczników Henryka coraz wybitniejszą rolę zaczynała też grać czeska Praga, a właśnie w tym okresie dążenia Pragi i Gniezna zaczęły ze sobą kolidować.

Próby ekspansji czeskiej w kierunku północnym, udokumentowane przejściowym zagarnięciem przez Bolesława II marchii miśnieńskiej w 985 r., której margrabia Rykdag wydał niedawno córkę za najstarszego syna Mieszka I, uderzały we wpływy władcy gnieźnieńskiego na tym terenie. Z drugiej strony apetyty polańskie kierowały się ku pobratymczym ziemiom Śląska i prowincji krakowskiej, zależnym wciąż od Pragi. Po opanowaniu Pomorza dalsze postępy w kierunku północno-zachodnim nie były już dla Polan aktualne; ewentualne nowe zdobycze na Wieletach przypaść by musiały Sasom. Bolesna strata ziemi przemyskiej, przynoszącej przed opanowaniem jej przez Kijów niemałe zapewne dochody, domagała się rekompensaty. Mieszko nie podejmował prób odzyskania utraconej *pertynencji*, która leżała najbardziej peryferyjnie w stosunku do ośrodka jego państwa. Nie miał też ochoty, ani pewno i możliwości, wpędzać się w konflikt z Rusią, skoro wszystkie inne jego interesy wymagały aktywności i koncentracji sił na zachodnich granicach państwa. Stratę Przemyśla, grodu rozrastającego się w miasto, leżącego na uczęszczanym szlaku handlowym i odwiedzanego przez licz-

nych kupców — niedługo później zastaniemy tam zasiedziałą już kolonię żydowską — wynagrodzić mogło zawładnięcie bliższymi odcinkami tej samej drogi, biegnącej przez Śląsk i Podkarpacie. Tą właśnie perspektywą najsłuszniej będzie tłumaczyć zmianę orientacji politycznej Mieszka I.

Osaczanie Czech spowodowało między innymi zbliżenie między Gnieznem i Węgrami. Wprawdzie pokutującą jeszcze czasem w polskim piśmiennictwie historycznym wersję o małżeństwie księcia węgierskiego Gejzy z siostrą Mieszka I czas już odesłać definitywnie do lamusa nieporozumień historiograficznych, gdyż źródłem jej jest mało staranna i późna kompilacja tak zwanej *Kroniki węgiersko-polskiej*, myląca fakty, osoby i chronologię wydarzeń z X w. ze znacznie późniejszymi, ale świadectwem związków polsko-węgierskich pozostaje inne małżeństwo dynastyczne. Oto Bolesław Mieszkowic, odesławszy po krótkim pożyciu córkę Rykdaga, politycznie już zbędną wobec śmierci margrabiego i zajęcia Miśni przez Czechów, pojął w 986 r. nie znaną nam bliżej Węgierkę. Choć nie musiała to być córka Gejzy, jak nieraz pochopnie się twierdzi, to w każdym razie wywodziła się z rodu książęcego i poślubienie jej przez Bolesława wskazuje na dokonany przez dwór gnieźnieński przewrót przymierzy.

Dwukrotna wyprawa niemiecka przeciw Czechom w latach 986 - 987, zapewne nie bez współdziałania Mieszka I i Węgrów, położyła kres sukcesom Pragi. Utraciła ona Miśnię, a prawdopodobnie także Śląsk, którym zawładnął Mieszko. Już w 990 r. pokusił się Bolesław II czeski, związany wtedy sojuszem z Wieletami, o jego odzyskanie, ale Mieszko I atak odparł, głównie własnymi siłami, choć dysponując też pewną pomocą Sasów, której na jego żądanie udzie-

liła mu sprawująca regencję cesarzowa-matka Teofano.

Mniej jasne są losy Krakowa. W toku omówionych wydarzeń i to terytorium zerwało chyba zawisłość od Pragi, ale przeszło może następnie przez krótkotrwały okres niezależności zanim wchłonęło je państwo polskie. Ze sporządzonego bowiem w ostatnich latach życia Mieszka I — między r. 990 a 992 — opisu granic jego posiadłości w dokumencie zwanym od pierwszych słów: *Dagome iudex* zdaje się wynikać, że Kraków leżał jeszcze na zewnątrz tego obszaru. Zespolony został z resztą ziem polskich w każdym razie jeszcze w ciągu X w. Stało się to może tuż przed zgonem Mieszka i fakt ten uzasadniałby pewne napięcie w stosunkach z Rusią, jakie w owym momencie daje się zauważyć, gdyż opanowanie Krakowa otwierało także drogę na Przemyśl.

Pomoc cesarska w zdobyciu i utrzymaniu Śląska stała się źródłem zobowiązań trybutarnych Mieszka I, a potem jego następcy. Książęta czescy płacili bowiem trybut z całego państwa królom niemieckim. Przejście Śląska w ręce Mieszkowe nie mogło przekreślać pretensji niemieckich do świadczeń z tej ziemi i jeżeli Teofano sama poparła tu akcję polańską, to widocznie Mieszko nie uchylał się od przejęcia zobowiązań czeskich. Przypuszczamy, że właśnie to zobowiązanie określił mało precyzyjnie Thietmar jako „trybut po rzekę Wartę", której górny bieg zbliża się rzeczywiście do linii wschodniej granicy Śląska. Inną widać drogą nastąpiło później przyłączenie Krakowa i dlatego nie objęły go już pretensje niemieckie.

W tym kontekście zasługuje na uwagę hipoteza Henryka Łowmiańskiego dotycząca trzeciego małżeństwa Bolesława, który już w 987 r. oddalił węgierską żonę, choć ta powiła mu syna, a poślubił Emnildę

córkę nie znanego poza tym księcia Dobromira. Pochodzenia Dobromira różnie się domyślano, wspomniany uczony przypuszcza, że mógł to być książę krakowski. Hipoteza to pociągająca, gdyż pozwala wyjaśnić kilka niezrozumiałych faktów. Moment zawarcia nowego małżeństwa przez syna Mieszkowego kojarzy się z zabiegami księcia polskiego o opanowanie ziem południowych, a ono samo — przy założeniu, że Dobromir nie miałby męskiego potomka — torowałoby drogę dynastii gnieźnieńskiej do wejścia w posiadanie Krakowa bez rozprawy orężnej. Przeznaczenie Bolesława na książęcy stolec w Krakowie uzasadnić może w pewnym stopniu pominięcie jego imienia w dokumencie *Dagome iudex*, o czym piszemy niżej, a także niezaliczanie jeszcze w tym czasie ziemi krakowskiej do *pertynencji* państwa gnieźnieńskiego. Stała się ona nią dopiero wtedy, gdy Bolesław zapanował również nad dziedzictwem ojcowskim.

Przeciw prawdopodobieństwu hipotezy Łowmiańskiego nie świadczy żadne źródło. Podnoszony w literaturze fakt, że Emnilda nosiła imię niemieckie, co wskazuje na związki rodzinne łączące rodzinę Dobromira z feudałami niemieckimi, również jej nie osłabia. Koligacje niemieckie sięgały daleko w głąb Słowiańszczyzny nie ograniczając się do terenów nadłabskich. Jeżeli libiccy Sławnikowice byli spokrewnieni z domem cesarskim, nie można negować możliwości podobnych związków panów krakowskich.

Zespolenie Śląska i Krakowa z państwem Polan, po uprzednich zdobyczach na Pomorzu, zakończyło proces łączenia tych krain, które w toku swych dalszych dziejów złożyły się na pojęcie Polski etnograficznej. Jeśli przedtem państwo Polan było tylko jedną, choć najpotężniejszą z organizacji politycznych na ziemiach polskich, to od tej pory staje się w na-

szym pojęciu państwem polskim, rozpoczynającym swoją tysiącletnią historię.

Jego zdrowe podstawy terytorialne i etniczne ustrzegły je od katastrofy mimo wewnętrznych wstrząsów i stałego zagrożenia z zewnątrz, jakie notujemy już w najbliższych dziesięcioleciach. Jednocześnie rozumna i zręczna polityka reprezentowana przez pierwszych książąt polskich zapewniła od początku ich państwu właściwe miejsce w ówczesnej Europie. Konsekwentnie broniąc jego niezależności kierownicy państwa nie zamierzali stawiać go poza międzynarodową organizacją, jaką w tym okresie średniowiecza stanowił system państw chrześcijańskich z instytucjami papiestwa i cesarstwa na czele. Współpraca z obiema była już kanonem polityki Mieszka I i godne jest szczególnego uznania, jak dobrze rozumiał ten neofita rolę papieży w systemie uniwersalizmu chrześcijańskiego. Choć Rzym papieski przeżywał w tych latach przejściowy upadek znaczenia politycznego i praktycznie podporządkowywał się — lecz nie bez oporów — odnowionemu cesarstwu, Mieszko I od pierwszych do ostatnich lat swego panowania odwoływał się do jego autorytetu szukając w nim przeciwwagi wobec cesarstwa. Tak było, gdy omijając cesarza poprzez bezpośrednie kontakty z papiestwem wprowadzał swe państwo do zbiorowości chrześcijańskiej. Tak samo u schyłku życia, po osiągnięciu wielu sukcesów we współpracy z cesarstwem, zostawił dokument na piśmie podkreślający, że nie w cesarzu, lecz w głowie Kościoła widzi naczelnika systemu, któremu służy.

Wielokrotnie dyskutowany dokument *Dagome iudex* poświadcza formalnie złożenie przez księcia i jego rodzinę państwa gnieźnieńskiego ze wszystkimi *pertynencjami,* których granice są opisane, w darze św. Piotrowi, czyli Stolicy Apostolskiej. W nauce ściera

się wiele poglądów co do celu, któremu ta frazeologia miałaby służyć. Z faktu, że jako wystawcy dokumentu figurują Mieszko z Odą i synami z tego małżeństwa, pominięty zaś jest Bolesław, pierworodny syn książęcy ze związku z Dobrawą, wnioskowano, że księciu chodziło przed śmiercią o uzyskanie protekcji papieskiej dla młodszego potomstwa przeciw spodziewanym pretensjom Bolesława do całości spadku po ojcu. Akt ten komentowano także jako wyraz starań o ustanowienie dla Polski arcybiskupstwa. Według innych stworzenie fikcji prawnej, że monarcha polski jest tylko użytkownikiem własności św. Piotra, miało zabezpieczyć integralność terytorium państwa przed próbami rewindykacji świeżo przyłączonych ziem ze strony czeskiej lub niemieckiej. Za mało mamy danych, by rzecz przesądzać. Wydaje się jednak, że poza nie znaną nam bezpośrednią korzyścią, jaką spodziewał się książę polski przez ten akt osiągnąć, dokument *Dagome iudex* miał jeszcze donioślejszy cel. W sposób uchylający niemieckie pretensje do zwierzchnictwa nad Polską legitymował w języku i pojęciach właściwych epoce niezależność władzy książęcej. Jak cesarz od św. Piotra otrzymywał swą koronę i uprawnienia, jak z rąk biskupów — funkcjonariuszy św. Piotra — brano korony królewskie, także niemiecką, tak i książę Polski władzę swą w kraju uzasadniał zleceniem mu jej przez namiestnika Chrystusowego. Podkreślał tym odrębność własnego stanowiska od pozycji książąt i margrabiów niemieckich, będących w teorii a często i w praktyce nominatami i urzędnikami królewskimi.

Sądzić należy, że nie była to tylko indywidualna postawa Mieszka I, ale myśl wypracowana przez całą grupę kierowniczą państwa. Trwa bowiem przy polityce wytyczonej przez Mieszka po jego śmierci (992)

syn Bolesław Chrobry, choć wiele danych zdaje się wskazywać, że przynajmniej w ostatnich latach życia ojca nie pozostawał z nim w dobrych stosunkach i może nawet miał być odsunięty od następstwa na rzecz braci przyrodnich lub w najlepszym razie dzielić tylko z nimi władzę. Przewaga dwudziestokilkoletniego księcia nad małoletnimi synami Ody była jednak zbyt wielka, by stan taki miał być zaakceptowany przez rozstrzygające o obsadzie stolca książęcego siły społeczne. Po krótkotrwałej walce Bolesław pokonał macochę i wygnał ją wraz z potomstwem z kraju. Jacyś wpływowi możni czy przywódcy drużyny, znani tylko z imion Przybywoj i Odylen, którzy opowiedzieli się po stronie księżny-wdowy, zostali ukarani oślepieniem. Wypadki te nie wywołały żadnej reakcji ze strony cesarstwa i Sasów. Bolesław — wzorem ojca — nadal współdziałał z cesarstwem posiłkując je przeciw Wieletom, a w r. 995 brał osobisty udział w tych walkach.

Tak samo, jak jego poprzednik, nie zaniedbywał nowy książę również bezpośrednich stosunków z papiestwem. Skrupulatnie przesyłał do Rzymu należny trybut, a nosił się też z myślą zorganizowania własnych, niezależnych od inicjatyw cesarskich misji wśród sąsiednich ludów pogańskich. Gdy wewnętrzne rozgrywki w Czechach między Przemyślidami i podległymi im, ale niechętnymi książętami Libic Sławnikowicami, skończyły się zwycięstwem Pragi i rzezią Sławnikowiców (995), ocaleni członkowie tej rodziny schronili się w Polsce. Wśród nich znalazł się tu wygnany biskup praski Wojciech, któremu papież zlecił — wobec utraty diecezji — działalność misyjną w krajach nie objętych jeszcze organizacją kościelną. Początkowo myślano o Wieletach, ci jednak objęci byli saskimi planami misyjnymi i Bolesław skierował

Wojciecha do Prus, leżących już całkowicie poza ówczesną strefą zainteresowań niemieckich. Podjęta przez Wojciecha skromna wyprawa misyjna do Prus (997) nosiła więc charakter inicjatywy wyłącznie polskiej, a choć przyniosła zupełne fiasco, to z poniesionej w niej niespodzianie śmierci męczeńskiej biskupa potrafił zbić Bolesław poważny kapitał polityczny dla siebie i Gniezna, gdzie złożył wykupione od Prusów szczątki uznanego już świętym Wojciecha.

Odtąd osoba Bolesława wzbudzała niemałe zainteresowanie w Europie i zaczęła grać poważną rolę w cesarskich i papieskich planach dotyczących organizacji Europy wschodniej.

OD WSPÓŁPRACY Z CESARSTWEM DO KORONY KRÓLEWSKIEJ

Pojęcie cesarstwa zmieniało wielokrotnie w ciągu średniowiecza swą treść, nie mówiąc już o tym, że bywało rozmaicie rozumiane przez poszczególne środowiska. W nowożytnej historiografii nie zwraca się na to w dostateczny sposób uwagi i bardzo często przenosi się na inne czasy pojęcia ukształtowane w okresach szczytowego rozwoju uniwersalizmu cesarskiego, a i wtedy bynajmniej nie upowszechnione, lecz stanowiące raczej program maksimum ambitnych przedstawicieli tej instytucji.

Na treść podkładaną pod pojęcie cesarstwa w każdym określonym momencie dziejowym przemożny wpływ miała bezpośrednia tradycja tej instytucji. W połowie X w. tradycja Karola Wielkiego i jego cesarstwa była już zapomniana. Już jego następca nie rościł sobie pretensji do panowania ani nad Kościołem, ani nad innymi państwami i podporządkował się doktrynie kościelnej, narzucającej cesarstwu jedynie

rolę zbrojnego ramienia Kościoła, obowiązanego do chronienia papiestwa przed jego wrogami. Postępujący rozkład monarchii karolińskiej doprowadził stopniowo do zupełnej deprecjacji godności cesarskiej. Walczyli o nią między sobą możni feudałowie włoscy, zdolni do opanowania Rzymu, ale nie do odgrywania światowej roli politycznej. W najśmielszych marzeniach nie roiło się żadnemu z nich panowanie nad światem, skoro nie zawsze starczało im sił, by skutecznie realizować własne partykularne interesy w skali północnych i środkowych Włoch. Korona cesarska była wyróżnieniem osobistym, nie związanym z pełnieniem władzy na określonym terytorium, a dającym — raczej w teorii niż w praktyce — pewne prerogatywy i odpowiadające im obowiązki w stosunku do papieskiego Rzymu.

Taka to korona została włożona na skronie Ottona I i zrazu nie wiązano z nią zasadniczo nowych treści. Fakt, że cesarzem ustanowiono jednego z najwięcej znaczących monarchów Europy, miał głównie tę konsekwencję, że za formalnym autorytetem stanęła odpowiednia siła. Cesarstwo stało się rzeczywiście zdolne zarówno do ochrony Rzymu, jak do podejmowania poważniejszych inicjatyw misyjnych i zbrojnych w interesie Kościoła. Zyskiwało też wyraźną przewagę nad papiestwem, które od siebie uzależniało, ale zarazem przyczyniało się do odrodzenia jego autorytetu w Kościele, znacznie podczas poprzednich pontyfikatów nadszarpniętego. Bardziej praktyczny niż dotąd walor zyskiwała też doktryna zobowiązująca każdego chrześcijanina i każde państwo chrześcijańskie do wspomagania cesarza w zakresie przedsięwzięć podejmowanych przez niego w służbie chrześcijaństwu i Kościołowi.

Pozostawała natomiast godność cesarska wyróżnie-

niem osobistym, nie związanym ani z określoną dynastią, ani z jednym uprzywilejowanym państwem. Aby zabezpieczyć koronę cesarską synowi, Otton I przeprowadził jego koronację jeszcze za swego życia. Trzeba było czasu i precedensów, aby wytworzyła się tradycja wiążąca prawo do korony z zasiadaniem na tronie niemieckim. Ale i później objęcie tego tronu nie czyniło jeszcze króla cesarzem. Do tego niezbędny był wjazd do Rzymu i otrzymanie tam korony z rąk papieża.

Cesarstwo dwóch pierwszych Ottonów stało się więc najwyższą — obok papiestwa — instytucją zachodniego chrześcijaństwa, ale nie nabrało treści terytorialnych, nie było rozumiane jako państwo, ani tym bardziej jako synonim państwa niemieckiego. Obowiązki wobec cesarstwa oznaczały w tym czasie obowiązki wobec cesarza a nie wobec państwa, w którym królował. Znajdowało to wyraz także w stosowanej frazeologii; kronikarz saski nazywał Mieszka I *amicus imperatoris* — sojusznikiem, przyjacielem cesarza, nie cesarstwa, co wówczas nie miałoby wielkiego sensu.

Utrzymywanie się godności cesarskiej w ciągu kolejnych pokoleń przy władcach Niemiec tworzyło jednak nową tradycję i wpływało na ewolucję pojęcia cesarstwa w kierunku rozumienia przez nie jakiegoś nad-państwa, państwa uniwersalnego, a w pojęciu kół niemieckich wyniesienia Niemiec ponad inne państwa. Już u schyłku X w. zatarło się w pamięci poniżenie godności cesarskiej w czasach poprzedzających koronację Ottona I, szukano więc tradycji bardziej odpowiadającej aktualnej powadze tej instytucji.

Na taki moment przypadło objęcie osobistych rządów przez Ottona III w 995 r.

Syn cesarza Zachodu i Greczynki Teofano, czujący się spadkobiercą obydwu światów, wykształcony ponad praktykowaną wówczas w Europie zachodniej miarę, wielbiciel tradycji antycznych bardziej w bizantyńskim niż zachodnim ich wydaniu, umysł o skłonnościach filozoficznych i mistycznych, charakter nierówny i egzaltowany, w którym pycha władcy ścierała się z tendencjami do ascetyzmu i ewangelicznej pokory, młody cesarz wymarzył sobie państwo uniwersalne, którego wizja kształtowała się w jego fantazji zarówno pod wpływem modelu starożytnego i współczesnych wzorów bizantyńskich, jak i pod wpływem stosunkowo trzeźwego rozeznania realnej sytuacji w Europie. W jego pojęciu cesarstwo miało mieć charakter terytorialny jednego wielkiego państwa, obejmującego całe chrześcijaństwo, na razie jeszcze zachodnie, a w dalszej perspektywie panującego także nad bizantyńskim Wschodem. Istniejące dotąd cesarstwo średniowieczne wydawało mu się nędzną parodią tej instytucji. On też pierwszy z Ottonów — nie jego wielki dziad — rzucił hasło *Renovatio Imperii Romani* — odnowienia cesarstwa rzymskiego, zamiast trwania przy spadku, jaki zostawili przedottońscy pseudocesarze początków X w.

Rzymskość cesarstwa nie była dla niego frazesem. Sam czuł się Rzymianinem, chociaż mieszkańcy Rzymu nigdy nie przestali go uważać za saskiego barbarzyńcę, z Rzymu pragnął uczynić rzeczywistą stolicę świata. Niemcy nie znaczyły dla niego wiele. Budował nowe cesarstwo nie z myślą o wywyższeniu Niemiec. Przy skłonnościach do fantazjowania był na tyle realnym politykiem, że doskonale rozumiał sprzeczność między ideą cesarstwa uniwersalnego a dążeniami do zapewnienia Niemcom dominującej

pozycji w Europie. Germania była dlań tylko pojęciem pewnej całości geograficzno-etnicznej, która wraz z podobnymi kompleksami Galii i Sclavinii — Słowiańszczyzny — pod przewodem Rzymu miała służyć cesarskiemu majestatowi.

Dla takiej idei niełatwo mu było zjednać zwolenników. Przeciw niemu było papiestwo, któremu uniwersalizm cesarski zapowiadał trwałe zepchnięcie do roli drugorzędnej i podporządkowanej, przeciw niemu byli mieszkańcy Rzymu, którzy nie czuli się wcale zaszczyceni faktem, że barbarzyński w ich pojęciu cesarz pragnie ich miasto uczynić swą rzeczywistą, nie tylko tytularną stolicą. Dla instytucji rzymskich, a było nią też papiestwo, cesarstwo reformowane przez Ottona III z użytecznego stawało się uciążliwe.

Nie lepsze przyjęcie znajdowały koncepcje młodego cesarza w Niemczech. Tu raziła panów świeckich i duchownych już sama osoba ostatniego z Ottonów, jego sposób wyrażania się, jego styl bycia. Nie szczędzono słów krytyki wyniosłości cesarskiej, tendencjom do wprowadzania na dwór ceremoniału wzorowanego na bizantyńskim. Z jego wywodów na temat roli cesarstwa niewiele rozumiano; ich sens zaciemniała frazeologia mistyczna i symboliczna, do której Otton III czuł nieprzeparty pociąg. Nie mogło jednak nie docierać do powszechnej świadomości, że cesarz w Rzymie, a nie w rodzinnym kraju upatruje ośrodek władzy, że interesy niemieckie mało dla niego ważą, że już nie tylko Rzym, ale nawet Galia droższa mu jest od ojczyzny, że jego stosunek do sąsiadów słowiańskich odbiega od tego, jaki tradycyjnie prezentowali dynaści sascy.

Krótkie rządy Ottona III cechowało w tej sytuacji miotanie się wśród przerastających go trudności.

W jego przeskokach od aktów religijnej pokory do okrucieństw wzbudzających grozę nawet w tej dalekiej od humanitaryzmu epoce można jednak znaleźć konsekwentne w swej rozpaczliwości dążenie do zjednania sobie ludzi zdolnych go pojąć i obsadzenia nimi pozycji, z których mogliby mu pomagać w budowie uniwersalnego państwa. Szczególnie starał się dobierać odpowiednich współpracowników na stanowiska kościelne; urząd papieski obsadzał kolejno bliskim krewnym Brunonem z Karyntii — Grzegorzem V (996 - 999) i następnie swym przyjacielem i nauczycielem, Gerbertem z Aurillac — Sylwestrem II (999 - 1003), a więc w obu wypadkach ludźmi nie związanymi ze środowiskiem rzymskim. Zabiegał też o przyjaźń duchowych autorytetów epoki: św. Nila, otoczonego czcią greckiego pustelnika z Kalabrii, św. Romualda, przywódcy ruchu eremickiego, a także bliskiego im przedstawiciela Kościoła słowiańskiego, św. Wojciecha, z którym stosunki nie pozostały bez wpływu na bezpośrednio nas obchodzące pociągnięcia polityczne cesarza. I od nich spotykały go zawody. Nauczyciel jego młodości, a potem współpracownik, Jan Philagatos, związał się z przeciwnikami cesarza w Rzymie i wysunięty przez nich na antypapieża przeciw Grzegorzowi V spotkał się z sadystyczną zemstą swego wychowanka. Potępił za to otwarcie Ottona tak ceniony przez niego Nil. Wysunięci przez cesarza papieże, w zasadzie z nim współdziałając, bronili jednak pozycji swego urzędu i nawet Sylwester II, którego można zaliczyć do inspiratorów idei uniwersalistycznych Ottona III, inaczej jednak niż młody władca ów uniwersalizm rozumiał, zwłaszcza w kwestii wzajemnego stosunku papiestwa i cesarstwa.

Niemniej z tymi ludźmi, należącymi do najwyższej

elity intelektualnej epoki, mógł jeszcze znajdować dziwny cesarz wspólny język. O wiele trudniej było mu go znaleźć z panami świeckimi. Był wprawdzie nie tylko marzycielem i mistykiem, ale też wystarczająco zręcznym politykiem, by umieć stworzyć sobie wierne stronnictwo zarówno w przywiązanych do dynastii księstwach niemieckich, jak i wśród rywalizujących ze sobą feudałów włoskich. Korzystając z ich usług i poparcia wiedział jednak, że znajdzie w nich tylko mniej lub więcej wiernych wykonawców określonych poleceń, a nie współpracowników, zdolnych pojąć w pełni jego cele i samodzielnie je realizować. Znalazł takiego współpracownika — lub słuszniej może powiedzieć: zdawało mu się że go znalazł — w Bolesławie Chrobrym.

Paradoks? Ani legenda średniowieczna o Chrobrym, ani utrwalona w naukowej już historiografii jego charakterystyka nie pozwalają przecież wyobrazić go sobie jako partnera subtelnych rozważań, smakującego intelektualne treści wizji cesarskich. W odróżnieniu od wysoko już wykształconych następców — syna i wnuka — zwykło się w nim widzieć raczej genialnego barbarzyńcę i z przekonaniem podkreśla się w literaturze, że najprawdopodobniej nie posiadł on sztuki czytania.

Sąd ten może wymaga rewizji. Nie za wiele wiemy o młodości Chrobrego; jeżeli jednak rzeczywiście przebywał na dworze Ottona II, a wskazują na to nie tylko bezpośrednie, choć niepewnej wartości wzmianki źródeł, ale i liczne jego przyjaźnie w Niemczech, w tamtym okresie chyba zadzierzgnięte, to mógł wystarczająco nasiąknąć jego bynajmniej nie barbarzyńską atmosferą. Kto wie, czy nie liznął też trochę z nauk, które nieszczęsny Jan Philagatos wpajał w umysł Ottona III. Nie idąc nawet tak daleko,

przypuszczamy, że mowa ksiąg nie była mu całkiem obca. Współczesny mu Thietmar informuje, że gdy zgrzeszył, kazał sobie przedkładać księgi kanonów, by zbadać, do jakiej pokuty jest obowiązany. Umiał też rozmawiać z takimi ludźmi, jak Wojciech i Bruno z Kwerfurtu, i skoro wzbudzał w nich uwielbienie, to zapewne szerokością swych horyzontów, a nie tylko hojnością czy urokiem atletycznej postawy.

Do tego dochodziło znawstwo ludzi, zdolność poznania ich słabości, a wraz z tym umiejętność pokazywania się im z tej strony, jaka na nich największe mogła uczynić wrażenie. Mimo wszystkich walorów, które chętnie przyznajemy Chrobremu, niewątpliwie nie był on tą osobowością, której poszukiwał Otton III, ale potrafił taką się wydać.

Cesarz i książę polski nie spędzali ze sobą wielu dni i nocy na poufnych rozmowach. Otton III pamiętał może Bolesława z czasów swego wczesnego dzieciństwa, jako młodzieniec dorosły zetknął się z nim w czasie walk z Wieletami. Nie mógł z tego wynieść więcej niż powierzchowną, choć pewno pozytywną opinię o dzielnym dowódcy Słowian. Później opinię tę pogłębiały już tylko wiadomości uzyskiwane o nim od tych, którzy znali go bezpośrednio. Wśród tych, którzy imię księcia polskiego z sympatią wymieniali, był zapewne Wojciech, po katastrofie Sławnikowiców mający świeżo w pamięci życzliwość, z jaką ocaleli członkowie wytępionego rodu spotkali się w Polsce. Wieści docierające następnie do cesarza o pobycie Wojciecha u Bolesława, o misji pruskiej, męczeństwie biskupa i aktywności księcia polskiego wokół uczczenia pamięci świętego działały na fantazję, a zresztą także w trzeźwych rachunkach politycznych wskazywały na Chrobrego jako na indywidualność,

z którą warto układać wspólnie losy wschodnich krańców łacińskiego świata.

Bolesław Chrobry po umieszczeniu relikwii św. Wojciecha w kościele gnieźnieńskim domagał się ustanowienia w swej stolicy metropolii kościelnej. Niezależnie od rzeczywistych uczuć młodego cesarza do utraconego przyjaciela realizacja tego postulatu wydawała mu się okazją do silniejszego związania ze sobą księcia polskiego, a jednocześnie do stworzenia za Odrą bazy propagandowej idei uniwersalnych, które symbolizowałyby kult św. Wojciecha szerzony przez ludzi blisko z nim związanych. Pogląd Ottona III podzielał Sylwester II, toteż już w 999 r. wygotowano w Rzymie papieską bullę erekcyjną dla metropolii św. Wojciecha w Gnieźnie, na której jako arcybiskup miał zasiąść brat świętego patrona i współuczestnik misji pruskiej, świadek jego męczeństwa Radzym-Gaudenty. W tym samym mniej więcej czasie ustanowiono drugi jeszcze ośrodek tego samego kultu w węgierskim Ostrzyhomiu, gdzie na stolicy metropolitalnej zasiadł również bliski towarzysz św. Wojciecha — arcybiskup Anastazy.

Erekcja metropolii gnieźnieńskiej odbyła się z największą możliwą ówcześnie pompą, ponieważ zdecydował się w niej wziąć osobisty udział sam cesarz jako pobożny pielgrzym do grobu męczennika.

Tak doszło do słynnego zjazdu gnieźnieńskiego — spotkania Ottona III z Bolesławem Chrobrym w 1000 r.

Zazwyczaj rozdziela się cele i znaczenie kościelne zjazdu w Gnieźnie od politycznej strony zapadłych tam decyzji. Uważamy to za nieporozumienie. Zarówno propaganda kultu św. Wojciecha, jak i ustanowienie nowej metropolii było i dla cesarza, i dla księcia polskiego fragmentem ich działalności politycznej. Błędem jest zwłaszcza traktowanie pielgrzym-

ki cesarskiej jako pretekstu użytego przez Ottona, by spotkać się z Bolesławem. Cesarz pretekstu nie potrzebował, mógł odbyć spotkanie w dowolnym miejscu, wzywając po prostu do siebie księcia. Praktykowano to zarówno przedtem, jak potem, i forma taka nie byłaby bynajmniej urażeniem godności Bolesława. Ważna jednak była właśnie pielgrzymka cesarska do Gniezna. Miała podkreślić wagę kultu św. Wojciecha, służyć rozpowszechnianiu się tego kultu, który w planach Ottona III stałby się czynnikiem integrującym łaciński Wschód i wiążącym go z uniwersalnymi treściami cesarstwa. Legenda św. Wojciecha, którą z inicjatywy cesarskiej utrwalono już w pisanych przez najlepsze pióra żywotach męczennika, cały ten ładunek ideologiczny zawierała. Wojciech, syn ziemi czeskiej, biskup Pragi, aktywny misjonarz, który czy to osobiście, czy przez swoich przyjaciół i uczniów chrzcił neofitów w Czechach, na Węgrzech i w Polsce, uczestnik planów księcia polskiego, kierownik misji do Prusów, ludu znajdującego się jeszcze całkowicie poza obrębem wspólnoty chrześcijańskiej, nadawał się szczególnie na wspólnego patrona wszystkich tych krajów leżących na wschód od Łaby. Uczeń szkoły magdeburskiej, mnich rzymskiego klasztoru na Awentynie, osobisty przyjaciel cesarza, wreszcie przedstawiciel Kościoła idącego do pogan, reprezentował jednocześnie ideę ponadpartykularnego związku światowego upostaciowanego w chrześcijańskim cesarstwie rzymskim. W budowie tego cesarstwa kult św. Wojciecha powinien był więc odegrać ważną rolę. Ale przecież był on jeszcze sprawą przyszłości. Pielgrzymka cesarska oraz erekcja arcybiskupstw pod wezwaniem tego patrona inicjowała dopiero ten kult i Otton III był jak najbardziej zainteresowany, by jego ogłoszenie stało się odpo-

wiednio głośne, by przez osobisty udział najwyższego władcy nowy kult wzbudził ogólne zainteresowanie.

Jechał zapewne cesarz do Gniezna z jakimiś mniej czy więcej określonymi projektami w stosunku do Bolesława i do organizacji Słowiańszczyzny. Słowiańszczyzny, nie Polski. Pojęcie Polski, szeroko już znane, stale używane przez współczesnego Thietmara, obce było sposobowi myślenia Ottona III. Jego celem była integracja owych czterech wielkich terytoriów składających się w jego koncepcji na cesarstwo rzymskie. Nie istniała dla niego Saksonia, Bawaria, Szwabia, Frankonia; budować chciał z nich jedną całość — Germanię. Podobnie jak ją, widział też zjednoczoną Sclavinię, sięgającą od Łaby aż po granice Rusi, której współcześni nie zaliczali jeszcze do krajów słowiańskich. W pojęciu Sclavinii miały się stopić wszystkie słowiańskie partykularyzmy. Na tym stanowisku stał Otton III konsekwentnie i gdy w Gnieźnie wystawiał kilka dokumentów, nie datował ich *in Polonia* — w Polsce, ale zgodnie ze stworzonym w swym umyśle modelem Europy — *in Sclavinia* — w Słowiańszczyźnie.

O konkretnych krokach w kierunku realizacji tej myśli miało zadecydować spotkanie z Chrobrym. Trapiła pewno cesarza obawa i niepewność, czy ów książę z Gniezna odpowie choć w części wyobrażeniom, jakie sobie o nim zaczął stwarzać, czy nie spotka go znów zwykły zawód i gorzkie przekonanie, że wyprzedza epokę, że nie jest przez tych, z którymi musi współpracować, rozumiany. Bolesław — co zrozumiałe — lepiej i dokładniej był poinformowany, z kim będzie miał do czynienia. Jego znajomość ludzkich reakcji, owa z zawiścią sławiona przez Thietmara „chytrość", odniosła też wielki triumf. Oczarował Ottona przyjmując go z czołobitnością i roztaczając

przed nim iście bizantyński przepych. Cesarz poczuł się w atmosferze, do której zawsze tęsknił, której nigdy nie potrafiono mu zapewnić w Niemczech. Wrażenie to rozproszyło wszystkie jego wątpliwości, uległ mu całkowicie. Zastał więcej niż się spodziewał. I klękając u grobu męczennika, dziękował mu zapewne z właściwą sobie egzaltacją, że za jego sprawą mógł wreszcie natrafić na godnego siebie przyjaciela.

Łudził się oczywiście cesarz wierząc, że słowiański władca podziela jego idee. Ale Bolesław umiejętnie go w tym mniemaniu podtrzymywał, zdając sobie z jednej strony sprawę z nierealności wizji ottońskich, z drugiej jednak strony widząc bezpośrednie dla siebie korzyści zarówno w przesuwaniu się głównego punktu zainteresowań cesarskich ku Rzymowi, jak i w akcentowanej równorzędności Germanii i Sclavinii, w której już jego ojciec był przecież najpotężniejszym władcą.

Przygotowana przez wykazujące zgodność poglądów rozmowy rozegrała się następnie słynna scena, tak rozmaicie interpretowana przez współczesnych nam historyków. Oto włożył cesarz Bolesławowi diadem na głowę, nadał mu jakiś tytuł wywyższający go ponad książąt i grafów, przyznał mu wreszcie nowe uprawnienia, z których dokładniej jesteśmy poinformowani jedynie o przywileju obsadzania stolic biskupich na podległym sobie terenie. Przedmiotem sporów naukowych jest sens owej ceremonii. Zdania są rozbieżne; od rozumienia jej jako spontanicznego gestu Ottona III, gestu pozbawionego znaczenia prawnego, do domyślania się w niej formalnego aktu koronacji królewskiej, nadania godności patrycjusza, czy nawet — uczynienia Chrobrego współrządcą cesarstwa.

Fragmentaryczne relacje źródłowe autorów, którzy

sami nie dość jasno zdawali sobie sprawę z treści formuł, jakie zwykł był wprowadzać Otton III, nie pozwalają kategorycznie przesądzić, jaki tytuł otrzymał z rąk cesarskich Bolesław Chrobry. Wiemy tyle, że wbrew późniejszej tradycji, której wyrazicielką jest kronika Galla, akt gnieźnieński nie był koronacją królewską. Mając za mało danych, by rekonstruować tytulaturę, mamy ich jednak dostateczną ilość, by określić miejsce zajęte wówczas przez Chrobrego w hierarchii władców europejskich oraz zakres przyznanych mu przez cesarza uprawnień.

Nie ograniczały się one do terytorium księstwa polskiego. Gall, opierając się na współczesnej wypadkom zaginionej pasji św. Wojciecha, informuje, że cesarz zrzekł się na rzecz Bolesława uprawnień w stosunku do Kościoła „w królestwie polskim oraz w innych podległych mu krajach". Gdzie indziej ten sam kronikarz podaje, że władztwo Chrobrego obejmowało dwie metropolie, a więc nie tylko gnieźnieńską. Jeden z roczników niemieckich stwierdza, że Otton III w Gnieźnie uregulował sprawy siedmiu biskupstw, choć wiemy, że na terenie Polski powstało ich wtedy tylko cztery. Dodajmy do tego pełen rozpaczy krzyk Thietmara: „Niechaj Bóg wybaczy cesarzowi, że czyniąc trybutariusza panem, wyniósł go tak wysoko, że ten... ośmielał się wciągać pomału w poddaństwo wyżej od niego stojących...". Późniejsze, po mającej niebawem nastąpić śmierci Ottona III, postępowanie Chrobrego wskazuje też wyraźnie, że czuł się on uprawniony do zwierzchnictwa nad terytoriami marchii aż po granice rzeczywistej Germanii. Przetrwała też w tradycji po czasy jego prawnuka pamięć o tym, jak polski władca wbijał słupy graniczne w rzekę Soławę (Salę), która wraz z Łabą oddzielała ziemie pokarolińskie od słowiańskich.

Kłóciłoby się zresztą z całą polityką Ottona III, z intencjami, w jakich budował kult św. Wojciecha i którymi ożywiony przybył do Gniezna, by nagle czynił kroki mające zwiększyć wyodrębnienie Polski. Jak już wskazywaliśmy, pojęcie Polski nie miało dla niego znaczenia. Przybył do Gniezna, by urządzać Słowiańszczyznę. W Słowiańszczyźnie też, jak ją wówczas pojmowano, uczynił Bolesława panem. Oznaczało to poddanie pod zwierzchnictwo Chrobrego ziem leżących na wschód od Łaby i Soławy, a więc również ustanowionych tam marchii i biskupstw prowincji magdeburskiej. Nie ma większego znaczenia, czy z tym zakresem władzy w cesarstwie łączył się tytuł patrycjusza, czy inny, który Otton mógł ad hoc stworzyć. Według Galla cesarz nazwał Bolesława *frater et cooperator* — „bratem i współpracownikiem" — i najlepiej to oddaje istotną pozycję księcia polskiego.

Gdy Otton III przybywał do Bolesława, ten powitał go w Iławie, nad rzeką Bobrem, u granic Śląska, u granic ówczesnej Polski. Opuszczającego Gniezno cesarza odprowadził już do Magdeburga, przemierzając aż po Łabę teren powierzony swemu włodarzeniu.

Postanowienia gnieźnieńskie wywołały mieszane reakcje w Niemczech. Upraszczałoby sprawę, gdybyśmy dostrzegali tylko nieprzychylne. Popularność Chrobrego wśród panów niemieckich była znaczna, wielu z nich żywiło do niego większą sympatię niż do cesarza, który też korzystał z tego czyniąc nieraz mgliste aluzje, że właśnie Bolesława upatrzył sobie na następcę. Przyjazna księciu polskiemu tradycja trwała długo i ubarwiła stosunek Ottona III do niego anegdotycznymi szczegółami nie zasługującymi na wiarę, jak na przykład wiadomość interpolatora kroniki Ademara de Chabannes o rzekomym przesłaniu przez cesarza w darze Bolesławowi tronu Karola Wielkiego.

Inna jednak grupa panów niemieckich, raczej liczniejsza, podzielała rozpacz Thietmara z powodu tak wielkiego wyniesienia Bolesława ponad tych, którzy dotąd uważali się za wyższych stanowiskiem od niego. Niewiele brakowało, a doszłoby w Niemczech do groźnego buntu przeciw cesarzowi. O powstrzymaniu się od niego zadecydowała ostrożność przywódcy opozycji antyottońskiej, Henryka księcia Bawarii, syna wielokrotnego pretendenta do tronu, Henryka Kłótnika. Sądził on słusznie, że czas działa na jego korzyść.

Rzeczywiście, los sam rozwiązał nabrzmiewający konflikt. Już na początku 1002 r. zmarł niespodziewanie młody cesarz, a w rok później śmierć zabrała także papieża Sylwestra II. Zeszli ze sceny dwaj twórcy idei odnowienia cesarstwa rzymskiego, która zbyt słabe zapuściła korzenie, by bez nich utrzymać się przy życiu. Rywalizacja o dziedzictwo tronu niemieckiego po bezdzietnym cesarzu nie trwała długo. Kandydaci stronnictwa ottońskiego — Ekkehard margrabia Miśni i Herman książę szwabski — nie znaleźli dostatecznego poparcia. Bez większych trudności objął panowanie reprezentant przeciwnej orientacji książę bawarski Henryk II Święty (1002 - 1024).

Nowy król taktownie oddawał cześć pamięci swego poprzednika i starał się łagodzić spory ze stronnictwem ottońskim, ale jego linia polityczna stanowiła oczywiste przeciwieństwo myśli zmarłego cesarza. Zwrot podkreślało jeszcze bardziej to, że Henryk również nawiązał do tradycji Karola Wielkiego, zupełnie inne jednak jej elementy wzniósł jako swój sztandar. Hasło Ottona III: *Renovatio Imperii Romani* zastąpione teraz zostało przez podobnie wystylizowane: *Renovatio Regni Francorum* — odnowienie królestwa Franków. Zamiast idei uniwersalnego państwa świata

chrześcijańskiego, zapewniającego równouprawnienie wchodzącym w jego skład wspólnotom, wysunięto otwarcie ideę panowania w tym świecie państwa niemieckiego, choć nie używano tej nazwy trwając przy historycznym tytule frankijskim. Cesarstwo traciło w tej koncepcji swój odrębny sens, stawało się tylko wyróżnieniem monarchy niemieckiego jako wyżej stojącego od innych. Nie spieszył się też zanadto Henryk II do korony cesarskiej — prawda, że i okoliczności mu nie sprzyjały — pozostaje jednak faktem wymownym, że przywdział ją dopiero w 1014 r., po dwunastu latach panowania.

Henryk II nie był postacią nową w życiu politycznym i trudno się było łudzić co do jego programu, choć miał on być sformułowany dopiero później. Toteż Bolesław Chrobry pierwszy podjął energiczną akcję realizacji uprawnień przyznanych mu w Gnieźnie, zmuszając króla do określenia swego do nich stosunku już na wstępie panowania, a więc w sytuacji, gdy Henrykowi zależało na unikaniu konfliktów ze stronnictwem ottońskim. Jeszcze przed elekcją Henryka opanował Milsko, Łużyce i Miśnię, której margrabia i jego wierny przyjaciel Ekkehard padł właśnie zamordowany przez przeciwników. Zarówno ludność słowiańska, jak i niemieccy feudałowie z tych ziem podporządkowywali się mu bez sprzeciwu uznając całkowicie jego prawną legitymację do zwierzchnictwa nad tym obszarem. Gdy następnie Chrobry zjawił się przed koronowanym już tymczasem Henrykiem na zjeździe panów saskich w Merseburgu, kroków przez niego podjętych król nie kwestionował, godząc się pozornie z objęciem przez księcia polskiego bezpośredniej władzy nad Łużycami i Milskiem oraz z osadzeniem na marchii miśnieńskiej bezwzględnie oddanego Bolesławowi Guncelina. Przełknął również

Henryk II w następnym roku wiadomość o zajęciu Czech przez Chrobrego (1003), ale w tym wypadku wezwał go do złożenia hołdu z tego kraju, od kilku już pokoleń stanowiącego lenno niemieckie. Bolesław jednak odrzucił żądanie króla stając widocznie na stanowisku, że także Czechy należą do obszaru powierzonej mu na zjeździe gnieźnieńskim Sclavinii.

Trwanie obu stron przy własnych pryncypiach musiało doprowadzić do wojny. Toczyła się ona ze zmiennym szczęściem przez lat kilkanaście, gdyż przerywające ją dwa pokoje były właściwie chwilowymi rozejmami i tylko formalne znaczenie ma wyodrębnienie trzech wojen księcia polskiego z królem niemieckim: 1004 - 1005, 1007 - 1013 i 1015 - 1018. W pierwszej z nich Bolesław, zaskoczony sojuszem Henryka II z Wieletami i niechętnym stanowiskiem Czechów, którzy poparli prowadzonego przez Henryka Przemyślidę Jaromira, poniósł kilka porażek, został zmuszony do opuszczenia Czech i nie zdołał powstrzymać pochodu armii niemieckiej w głąb ściślejszego terytorium polańskiego. Wycofanie się Niemców spod Poznania i ze Śląska okupił zrzeczeniem się Czech, Łużyc i Milska (pokój w Poznaniu 1005); utrzymał jednak wierne mu Morawy. W drugiej wojnie, choć rozpoczął ją Henryk, przewaga okazała się po stronie polskiej. Bolesław opanował ponownie Łużyce i Milsko i ten stan posiadania uznano w pokoju merseburskim 1013; ustępstwem ze strony Chrobrego było, że złożył wtedy hołd lenny Henrykowi II. Ostatnia, najbardziej zacięta wojna, nie przyniosła już zmian terytorialnych i pokój w Budziszynie (30 I 1018) zatwierdził panowanie Bolesława nad Łużycami i Milskiem. Miśni wojom polskim nie udało się zdobyć.

W sumie wojna Chrobrego z Henrykiem II jest oceniana jako wielki triumf strony polskiej, a pokój

budziszyński uważa nasza historiografia za kapitulację króla niemieckiego, w tym momencie już cesarza, i uznanie przez niego niezależności Polski. Cytuje się w związku z tym komentarz Thietmara, ze „był to pokój nie, jaki być powinien, lecz jaki dało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji".

Niewątpliwie z punktu widzenia militarnego wojna przyniosła sukces stronie polskiej. Ocena jej skutków politycznych wymaga jednak dyskusji. Wydaje się umniejszaniem ówczesnej pozycji Polski uproszczony pogląd, jakoby toczyła się ona o narzucenie Polsce zwierzchnictwa niemieckiego. W rzeczywistości przedmiotem sporu była odmienna interpretacja przez obie strony koncepcji cesarstwa, miejsca w nim Germanii i Sclavinii oraz granic królestwa niemieckiego. Bolesław Chrobry bronił w tym wypadku pojęć reprezentowanych przez Ottona III, które znalazły wyraz w postanowieniach zjazdu gnieźnieńskiego. Henryk II nie godził się na uznanie Łaby za granicę Niemiec, a postanowienia gnieźnieńskie, których otwarcie nie kwestionował, interpretował jako przyznanie księciu polskiemu niektórych terytoriów zachodniosłowiańskich jako lenna niemieckiego. Za Chrobrym stało w Niemczech stronnictwo ottońskie i książę polski usiłował je poruszyć do walki, wiele sobie obiecując zwłaszcza po buncie przeciw królowi kierowanym przez Henryka ze Schweinfurtu, któremu już w 1003 r. posyłał posiłki. Przerzucenie teatru działań wojennych na obszar Niemiec nie udało się jednak, bunt Henryka ze Schweinfurtu został szybko stłumiony i główne walki wszystkich trzech wojen toczyły się na wschód od Łaby, w niektórych latach także na rdzennym terytorium polskim. Niemniej wojna aż do pokoju merseburskiego zachowała swój pierwotny charakter starcia ideologicznego. Wpływy Chrobrego

w Niemczech bynajmniej nie malały. Henryk II miał raczej poparcie zależnej od króla hierarchii kościelnej, natomiast wśród panów świeckich wielu sprzyjało jego polskiemu przeciwnikowi — niektórzy jawnie, inni skrycie — a niepopularny sojusz króla z Wieletami sprawiał, że nawet niektórzy dawni przeciwnicy Chrobrego zmieniali swe poglądy. Bolesław nadając prowadzonej przez siebie wojnie charakter obrony idei cesarstwa uniwersalnego usiłował też skłonić papiestwo do opowiedzenia się po jego stronie, a choć instytucja ta po śmierci Sylwestra II przeżywała znów kryzys, przecież głos jej mógł zaważyć na szali i Henryk II wiele energii poświęcił temu, by zamknąć przed posłami księcia polskiego drogi do Rzymu. Zasługuje też na uwagę, jak bardzo starał się Chrobry wyciągnąć korzyści propagandowe z sojuszu Henryka II z Wieletami przedstawiając go jako zdradę idei chrześcijańskiego cesarstwa. Ciężar gatunkowy tej tezy zwiększył fakt, że sformułował ją w słynnym liście do króla niemiecki misjonarz i arcybiskup, człowiek skądinąd bliski Henrykowi II, Bruno z Kwerfurtu (1008).

„Czy jest to dobrem prześladować chrześcijanina a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskim?" — atakował Henryka Bolesław piórem Brunona — „Co za zgoda Chrystusa z Belialem, co za porównanie światła z ciemnością? Jak mogą się zgadzać diabeł Swarożyc i wódz świętych, nasz Maurycy?... Czy nie wierzysz w grzech, o królu, gdy głowa chrześcijańska, co hańba powiedzieć, kroczy pod godłem demonów?"

W następnych latach Chrobry przekonywał się jednak stopniowo do zmiany pierwotnego stanowiska. Siły, na które liczył, istniały wprawdzie i przyczyniały się w znacznym stopniu do polskich zwycięstw w starciach wojennych, lecz okazywały się zbyt słabe,

by narzucić Henrykowi II przyjęcie koncepcji politycznych poprzednika. Wojna natomiast stawała się zbyt uciążliwa. Przyniosła utratę Pomorza Zachodniego lub przynajmniej jego części, gdzie wróciły wpływy wieleckie. Działania wojenne prowadzone z dużym wysiłkiem i nakładem kosztów wciąż na tym samym terytorium wyniszczyły je i nie przynosiły już bezpośredniej rekompensaty w postaci wartościowych łupów i brańców. Także w najbliższych latach po zawarciu pokoju trudno było liczyć na dochody ze spustoszonych Łużyc i Milska. Łupy wojenne były zaś ciągle tym, co najbardziej wiązało drużynę z księciem i kwestią utrzymania książęcego autorytetu było je jej zapewnić. Toteż paląca konieczność zaprzestania kosztownych zmagań z Henrykiem II i zwrócenia się w kierunku, gdzie by łatwiej było o efektywny sukces, skłoniła wreszcie Chrobrego do nieupierania się przy dotychczasowej interpretacji postanowień gnieźnieńskich. Umożliwiło to merseburski kompromis z 1013 r., kiedy Bolesław zgodził się zatrzymać Łużyce i Milsko jako lenno. Tak powszechnie rozumie się złożenie przez niego hołdu Henrykowi II, chociaż nieznajomość bliższych szczegółów tego aktu dozwala nadawać mu także inne znaczenie. Król przygotowywał się mianowicie do wyprawy do Rzymu po koronę cesarską i hołd księcia polskiego mógł być tylko wyrazem uznania w Henryku przyszłego cesarza.

Najbliższe wydarzenia wskazują jednak, że Bolesław odrzucił już wszystkie konsekwencje roli, jaką Otton III przeznaczył mu w cesarstwie. Wnet po zawarciu pokoju z Henrykiem II ruszył po łupy na ziemie ruskie wspomagany przez oddział niemiecki oraz koczujących na stepach czarnomorskich Pieczyngów. Tych ostatnich kazał potem wprawdzie wyrżnąć,

gdy popadł z nimi w spór o podział łupów, ale fakt sprzymierzenia się z pogańskimi hordami przeciw chrześcijańskiemu Włodzimierzowi kijowskiemu przypominał użycie Wieletów przez Henryka II przeciw niemu samemu i świadczył o odstępstwie od propagowanych do niedawna zasad politycznych.

Tymczasem Henryk II przywdział w Rzymie koronę cesarską i pozwolił sobie przy tym na nowy akt, podkreślający nowe rozumienie treści tego zaszczytu. Oto złożył na ołtarzu koronę królewską podkreślając przez to, że nie przyjmuje władzy odrębnej od dotychczas posiadanej, a jedynie zmienia przysługujący mu tytuł. Z tą chwilą idee Ottona III zostały ostatecznie złożone do grobu.

W tej sytuacji podjęta na nowo wojna polsko-niemiecka nie miała już charakteru walki o koncepcję cesarstwa, którą to sprawę wszyscy już uznali za przesądzoną. Chrobry nie znalazł się przez to w mniej wygodnej sytuacji, gdyż sensu walki z nim większość panów niemieckich już nie rozumiała i ci, którzy dotąd oburzali się na jego uroszczenia, teraz sami parli do ugody. Przypieczętowując ją pokój budziszyński świadczył na równi o potędze Chrobrego, jak i o bankructwie tych idei, które poczęły się w Gnieźnie w r. 1000 i których nadaremnie usiłował bronić książę polski przez lat kilkanaście.

Nie powrócił już też do nich zadowalając się do końca życia uzyskanymi nad Łabą nabytkami terytorialnymi. Tak, jak po pokoju merseburskim, zwrócił się teraz na wschód, gdzie walki dynastyczne po śmierci Włodzimierza Wielkiego stwarzały pozór do interwencji i ułatwiały osiągnięcie sukcesu. Popierany i posiłkowany przez Henryka II, który w wyprawie kijowskiej mile widział dywersję przeciw Bizancjum, wkroczył do bogatej stolicy ruskiej, osadził na niej wygna-

nego przedtem przez brata Jarosława swego zięcia Świętopełka, wywiózł łup większy, niż przynosiły kiedykolwiek przygraniczne wyprawy, przywrócił zwierzchnictwo polskie nad Przemyślem i Czerwieniem. W pamięci następnych kilku pokoleń, wciąż jeszcze oceniających sukces po ilości zdobytego złota, wyprawa ta, choć pozbawiona znaczenia politycznego i trwałych konsekwencji, przyćmiła wieloletnie zmagania o granicę zachodnią i urosła do legendy. Symbolem wielkiego władcy stał się w tradycji Szczerbiec, miecz, którym rzekomo Chrobry miał uderzyć w bramę Kijowa na znak wzięcia go w posiadanie. Trudno o symbol bardziej fałszywy.

O ostatnim siedmioleciu rządów Bolesława Chrobrego brak udokumentowanych wiadomości. Po latach walk zbrojnych poświęcił je zapewne umacnianiu wewnętrznej zwartości państwa. Domyślamy się, że wprowadził do Polski instytucje wzorowane na monarchiach Zachodu, przystosowując je do miejscowych stosunków. Sam też po zgonie Henryka II (1024), wobec którego pozostawał do końca lojalny, na krótko przed własną śmiercią kazał się swemu arcybiskupowi koronować na króla (1025). Było to ostatnie znane nam dzieło jego życia.

W intencji Chrobrego akt ten był niewątpliwie demonstracją zewnętrznopolityczną. Przemawia za tym zarówno moment, w jakim go dokonał, jak i niechętne reakcje w Niemczech. Wbrew rozpowszechnionym sądom korona królewska nie była wprawdzie w XI w. symbolem suwerenności i nie ujmowała nic przywilejom uniwersalnego cesarstwa, ale podkreślała równorzędność Polski z królestwem niemieckim, które od cesarstwa starannie dwór polski odróżniał. Po upadku koncepcji Ottona III, gdy podstawy równorzędności Germanii i Sclavinii, ustalone na zjeździe gnieźnień-

skim, straciły prawne znaczenie, monarcha polski poszukiwał formuły, która zapobiegałaby traktowaniu jego i jego następców jako sui generis *diuków* czy *marchionów* króla niemieckiego, czemu rozwój pojęć o charakterze cesarstwa w Niemczech już od czasów Henryka II sprzyjał niewątpliwie. Pierwszy król Polski skorzystał tu z wzoru Węgier, gdzie już w 1001 r. przywdział koronę syn Gejzy Stefan Święty, zabezpieczając nią swą dynastię przed uroszczeniami obydwu cesarstw, których wpływy w tym kraju się krzyżowały. Koronacja będąc obrzędem sakralnym czyniła z monarchy pomazańca bożego, jego prawo do władzy legitymowała wolą Boga, a więc tym samym źródłem, z którego wyprowadzano władzę cesarską i papieską.

Z tych samych przyczyn miała ona też znaczenie wewnętrznopolityczne i to w perspektywie wieków okazywało się trwalsze.

FERMENTY WEWNĘTRZNE

Wszesnośredniowieczne państwo polskie wyrosło z państwa Polan i podstawowe jego instytucje wywodzą się z okresu poprzedniego, ale rozrost terytorialny stwarzał mu nowe zadania i rodził nowe możliwości. Władza reprezentowana przez księcia panującego opierała się u schyłku X i na początku XI w. w dalszym ciągu na drużynie, ale ta nie była już tylko jego oddziałem przybocznym złożonym z kilkuset ludzi, jak to bywało w państewkach kantonalnych. Od podróżnika arabskiego wiemy, że Mieszko I „...ma trzy tysiące pancernych podzielonych na oddziały, a setka ich znaczy tyle, co dziesięć secin innych. Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego

tylko potrzebują". Wiarogodność tej relacji daje się sprawdzić. Nie ma w niej nic z przesady.

Dzięki drużynie książę stał się panem rozległego terytorium i uzurpował sobie na nim uprawnienia, należące dawniej do wspólnoty i jej organów społecznych. Prócz tego, że był wodzem, uczynił siebie prawodawcą, najwyższym sędzią, a wreszcie posiadaczem zwierzchnich praw do ziemi podległego mu kraju. Dystans między nim a równymi mu początkowo możnymi rósł i w regionach najdawniej podległych dynastii polańskiej, zwłaszcza na rdzennym terytorium polańskim książę nie miał konkurentów.

Drużyna bogaciła go łupiąc sąsiadów, uzależniała od niego nowe ziemie, gwarantowała, że nie zmiecie go żaden bunt ujarzmianej stopniowo ludności.

Świadczenia były obustronne. Drużynników, obojętnie skąd się rekrutowali — a byli wśród nich wychodźcy z wolnych rodzin opolnych, cudzoziemskie przybłędy, a także niewolni — książę żywił, zbroił, otaczał opieką, prowadził na korzystne wyprawy, by mogli gromadzić łup, który w wieku stateczniejszym pozwoli im poprowadzić dostatnie gospodarstwo. Wywyższał ich ponad resztę społeczeństwa. Prawo wczesnego średniowiecza, stosujące odpłatność za zabójstwo lub zranienie człowieka, kary te różnicowało: główszczyzna — karna opłata za zabójstwo — i nawiązka — za zranienie — wynosiły więcej, gdy ofiarą padł wolny, niż gdy był nią niewolny, ale najwyższe odszkodowanie należało się za głowę lub ranę drużynnika.

Księcia i jego drużynę utrzymywała cała reszta wolnej ludności, obowiązanej do danin w części wygospodarowywanych przez siebie produktów, zwłaszcza w zbożu (osep, sep) i nierogaciźnie (narzaz), a także w bydle, rybach, miodzie i wosku, skórach. Wybierano je od opoli (krowa opolna) i od poszcze-

gólnych gospodarstw (podworowe, podymne), a również w stosunku do ich siły produkcyjnej mierzonej liczebnością sprzężaju (powołowe, poradlne). Do świadczeń okolicznościowych należał najuciążliwszy stan albo stacja, polegające na obowiązku utrzymywania dworu książęcego lub jego drużyny czy urzędników w czasie przejazdu przez daną okolicę, oraz występujące zazwyczaj łącznie powóz, podwoda i przewód, czyli obowiązek dostarczania księciu i jego funkcjonariuszom wozów, siły pociągowej i ludzi do obsługi transportu.

Świadczenia te wywodziły się zapewne z dwóch źródeł. Pierwszym był niewątpliwie ustalony już w bardziej prymitywnych organizacjach politycznych obowiązek ponoszenia kosztów systemu obronnego wspólnoty przez wszystkich bez wyjątku osiadłych wolnych, drugim — co do czego nie mamy pewności — mogła być nowa zasada obowiązku danniczego użytkowników ziemi w stosunku do księcia jako jej pana zwierzchniego. Niektóre z wymienionych świadczeń byłyby wobec tego formą renty feudalnej. Czy można ją odnieść już do omawianych lat, wymaga jeszcze badań. Na to, że powinności wobec księcia jako reprezentanta władzy państwowej odróżniano od podobnych powinności należnych księciu jako zwierzchniemu panu ziemi wydają się wskazywać późniejsze formuły zwolnień od ciężarów „zarówno publicznych, jak prywatnych", ale widzimy w tym już wpływ pojęć prawa rzymskiego. Wczesne średniowiecze takich rozróżnień jeszcze nie znało.

Obowiązki dannicze ludności wolnej nie uchylały jej również powszechnego obowiązku uczestniczenia w obronie kraju. Różnił się on od zadań drużyny, przeznaczonej głównie do wypraw poza granice państwa. Ludność osiadła miała bronić najbliższego okręgu

grodowego, gdyby tam wtargnął nieprzyjaciel, a pobiwszy go ścigać aż do granicy tego rejonu; pociągano ją też do prac przy wznoszeniu i naprawie grodów i umocnień.

Najważniejsze i najuciążliwsze czynności związane z obroną kraju obciążały więc osiadłe rodziny opolne. Były to zarazem czynności, przy których zużytego trudu nie rekompensowała perspektywa zdobyczy. Na tym tle jeszcze wyraźniej występuje uprzywilejowanie drużyny, wolnej od trosk materialnych, żyjącej kosztem całego społeczeństwa, a za wykonywane obowiązki osobno wynagradzanej.

Hierarchia społeczna uległa odwróceniu. We wczesnych fazach organizacji opolnej i powstających na jej bazie państewek kantonalnych pełnoprawnymi członkami wspólnoty były osiadłe rodziny rolnicze. Członkowie drużyn nie cieszyli się poważaniem: były to w świadomości ogółu wywłoki pozbawione ogniska domowego, najemnicy służący wspólnocie za wynagrodzeniem. W rozwijającym się państwie stanęli ponad społeczeństwem zagarniając przywileje, a dawnym swym mocodawcom pozostawiając wzrastające obowiązki.

Potrzebom organizacji drużynnej podporządkowywała się cała niemal działalność państwa. Budowa nowych grodów i rozbudowa starych, szczególnie intensywna za czasów Mieszka I, w niewielkim stosunkowo stopniu służyła bezpośrednio sprawie obronności kraju przed wrogiem zewnętrznym. Podstawowym celem tworzenia sieci grodowej było umocnienie organizacji wewnętrznej państwa, ściślejsze podporządkowanie ludności organom władzy państwowej, sprawniejsze egzekwowanie narzucanych ciężarów. Grody, zwane później kasztelańskimi, stawały się ośrodkami aparatu administracyjno-skarbowego, zgodnie

z charakterem ówczesnej monarchii połączonego ściśle z organizacją wojskową. Dowódcy tych grodów i ich załóg, w tekstach łacińskich zwani komesami, choć z hrabiami karolińskimi łączyło ich tylko nikłe podobieństwo, czuwali nad wybieraniem świadczeń od ludności podległych im okręgów, kierowali w razie potrzeby lokalną obroną, a oprócz tego byli też zarządcami włości książęcych.

Bardzo już bowiem wcześnie rozrosła się gospodarka własna księcia, który miał warunki do jej rozwijania, jakich poza nim nie miał jeszcze nikt, gdyż dysponował siłą roboczą. Jej źródłem byli przede wszystkim brańcy wojenni, których większość — zgodnie z zasadami podziału łupów — przypadała wodzowi. Dzięki temu panujący mógł użytkować rozległe połaci ziemi. Własna gospodarka rolna i hodowlana, a także bartnicza, łowiecka i rybacka uniezależniała go od możliwych zakłóceń w ściąganiu danin przez nie dość jeszcze sprawny aparat skarbowy oraz pozwalała na prowadzenie tych jej działów, które dla potrzeb wojskowych były niezbędne, jak zwłaszcza hodowla koni, w drobnych gospodarstwach opolnych nieopłacalna.

Prócz czeladzi niewolnej książę korzystał w swoich włościach z robocizny ludności niewolnej i zależnej, osadzanej na gospodarstwach w zamian za pełnienie określonych służb. Wokół grodów jako ośrodków kierowniczych powstawały w ten sposób osady służebne, których nazwy wskazują na charakter świadczeń ich mieszkańców. Rekrutowała się z nich przede wszystkim służba hodowlana (Skotniki, Owczary, Koniary, Koniuchy, Kobylniki), łowiecka (Sokolniki, Bobrowniki), rybacka (Rybaki) i bartnicza (Bartniki). Charakter osad służebnych miały też wsie, których ludność pełniła posługi rzemieślnicze tak na rzecz gospodarst-

wa książęcego, jak i dla grodu (Kowale, Bednary, Grotniki, Szczytniki itp.). Rzemiosło nie było głównym zajęciem mieszkańców tych osad; były to osady rolnicze, które rzemiosłem trudniły się ubocznie, aby wypełnić narzucone im powinności.

Rzemiosło wyspecjalizowane skupiało się na podgrodziach. Podgrodzianie, zróżnicowani pod względem swych specjalności, także nie zaniedbywali całkowicie zajęć rolniczych, a częścią wytworów swego rzemiosła spełniali swój obowiązek danniczy wobec grodu, ale ich produkcja przekraczała wysokość powinności. Tam, gdzie je przekraczała znacznie, wśród rzemieślników zjawiali się kupcy, ożywiał się miejscowy targ, służąc zarówno naturalnej wymianie lokalnej płodów rolnych na wyroby rzemieślnicze, jak i handlowi dalekosiężnemu opartemu na obrocie towarowo-pieniężnym. Funkcjonując przez dłuższy czas stale w oparciu o dopływ produktów miejscowego rzemiosła przynosił ludności kupiecko-rzemieślniczej dochody znacznie większe, niż by mogła zapewnić uprawa roli. Specjalizacja posuwała się dalej, przybywało różnorakich rzemiosł, podgrodzie połączone z osadą targową przekształcało się w miasto wczesnośredniowieczne.

Nie był to jednak los każdego podgrodzia rzemieślniczego. Aby rozwijała się na szerszą skalę wymiana towarowo-pieniężna, aby targ rzeczywiście przyciągał kupców, trzeba było spełnienia wielu warunków. Miasto musiało być nie tylko dostawcą towaru, ale i chętnym odbiorcą przedmiotów handlu dalekosiężnego. Nabywcami obcych towarów mogli być jednak ci, którzy dysponowali siłą nabywczą — przede wszystkim sam książę, wąskie grono możnych, drużynnicy. Kupiec wożący drogocenne towary nie zjawiał się też tam, gdzie bezpieczeństwo na samym targu lub na prowadzących do niego drogach było wątpliwe

i rosło ryzyko narażenia się na rabunek. Toteż miasta tworzyły się przy grodach najpotężniejszych i najbogatszych, rezydencjach książęcych i głównych centrach administracyjnych, leżących przy wygodnych, uczęszczanych i kontrolowanych przez państwo drogach. W XI w. można ich naliczyć na ziemiach polskich do trzydziestu, a większość z nich należy do trzech wielkich skupisk. Jedno z nich — na Pomorzu Zachodnim — wyrosło niezależnie od działalności państwa polskiego jako rezultat lokalnych procesów społecznych przyspieszanych korzystnym położeniem nadmorskim. Również drugie — na ziemiach południowych, od Śląska poprzez Kraków w stronę granicy ruskiej — rozkwitło przed połączeniem się z Polską, ale najprawdopodobniej nie bez związku z działalnością miejscowych organizacji politycznych a także państwa czeskiego, ciągnącego profity z przebiegającej tędy ważnej drogi handlu światowego z Europy zachodniej na Wschód. Trzecie jednak, najgęstsze, na ziemiach polańskich między średnią Wartą a Wisłą, powstało raczej na uboczu tradycyjnych szlaków i było rezultatem wytworzenia się tam ośrodka wielkiego państwa. Gniezno, Poznań, Giecz i Kruszwica stanowiły łącznie stołeczny zespół grodów, między które za czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego rozdzielano główne siły drużynne.

Funkcjonowanie miasta wymagało opieki ze strony księcia, ale stało się też nowym źródłem jego dochodów. Wciągało dwór książęcy w obrót towarowo-pieniężny, pozwalając sprzedawać zbywające nadwyżki z danin i własnej gospodarki oraz nabytki, których źródłem był łup wojenny — także niewolników — a z drugiej strony zaopatrywać się w doskonalsze uzbrojenie i przedmioty luksusu. Do skarbu książęcego płynęły też zyski pochodzące z obrotów, w któ-

rych państwo nie uczestniczyło, dzięki systemowi ceł, myt i opłat targowych.

Nie brakowało więc książętom polskim środków materialnych: zadziwiali nimi sąsiadów, czego dostatecznie wyraźne dowody znajdujemy we współczesnych źródłach. Troskę natomiast prawdziwą stanowił niedostatek rycerstwa. Owe trzy tysiące drużynników, o których poinformował nas Ibrahim ibn Jakub, wykruszały się przecież szybko. Ginęli w walkach, w zwadach, umierali z chorób, wytrącało ich z szeregów kalectwo, osiągali wreszcie wiek, kiedy ten sposób służby stawał się za ciężki. Bardzo musiał zmaleć stan Mieszkowej drużyny po pierwszych krwawych starciach z Wieletami i Wichmanem, skoro dopiero dar czeskiego teścia w postaci oddziału konnych pozwolił mu wziąć na nieprzyjacielu zwycięski odwet. A przecież w miarę rozrostu terytorialnego państwa i przemian w jego organizacji potrzeby się uwielokrotniały. Trzeba było obsadzać załogami grody wewnątrz kraju, trzeba było pilnować coraz bardziej rozciągniętych granic i widocznie niełatwo radził sobie książę polski z tymi mnożącymi się zadaniami, jeśli w ogóle nie zareagował na najazd ruski na Przemyśl i Czerwień mając w przeciwnej stronie państwa skoncentrowaną siłę zbrojną.

Sposób rekrutacji tej siły stanowił więc najdonioślejsze bodaj zagadnienie państwowe. Trafnie to przedstawia nasz najstarszy kronikarz tak oto charakteryzując zabiegi Bolesława Chrobrego: „Jednak chociaż w tyle ogromnych opływał król Bolesław bogactw i miał dzielnych rycerzy, jak wyżej powiedziano, więcej niż jakikolwiek inny król, żalił się przecie zawsze, że właśnie samych rycerzy mu tylko brakuje. I którykolwiek dzielny przybysz u niego zyskał uznanie w służbie rycerskiej, już nie rycerzem był nazywany,

lecz synem królewskim; i jeśli kiedy o którymkolwiek z nich — jak to się trafia — król posłyszał, że nie wiedzie mu się w koniach lub w czymkolwiek innym, wtedy w nieskończoność obsypywał go darami i śmiał się żartobliwie do otaczających go: — Gdybym mógł tak samo bogactwami ocalić tego dzielnego rycerza od śmierci, jak mogę jego nieszczęście i niedostatek zaspokoić moimi zasobami, to bym samą chciwą śmierć obładował bogactwami, ażeby zatrzymać w służbie rycerskiej tego zucha" (Gall I 16).

Że cudzoziemcy odgrywali znaczną rolę w wojsku Chrobrego, nie ulega wątpliwości. Niektórych z nich znamy z imienia, jak Sobiebora, brata św. Wojciecha, który schronił się do Polski po katastrofie Sławnikowiców i służąc naszemu księciu poległ w odwrocie z Pragi w 1004 r., jak Niemca Eryka zwanego Pysznym, który zbiegł do Chrobrego przed karą grożącą mu za popełnione zabójstwo, uczestniczył w walkach z cesarzem, a potem w wyprawie kijowskiej i położył głowę w bitwie nad Bugiem. Polska nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Hołubiły obcych Ruś i Węggry, i to nie dopiero od czasu chrystianizacji. Obcych wodzów drużynnych z ich towarzyszami wołano jeszcze w okresie państewek kantonalnych, jak o tym świadczą Waregowie na Rusi czy Wichman u Wieletów, żeby nie cofać się aż do czasów Samona.

Taki system dorabiania się wojska, który mógł zadowalać księcia-wodza prymitywnego państewka, nie odpowiadał już potrzebom stabilizującej się monarchii. Improwizację musiały zastąpić instytucje. Dopływ elementu cudzoziemskiego ceniono wprawdzie nadal, ale już bardziej jako nosicieli nowych obyczajów i umiejętności, jako łączników ze światem, nie zaś jako pospolitych rębajłów.

Obok więc drużyny w jej tradycyjnym kształcie

państwo tworzyło nową formę służby rycerskiej. Zapoczątkowało ją zapewne osadzenie wysłużonych drużynników na ziemi z obowiązkiem jednak stawania konno i zbrojno na rozkaz książęcy, w zamian za co uzyskiwali oni zwolnienie od wszelkich ciężarów, którym normalnie podlegała ludność osiadła. Następnym krokiem w tym kierunku było zwalnianie od świadczeń tych wszystkich, którzy zadeklarują gotowość pełnienia służby konnej na podobnych warunkach.

Korzystali z tego przeważnie zamożniejsi. Utrzymywanie konia bojowego, w gospodarstwie nieprzydatnego, łączyło się bowiem z kosztami, których uwolnienie od danin nie zawsze rekompensowało. Służba wojskowa odrywała ponadto od zajęć gospodarskich, trzeba więc było mieć w domu dość siły roboczej czy to członków rodziny, czy niewolnych, aby podołać jednym i drugim obowiązkom. Ale na dłuższą metę rzecz się opłacała. Służba księciu, a zwłaszcza uczestnictwo w wyprawach wojennych stwarzały perspektywę zysków zupełnie innej skali niż dochody przynoszone przez pracę na roli.

Przywileje związane z dzierżeniem ziemi *iure militari* — na prawie rycerskim, czy może włodyczym — a więc zwolnienie od danin i posług pospolitych oraz wyższa główszczyzna i nawiązka pogłębiały rozwarstwienie społeczne. Pośród ludności rolniczej opoli — smardów — obciążonej wielorakimi świadczeniami i z trudem zapewniającej sobie minimum utrzymania, wyróżniali się coraz bardziej włodycy, wolni od wszelkich obciążeń, zasilani żołdem książęcym, przywożący z wojen kosztowne łupy oraz brańców, którzy na nich pracowali, a przy tym nie tylko faktycznie, ale prawnie zaliczani do klasy panującej.

Procesy te, w różnym co prawda tempie, dokonywały się na całym obszarze ziem polskich i — jak słusz-

nie podkreśla Karol Buczek — były w toku jeszcze w czasach poprzedzających stworzenie państwa ogólnopolskiego. Ich wczesna geneza spowodowała też pewne różnice w uwarstwieniu społecznym rdzennego terytorium polańskiego i później przyłączonych *pertynencji*. Na starych ziemiach polańskich pozycja książąt władających tu dziedzicznie od kilku pokoleń ugruntowała się zbyt dawno, aby mogła tu wyrosnąć spośród lokalnych możnych konkurencja dla dynastii. Stanowisko w społeczeństwie zależało przede wszystkim od zaufania księcia i uzyskanego z jego ręki udziału we władzy państwowej, toteż rozwój znaczenia pierwotnego możnowładztwa został tu zahamowany. Inne ziemie weszły jednak na tory tworzenia zaczątków życia państwowego niezależnie od dynastii polańskiej. Wytworzyły się tam lokalne dynastie lub zapewne częściej oligarchie możnych rodów zyskujące sobie w miejscowym społeczeństwie analogiczną pozycję do tej, jaką u Polan zdobyli książęta gnieźnieńscy. Podporządkowanie owych państewek ośrodkowi polańskiemu mogło w niektórych wypadkach pociągnąć za sobą wytracenie owego możnowładztwa i konfiskatę jego dóbr na rzecz zwycięskiej monarchii, częściej jednak do takiego przewrotu nie dochodziło. Miejscowi możni za udzielenie poparcia monarchii pozostawali na czele stworzonego przez siebie aparatu władzy jako urzędnicy lub namiestnicy księcia Polan.

Nawet jeszcze za czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego nie jesteśmy dokładnie poinformowani o sposobie powiązania *pertynencji* z polańskim ośrodkiem państwa. Część z nich, zwłaszcza starsze chronologicznie nabytki, choć może też nie wszystkie, związano zapewne ściślejszymi węzłami z państwem rozciągając na nie polańską administrację. Niektóre jednak pozostawały z Gnieznem w luźniejszym związ-

ku, pod bezpośrednimi rządami miejscowych wielmożów, jako terytoria uzależnione, płacące księciu polskiemu zryczałtowaną daninę i stawiające do jego dyspozycji pewną liczbę zbrojnych także pod lokalnym dowództwem. W tej sytuacji znajdowały się kraje pomorskie, dotyczy to też chyba peryferii południowo-wschodniej oraz nabytków Chrobrego. Kraków i Śląsk podporządkowano, jak się zdaje, ogólnopolskiej organizacji administracyjnej zaraz po ich opanowaniu, ale korzystano przy tym z wytworzonych tam już form i nie naruszano miejscowej hierarchii społecznej, której szczytom powierzono funkcje urzędnicze. Stosowano też nieraz rozwiązanie kompromisowe polegające na zachowaniu pewnej odrębności danego kraju, któremu jednak jako bezpośredniego zwierzchnika narzucano członka dynastii gnieźnieńskiej. Może już Mieszko I stawiał na czele *pertynencji* swych braci, choć brak na to wyraźnego dowodu; w następnych pokoleniach wydzielanie ziem pod zarząd braci i synów księcia zwierzchniego stało się już stałym zwyczajem i chociaż ci juniorowie częściej nawet niż kto inny podrywali się do buntów, przecież ich rządy w uzależnionych krajach stwarzały tradycję dynastyczną i przyczyniały się do postępu integracji całego terytorium państwa.

A właśnie integracja wewnętrzna stawała się poważnym problemem dla rządców państwa w miarę jego wzrostu terytorialnego i przemian społecznych. Te tendencje rozwojowe, które wyżej szkicowaliśmy, targały przecież dawne tradycyjne więzi społeczne i autorytety. Nadwerężała się więź rodzinna, władza dziadów, wiara w wartość doświadczeń starszych, zaufanie do wpajanych nauk i wierzeń. Śmiała inicjatywa dawała jednostce lepsze perspektywy życiowe niż kroczenie utartymi koleinami. Dumny niegdyś nie-

zależnością gospodarz w opolu spadał do podrzędnej roli w społeczeństwie; lepiej działo się tym, co odeszli szukać swej szansy w nowy sposób, w drużynie książęcej, czy choćby w pośledniejszej służbie dla grodu. Ci, co popróbowali ryzyka, przekonywali się często, że nie ściga ich zemsta obrażonych duchów, widać bóg książęcy strzeże ich lepiej niż porzucone bóstwa domowe. Ale dla innych — tych z *pertynencji* — znowu bóg księcia polańskiego był bogiem obcym: nie chcieli podporządkować się gnieźnieńskiemu Siemowitowi, gdy wypróbowali już opieki bogów własnego plemienia.

U jednych kryzys więzi społecznych łączył się z kryzysem wierzeń, które dawały sprawdzalnie fałszywy obraz świata. U drugich przywiązanie do tradycyjnych wierzeń prowadziło do niechęci do państwa, do separatyzmu lokalnego. W obu wypadkach były to zjawiska dezintegrujące. Nowa rzeczywistość nie dawała się przystosować do starych pojęć ani te pojęcia nie mogły służyć akceptacji dokonywających się przemian. Władza państwowa i nowa struktura społeczna pozbawiały się oparcia w sankcji uznawanych sił nadprzyrodzonych.

Wobec tego problemu stawały w pewnym momencie wszystkie przedchrześcijańskie państwa w średniowiecznej Europie. W świecie słowiańskim próbowano różnych dróg wyjścia. Na Rusi Włodzimierz Wielki przeprowadzał odgórnie reformę dotychczasowego kultu tworząc panteon różnych bóstw czczonych w poszczególnych częściach państwa, ale na ich czele stawiając boga dworu kijowskiego i drużyny — Peruna. W podobnym kierunku szła ewolucja oficjalnego kultu u Słowian połabskich, gdzie albo podporządkowywano bóstwa regionalne jednemu najwyższemu, albo z kilku bóstw tworzono jedno wyobrażane w wielopostacio-

wych posągach. Adaptowano do tradycyjnych pojęć również pewne formy obrzędowe i wzory organizacyjne kultu chrześcijańskiego. Jak się wydaje, nigdzie te przemiany nie spełniły swego zadania. Względna długotrwałość rodzimego kultu u zachodnich Słowian nadbałtyckich jest zjawiskiem wyjątkowym, a zadecydowała o niej specyficzna sytuacja polityczna tego regionu. Właściwym czynnikiem integrującym tamtejsze społeczeństwo stała się fanatyczna nienawiść do obcoplemiennych sąsiadów — Niemców i Duńczyków — z którymi toczono kilkuwiekową walkę — i na tym tle, jako zjawisko wtórne, rodziło się przywiązanie do własnego kultu odróżniającego swoich od najeźdźców.

Reformy lokalnych wierzeń, tworzenie z nich systemu przystosowanego do nowych stosunków społeczno-politycznych nie mogły zdać egzaminu, gdyż — po pierwsze — były połowiczne i ani nie zmieniały plemiennego charakteru kultu, ani nie proponowały innego niż dotąd obrazu świata, po drugie zaś — nowe kulty nie były łatwe do upowszechnienia wobec braku wyspecjalizowanego w ich propagowaniu aparatu kapłańskiego.

Toteż ostatecznie wszystkie ludy europejskie, w tym także Słowianie, wkraczały na drogę chrystianizacji. Chrześcijaństwo, doktryna zrodzona przez kryzys cywilizacji antycznej, rozwijana następnie przez średniowieczny już Kościół czuły na problemy trapiące Europę w dobie wykluwającego się feudalizmu, służyło odpowiedziami rozpraszającymi niepokoje różnych grup społeczeństwa. Mieściło się w tej doktrynie wiele odmian obrazu świata: umysły zabobonne, niezdolne do krytycznego stosunku wobec otaczającej je rzeczywistości, korzące się przed tajemnicami przyrody i losu ludzkiego, karmiła cudownościami i bogatym syste-

mem magii chrześcijańskiej; ale jednocześnie czyniła z człowieka króla stworzenia, nie deprecjonowała jego możliwości intelektualnych, godziła się z ograniczonym racjonalizmem. Istnienie świata nadprzyrodzonego pozostawało oczywiście kanonem, ale pojmowanie Boga jako bytu transcendentnego pozwalało odrzucić konieczność jego bezustannej interwencji w losy świata. Bóg jednorazowym aktem stworzył świat i kazał mu funkcjonować wedle ustanowionych przez siebie praw, w którym określone przyczyny wywołują określone skutki, a rzeczą człowieka jest te związki odkrywać i posługiwać się w życiu ich znajomością. Doktryna kościelna akcentowała wprawdzie również możliwość bezpośredniej ingerencji świata nadprzyrodzonego w mechanizm życia ziemskiego, tłumacząc nią wszystkie te zjawiska, które w ówczesnym stanie wiedzy o świecie pozostawały niezrozumiałe, ale z tej ingerencji i zawieszania przez siły wyższe mocy działania praw rządzących na co dzień przyrodą i społeczeństwem nie czyniła reguły, lecz przeciwnie — odchylenie od normy, cud. Poza nielicznymi wypadkami, gdy chodziło o ustanowienie kultu nowych świętych, Kościół nie angażował swego autorytetu w obowiązujące orzekanie, co należało uważać za cud, zostawiając wiernym dużą swobodę interpretacji poszczególnych zdarzeń. Znajdowało się więc miejsce w ramach chrześcijańskiego poglądu na świat dla skrajnie przeciwnych sobie postaw życiowych: na kult zabobonu, ale także na inicjatywę indywidualną, szukanie postępu technicznego, dociekliwość i nawet na rozwój nauk, oczywiście do granic starcia z dogmatami, co jednak dopiero w dalszej przyszłości miało nastąpić.

Tym samym chrześcijaństwo sankcjonowało zrywanie z zakrzepłą tradycją i poszukiwanie nowych dróg życiowych, tym bardziej że więzy rodzinne traciły

w nauce Kościoła swą sakralną moc i należało je targać w imię wyższych celów. Wskazanie ewangeliczne głosiło: „I wszelki, który by opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, albo rolę dla imienia mego, tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży" (Mat. XIX 29). Oczywiście słowa Chrystusa odnosiły się tu do przyjęcia misji apostolskiej, ale średniowieczne chrześcijaństwo nie identyfikowało jej bynajmniej z suknią duchowną. W pojęciach epoki rycerz chrześcijański w służbie chrześcijańskiego monarchy obierał drogę o nie mniejszym znaczeniu. Podkreślał to kult świętych-rycerzy (św. Jerzy, św. Maurycy), podkreślało uświęcenie obrzędu pasowania na rycerza tak wielkie, że porównywano go z sakramentem.

Mniej przywiązujące wagi do więzów rodzinnych średniowieczne chrześcijaństwo starało się wzmacniać więzy korporacyjne. Teoretyczne sformułowanie tej postawy da wprawdzie dopiero w XIII w. scholastyka, ale będzie to tylko uogólnienie wcześniejszej praktyki.

Chrześcijaństwo zastępowało też religię partykularną kultem Boga uniwersalnego. Z jednej więc strony jego przyjęcie zapobiegało konfliktom wewnętrznym między czcicielami bóstw regionalnych, dawało całemu państwu kult, którego granic nie zwężało przypisywanie bóstwu solidarności z jednym tylko plemieniem, z drugiej zaś strony służyło podniesieniu autorytetu władzy państwowej, występującej jako wykonawca woli Boga najwyższego, rzeczywistego pana całego świata, a nie — jak dawniej — bóstwa o ograniczonym zasięgu działania, przeciw któremu stały inne, równie jak ono potężne lub nawet potężniejsze. W świecie chrześcijańskim rozrost terytorialny państwa nie groził koncentracją oporu świeżo podbitych ludów wokół

odrębnego kultu religijnego, przeciwnie — ułatwiał pogodzenie się nowych poddanych z narzuconą im władzą, która według nauki Kościoła pochodziła od Boga, a jej zwycięstwo było wyrazem woli boskiej. Rozbudowana organizacja kościelna, stojąca w owym czasie na usługach państwa, miała wszelkie dane, by te pojęcia wszczepiać całemu społeczeństwu, poczynając od jego grup przywódczych.

Wielkim atutem chrześcijaństwa w rywalizacji z kultami określanymi jako pogańskie był wreszcie jego personalizm. Dawne wierzenia sięgające korzeniami do epoki wspólnot rodowych wytworzyły pojęcia bóstw — opiekunów zbiorowości. Bóstwa domowe czy plemienne miały troszczyć się o pomyślność społeczną; los jednostki, a tym bardziej jednostki pozostającej w konflikcie z grupą, z której wyszła, był im — według tych pojęć — obojętny. Osoba ludzka nie znajdowała w religii słowiańskiej odpowiedzi na najbardziej dla niej istotne pytania. Wręcz przeciwnie, dla chrześcijaństwa najważniejszy był pojedynczy człowiek, dla którego indywidualnego zbawienia dokonać się miały cuda Wcielenia i Odkupienia. Personalistyczny charakter chrześcijaństwa był przy tym oczywisty nie tylko dla umysłów zdolnych do filozoficzno-teologicznych spekulacji, ale dla każdego człowieka, przed którym religia roztaczała w zamian za przestrzeganie określonych nakazów i zakazów perspektywę wiecznej szczęśliwości, a u jego boku stawiała opiekuna każdego kroku — Anioła Stróża.

Tak można przedstawić zespół przyczyn decydujących zarówno o stosunkowo łatwych postępach chrześcijaństwa wszędzie tam, gdzie nie zdążyło się ono stać synonimem religii znienawidzonych wrogów, jak i o wyborze przez koła rządzące tej właśnie religii jako oficjalnego kultu państwowego. Na decyzje książęce

wpływało dodatkowo prawidłowe rozeznanie aktualnej sytuacji politycznej. Jak to stwierdziliśmy już przed laty: „... na pogańskie państwa w owym czasie nie było już miejsca w Europie. Te ludy słowiańskie, które tego w porę nie zrozumiały, uległy obcej przemocy, a następnie germanizacji. Aby zająć należne miejsce wśród narodów Europy, trzeba było włączyć się w ich wspólnotę religijną. Mieszko I i Bolesław Chrobry, a także ich najbliżsi następcy dobrze rozumieli, gdzie był ówczesny «wielki świat» i że tylko chrześcijaństwo mogło ich weń wprowadzić".

Książęta polscy w staraniach o chrystianizację kraju wykazali niebywałą energię dającą się porównać tylko z analogicznymi działaniami wielkomorawskich Mojmirowiców w IX w. Nie zadowoliło ich przyjęcie wraz z otoczeniem chrztu i bierne oczekiwanie na akcję misyjną ze strony sąsiedzkich ośrodków kościelnych — mamy zresztą prawo przypuszczać, że już Mieszko I świadomie chciał uniknąć wpływów tych ośrodków, zwłaszcza Magdeburga, na terenie swego państwa — lecz przystąpili od razu do tworzenia własnej organizacji kościelnej. Zabiegom Mieszka I i podtrzymywaniu przez niego bezpośrednich kontaktów z papiestwem zawdzięczała Polska otrzymanie specjalnie dla niej przeznaczonej misji z biskupem Jordanem na czele już w 968 r., a więc zaledwie w dwa lata po osobistym chrzcie księcia, który z konieczności został dopełniony w siedzibie obcego biskupa. Jordan nie przybył wprawdzie po to, by tworzyć stałą już organizację kościelną: ta mogła powstać dopiero w kraju mogącym wylegitymować się pewnymi postępami w krzewieniu nowej wiary. Wersję o tym, jakoby Jordan został biskupem poznańskim, zawdzięczamy niechętnemu Polsce kronikarzowi saskiemu, któremu takie przedstawienie było potrzebne do fałszywej konstrukcji o rzeko-

mej podległości polskiej diecezji arcybiskupstwu magdeburskiemu. W rzeczywistości Jordan był tylko kierownikiem misji, a jego święcenia biskupie dawały mu prawo udzielania sakramentów, a w szczególności chrztu, co ówczesne prawo kanoniczne zastrzegało jeszcze kompetencjom biskupim. Dlatego też po śmierci Jordana (przed 984) nie nastąpiła automatycznie nominacja jego następcy, jakby się to stało w wypadku opróżnienia stolicy diecezjalnej. Dopiero po kilku latach, zapewne przy pomocy Ody, sprowadził Mieszko I nowego misjonarza. Był nim opat turyńskiego klasztoru w Memleben, Unger, posiadający święcenia biskupie zapewne w związku ze specjalnymi zadaniami tej placówki zakonnej, odległej od centrów diecezjalnych, położonej wśród terenów osadnictwa słowiańskiego. W 991 r. Ungera zmienia na opactwie Reginald i może dopiero wtedy nowy misjonarz-biskup przybywa do Polski.

Z tą samą datą łączyć by się chciało początek starań księcia polskiego o ustanowienie dla ziem polskich organizacji diecezjalnej; być może, że dokument *Dagome iudex* łączy się z tymi właśnie zabiegami. Rychła śmierć Mieszka I przerwała je jednak, a jego syn podjął je z ambitniejszym już programem. Korzystając z rozgłosu, jaki przyniosła Polsce męczeńska śmierć św. Wojciecha, uzyskał od papieża Sylwestra II zgodę na utworzenie w Gnieźnie stolicy metropolitalnej (999), której podporządkowane zostały biskupstwa powołane jednocześnie do życia w trzech *pertynencjach:* w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu. Według przeważającej w nauce opinii wtedy też dopiero powstała diecezja poznańska oddana Ungerowi, a ze względu na jego dawne zasługi wyłączona tymczasem z gnieźnieńskiego związku metropolitalnego.

Nie powołano jeszcze wówczas diecezji na wschod-

nich połaciach Polski, gdzie postępy chrystianizacji były zapewne nikłe i gdzie wciąż potrzeba było misji a nie stałego duszpasterstwa. Czy misję tę miały prowadzić sąsiednie biskupstwa zachodniopolskie, czy pozostała ona w kompetencjach Ungera, czy też w tym celu zaprosił Chrobry do Polski „arcybiskupa pogan" Brunona z Kwerfurtu — tego nie wiemy. W każdym razie organizacja kościelna po śmierci Chrobrego rozrastała się dalej, przybywały w XI w. nowe biskupstwa w Kruszwicy, a potem we Włocławku, w Płocku, a były też jakieś projekty związane z Kaliszem, Łęczycą, może też z Sandomierzem.

O postępach chrześcijaństwa w Polsce współcześni wydawali opinie sprzeczne. Jedni — jak Matylda lotaryńska, autorka znanego listu do Mieszka II — wysławiali je ponad wszelką miarę, drudzy — jak choćby niemieckie otoczenie małżonki tegoż króla, Rychezy — nazywali Polskę wręcz krajem pogańskim. Prawda leży pośrodku. Nieliczne jeszcze duchowieństwo, zaabsorbowane przy tym pracą organizacyjną i politycznymi usługami na dworze książęcym czy królewskim, nie mogło oczywiście dotrzeć do ludności odległych od głównych ośrodków grodowych skupień osadniczych. Nie to było jego zadaniem w pierwszej fazie chrystianizacji. Państwu kierującemu wówczas pracami Kościoła zależało przede wszystkim na pozyskaniu dla nowej wiary tych elementów, których związanie z dynastią było warunkiem jej powodzenia politycznego: drużyny, możnych — zwłaszcza tych z *pertynencji* — wreszcie części ludności osiadłej w pobliżu głównych grodów. Do konserwatywnych i nieruchawych mieszkańców odległych zakątków chrześcijaństwo dotrze znacznie później, w XII—XIII w., gdy nastąpi dalsza rozbudowa organizacji kościelnej i powstanie sieć parafialna. Ale nie zapominajmy, że nie inaczej przed-

stawiały się sprawy także we wschodnich prowincjach Niemiec.

Obcych przybyszów z ośrodków o bardzo już dawnej tradycji chrześcijańskiej mogło też razić trwanie większości polskich chrześcijan przy pojęciach i obrzędach o genezie niewątpliwie pogańskiej. Długo bowiem utrzymywały się wśród ochrzczonych kulty wszelakich demonów i dawna obyczajowość, a rozsądny wczesnośredniowieczny Kościół polski patrzył na to przez palce. Bieżącym zadaniem było dla niego wpojenie w społeczeństwo wiary w Chrystusa jako najwyższego Boga oraz egzekwowanie kilku podstawowych wymagań dyscyplinarnych: zachowywania postów, obserwowania świąt, jednożeństwa, odbywania pokuty kościelnej za ciężkie wykroczenia. Wierzenia słowiańskie z zakresu tak zwanego „kultu niższego" tolerowano wprowadzając do nich powoli elementy magii chrześcijańskiej i propagując mity, w których miejsce demonów zastępowała postać diabła, a miejsce duchów opiekuńczych — święci. Zasób wiedzy katechizmowej nie był w średniowieczu wielki nie tylko u świeckich, ale także u duchownych niższych święceń. Nie należy więc wyciągać zbyt daleko idących wniosków z tego, że jeden czy drugi legat papieski stwierdzał nawet w późniejszych wiekach, że w Polsce można spotkać starców, „którzy nie potrafią powiedzieć, w co wierzą", albo nie znają pacierza. Tymi samymi niemal słowami charakteryzował przecież synod w Reims stan chrześcijaństwa w X w. we Francji: „... znajduje się w Kościele niezliczone mnóstwo ludzi obojga płci i wszystkich stanów, którzy dochodzą do podeszłego wieku z takimi brakami w wykształceniu, że nie znają nawet słów Credo i Modlitwy Pańskiej".

Biorąc to wszystko pod uwagę należy odrzucić pogląd o nikłych efektach działalności misyjnej w Polsce

i przyjąć, że już w początkach XI w. nie było wielkich różnic między przeciętnym chrześcijaninem polskim a takimże jego współwyznawcą z większości krajów europejskich.

Tak poważny efekt zapewniło misji wczesne utworzenie regularnej organizacji kościelnej w Polsce i szczodrobliwość monarsza w stosunku do instytutów kościelnych.

Wbrew dawniejszym poglądom coraz większe uznanie w nauce znajduje teza, że instytuty te — biskupstwa i nieliczne jeszcze klasztory — otrzymywały od początku swego istnienia uposażenie w ziemi wraz z siedzącą na niej ludnością niewolną lub w inny sposób uzależnioną, określaną później w źródłach jako przypisańcy (*ascripticii*). Rozmiary wielkiej własności kościelnej w Polsce poznajemy dopiero w XII w.: tak więc dobra arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w 1136 r. obejmowały 149 wsi, a w nich przeszło 1000 gospodarstw. Stan znany z bulli gnieźnieńskiej był już wynikiem długotrwałego procesu rozbudowy tych posiadłości: nadania pierwotne były oczywiście o wiele skromniejsze, a ziemia kościelna słabiej zaludniona. W dobrach swych Kościół prowadził zapewne w pierwszych wiekach przede wszystkim gospodarkę hodowlaną. W początkach XIII w. Pomorzanie uprowadzili z dóbr biskupstwa włocławskiego w ziemi inowrocławskiej 6662 sztuk bydła, koni i nierogacizny; w trzydzieści lat później książę krakowski w ośmiu tylko wsiach biskupstwa wrocławskiego złupił 1549 sztuk zwierząt hodowlanych.

Zanim gospodarka kościelna osiągnęła takie rozmiary, utrzymanie zapewniały duchowieństwu dziesięciny pobierane z regaliów książęcych. Udział w dochodach państwowych był także podstawową formą wynagradzania urzędników, choć i ci otrzymywali również na-

dania ziemskie, wieczyste lub czasowe. Rodziły się w ten sposób wielkie dominia świeckich możnowładców, lecz rozmiary ich pozostawały daleko w tyle za dominiami instytutów kościelnych. Posiadłości jednego z najpotężniejszych, równanych z książętami, możnowładcy śląskiego z pierwszej połowy XII w. Piotra Włostowica szacuje się na 28 wsi; posiadanie ponad 10 wsi kwalifikowało już do warstwy najbogatszej. I znów liczby te dla XI w. należy zapewne mocno zmniejszyć.

Struktura gospodarczo-społeczna Polski upodobniała się jednak szybko do tej, jaka już wcześniej panowała w krajach pokarolińskich. Stamtąd monarchia czerpała też wzory organizacji państwowej dostosowując je wszakże do miejscowych warunków. Od czasów Chrobrego spotykamy w Polsce tytuły urzędnicze analogiczne do karolińskich z palatynem — po polsku zwanym wojewodą — na czele; zakres ich kompetencji nie zawsze jednak pozostawał ten sam.

Idąc za tradycją karolińską przybrał też Bolesław Chrobry tytuł królewski. Jak już wspominaliśmy w poprzednim rozdziale, genezę tej decyzji upatrywać należy przede wszystkim w momentach wewnętrznopolitycznych, chociaż względy międzynarodowe są także nie do zlekceważenia. Władzy monarszej w Polsce potrzebna była nowa sankcja. Przyjęcie chrześcijaństwa przekreślało tę motywację władzy naczelnej, jaką miał przedtem być kult Siemowita. Bankructwo ideałów Ottona III przekreśliło legitymację, jaką mógł dać zjazd gnieźnieński. W tej sytuacji sakralna koronacja czyniąca z monarchy pomazańca bożego, który otrzymał władzę wprost z rąk Istoty Najwyższej, zapewniała mu w środowisku chrześcijańskim autorytet i mogła chronić przed zamachami opozycji nawet w wypadku

politycznych niepowodzeń czy indywidualnej niepopularności króla.

Działo się tak oczywiście dopiero tam, gdzie zespół sakralnych pojęć uzasadniających wiarę w nadprzyrodzone pochodzenie władzy królewskiej został już wdrożony, sama korona zdążyła nabrać cech rodzimej tradycji, a pierwszych pomazańców na tronie otoczyła legenda. Potrzeba było na to dłuższej tradycji. Pierwsze pokolenie burzyło się zazwyczaj jeszcze przeciw recepcji instytucji odczuwanej jako obca. Z tych względów w X w. w Saksonii Henryk I wolał uchylić się od koronacyjnego obrzędu. Na razie nie koronacja zapewniała autorytet, ale przeciwnie: trzeba było cieszyć się autorytetem, żeby ważyć się na koronację. Chrobry go miał i był, jak nikt, predestynowany do położenia podwalin pod przyszłą tradycję swej korony.

Nie wiemy, czy uświadamiał to sobie i pragnął jedynie — patrząc dalekowzrocznie — zapewnić swym późniejszym następcom możność nawiązywania do jego legendy, czy też łudził się, że już w najbliższym czasie korona królewska ułatwi życie synowi. Prawdopodobniejsze jest to drugie przypuszczenie Jeśli tak, to rachuby go zawiodły. Żył zbyt krótko — tygodnie już tylko lub najwyżej miesiące — by jeszcze własną powagą dodać blasku koronie zanim przywdzieje ją następca, z różnych przyczyn mniej popularny. W tych warunkach namaszczenie i tytuł królewski mogły silniej wiązać z władcą jedynie hierarchię kościelną i garstkę ludzi oswojonych z owymi pojęciami, ale w opinii społecznej nie stawały się źródłem uprawnień monarszych.

Doświadczył tego już następca Chrobrego Mieszko II Lambert, syn Emnildy wysunięty przez ojca przed starszego, urodzonego z Węgierki Wesprzemę, którego słowiańskie imię tegoż typu, co pierwsze imię dziada

Dzigomy, zanotowały źródła obce w zniekształconej formie jako Bezprym.

OSŁABIENIE MONARCHII PO ŚMIERCI CHROBREGO

Ze śmiercią biskupa merseburskiego Thietmara w 1018 r. zostaliśmy pozbawieni źródła, które w sposób wprawdzie jednostronny, ale systematyczny informowało o przebiegu ważniejszych wydarzeń w Polsce, przynajmniej zaś tych, które miały znaczenie międzynarodowe i wiązały się ze sprawami niemieckimi. Przez następne kilkadziesiąt lat, zanim pierwsza kronika polska zacznie opowiadać wypadki bezpośrednio znane jej bezimiennemu autorowi, jesteśmy zdani na okruchy wiadomości, nie zawsze ścisłych i pewnych, często też dotyczących tylko drugorzędnych detali, a rozsianych głównie po źródłach obcych jako przypadkowe przeważnie dygresje. Aby złożyły się one na obraz, historyk musi uzupełniać je domysłami, których trafność może być zawsze przedmiotem dyskusji. A że domysły te, nie dowolne przecież, lecz podległe rygorom naukowego myślenia, wspierają się na faktach niezbyt dokładnie przez źródła zarejestrowanych, a stąd wciąż jeszcze przez krytycznych i dociekliwych badaczy prostowanych, przeto zdarza się nieraz, że drobne nawet nowe ustalenie szczegółowe wywraca cały obraz, zmuszając do wysuwania nowych hipotez i budowania nowej konstrukcji.

Mieszko II jest traktowany niemal powszechnie w nowożytnej historiografii jako kontynuator polityki swego ojca; jego niepowodzenia kładzie się albo na karb nieprzychylnych okoliczności zewnętrznych, albo też źródła ich szuka się w błędach Chrobrego, za które płacić przyszło synowi. Podobieństwa między Mieszkiem II a Chrobrym są jednak pozorne: sprowadzają

się do tego, że obaj walczyli z Niemcami i potrafili osiągać militarne sukcesy. Niedługo po objęciu tronu Mieszko II uderzył na Miśnię i w latach 1028—1031 wojska jego szerzyły tam postrach. Następnie zaś rejestruje się szereg klęsk: najazdy wszystkich niemal sąsiadów na Polskę, utrata zdobyczy Chrobrego na zachodzie, wschodzie i na południu, bunt brata Wesprzemy (Bezpryma) — i oto Mieszko uchodzi z kraju w 1031 r. Niebawem wprawdzie wraca, co ułatwia mu śmierć Wesprzemy, ale już nie jako pan niepodzielnej monarchii: zrzeka się korony królewskiej, zgadza się na podział kraju na trzy części, z których tylko jedna mu przypada, w jakiejś formie uznaje prawo cesarskie do interwencji w stosunki polskie. Udaje mu się niebawem poszerzyć granice po bezpotomnym zgonie młodszego brata Ottona, ale i jego samego spotyka rychła śmierć (1034), jak głosi tradycja — nienaturalna. Zostawia państwo tak słabe i tak skłócone wewnętrznie, że jego syn i dziedzic Kazimierz musi opuścić tron i szukać azylu za granicą, Polska zaś pogrąża się w anarchii, rozdzierana wojnami domowymi, łupiona przez sąsiadów.

Taki przebieg wypadków przyjmowany dość powszechnie i formalnie zgodny ze źródłami przeraża rozmiarem klęsk, a efekt zaledwie dziewięcioletniego panowania Mieszka II jest takim kontrastem w stosunku do osiągnięć obydwu jego poprzedników, że zrozumiałe się stają wątpliwości wypowiadane przez niektórych historyków co do wartości ustalonej przez Chrobrego linii politycznej, której Mieszko II tak wiernie — zdawałoby się — starał się trzymać.

Czy jednak rzeczywiście tak było? Mylne byłoby przekonanie, że Mieszko II reprezentował ten sam typ władcy, co ojciec, różniąc się co najwyżej zdolnościami. Chrobry był silnie zrośnięty ze społeczeństwem; choć

znał dobrze obce dwory i wzory, choć poruszał się swobodnie w Niemczech, choć potrafił być partnerem rozmów z takimi, bądź co bądź, intelektualistami ówczesnego świata, jak Otto III, święty Wojciech czy Bruno z Kwerfurtu, to jednak na co dzień czuł się najlepiej wśród swoich wojów, ich obyczaj był jego własnym, mentalność — bardzo bliska. Otaczali go też cudzoziemcy — to prawda. Doceniał ich walory i wabił ich na swój dwór hojnością, szerokim gestem, gdzie trzeba — okazaniem szacunku, gdzie trzeba — serdecznością. Ale wszystkich ich — duchownych, rycerzy, sojuszników — uważał zawsze za narzędzie, którym umiejętnie władał, by budować sprawnie funkcjonujące państwo i zapewnić mu mocne stanowisko w świecie. Sam zaś niczyim narzędziem się nie stał. „Przyjaciel i współpracownik" cesarstwa, jak miał go nazwać Otto III, toczył z tym cesarstwem twarde boje, gdy stanęło w poprzek jego dążeniom. Książę, którego zasługom dla chrześcijaństwa i Kościoła tak wspaniałe świadectwo wystawiali wszyscy współcześni, umiał — dyplomatycznie, ale stanowczo — odmówić papieżowi daniny, a Brunonowi z Kwerfurtu wsparcia jego inicjatyw misyjnych z chwilą, gdy zwątpił o praktycznym tego pożytku.

Jego następca był człowiekiem zupełnie innego pokroju. Niewiele wiemy o jego wychowaniu w młodości, prawdopodobnie jednak ojciec nie od razu przeznaczył mu tron po sobie, licząc się z naturalnymi prawami najstarszego syna Wesprzemy. Być może, dla Mieszka była początkowo przewidziana kariera kościelna, na co wskazywałoby używanie przez niego drugiego imienia, wzmianka w *Żywocie św. Romualda* o synu Chrobrego wśród eremitów, zapiska nekrologiczna z klasztoru w Bamberdze, w której Mieszko wspomniany jest jako „brat", dość późne, jak na

ówczesne zwyczaje, zawarcie małżeństwa, a wreszcie — książkowe wykształcenie, imponujące nawet jak na wykształcenie duchownego tak rzadką wówczas w tej części Europy znajomością języka greckiego. Później Chrobry zmienił widocznie plany i zdążył dać synowi niezbędną rycerzowi zaprawę, zlecał mu także misje dyplomatyczne. Szkołę przyszłego monarchy Mieszko więc odebrał, pytanie tylko, czy wystarczająco przygotowała go ona na króla Polski. Można się obawiać, że kosmopolityczne wychowanie odebrane w młodości nie sprzyjało porozumieniu się nowego władcy ze słowiańskim otoczeniem.

Nie w gronie polańskich wojów dojrzewały też polityczne zamierzenia drugiego z rzędu koronowanego Piasta. Tradycja zachowała pamięć o niechęci, jaką w Polsce otaczano Mieszkową małżonkę, Rychezę. Przyczyną jej nie mogło być tylko obce pochodzenie królowej. Dziad i ojciec Mieszka II też brali sobie żony z Niemiec, nie wiadomo więc, dlaczego lotaryńska Rycheza, siostrzenica Ottona III, miałaby spotykać się z gorszym przyjęciem niż jedna i druga Oda. Na Rychezę przeniosła się widocznie niechęć do nowych stosunków na dworze, gdzie element cudzoziemski, liczny już za Chrobrego, zaczął teraz grać dominującą rolę. Dążność do przekształcania państwa na wzór zachodni w szybszym tempie, niż to się działo do tej pory, ujawniła się od pierwszych dni nowego panowania. Wysiłki Mieszka II poświęcone rozbudowie organizacji kościelnej stały się głośne za granicą. Gdy podnosi to dedykacja księgi liturgicznej, przesłanej królowi polskiemu przez księżnę lotaryńską Matyldę, można by to traktować jako zdawkowy komplement, ale podobną ocenę działalności Mieszka zawiera też notatka o jego śmierci w roczniku niemieckim.

W polityce zagranicznej Mieszko II poszedł także za obcymi podszeptami. Dusery Matyldy lotaryńskiej nie były tylko konwencjonalną kurtuazją wobec nowo wstępującego na tron władcy: kryły się za nimi zabiegi niemieckiej opozycji przeciw Konradowi II i w jej interesie poszedł król polski na Miśnię. Pozornie może to wyglądać na podtrzymanie tradycji ojca i dziada, którzy od śmierci cesarza Ottona I w 973 r. przy każdej zmianie panowania w Niemczech interweniowali zbrojnie. Ale działo się tak w zupełnie innych warunkach. Mieszko I występował wówczas jako elektor i po podwójnym wyborze bronił nadal czynnie praw swego elekta; zaangażowanie się Bolesława Chrobrego w sprawy cesarstwa w okresie rządów Ottona III miało swą naturalną konsekwencję w jego działaniach po śmierci cesarza. Teraz sytuacja była odmienna. Koronacje Chrobrego i Mieszka II przypieczętowały wybór przez Polskę niezależnej od cesarstwa drogi rozwoju. W elekcji Konrada II król polski nie wziął oczywiście udziału; wzmianka źródeł o udziale w niej Słowian dotyczy prawdopodobnie księcia czeskiego. Pokój budziszyński z 1018 r. wyznaczył granice między zasięgiem władzy królów Niemiec i władców Polski. Wystąpienie Mieszka II było nieuzasadnionym naruszeniem tego pokoju.

W interesie wojów polskich leżało wprawdzie nadal zdobywanie łupów, ale zadowalało ich ono wtedy, gdy nie prowokowało długotrwałej wojny z silnym przeciwnikiem, która z łatwością mogła się przenieść na polskie terytorium. W dalekowzrocznie pojętym interesie państwa polskiego leżała też wówczas jeszcze ekspansja terytorialna, ale nie kosztem ryzykownej wojny. Z Polską sąsiadowały wciąż kraje znajdujące się na niższym stopniu rozwoju politycznego — Pomorze Zachodnie, ziemie Prusów, a w szczególności

Jaćwingów — i one mogły jeszcze być objęte piastowską organizacją państwową. Przed skupieniem tych ziem atakowanie państw już zorganizowanych było lekkomyślnością polityczną. Ewentualne sukcesy militarne trwałych korzyści przynieść w tym wypadku nie mogły.

Nieufność wobec zbyt jawnie sprzyjającego cudzoziemskiemu otoczeniu króla, zbyt gwałtowny rozwój Kościoła w kraju, w którym większość ludności nie czuła się jeszcze związana z nową wiarą, a zwłaszcza z obcą tradycjom organizacją kultową, a wreszcie wojna angażująca wysiłek niewspółmiernie wielki do korzyści i narażająca przez swą długotrwałość na bezkarne wypady łupieskie innych sąsiadów na ziemie polskie — to wszystko stwarzało warunki aktywizowania się opozycji. Miała ona przy kim się skupić. Najstarszy syn Chrobrego Wesprzema występując przeciw ukoronowanemu bratu powtarzał swego ojca sprzed 40 lat, usuwającego z kraju przyrodnich braci, Odę Mieszkową i jej niemiecki dwór.

Przed Wesprzemą uszedł Mieszko II do Czech, szukając tam poparcia. Rycheza przez niechętny sobie, obcy, w jej odczuciu „pogański" kraj podążyła do Niemiec, uwożąc skarby, a między nimi koronę i inne insygnia królewskie, by nie wpadły w ręce uzurpatora. Wesprzema nie przeszkadzał jej. Opierając się na rodzimym elemencie konserwatywnym rezygnował świadomie z koronacji, obrzędu nie mającego jeszcze w Polsce tradycji, którego sakralna treść przemawiała tylko do cudzoziemców i tej nielicznej elity żżytej już z formami i pojęciami Zachodu. Niewiele ponad wiek wcześniej także dla germańskiego wschodu namaszczenie króla było czymś tak obcym, że pierwszy Sas na tronie niemieckim, Henryk I wzgardził koro-

nacją w przekonaniu, że nie przysporzyłaby mu ona autorytetu u swoich.

Obalenie Mieszka II przez Wesprzemę nie było ani klęską państwa polskiego, ani upadkiem dynastii. Walki rozmaitych pretendentów do władzy zwierzchniej, niekoniecznie zresztą reprezentujących różne koncepcje polityczne, stanowiły zjawisko raczej zwykłe w świecie feudalnym. Kotłowało się we Włoszech i w Niemczech, w Czechach i na Rusi. Bracia wciąż powstawali przeciw braciom, synowie przeciw ojcom, fakcje przeciw fakcjom. W zbrojnej rywalizacji rozstrzygano nieraz obsadę tronu papieskiego czy cesarskiego, a zwycięzca stawszy się pomazańcem nie przestawał przez to być narażony na bunty chwilowo pokonanych. W młodszych tradycją, budujących dopiero swe instytucje państwach słowiańskich, także na Węgrzech, wojny domowe trwały latami, za okresy stabilizacji uważa się nie tyle lata spokoju, co trwałą przewagę jednej ze stron. Źródła o buntach nieudanych przeważnie milczą, zresztą o niektórych udanych dowiadujemy się także tylko drogą pośrednią, i nic nas nie upoważnia do przypuszczenia, że na przykład Mieszko I i Bolesław Chrobry nie mieli żadnych kłopotów z utrzymaniem się na tronie.

Sprawy te stawały się głośniejsze i znajdowały odbicie w źródłach, gdy walki wewnętrzne pociągały za sobą interwencję z zewnątrz. Tak też bywało często, a znaczenia tego nie należy przeceniać. Obcy, jak i swoi, łupili oczywiście kraj, po to zresztą przede wszystkim przychodzili, ale na kierunek jego rozwoju nie mieli zwykle żadnego wpływu. Wyprawy Chrobrego na Pragę i na Kijów wracały wprawdzie ze skarbami, ale jednak wracały — pozostawiając ostatecznie Czechy i Ruś swemu własnemu losowi.

Nic też w tym dziwnego, że Mieszko II zwrócił się

po pomoc obcą. Zapłacił za nią prawdopodobnie Morawami — Czechom, a Łużycami — cesarzowi; Grody Czerwieńskie oderwał wcześniej Jarosław kijowski wspomagający Wesprzemę. Tego rodzaju straty terytorialne były w owym czasie głównie utratą dochodów z ziem tych płynących, bowiem znajdujący się wciąż jeszcze dopiero w budowie aparat państwowy nie był na tyle sprawny, by owe odległe peryferie powiązać w rzeczywiście ścisły sposób z którąś ze stolic książęcych; miejscowa organizacja funkcjonowała w nich w sposób w znacznej mierze samodzielny, o podległości temu czy innemu władcy stanowiła obecność jego załogi wojskowej w głównych grodach i opłata danin. Uszczuplenie terytorium państwowego zubożało więc księcia, ale było faktem o wiele mniej dotkliwym, niż analogiczne przesunięcia granic w dobie nowożytnej. W opinii współczesnych Polska nie przestała się bynajmniej liczyć jako ważny czynnik polityczny w tej części Europy. Do protekcji Mieszka II uciekali się właśnie w tym czasie wygnańcy węgierscy, bratankowie króla Stefana Świętego; dwaj z nich podążą niebawem na Ruś, trzeci jednak — Bela, w Polsce nazywany Bolesławem — pozostanie w niej przez długie lata, aż uda się mu w późnym już wieku dobić tronu w ojczyźnie.

Przewaga Wesprzemy w Polsce okazała się zaledwie kilkumiesięcznym epizodem — przypadkowo tylko o nim wiemy. Syn Chrobrego i Węgierki poniósł śmierć w 1032 r., prawdopodobnie w zwadzie, być może z ręki swego węgierskiego krewniaka Beli, umacniającego swą pozycję na dworze zwycięskiego Mieszka, którego zięciem wkrótce został.

Za całe to zamieszanie zapłacili Piastowie koroną. Zrzekł się jej wobec cesarza Mieszko II na zjeździe w Merseburgu (1032), gdzie też zobowiązał się wy-

dzielić dzielnice młodszemu bratu Ottonowi, którego rola w poprzedzających wypadkach nie jest całkiem jasna, oraz nie znanemu nam poza tym krewniakowi Dytrykowi. Zobowiązania te były chyba bardziej pustym słowem niż rzeczywistą rezygnacją z jedynowładztwa, gdyż rok później cała Polska znalazła się znów w ręku Mieszka, może tylko Pomorze (Gdańskie) zaczęło żyć od tej pory odrębnym bytem politycznym. Zjednoczenie kraju ułatwiła śmierć Ottona (1033). Wagi tytułu królewskiego Mieszko II zapewne nie docenił, skoro doraźnie nie przydał mu powagi w oczach poddanych i nie uchronił go przed ich buntem. Tradycje jednak tworzą się powoli, lecz utrwalone bywają potężną siłą; w przyszłości tradycja korony polskiej mogłaby się okazać istotnym atutem Piastów wewnątrz kraju, podobnym jak korona Św. Stefana, która stała się symbolem jedności i suwerenności Węgier i która bardzo ułatwiła monarchii Arpadów walkę z siłami odśrodkowymi skupiając koło siebie te bardzo różne etnicznie i kulturalnie elementy, z których dopiero kształtował się naród węgierski.

Rezygnacja z korony dokonana w Merseburgu była co prawda deklaracją wobec czynników zewnętrznych. W kraju Mieszko II raz namaszczony bywał zapewne nadal nazywany królem. O tym, czy tradycja ta się przerwie, czy też będzie kontynuowana, miały dopiero zadecydować losy jego następców.

Ułożyły się one niepomyślnie. Mieszko II zmarł już w 1034 r., zanim zdążył doprowadzić do całkowitej pacyfikacji wzburzonego niedawno kraju. Dość wcześnie zanotowano wersję, jakoby śmierć spotkała go z ręki własnego miecznika, co — jeśliby odpowiadało prawdzie — świadczyłoby, że rozdźwięki między królem a częścią jego otoczenia trwały nadal. Po-

twierdzałby to fakt, że jedyny dziedzic Mieszka, Kazimierz, później Odnowicielem zwany, nie utrzymał się w kraju, lecz — przymuszony, czy też z własnej inicjatywy w obawie o własne życie — udał się na tułaczkę.

Przebieg wydarzeń po śmierci Mieszka II należy do najbardziej niejasnych w naszej historii i rozmaicie bywa przedstawiany i rozumiany. Anonimowa kronika polska z początków XII w. — tak zwana *Kronika Galla* — ma już wprawdzie o tych czasach sporo wiadomości, ale nie zawsze jest ścisła, a kolejność wypadków podaje w sposób bardzo dowolny. Wiemy z niej — a fakty te potwierdzają także źródła obce — że w ciągu kilku najbliższych lat po zgonie Mieszka II nastąpiły trzy ważne zdarzenia: opuszczenie kraju przez Kazimierza, rozruchy wewnętrzne oraz najazd czeski. Mało jest danych, które by pozwoliły rozstrzygnąć, czy następowały one w kolejności opowiadania kronikarza, czy też były sobie mniej więcej współczesne; tylko najazd Brzetysława czeskiego daje się dość dokładnie datować na lata 1038 - 1039.

Charakter ostatnich lat panowania Mieszka II pozwala przypuszczać, że najwcześniej wystąpiły niepokoje wewnętrzne, których świadkiem był jeszcze zmarły król. Kraj zubożał od niepomyślnych wojen i walk między książętami, na najbliższą głównym grodom piastowskim krainę polańską posypały się zapewne zwiększone daniny i rekwizycje konieczne wobec utraty przez króla dochodów z odstąpionych sąsiednim władcom peryferii. Nacisk królewskiego aparatu fiskalnego, dodatkowe uciążliwe powinności na rzecz coraz liczniej reprezentowanego, a więc i coraz droższego Kościoła, samowola drużyn książęcych, które nie zdobywając łupów za granicami próbowały

powetować to sobie w kraju — wszystko to przerastało możliwości mało jeszcze wydajnej gospodarki i mogło łatwo wywołać klęskę głodu. Głód zaś prowadził do buntów ludności, wywracających tu i ówdzie ustaloną już hierarchię społeczną, gdyż — według słów kronikarza — „poddani występowali przeciw panom i sami się ponad nich wynosili". Nie był to ruch zorganizowany, ale seria żywiołowych, lokalnych zamieszek na terenie dawnej ziemi Polan, czyli późniejszej Wielkopolski. Waga jego polegała właśnie na tym, że szerzył się w sercu państwa piastowskiego paraliżując tutaj działalność aparatu państwowego. W kronikach ówczesnych został nazwany ruchem pogańskim, jako że pogańskie było w oczach średniowiecznej opinii kościelnej wszystko, co nie szanowało praw Kościoła i wspierających go instytucji. Brała w nim zresztą udział ludność okolic raczej oddalonych od grodów, która rzeczywiście tkwiła jeszcze w starym obyczaju. Przemoc fizyczna stosowana wobec niektórych „panów" mogła dotknąć także i przedstawicieli duchowieństwa, męczenników jednak Kościół polski nie zyskał, świątynie zaś stały nienaruszone i dopiero najazd chrześcijańskiego Brzetysława miał im dać się we znaki. Nie było też mowy o restytucji publicznego kultu pogańskiego. Ten minął już bezpowrotnie zniszczony na ziemi Polan, a wtedy, gdy jeszcze istniał, miał przecież charakter dynastyczny i nie sprawą ludu było go wskrzeszać.

Rozruchy opolne — tak bowiem najwłaściwiej nazwać można ową rzekomą „reakcję pogańską" — ułatwiły powodzenie łupieskiego najazdu czeskiego. Gdy wojska Brzetysława przez Śląsk wtargnęły w głąb Wielkopolski, zastawały grody niemal ogołocone z załóg, gdyż rycerstwo uciekało przed nieprzyjacielem za Wisłę, na Mazowsze, nie widząc szans

obrony w wygłodzonym, zrujnowanym i zdezorganizowanym kraju nad Wartą. Czesi nie ograniczyli się więc do pustoszenia siół, jak zazwyczaj postępowały podobne ekspedycje, lecz pokusili się też o grody. Poznań, Gniezno, Giecz wpadły w ich ręce. Wywieziono stąd mnóstwo wszelakiego dobra, a także tłumy brańców, z których jednych — jak mieszkańców Giecza — osadzono w Czechach, innych zaś sprzedawano handlarzom niewolników. Wśród łupów znalazły się także zabrane z kościołów drogocenne przedmioty kultu chrześcijańskiego. Szczególną między nimi rolę grały relikwie św. Wojciecha. Uwożąc je do Pragi chciał Brzetysław uczynić z własnej stolicy główne centrum kultu głośnego w Europie męczennika, przekształcić go w czeski kult państwowy, zdobyć w nim może atut do starań o niezależną czeską metropolię kościelną. Były to wówczas rzeczy ważne. Gdy zniknęli plemienni bożkowie, jedność państwowa wymagała nowych wyodrębniających od obcych, a spajających wewnętrznie symbolów i idei. Były nimi: poświęcana korona, święty przodek dynastii, wielkiej ceny relikwie. Polską koronę Rycheza oddała cesarzowi, żadnego z Piastów nie wyniesiono na ołtarze, świętego Wojciecha zabrali jego rodacy. Większe to ciosy, niż przejściowa aktywizacja polańskich czarownic!

W takich to zapewne okolicznościach Kazimierz opuścił Polskę, by po krótkim i niezbyt zresztą pewnym pobycie na Węgrzech znaleźć się w Niemczech i zabiegać o pomoc cesarską.

Annaliści ówcześni notowali tylko te wydarzenia, które uznawali za najważniejsze zgodnie z pojęciami epoki. Rzadko trafiały do kronik osoby spoza kręgu władców. Znamy i takie roczniki, gdzie nie ma żadnych innych zapisek poza odnotowaniem zgonu pa-

nującego i podaniem imienia jego następcy. Nic dziwnego, że sugestii takich źródeł może ulec także historyk i będzie czasem skłonny identyfikować losy państwa z osobistymi losami monarchy.

Coś takiego utrwaliło się w powszechnej opinii naszej nauki o latach nieobecności Kazimierza I w kraju. Najniesłuszniej uważa się je za okres całkowitego upadku państwa piastowskiego, którego aparat miał ulec zagładzie, a kraj pogrążyć się w zamęcie i anarchii. O wypadkach tych mówi się jako o „kryzysie monarchii wczesnofeudalnej", upatrując w nich pierwsze przejawy tych tendencji, które w sto lat później doprowadzić miały do trwałego rozbicia dzielnicowego Polski. Najbardziej skrajne stanowisko w tej kwestii zajął znany historyk z najstarszego dziś pokolenia, Kazimierz Tymieniecki. Jego zdaniem po r. 1034 „państwo polskie przestało istnieć", a to, które zaledwie kilka lat później znów się pojawiło (na skutek powrotu Kazimierza Odnowiciela) miało być już zgoła czymś innym, „drugim państwem polskim", nazwanym tak z zamierzoną aluzją do pierwszego i drugiego państwa bułgarskiego, tworów rzeczywiście od siebie bardzo różnych i genetycznie z sobą nie związanych.

Tymczasem wyjazd Kazimierza nie pociągnął w rzeczywistości za sobą ani exodusu jego dworu, ani rozwiązania wojska i aparatu urzędniczego, ani pozbawienia kraju władzy centralnej. Na czas nieobecności księcia władzę tę przejęła regencja, o której nawet wie nasz Anonim Gall, tylko odnosi ją niewłaściwie do innego momentu. Śmiało można wysunąć hipotezę, że główną rolę grał teraz zięć Mieszka II, znany nam już Bela-Bolesław. Pamięć następnych pokoleń gubiła już i zniekształcała szczegóły, czego wyrazem jest opowiadanie *Kroniki Wielkopolskiej*

z XIV w. o Bolesławie Zapomnianym, którego srogie, lecz krótkie rządy miały poprzedzić panowanie Kazimierza Odnowiciela. W kronice jest Bolesław starszym bratem — ale nie rodzonym! — Kazimierza; pomyłka niewielka, skoro w rzeczywistości był mężem rodzonej siostry księcia polskiego. Inne źródła, nie znające Bolesława Zapomnianego, podają kilka faktów przypisywanych Chrobremu lub Bolesławowi Śmiałemu, które z wielką trudnością można by powiązać z tamtymi postaciami, a które są zapewne resztką tradycji o rządach Beli. Wynikałoby z nich w takim razie, że Bela rozprawił się okrutnie ze sprawcami zaburzeń w Wielkopolsce — przez Czechów rychło opuszczonej — centrum władzy przeniósł natomiast do spokojniejszego Krakowa.

Opuszczając kraj Kazimierz wydał także określone zlecenia swemu palatynowi Miesławowi. Ponieważ woje z grodów polańskich kierowali się na Mazowsze, miał tam udać się także Miesław, by objąć nad nimi dowództwo. Kazimierz nie przypuszczał zapewne, że jego własna nieobecność w kraju będzie się przeciągała. Udawał się do najbliższego sąsiada, niechętnego Czechom króla Stefana węgierskiego, by uzyskać od niego pomoc. Plany pokrzyżowała śmierć Stefana (1038), którego następca, Piotr Wenecjanin, obcy zupełnie ludowi, nad którym obejmował panowanie, z różnych względów nie nadawał się w tym momencie na sojusznika.

Przyszło wówczas Kazimierzowi kołatać o pomoc u najpotężniejszego z sąsiadów — u cesarza. Następca zmarłego właśnie (1039) Konrada II, Henryk III (1039-1056), udzielił mu jej i książę polski wrócił do kraju prowadząc za sobą zastęp rycerzy niemieckich. Zastawał państwo okrojone, gdyż Brzetysław opuścił wprawdzie złupioną Wielkopolskę, ale usadowił się

trwale na Śląsku, na północy zaś usamodzielnieni Pomorzanie poszerzyli — jak się zdaje — swe posiadłości kosztem ziem nadnoteckich. Zgromadzone przez Miesława siły nie podejmowały prób rewindykacji utraconych terenów; Śląskiem nie były w ogóle zainteresowane, a z Pomorzanami Miesław starał się utrzymywać dobre stosunki, by móc swobodnie przedsiębrać wypady na wschód: na Jaćwingów, czy też wspólnie z Jaćwingami na Ruś. Chodziło oczywiście o łupy, które by wynagrodziły straty, poniesione w toku zamieszek wewnętrznych i najazdu czeskiego.

Także po powrocie Kazimierza Miesław nie zamierzał angażować się w walkę o utracone przez Polskę prowincje i przeciwstawił się księciu. Nie mamy żadnych danych, by wyrokować, jak daleko sięgały jego osobiste ambicje; czy marzyło mu się tylko udzielne księstwo na Mazowszu, czy też uważał siebie za wystarczająco silnego, aby myśleć o zajęciu miejsca Piastów na tronie. Być może, że nie miał w ogóle żadnych planów państwotwórczych, zajęty bez reszty doraźnym gromadzeniem łupów, jakie wpadały mu w ręce w kolejnych wyprawach. W każdym razie Kazimierzowi się nie podporządkował, a poparcie u swoich musiał mieć dostateczne, skoro książę polski nie od razu się zdecydował wymusić na nim posłuszeństwo siłą.

Nie od razu też konflikt między Kazimierzem i Miesławem musiał przybrać formę otwartego buntu tego ostatniego. Kazimierz, zaabsorbowany przede wszystkim akcją przeciw Brzetysławowi, sam najpewniej nie chciał komplikować sytuacji wewnętrznej i z pozornie dobrą miną przyjmował racje palatyna, uzasadniające jego odrębną politykę. Nie mogąc jednak liczyć na współpracę rycerstwa Miesławowego, starał się początkowo Kazimierz rozegrać partię

z Czechami raczej drogą dyplomatycznego ich osaczenia, niż zbrojnie. Przed papieża i króla niemieckiego zaniosły poselstwa polskie skargi na księcia czeskiego. W Rzymie musiał się tłumaczyć Brzetysław z zarzutów rabowania kościołów z kosztowności i relikwii oraz niegodnego chrześcijanina handlu uprowadzonymi ludźmi, Henrykowi III zaś dać w zakład własnego syna jako gwarancję, że straty zadane Polsce posłusznie wynagrodzi. Zwlekał wprawdzie z dotrzymaniem tych obietnic, a związawszy się sojuszem z Piotrem węgierskim stawił skutecznie opór interwencji zbrojnej zniecierpliwionego Henryka w 1040 r. Już jednak w lecie roku następnego armia Henryka zapuściła się w głąb Czech i w październiku książę czeski stanął boso przed zwycięzcą w Ratyzbonie, gotów do złożenia hołdu i zapłacenia trubutu. Pokorą i pieniędzmi wyjednał złagodzenie pierwotnych warunków pokoju; nie było już mowy o zwrocie wywiezionych z Polski łupów ani o ustąpieniu ze Śląska.

Zawiódłszy się w nadziejach na bardziej zdecydowaną pomoc ze strony niemieckiej, Kazimierz pogodził się chwilowo z utratą Śląska, a zwrócił się przeciw Miesławowi. Naturalnym jego sprzymierzeńcem stawała się teraz Ruś, której książę, Jarosław Mądry, podjął już w 1041 r. wyprawę odwetową na Mazowsze. Chodziło jednak o to, by zachęcić Rusinów do współdziałania w obaleniu Miesława, a nie do sporadycznych tylko wypadów po zdobycz. Stanął więc sojusz utwierdzony podwójnym małżeństwem dynastycznym: Kazimierz brał za żonę podstarzałą siostrę Jarosława, Dobroniegę, jego zaś synowi Izasławowi oddawał swą młodziutką i wykształconą siostrę Gertrudę. Różnica walorów obydwóch oblubienic odzwierciedlała fakt, że w ówczesnym układzie sił so-

jusz ten bardziej był potrzebny stronie polskiej niż ruskiej.

Jakieś znów niepokoje na pograniczu czeskim i pomorskim sprawiły, że ostateczną rozprawę z Miesławem trzeba było odłożyć na jeszcze kilka lat. Dopiero gdy w czerwcu 1046 r. Henryk III zapośredniczył pokój między Kazimierzem a Brzetysławem i pomorskim „Zemuzilem" (Ziemomysłem? Wszemysłem?), mógł książę polski wraz z ruskim sprzymierzeńcem wtargnąć na Mazowsze (1047). Miesław padł w bitwie, oddzielona od Polski prowincja wróciła do jedności z Krakowem i Gnieznem. Za tym zaś sukcesem przyszedł niebawem następny: także Pomorze podporządkowało się Kazimierzowi, choć prawdopodobnie zachowało nadal odrębnego księcia. W 1050 r., bez porozumienia z cesarzem i wbrew jego woli, książę polski odbił Czechom Śląsk, a zamierzoną interwencję cesarską zdołał zażegnać i tylko zgodził się w cztery lata później płacić z tytułu dzierżenia tej ziemi czynsz księciu czeskiemu.

Z dwudziestoletnich tumultów wychodziła więc Polska w granicach nie odbiegających od tych, które zapewnił jej Mieszko I. Ze zdobyczy Chrobrego odpadło głównie to, co wykraczało poza granice naturalne kraju. Zbladło niewątpliwie znaczenie międzynarodowe Polski. O koronie Kazimierz nawet nie marzył, w stosunku do Henryka III, którego pomocy nieraz potrzebował, pozostawał zapewne w stosunku lennym. Pozycja jego nie była jednak słaba. Dobrze ułożył stosunki z Rusią, miał pewne wpływy na Węgrzech, gdzie po katastrofie Piotra Wenecjanina, obalonego przez opozycję (1046), wrócili dawni wygnańcy z rodu Arpadów: Andrzej, jako król i Bela, jako książę dzielnicowy. W Niemczech liczni i potężni krewniacy Rychezy — jej brat Herman, arcybiskup ko-

loński i arcykanclerz cesarza dla Włoch, oraz bratanek Konrad, od 1049 r. książę bawarski — służyli mu poparciem i paraliżowali wrogie intrygi. Nic nie wskazuje na jakiekolwiek próby interwencji obcych w wewnętrzne sprawy Polski. Zważywszy, że lata panowania Henryka III uchodzą za okres szczytowej potęgi królestwa niemieckiego w średniowieczu, że zwierzchnictwo cesarskie na wschodzie uznawały wówczas nie tylko Czechy, ale i Węgry, że pewne oznaki uległości wobec Henryka dadzą się zauważyć także w polityce ruskiej, można bez wahania uznać sytuację Polski w tym układzie za bardzo korzystną.

O stosunkach wewnętrznych w Polsce połowy XI w. wiemy niezbyt wiele. To pewne, że opisane wydarzenia nie sprzyjały jej rozwojowi gospodarczemu. Na znaczne wyludnienie kraju wskazują niezależne od siebie źródła. Najazd czeski z 1038 r. zubożył księcia, Kościół, ale także i część przynajmniej rycerstwa. Pewną rekompensatą za te straty mogły być łupy zdobywane potem pod Miesławem na wschodzie, a udział Polski po zwycięskiej stronie cesarskiej w wyprawach na Czechy i Węgry również przynosił materialne korzyści. Przynajmniej od 1047 r. ziemie polskie przestały na dłuższy czas być widownią wojen i terenem przemarszów obcych wojsk, pewnie więc i w najbardziej spustoszonej Wielkopolsce życie wracało do normy, choć grody tamtejsze nie mogły już rywalizować z Krakowem, a nawet — jak się zdaje — z nabierającym znaczenia od czasów Miesława Płockiem.

Już w pół wieku później kronikarz da Kazimierzowi I przydomek *Renovatora* — Odnowiciela, który przyjmie się na zawsze w historiografii polskiej. Zrodził się on częściowo z panegirycznego zapału, częściowo był rezultatem zbyt czarnych barw, jakich

użył autor kroniki malując rozruchy wewnętrzne w Polsce. Mimo to przydomek ten nie jest nieuzasadniony. Nie potrzebował wprawdzie Kazimierz odnawiać państwa, które nie upadło, ale jedna instytucja rzeczywiście wiele mu zawdzięcza. Jest nią Kościół. Mimo rozmachu Bolesława Chrobrego i jego syna słabo jeszcze wrośnięty w życie polskie, reprezentowany przez nieliczną grupę zagranicznych przybyszów, materialnie zależny od szkatuły książęcej, zachwiał się w posadach pod ciosami niechętnych mu ruchów społecznych i nie oszczędzających go najazdów. Na pewien czas przestała istnieć w kraju — poza jednym tylko Krakowem — hierarchia kościelna. Posadzki sprofanowanych świątyń w Gnieźnie i Poznaniu porastała trawa dlatego przede wszystkim, że zabrakło tam duchownych. Ale stan taki nie trwał długo. Książę wzorem swych poprzedników zabiegał o nowe kadry dla Kościoła polskiego ściągając mnichów z ojczyzny swej matki — Lotaryngii, z burgundzkiego Dijon, jednego z ośrodków reformy kościelnej, zapewne też i z Bawarii, z którą również łączyły go związki rodzinne, a chrześcijaństwo polskie najdawniejsze tradycje. Wznowiło swą działalność biskupstwo wrocławskie, silnym ośrodkiem kościelnym stał się klasztor benedyktynów w Tyńcu.

Z duchowieństwem napływały do polskich ośrodków kościelnych księgi. Zjawiały się w takiej ilości, że nie żal ich było też wywozić, jak ów psałterz, który Gertruda Mieszkówna zabrała ze sobą do Kijowa, by w inaczej modlącym się środowisku powtarzać sobie łacińskie teksty. Katedry i klasztory stawały się ośrodkami życia umysłowego i to bynajmniej nie tylko w zakresie teologii. Rodziła się polska historiografia w postaci zapisek rocznikarskich, którymi uzu-

pełniano sprowadzony z Dijon annał, przekształcając go w *Rocznik Kapitulny Krakowski*, dziś jedno z podstawowych dla nas źródeł wiedzy o tamtych latach. Zgromadzeni w ośrodkach kościelnych *homines litterati* — ludzie biegli w czytaniu tekstów — przekazywać mogli wiedzę innym; powstawały szkoły. Te zaś stawały się wylęgarnią nowej, rodzimej już kadry duchowieństwa, tak że w następnym pokoleniu będą już mogli zasiadać na stolicach biskupich obok ludzi języka francuskiego czy niemieckiego również Bogumiłowie i Stanisławowie. To właśnie było największą nowością, stanowiło o wejściu Polski w kolejny etap chrystianizacji. Kościół, ważna i niezbędna w tym czasie podpora państwa i dynastii, polonizował się, przestając być z wolna elementem obcym w społeczeństwie, przynajmniej zaś w górnych jego warstwach.

Zagrożona, co prawda, była niezależność Kościoła w Polsce od obcych czynników politycznych. Odbudowa ośrodków wielkopolskich posuwała się wolniej niż innych, a stąd i w funkcjonowaniu metropolii gnieźnieńskiej powstała jakaś przerwa, nie wiadomo na pewno jak długa. W tej sytuacji mogły odżyć pretensje Magdeburga, a może też Moguncji, do zwierzchności nad polskimi biskupami. Że niebezpieczeństwo takie w Polsce rozumiano i że mu przeciwdziałano, to rzecz pewna. Dowodem — paliusz arcybiskupi, o który postarano się w Rzymie dla pasterza krakowskiej diecezji, Aarona. Nie podnosił on wprawdzie Krakowa do rangi metropolii kościelnej, ale dawał indywidualne przywileje Aaronowi, zwłaszcza tak potrzebne prawo wyświęcania biskupów.

Jeśli były to półśrodki, to jednak na razie spełniły swą rolę w leczeniu ran poniesionych przez osłabioną po śmierci Chrobrego monarchię.

Przywykliśmy uważać ostatnie lata panowania Kazimierza Odnowiciela za okres pokoju, poświęcony odbudowie zniszczeń z lat 1038 - 1039. Obraz taki jest przynajmniej w części wynikiem jednostronnych źródeł, z których musimy czerpać wiedzę o dziejach Polski w XI w. Najlepiej znanymi wydarzeniami z tych czasów są te, które znalazły odbicie w licznych i nieraz bardzo szczegółowych relacjach roczników i kronik niemieckich. Konflikty Polski z niemieckimi sąsiadami pozostawiały więc z reguły ślad w źródłach i dlatego lata nabrzmiałe tymi konfliktami należą do najlepiej znanych. I odwrotnie: gdy na granicy polsko-niemieckiej następowało uspokojenie, sprawy polskie przestawały przeważnie interesować rocznikarzy niemieckich i Polska nikła ze źródeł. Wywołuje to wrażenie osłabienia aktywności Polski w jej stosunkach z sąsiadami, ale oczywiście wrażenie takie może być fałszywe; brak wypraw polskich w kierunku zachodnim nie oznacza przecież, że spokój panował także na innych granicach.

Celem ówczesnych wypraw zbrojnych bywał w owym czasie wciąż jeszcze przede wszystkim łup. Kierowały się więc one tam, gdzie o łup było łatwo; przeciw sąsiadowi niewątpliwie słabszemu, czy gorzej zorganizowanemu, a więc niezdolnemu ani do stawienia napastnikom czoła, ani do groźnego odwetu. Na zachód prowadzili swe drużyny pierwsi Piastowie wtedy, gdy jeszcze nad zaodrzańskimi Słowianami nie zapanowała lub przynajmniej nie utrwaliła się władza państwowa Niemiec. Od wypraw Mieszka II przestano już szukać łatwej zdobyczy na terytoriach łużyckich; panowanie nad nimi grafów niemieckich stało się faktem i zaczepianie ich prowadziłoby do trud-

nej i nieopłacalnej wojny. To zadecydowało, że polskie wyprawy po łup kierowały się odtąd na słabo zorganizowane ludy pomorskie i pruskie lub też na Czechy, Węgry i Ruś, jeśli te państwa przeżywały właśnie trudności wewnętrzne, osłabiające ich zdolność obronną. Jeśli były to tylko najazdy na pogranicze, nie sięgające w głąb kraju, nie zostawiały najczęściej żadnego śladu w źródłach.

Także więc w latach pozornego spokoju u schyłku życia Kazimierza Odnowiciela musimy się liczyć z możliwością, że przez łatwiejsze do sforsowania granice nadal chodzili woje po zdobycz wojenną.

Od poważniejszych bojów rycerstwo polskie rzeczywiście jednak odwykało. Wiązać zaś to należy nie z przypadkowym ostygnięciem konfliktów w tej części Europy, ale z przemianami, jakim ulegał zarówno dwór książęcy, jak i całe społeczeństwo.

Kazimierz Odnowiciel, podobnie jak jego rodzice, był powiązany wieloma nićmi z Zachodem, czego nie przekreśliło jego ruskie małżeństwo. Znane nam okoliczności polityczne sprawiły ponadto, że przez długie lata szukał poparcia cesarskiego i jeżeli nawet nie był formalnie wasalem Henryka III, to jednak uznawał w nim najwyższy autorytet, któremu się poddawał. Zarówno zaś Kościół zachodni, przynajmniej w swym zdążającym do reform odłamie, jak i cesarz propagowali wówczas usilnie ideę zaprzestania walk między chrześcijanami. Zasady pokoju bożego czy pokoju cesarskiego nie stały się wprawdzie prawem bezwzględnie obowiązującym i przez wszystkich posłusznie przestrzeganym, zdobyły jednak sobie znaczne uznanie i wpłynęły przynajmniej na ograniczenie nagminnych do niedawna walk między feudałami. Książę polski tendencjom tym niewątpliwie ulegał, a chęć utrzymania dobrych stosunków z cesarzem,

skłonnym zawsze do wystąpienia w roli karzącego sędziego, tym bardziej skłaniała go do ostrożności.

Osobiste skłonności księcia panującego, dysponenta głównej siły zbrojnej państwa, ważyły w wiekach średnich wiele, jeśli tylko nie pozostawały w jaskrawej sprzeczności z tendencjami społecznymi. Pół wieku wcześniej książę, który by nie dawał swym wojom sposobności do zdobywania łupów, nie utrzymałby się zapewne u władzy, główną bowiem racją, że służyła mu drużyna, była właśnie perspektywa zbogacenia się na wyprawie zbrojnej. Tak było na Rusi, nie inaczej wyglądał stosunek między władcą i wojami w Polsce. Ale czasy już się zmieniły. W miarę krzepnięcia organizacji państwowej i stabilizowania się warstwy ludzi tworzących aparat państwowy jawiła się inna niż wojna możliwość pomnażania bogactw: stały dochód z zagospodarowanej ziemi, uprawianej cudzymi rękoma. W następnych stuleciach renta feudalna przynoszona przez ziemię zasiedloną przez zależnych ludzi stanie się już powszechnie podstawowym źródłem utrzymania i zysków rycerstwa. W połowie XI w. było jeszcze inaczej, gospodarka nie na tyle intensywna i rentowna, by rabunek sąsiadów nie stanowił już atrakcji. Ale pierwsze kroki w kierunku zainteresowania rycerstwa eksploatacją wewnętrzną zostały dokonane i wojna przestała być jedyną możliwą drogą zyskiwania znaczenia i bogactwa. Co więcej, o ile jedna i druga szczęśliwa wyprawa wydawały się wciąż jeszcze korzystną okazją, o tyle bezustanne wojny natrafiały już u wielu na sprzeciw, skoro uniemożliwiały kierowanie i kontrolowanie dobra posiadanego w kraju.

Wejrzenie w owe zmiany, zachodzące w interesach, a następnie i w mentalności tych, którzy two-

rzyli się zbrojną monarchii, może wytłumaczyć wiele ze znanych nam wydarzeń XI i XII w.

Dotyczy to już wypełnionego szczękiem oręża ćwierćwiekowego panowania starszego syna Kazimierzowego, Bolesława II (1058 - 1081). Wychowywany na władcę, odebrał wykształcenie wszechstronne, takie zapewne, jakim szczycił się ojciec, a więc nie tylko rycerskie, ale i „literackie". W tradycji przechowała się wprawdzie pamięć tylko o jego talentach wojennych, pozostał jednak także nie zauważony dotąd ślad, że nie należał bynajmniej do owych częstych w średniowieczu książąt-rycerzy obcych całkowicie kulturze piśmiennej. Poszło mianowicie w zapomnienie, że Bolesław otrzymał drugie imię Largus na cześć świętego męczennika, towarzysza św. Cyriaka, którego kult już w drugiej połowie X w. szerzył się w Saksonii, a stąd stał się znany też w Polsce. Drugie imię, otrzymywane wówczas przy bierzmowaniu, pozwala sądzić, że noszący je odebrał podstawowe wykształcenie w łacinie, piśmie i zasadach religijnych, tego bowiem wymagano wówczas od dopuszczanych do tego sakramentu, który był przyjmowany głównie przez kandydatów do stanu duchownego.

O drugim imieniu Bolesława II rychło zapomniano, a przyczyniła się do tego *Kronika Galla*. Jej autor był o nim poinformowany, korzystając jednak z tego, że imię Largus należy do imion mówiących — znaczy tyle, co „szczodry" — w swej charakterystyce Bolesława rozwinął zasadę „nomen omen" i nagromadził anegdoty, które by ilustrowały szczodrobliwość księcia. Późniejsze pokolenia upatrywały więc w przymiotniku Largus, dodawanym stale do imienia Bolesława, epitet lub przydomek i tak Bolesław Largus stał się w naszej historiografii Bolesławem Szczodrym.

Przy imieniu Largus warto się chwilę jeszcze za-

trzymać. W tej epoce przecież niekoniecznie sięgano po imiona do kalendarza chrześcijańskiego. Jak już wzmiankowaliśmy przy okazji referowania okoliczności chrztu Mieszka I, imię miało nawiązywać przede wszystkim do żyjącego patrona. Drugi syn Kazimierza Odnowiciela, Włodzisław, otrzymał przy bierzmowaniu imię Hermana, nie znane jeszcze wówczas w rejestrze świętych, a nadane na cześć noszącego je arcybiskupa kolońskiego, brata Rychezy. Spotykamy się jednak także z inną praktyką, kiedy po drugie imię sięga się rzeczywiście do kalendarza, ale wybiera się z niego imiona mówiące, oznaczające jakąś cechę. W XI - XII w. szczególną karierę robi imię Magnus — dosłownie „wielki" — noszone przez wielu panujących europejskich. Zwyczaj ten znano na dworze piastowskim. Przebywający na nim wygnaniec węgierski Bela I przyjął imię Benignus, czyli „łaskawy", a najstarszemu swemu synowi Gejzie nadał imię Magnus. Zanim podobny zwyczaj się rozpowszechni, obserwujemy go wyłącznie w rodach panujących, zwłaszcza przy nadawaniu imienia następcy tronu. Była w tym może świadoma myśl, by przyszłemu suzerenowi nie przydawać ziemskiego patrona, nie stwarzać wrażenia, że inny władca mógłby być jego seniorem. Jeśli tak, a takie wytłumaczenie wydaje się najprawdopodobniejsze, to w imieniu Largus nadanym dziedzicowi tronu polskiego upatrywać by należało wskazówkę, że Kazimierz Odnowiciel mimo swych więzów z cesarstwem pielęgnował, przynajmniej w późniejszych latach panowania, ideę niezależności królestwa polskiego, której symbolem była korona jego przodków.

Gdy jednak Kazimierz zamykał oczy, nic jeszcze nie wskazywało, że dziedziczącemu władzę naczelną młodzieniaszkowi będzie dane koroną tą rzeczywiście przy-

przywódcami byliby: brat królewski Włodzisław Herman, który teraz sięgnął po tron, późniejszy palatyn Włodzisława Sieciech oraz biskup Stanisław; ich sprzysiężenie, oparte na porozumieniu z Henrykiem IV i Wratysławem czeskim, odkryte zbyt późno przez króla, który zdążył jednak osądzić i ukarać biskupa, miało pociągnąć za sobą większość możnych i rycerstwa, stawiając króla w izolacji i zmuszając go do ucieczki z kraju.

Taka konstrukcja wypadków musi jednak budzić wątpliwości. Buntu Włodzisława Hermana i Sieciecha nie poświadcza żadne źródło, a nieliczne znane nam fakty późniejsze nie potwierdzają również opinii, by ich orientacja polityczna była przeciwstawna królewskiej. W kołach dworskich utrzymywała się nadal pochlebna opinia o Bolesławie II, tworząca się legenda mieszała jego czyny z czynami jego chrobrego pradziada i imiennika, Włodzisław Herman imię nieszczęsnego brata dał własnemu synowi i dziedzicowi. Biskupa nie pochwalano i tylko szacunek dla Kościoła powstrzymywał ostrzejszą krytykę jego postępowania. Nie uważano go jeszcze za męczennika i o żadnym kulcie jego osoby nie było mowy.

Próby rekonstruowania wypadków politycznych, gdy źródeł w ogóle nie ma, wymykają się wszelkiej kontroli i słuszniej o nie się nie kusić. Pozostaniemy więc tylko przy spostrzeżeniu, że korona nadal nie przynosiła Piastom szczęścia, a bezustanne wyprawy wojenne, choć wieńczone sukcesami i bogatą zdobyczą, nie umacniały już w drugiej połowie XI w. w tym stopniu, co dawniej, pozycji monarszej.

Lata po upadku Bolesława II są najbardziej ciemne w dziejach polskiego średniowiecza: nie wiemy o nich właściwie nic i tylko dane pośrednie pozwalają sądzić, że był to okres dla państwa piastowskiego niezwykle

ciężki kryzys nieporównanie większy niż ten, jaki wiążemy z okresem po śmierci Mieszka II. Po południowych ziemiach Polski spacerowali sąsiedzi — Czesi i Węgrzy — północne trapili łupieskimi napadami Pomorzanie. Dwór Władysława Hermana ulokował się w stosunkowo najbezpieczniejszym Płocku nie dlatego, by miała to być jego dawna siedziba jako księcia dzielnicowego, co po Tadeuszu Wojciechowskim powtarza bezkrytycznie nowsza historiografia, ale dlatego, że ani Kraków, ani Gniezno czy Poznań na ośrodek dyspozycyjny się nie nadawały pozostając w stałym zagrożeniu. Pozycja monarsza nowego księcia też była początkowo niepewna. Książę czeski Wratysław koronował się z woli cesarza na króla zarówno Czech, jak i Polski, a sytuacja międzynarodowa po klęsce Grzegorza VII ułożyła się tak, że cesarstwo znów stawało się czynnikiem zdolnym do narzucania swych rozstrzygnięć wschodnim sąsiadom Niemiec. Że w tych warunkach polityka polska musiała być elastyczna, to oczywiste, ale jednocześnie nie upoważnia do wniosku, jakoby jej kierownicy już w latach poprzednich mieli reprezentować orientację odmienną niż zegnany król.

W każdym razie nowa władza uratowała dziedzictwo przodków. Wratysław czeski pozostał przy czczym tytule, ale ziem polskich nie opanował, w czym — można się domyślać — przeszkodzili mu Węgrzy, których król Władysław Święty, blisko związany z dynastią polską jako syn Beli i Adelajdy córki Mieszka II, nie tylko udzielił schronienia wygnanemu Bolesławowi II, a po jego śmierci opiekował się jego jedynym synem Mieszkiem, ale podejmował także próby opanowania Krakowa. Dwór płocki doprowadził do porozumienia z obydwoma południowymi sąsiadami. Zgodę z Czechami przypieczętowały małżeństwa Wło-

dzisława Hermana z Judytą córką Wratysława oraz samego Wratysława z siostrą księcia polskiego Świętosławą. Postulaty węgierskie zaspokojono przywołaniem z wygnania Mieszka Bolesławica (1086), którego może osadzono w Krakowie z nadzieją sukcesji po stryju. Przeciw Pomorzanom palatyn Sieciech podejmował kroki wojskowe usiłując podporządkować na powrót kraj ich zwierzchnictwu polskiemu.

Jednocześnie energiczny palatyn — bo on, a nie schorowany książę, wydaje się faktycznym kierownikiem państwa — wiele wysiłku kładł w przebudowę aparatu władzy. Rozwój wielkiej własności sprawił, że możni — zwłaszcza w dawnych *pertynencjach* — zyskali takie podstawy materialnej niezależności od monarchy, że pozostawianie w ich ręku administracji terytorialnej stawało się niebezpieczne: potężniejsi z nich aspirowali do roli udzielnych władców. Te tendencje stały się może właściwą przyczyną upadku Bolesława II. Przeciwdziałając powtarzaniu się takich wypadków Sieciech ograniczał kompetencje miejscowych możnych, a zarząd terytorialny starał się oprzeć na ludziach nowych, silniej związanych z dworem, w wielu zapewne wypadkach na własnej klienteli. Te posunięcia wywoływały opór, palatyna otaczała nienawiść możnych, którzy nie przebierali w środkach, szkalując go i przypisując mu rozmaite zbrodnie. Wskazywano na niego, jako na mordercę Mieszka Bolesławica, zmarłego właśnie w kwiecie wieku (1089), oskarżono go o romans z drugą małżonką księcia Judytą Marią, córką cesarza Henryka III i wdową po królu węgierskim Salomonie, przypisywano mu zamiar zgładzenia synów książęcych, aby sobie samemu utorować drogę do tronu. Na osobiste ambicje Sieciecha wskazują zresztą także obiektywne dane; wiemy, że palatyn kazał bić monetę, na której umieszczono jego

własne imię. Wroga mu propaganda miała więc czym się żywić i przygotowywała serię buntów pod hasłem obrony praw młodych książąt. Wyciągnięto najpierw z klasztoru niejakiego Zbigniewa, syna Włodzisława Hermana z młodzieńczego związku uważanego na dworze za nieformalny. Do buntu przyłączył się też młodszy syn księcia z małżeństwa z Judytą czeską, Bolesław Krzywousty. Pierwsze wystąpienie przeciw Sieciechowi nie przyniosło zwycięstwa opozycji, ale — aby zapobiec nowym zaburzeniom — Włodzisław Herman poszedł na kompromis z przeciwnikami zgadzając się na uznanie Zbigniewa swym synem i dziedzicem (1093). Dalsze wichrzenia Zbigniewa spowodowały jego uwięzienie w grodzie Sieciecha, pod naciskiem jednak świeckiego i duchownego możnowładztwa stary książę nie tylko go amnestionował, ale powierzył też obu synom zarząd prowincjami państwa: Zbigniew otrzymał prawdopodobnie Wielkopolskę i Kujawy, Bolesław — ziemie południowe (1097).

Płock spodziewał się w ten sposób uspokoić wrzenie i oderwać synów książęcych od związku z buntownikami, którzy tracili przy tym najpoważniejszy atut propagandowy, jakim była rzekoma dyskryminacja młodych książąt. I to jednak nie pomogło. Obie strony inaczej interpretowały akt wydzielenia przez Włodzisława Hermana dzielnic synom. Stary książę powierzał im tylko funkcje namiestnicze zatrzymując w swych rękach główne grody oraz wyłączne prawo nominacji kasztelanów i chociaż sam ze względu na wiek i zdrowie nie opuszczał swej płockiej rezydencji, przecież rzeczywistych rządów z rąk nie wypuszczał, a jego palatyn zachował nieuszczuplone kompetencje. Synowie książęcy natomiast widzieli się w roli udzielnych władców, skłonni uznawać jeszcze formalnie pierwszeństwo ojca, ale upokorzeni faktyczną zależ-

nością od Sieciecha. Stojąc już z urzędu na czele dzielnicowych sił zbrojnych podnieśli nowy bunt, okupowali — przynajmniej zrobił tak Bolesław — grody podległe ojcu, a wojska Zbigniewa stanęły pod Płockiem. Wojnę zażegnała mediacja arcybiskupa Marcina. Włodzisław Herman przyjął warunki synów, zgodził się na wygnanie z kraju Sieciecha i na przyznanie młodym książętom samodzielnych rządów w ich dzielnicach (ok. 1100). Państwo rozpadło się więc faktycznie na trzy odrębne części, bo staremu księciu nie przypadała już żadna władza poza zatrzymanym sobie Mazowszem. Pozbawiony oparcia w oddalonym palatynie, chory i niedołężny, nie próbował już jej odzyskać, ani nie dawał się namówić do desygnacji następcy i określenia na przyszłość wzajemnego stosunku synów, przekonany, że niezależnie od jego testamentu sprawy te będą rozstrzygane w starciu orężnym.

Zwycięstwo młodych książąt nad ojcem zakończyło okres ich współdziałania, a rozpoczęło rywalizację. Obaj szukali poparcia u innych sił społecznych, stawali się reprezentantami odmiennych interesów i tendencji. Zbigniew miał nadal za sobą wielu możnych i hierarchię kościelną z arcybiskupem Marcinem na czele, którzy głosili, że kraj potrzebuje spokoju, a jego przyszłość i rozkwit zabezpieczy oddanie się intensywnej działalności gospodarczej mającej na celu pomnażanie rentowności rolnictwa i hodowli, z których to źródeł wielka własność mogła już czerpać dochód większy i pewniejszy niż ten, jaki przynosiły wojny. Zapewnienie pokoju na granicy północnej leżało zwłaszcza w interesie ludności wielkopolskiej narażonej na napady Pomorzan, niosące zniszczenia zbyt wielkie, by je rekompensowały zyski z nie zawsze owocnych wypraw odwetowych. Bolesław Krzywousty zyskał natomiast

już w latach chłopięcych popularność wśród rycerstwa jako chętny uczestnik wypadów za granicę, zwłaszcza na Morawy, dokąd starym zwyczajem chadzano po łupy.

Otwarty konflikt między braćmi wybuchł po raz pierwszy po śmierci Władysława Hermana (1102). Spór o spadek rozstrzygnął swą powagą arcybiskup Marcin przyznając Zbigniewowi Mazowsze, ale bez władzy zwierzchniej nad Bolesławem. Bracia jako równorzędni książęta mieli jedynie zawrzeć umowę o współdziałaniu ze sobą. Rychło doszło do jej zerwania, czego inicjatorem był Bolesław dążący do rozciągnięcia władzy na całą Polskę. Atak na brata poprzedził propagandą przeciw niemu jako rzekomemu sojusznikowi wrogów państwa. Chodziło w rzeczywistości o to, że Zbigniew nie chciał wspierać Krzywoustego w wyprawach na Morawy, a ekspedycję przeciw Pomorzanom, gdy chciała przejść przez jego ziemie zawrócił z drogi. W rezultacie doszło do wojny między książętami (1106—1107) i pobity Zbigniew podporządkował się młodszemu bratu zatrzymując Mazowsze jako lenno. Niebawem i tego pozbawił go Krzywousty korzystając z ruskich i węgierskich posiłków, a z opanowanego Mazowsza dokonał zaraz wypadu na Prusy.

Zbigniew szukał pomocy najpierw w Czechach, potem u cesarza Henryka V. Najazd tego ostatniego na Polskę (1109) został jednak odparty, choć nie bez trudności. Sukcesy militarne Krzywoustego w tej wojnie odmalował jego panegirysta nieco przesadnie. Faktem jest na pewno to, że wojskom cesarskim nie udawało się spacyfikować zajętej części Śląska, a Henryk miał dość kłopotów w Niemczech, by angażować większe siły w przewlekające się walki. Do walnej rozprawy z głównymi siłami Bolesława w ogóle nie doszło.

Cesarz, który początkowo domagał się trybutu i przywrócenia dzielnicy Zbigniewowi, zadowolił się dla ratowania twarzy ogólnikowymi deklaracjami księcia polskiego o uznawaniu przez niego wzorem przodków obowiązków wobec cesarstwa, czemu towarzyszyła zapewne obietnica zaspokojenia pretensji brata. Niebawem też Zbigniew zjawił się w Polsce, lecz tu został podstępnie uwięziony, oślepiony i wkrótce zmarł (1112).

Bezwzględność Krzywoustego wzburzyła przeciw niemu dawnych stronników Zbigniewa, między którymi znajdował się przecież arcybiskup gnieźnieński, dysponujący władzą orzekania kar kościelnych. Grożono księciu za bratobójstwo klątwą i pozbawieniem tronu i Bolesław musiał odbyć swoistą Kanossę w formie demonstracyjnej pielgrzymki pokutnej i obsypania darami Kościoła i swych przeciwników. Kajając się publicznie za popełniony grzech apelował jednocześnie do poczucia odpowiedzialności przywódców opozycji, którym wskazywał na zamęt, w jaki musiałby popaść kraj po wygnaniu ostatniego żyjącego członka dynastii.

Tubą propagandową dworu książęcego stał się anonimowy autor pierwszej kroniki polskiej, którego przywykliśmy nazywać Gallem zgodnie z hipotezą wywodzącą go z krajów języka francuskiego. Być może, doczekamy się dekonspiracji zagadkowego autora: wstępne studia Danuty Borawskiej wskazują na Wenecję jako jego ojczyznę i zapowiadają możliwość jego identyfikacji z biskupem krakowskim Maurem lub kimś z jego otoczenia. *Kronika*, jeden z najpiękniejszych zabytków literackich ówczesnej Europy, podjęła apologię nie tylko aktualnego księcia, ale całej dynastii, której wyłączne prawo do tronu polskiego starała się uzasadnić.

Mamy w niej nowy dowód, jak wciąż aktualną sprawą była w ówczesnej Polsce legitymacja praw monarszych. Gdy zawiodły próby uświęcenia panujących przez sakralną koronację, dwór sięgnął do uzasadnień świeckich, nawiązując do prawa naturalnego i tradycji rodowych. *Kronika Galla* rozwija konsekwentnie tezę o przyrodzonych prawach dynastii piastowskiej do panowania, motywując je zasadą dziedziczności i akcentowaną wciąż „zacnością" rodu. Sięga zresztą i po inne argumenty, utrwalając, a zapewne też współtworząc, legendę Bolesława Chrobrego, który — rzecz ciekawa — występuje tu jako król z mandatu cesarskiego; o koronacji sakralnej ani słowa! Pozwalamy sobie na domysł, że — niezależnie od nieścisłych informacji kronikarza — nasz Anonim zgodnie z intencjami dworu nie chciał podkreślać roli arcybiskupów gnieźnieńskich w koronacji. Z prób uświęcenia sankcją bożą praw dynastycznych jednak nie rezygnował. Ponieważ dynastia polska nie dysponowała atutem w postaci przodka wyniesionego na ołtarze, stworzył opowieść o protoplaście rodu Siemowicie przez znaki cudowne przeznaczonym na władzę i na tron wyniesionym przez samego Boga. Kara niebios miała też spotkać tych, którzy występowali przeciw naturalnym panom, czego Gall przytaczał liczne przykłady.

Jednakże przed trzydziestu kilku laty zegnano z tronu Bolesława II, a wydarzenie to w konsekwencji utorowało drogę do władzy obecnemu księciu. On sam również występował zbrojnie przeciw własnemu ojcu, o czym nie wiedzielibyśmy nic, gdyby nie *Kronika Galla*. Fakty te Anonim właściwie akceptował. Toteż jego teoria nie głosi bynajmniej nienaruszalności praw aktualnie panującego księcia. Ten, owszem, może być nawet obalony, gdy rządy jego staną się w oczywisty sposób naganne. Nie wolno tylko naruszyć przy tym

świętych praw dynastii. Mógł być usunięty Bolesław II, bo jego miejsce zajmował rodzony brat Włodzisław Herman; nie miało znamion grzechu zwalczanie Hermana pod sztandarem jego rodzonego i legalnego syna; trzeba jednak wybaczyć zbrodnię Krzywoustemu, bo jego zegnać nie wolno, skoro brakuje już innych członków dynastii.

Jeśli tego rodzaju argumentacja trafiała do przekonania adresatów i — obok innych czynników — uratowała tron Bolesławowi III, to chyba nie niosła obcych społeczeństwu pojęć, ale odwoływała się do przekonań raczej utrwalonych. Widać stąd, że tradycja dynastyczna była już w początkach XII w. mocno zakorzeniona. Tak wtedy, jak i przez następne dwa stulecia, środowisko możnowładcze walczy o ograniczenie władzy książęcej, buntuje się przeciw władcom jemu niewygodnym, usuwa jednych książąt i powołuje innych, ale myśl o sięgnięciu po kandydata spoza rodu piastowskiego długo jeszcze będzie mu całkowicie obca.

Utrzymywał się więc przy władzy Bolesław Krzywousty tak po zamordowaniu Zbigniewa, jak i w parę lat później, gdy kazał oślepić współtwórcę swych militarnych sukcesów palatyna Skarbimira (1117). Nie wiadomo, co było przyczyną tego drugiego kroku; czy rzeczywiście próba buntu, jak zapisał rocznik, czy zazdrość księcia o rosnącą popularność wojewody, czy może poważne różnice koncepcji politycznych. Od chwili, kiedy urywa się relacja *Kroniki Galla* (1113), jesteśmy znów zdani na wiadomości przypadkowe i fragmentaryczne o faktach wyrwanych z kontekstu towarzyszących im zdarzeń. Ale już na podstawie tego, co opowiadał Gall, można zaobserwować, że między Bolesławem i Skarbimirem istniała i była przez współczesnych rozumiana różnica w poglą-

dach na cele prowadzonych wojen. Gdy Krzywousty w tym okresie zdolny był tylko do organizowania efektownych wypraw po łupy i po nie chodził na bogate miasta pomorskie, to Skarbimir pracował, podobnie jak przedtem Sieciech, nad objęciem ziem pomorskich przez polską organizację polityczną. Czy później książę dojrzał politycznie, czy też nie będąc już wodzem jednego tylko stronnictwa pozwalał na siebie wpływać tym wytrawniejszym mężom stanu, którzy w początkach jego panowania grupowali się raczej w obozie przeciwnym, dość, że upadek Skarbimira nie spowodował załamania się jego polityki pomorskiej. Przyniosła ona sukces największy od czasów Chrobrego. Po ostatecznym podporządkowaniu zwierzchności polskiej Pomorza Wschodniego, czyli Gdańskiego Krzywousty uzależnił od siebie także Pomorze Zachodnie (1121—1122), w czym i fermenty na tamtejszym terenie, rywalizacja między wszechwładną do niedawna oligarchią możnowładczą a sięgającym po władzę książęcą wodzem z wyspy Uznam Warcisławem, oddały mu decydujące usługi.

Związek obu części Pomorza z Polską oparł się na różnych zasadach. Pomorze Wschodnie stało się typową *pertynencją* państwa polskiego, administrowaną przez miejscowych książąt, którzy występowali teraz w roli namiestników księcia polskiego. Warcisław zachodniopomorski utrzymał pozycję bardziej niezależną, stając się tylko obowiązanym do trybutu lennikiem Krzywoustego. I tę zależność próbował rozluźnić, ale w walce z opozycją bogatych miast nadmorskich Szczecina i Wolina musiał odwoływać się do poparcia księcia-seniora.

Utrwaleniu władzy książęcej na Pomorzu Zachodnim i polskich wpływów w tym kraju miała służyć jego chrystianizacja i odnowienie organizacji kościelnej

zniszczonej jeszcze w okresie współpracy Henryka II z Wieletami. Kościół polski nie znalazł jednak w sobie dość sił, aby wziąć we własne ręce misję na tym terenie. Bolesław szukał więc chętnych wśród obcych i ostatecznie powierzył akcję misyjną, po nieudanej wyprawie Bernarda Hiszpana, biskupowi bawarskiej Bambergi, Ottonowi, znanemu w Polsce z czasów, gdy jako kapelan przebywał na dworze Włodzisława Hermana. Porozumienie między księciem polskim, Warcisławem i Ottonem przewidywało, że powołana później do życia stała organizacja diecezjalna zostanie poddana zwierzchności gnieźnieńskiej. Jeśli jednak dwie kolejne wyprawy misyjne Ottona Bamberskiego (1124 i 1128) przyniosły znaczny sukces, to założenie biskupstwa przewlekało się i nastąpiło już po śmierci Krzywoustego (1140), w zmienionych warunkach politycznych, które nie sprzyjały włączeniu go do polskiej prowincji kościelnej. Tylko wezwanie św. Wojciecha, jakie otrzymała katedra w Wolinie, pozostało świadectwem jego genezy.

Jeszcze za życia Krzywoustego arcybiskupi Magdeburg podjął atak na niezależność organizacyjną polskiego Kościoła. Za staraniem wpływowego w Rzymie zwierzchnika Kościoła magdeburskiego, Norberta z Ksanten, papież Innocenty II wygotował bullę rozciągającą władzę Magdeburga na biskupstwa polskie (1133). Decyzja ta nie weszła w życie i już w trzy lata później Gniezno otrzymało potwierdzenie swych praw.

Niechętnie też patrzyli Sasi na postępy polskie na Pomorzu, którego południowo-zachodnie krańce sami już opanowywali (Albrecht Niedźwiedź). Niepowodzenia Bolesława w ostatnich latach życia na Rusi i na Węgrzech nie pozwalały mu na prowokowanie nowego konfliktu zbrojnego z Niemcami. Na szczęście także cesarza Lotara z Supplinburga, choć specjalnie zain-

teresowanego ekspansją Sasów, których poprzednio był księciem, absorbowały wypadki we Włoszech. Sprzyjało to rozwiązaniom kompromisowym. Na zjeździe w 1135 r. w Merseburgu książę polski przyjął z rąk Lotara Pomorze Zachodnie i nie zdobytą jeszcze Rugię jako lenno oraz zapłacił z tego tytułu zaległy trybut za lat dwanaście, to znaczy za czas od chwili opanowania przez siebie ziem pomorskich.

Umierając w 1138 r. zostawiał Bolesław Krzywousty państwo polskie niemal w tych samych granicach, jakie półtora wieku temu dziedziczył Chrobry. Ludność tego państwa łączyło już silne poczucie wspólnoty i przywiązanie do „zacnej" dynastii. A dynastia ta zaczynała się właśnie rozradzać potężnie. Przeżyło Krzywoustego pięciu synów i doświadczenia własnej młodości nasuwały chyba ich ojcu wizję przyszłych walk bratobójczych o pozostawiane przez niego dziedzictwo. W przeciwieństwie do Włodzisława Hermana wierzył jednak, że zapobiec im można ustaleniem zasad dziedziczenia tronu, takich zwłaszcza, które każdemu z synów stworzą nadzieję na uzyskanie w odpowiednim czasie najwyższej władzy w państwie. Według jego przedśmiertnych postanowień następstwo tronu miała regulować stosowana także na Rusi i w Czechach zasada senioratu: najstarszy wiekiem członek dynastii dziedziczyłby władzę zwierzchnią, a więc przechodziłaby ona z brata na brata, nie zaś z ojca na syna. Dla wzmocnienia autorytetu swego testamentu miał Krzywousty prosić o jego gwarancję papieża i cesarza.

Mimo że wiele się zmieniło w Europie od czasów ottońskich, książęta polscy wciąż czuli się członkami wspólnoty kierowanej przez te dwie instytucje.

1138—1300

SPOŁECZEŃSTWO FEUDALNE

Począwszy od XII w. stają do dyspozycji badacza dziejów Polski źródła odmiennego typu niż te, które pozostawił po sobie okres poprzedni. Są to dokumenty. Jako bezpośredni ślad czynności prawnych dają nam one wiadomości ściślejsze i pewniejsze niż subiektywne relacje rocznikarskie i kronikarskie. Innych też spraw dotyczą. Notatka rocznika czy opowieść kronikarza jako fakty godne upamiętnienia eksponowały listy dynastyczne, wojny, czasem też donioślejsze wydarzenia z dziejów organizacji kościelnej, z reguły zaś nie dawały materiału, który by pozwalał zorientować się w stosunkach społecznych danego okresu. Dokumenty natomiast powstawały przeważnie w związku ze sprawami majątkowymi stanowiąc dowód nabytych przez ich odbiorców tytułów prawnych. Dają one wgląd w organizację społeczeństwa i dynamikę jego rozwoju w powiązaniu z ewolucją gospodarki, pojęć prawnych i ustroju państwowego. Szczególnie cennym przewodnikiem po tych zagadnieniach jest unikalny w literaturze średniowiecznej utwór znany pod nazwą *Księgi Henrykowskiej:* jest to przedstawienie dziejów uposażenia klasztoru cysterskiego w Henrykowie na Śląsku, założonego w 1227 r. Oparta na

zbiorze dokumentów klasztornych, cytowanych in extenso, zawiera również obszerny komentarz do każdego z nich, referując także losy ziem klasztoru w latach poprzedzających ich zawłaszczenie przez zakon. Przed oczyma jej czytelnika rozwija się barwny film z życia społeczeństwa śląskiego XIII w., rozjaśniają się kwestie, których samo tylko studium tekstów dokumentów nigdy nie pozwoliłoby rozwiązać. Nieocenionym objaśnieniem panujących w Polsce średniowiecznej pojęć i zwyczajów prawnych jest też najstarszy zwód prawa polskiego, nazywany najczęściej *Księgą Elbląską,* spisany w języku niemieckim w XIII lub najpóźniej w początkach XIV w.

Pomimo względnej obfitości źródeł, jakimi dla tych spraw dysponujemy, poglądy na strukturę społeczeństwa polskiego w XII—XIII w. bywają często rozbieżne, a to, co w nich uległo ujednoliceniu też nie zawsze będziemy mogli przyjąć bez zastrzeżeń. Wydaje się nam, że w tej dziedzinie nauka współczesna nie uwolniła się całkowicie od balastu tez literatury starszej, opartych na przesłankach oczywiście błędnych; dokonanej później rewizji owych przesłanek towarzyszy często podtrzymywanie wysnutych z nich wniosków, choć straciły już one uzasadnienie.

Stan ten nie powinien zresztą dziwić. Historyk przy badaniu stosunków średniowiecznych natrafia na podstawową trudność, jaką jest wejście w świat pojęć nieraz zasadniczo odmiennych od tych, którymi przywykł operować człowiek współczesny. Podpisać się więc wypada pod przestrogami Karola Buczka przed „... przenoszeniem pojęć zaczerpniętych z prawa późnorzymskiego i kapitalistycznego w czasy, kiedy pojęć tych nie znano i nie stosowano w praktyce”.

A tak właśnie jest, gdy rozpatrujemy centralny dla tej epoki problem praw ludności do ziemi. Posługując

się dla wygody takimi określeniami, jak „stosunki własnościowe", „wielka własność" itp., łatwo jest zapomnieć, że pojęcie własności ziemi, jak je rozumiało prawo rzymskie, a także nowożytne, nie istniało w średniowieczu. Nie znały go ludy germańskie i słowiańskie, którym przyszło urządzać średniowieczną Europę, i przyjmowały je bardzo powoli pod wpływem zetknięcia się z reliktami instytucji antycznych oraz studium prawa rzymskiego.

Przeciwieństwem pojęć prawa rzymskiego były pojęcia feudalne. Wczesny feudalizm nie znał prawa własności ziemi, która — dopóki nie wzięto jej w użytkowanie — nie przedstawiała wartości. Ktokolwiek ziemię zagospodarował, włożył w nią pracę, która nadała jej wartość, ten wchodził w jej posiadanie, zyskiwał prawo jej użytkowania. Jednocześnie jednak w stosunku do wszystkiej ziemi w państwie istniało nadrzędne prawo władania zwierzchniego należące do panującego monarchy, w zachodnioeuropejskim słownictwie — suzerena. Z tego tytułu na użytkownikach ziemi, czerpiących z niej pożytki, ciążył obowiązek świadczeń na rzecz monarchy w postaci określonych danin i służb.

W łacińskiej terminologii źródeł prawo zwierzchniego władania ziemią określano jako *dominium directum*, prawo zaś władania podporządkowanego, ale upoważniającego do czerpania z ziemi pożytków — *dominium utile*. W Europie zachodniej, w obrębie ziem sukcesji rzymskiej, utrzymywała się także własność ziemi w dobrach tzw. alodialnych. Ich istnienie oraz uczona działalność legistów naginających pojęcia feudalne do pojęć czerpanych z prawa rzymskiego prowadziły z czasem do interpretowania feudalnych praw do ziemi w sensie prawa własności. W ten sposób zrodziło się pojęcie własności podzielonej, gdyż dopiero suma

uprawnień związanych z *dominium directum* i *dominium utile* dawała się przyrównać do treści rzymskiego prawa własności.

Chociaż więc tworzącemu się w Europie zachodniej zwyczajowemu prawu lennemu, będącemu wyrazem stosunków feudalnych, pojęcie własności ziemi pozostawało obce, to późniejsze spisy tego prawa, dokonywane przez legistów, zawierały już w sobie interpretację pojęć feudalnych w duchu prawa rzymskiego. A że spisy te stawały się podstawą recepcji systemu lennego także w krajach leżących poza obrębem ziem sukcesyjnych rzymskich, m. in. w Europie środkowej, przeto tam, dokąd podobną drogą docierały instytucje prawa lennego, towarzyszyły im już także pojęcia prawa rzymskiego.

Z tego względu, wbrew panującemu na ogół w literaturze poglądowi, nie jesteśmy skłonni uważać krajów prawa lennego za kraje klasycznego feudalizmu. Prawo lenne, zwłaszcza w jego skodyfikowanej postaci, stało się syntezą lub raczej kompromisem między pojęciami feudalnymi i rzymskimi.

Średniowieczna Polska należała do krajów, gdzie recepcja pojęć i instytucji zachodnioeuropejskich dokonywała się ze znacznym opóźnieniem, a system prawa lennego nie został tu nigdy przeszczepiony w całej rozciągłości. Instytucje analogiczne do lennych tworzyły się u nas drogą naturalnego, samodzielnego rozwoju i przynajmniej do XIV w. obce wzory w stosunkowo niewielkim stopniu wpływały na kształtowanie się polskich pojęć prawnych.

Dotyczy to zwłaszcza rozumienia praw do ziemi. Późna infiltracja prawa rzymskiego sprawiła, że pojęcie własności ziemi szczególnie długo pozostawało obce polskiemu społeczeństwu. W terminologii źródeł upowszechniło się ono dopiero w XVI w., wytwarzało

się oczywiście wcześniej, ale nic nie wskazuje, by można je było cofać do XII-XIII w.

Posługiwano się natomiast pojęciami władania i dzierżenia ziemi odpowiadającymi pojęciom *dominium directum* i *dominium utile*. Prawo władania ziemią — *dominium directum* — należało do panującego. Według sądu najczęściej spotykanego w literaturze miało ono nie obejmować ziem znajdujących się w posiadaniu Kościoła, możnych świeckich czy nawet rycerstwa. Przychylamy się jednak do stanowiska mniej popularnego, ale lepiej uzasadnionego, że rozciągało się ono na wszystką ziemię bez względu na to, kto ją dzierżył. Najstarszy zwód prawa polskiego nie zna zachodniego pojęcia dóbr alodialnych i uznaje, że w wypadku braku naturalnych spadkobierców dziedzictwo zmarłego rycerza wraca w ręce jego pana. Dzierżenie ziemi przez rycerzy nie było zresztą posiadaniem bezwarunkowym: nakładało obowiązek pełnienia służby konnej. Niewywiązywanie się z tego obowiązku upoważniało księcia — jak poucza *Księga Henrykowska* — do żądania w zamian takich świadczeń, jakie się należały od innych wolnych ludzi (wolnych „chłopów" — według anachronicznej nomenklatury, jaką znaczna część nowszej literatury historycznej chętnie stosuje) dzierżących ziemię. Uchylanie się od wypełniania należnych księciu zobowiązań pociągało za sobą konfiskatę ziemi. Możni panowie, na których ziemi osiadła pracująca na nich ludność zależna, byli tak samo, jak drobni rycerze, obciążeni obowiązkiem służby wojskowej w odpowiednio większych rozmiarach; nie tylko sami mieli stawać konno, ale także przyprowadzali księciu własne oddziały. Dotyczyło to również możnych duchownych. Już w wojsku Bolesława Krzywoustego obok jego własnej drużyny — innego już zresztą typu niż drużyna pierwszych Pia-

stów — widzimy oddziały rycerstwa grupującego się na zasadzie terytorialnej, a także pułki możnych, między innymi Skarbimira i arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Stosunek dzierżących ziemię biskupów, możnych świeckich i drobnego rycerstwa do księcia nie różnił się więc w swej treści od zachodnioeuropejskiego stosunku lennego. Rozbudowane na Zachodzie ceremonialne formy zawiązywania i odnawiania tego stosunku nie zostały w Polsce — jak się zdaje — powszechnie przyswojone. Ich brak byłby zupełnie zrozumiały, skoro stosunki analogiczne do lennych wytworzyły się u nas drogą naturalnego rozwoju, a nie recepcji wzorów obcych. Z drugiej jednak strony istnienie podobnych stosunków zależności stworzyło podatny grunt do zapożyczania symbolizujących je zwyczajów, być może więc, że ich recepcja osiągnęła szersze rozmiary, niż daje się to wyczytać ze źródeł. Że milczenie źródeł o stosowaniu w Polsce owych ceremonii jest przesłanką niewystarczającą do negatywnego przesądzenia sprawy, świadczyć może fakt, że w źródłach rodzimych nie znajdujemy także śladów inwestytury biskupów przez wręczanie im przez panującego pierścienia i pastorału i tylko przypadkiem dowiadujemy się z listu papieża Innocentego III do arcybiskupa gnieźnieńskiego (1211), że formy tej w Polsce przestrzegano. Chociaż więc nie udało się dotąd wykryć, by na ziemiach polskich — poza Śląskiem i Pomorzem — także stosunek lenny świeckich panów z monarchą był zawiązywany poprzez akt inwestytury i złożenie przez wasala przysięgi wierności, nie można odrzucić możliwości, że formy te znano.

Dzierżenie ziemi mogło być czasowe, dożywotnie i dziedziczne. Ze wszystkimi trzema rodzajami spotykamy się w źródłach, z biegiem czasu jednak coraz bardziej przeważała dziedziczność praw do ziemi. Wy-

nikało to z roli, jaką w polskim poczuciu prawnym grał precedens. Jeśli książę zaniedbał odebrania po śmierci obdarowanego ziemi nadanej dożywotnio i ziemia ta została przejęta przez spadkobierców zmarłego, stawała się w drugim pokoleniu ziemią dziedziczną. Miało to doniosłe znaczenie, bowiem możność dysponowania posiadłością dziedziczną była w prawie polskim bardzo ograniczona. Ziemię pochodzącą bezpośrednio z nadania książęcego użytkownik mógł za zgodą księcia alienować: sprzedać prawa do niej lub je komukolwiek odstąpić. W stosunku do ziemi „po dziadzie", czyli odziedziczonej, prawa tego nie miał, ograniczały je uprawnienia krewnych, tzw. prawo bliższości. Zgodnie z nim krewni mogli zawsze darowiznę uczynioną bez ich zezwolenia unieważnić, a ziemię sprzedaną odkupić za tę samą cenę. Dziwiło to obcokrajowców, czemu zawdzięczamy obszerne omówienie tych zasad prawnych w *Księdze Henrykowskiej*. „Jeżeli cośkolwiek posiadam, co dziadek mój i ojciec zostawili mi w posiadanie — tłumaczył prepozyt Wincenty opatowi henrykowskiemu — to jest moja prawdziwa ojcowizna. Jeżeli ją komuś sprzedam, dziedzice moi mają wedle prawa naszego możność zażądania zwrotu. Lecz jakąkolwiek posiadłość nadał mi książę pan za moją służbę lub z łaski, to ją sprzedaję — także wbrew woli moich krewnych — komukolwiek zechcę, bo dziedzice moi nie mają prawa żądania zwrotu odnośnie do takiej posiadłości".

Prawa dziedziczenia uszczuplały nie tylko uprawnienia aktualnego użytkownika ziemi, ale także zakres *dominium directum* księcia. Nie uchylały go jednak, bo książę, jakkolwiek ograniczony w prawie dysponowania ziemią, zachowywał prawo do służb z niej i władzę rozstrzygania sporów wynikających z prawa dziedziczenia, a zgoda jego była koniecznym warun-

kiem alienacji ziemi wykraczającej poza krąg naturalnych spadkobierców.

Z tego właśnie względu nie możemy podzielić dominującego w naszej literaturze naukowej poglądu, przyrównującego dziedziczne dzierżenie ziemi przez rycerzy do zachodnioeuropejskiej własności alodialnej. Przypominamy raz jeszcze, że dobra alodialne w Europie zachodniej były spadkiem po antycznych stosunkach własnościowych obcych pojęciom słowiańskim, podobnie zresztą jak germańskim. Alodia nie pojawiały się tam, gdzie ustrój feudalny wykształcał się bez kontaktu z instytucjami prawa rzymskiego. Dziedziczne dzierżenie ziemi uwarunkowane pełnieniem służb na rzecz księcia odpowiadało zachodnioeuropejskiemu dziedzicznemu lennu i dopiero u schyłku średniowiecza konsolidujący się stan szlachecki zaczął interpretować swe prawa do ziemi jako prawa własności.

We wczesnym średniowieczu polskim, za pierwszych historycznych Piastów, dziedziczne prawa do ziemi ludności pełniącej służby rycerskie nie różniły się od takichże praw wolnej ludności nierycerskiej. Dla obu kategorii utarły się wprawdzie już wcześnie osobne nazwy: pierwszych zwano, być może, włodykami, drugich — smardami, który to termin wspólny zarówno Słowianom ruskim (*smerdy*), jak zachodnim Łużyczanom (*smurdowie*), nie miał pierwotnie pogardliwego odcienia znaczeniowego, jakiego nabrał dopiero po kilku wiekach, kiedy zresztą i nazwa włodyki uległa deprecjacji. Rozróżnianie między włodykami i smardami i niewątpliwie wyższa pozycja społeczna pierwszych wynikały z jednej strony z wysokiej ceny uzbrojonego w służbie książęcej męża, z drugiej zaś — z faktu, że wielu włodykom udawało się dobić na wojnach znaczniejszej fortuny. Stosunek

do ziemi jednych i drugich — zarówno prawny, jak i faktyczny — był w zasadzie taki sam. Tłumaczy się to małą jeszcze dochodowością gospodarstwa rolnego, którego mniejsze lub większe rozmiary nie stwarzały odczuwalnych różnic majątkowych. Nawet pozycja możnych, którzy dzierżyli większe połacie ziemi uprawianej przy pomocy niewolnej siły roboczej, zależała nie od rozległości gospodarki, lecz od majątku ruchomego. Legendarny bogacz polskiego średniowiecza, żyjący już zresztą u schyłku okresu wczesnopiastowskiego, wojewoda Krzywoustego i jego najstarszego syna, Piotr Włostowic, zawdzięczał sławę i znaczenie posiadanym kosztownościom, których pierwszym źródłem były zapewne łupy wojenne, pomnożone później posagiem żony Marii, córki księcia kijowskiego Świątosława Izasławicza i cesarzówny bizantyjskiej z rodu Komnenów. Brat Piotra, Bogumił, nie uboższy przecież w odziedziczoną ziemię, nie miał ani części tego znaczenia, gdyż nie z ziemi ono jeszcze w owym czasie płynęło.

Utrwalone na kartach *Kroniki Galla* wyprawy pomorskie Krzywoustego były już chyba ostatnią sposobnością na wielką skalę zbicia fortuny z łupów wojennych. Następne pokolenia włodyków nie miały takiej, choć uczestniczyły jeszcze pod wodzą synów zdobywcy Pomorza w zbieraniu łupu na ziemi pruskiej lub pograniczu ruskim. Łup ten bywał już jednak mizerny, a rychło i te jego źródła wyschły. Wnuk Krzywoustego, Konrad Mazowiecki, częściej musiał się bronić przed napadami Prusów, niż sam ich był w stanie atakować.

Nie zawsze doceniamy, jak wielką wagę w życiu ówczesnego społeczeństwa miało wyczerpywanie się możliwości bogacenia się poprzez łupy wojenne.

A przecież pociągało ono rewolucyjne wprost konsekwencje we wszystkich dziedzinach życia.

Pierwszą z nich było załamanie się pozycji włodyki w społeczeństwie. Skoro odpadła perspektywa przynoszenia łupów z wypraw wojennych, włodyka zrównywał się ekonomicznie ze smardem. Nieliczni tylko część zdobytego łupu już wcześniej zainwestowali w gospodarstwo. Typowy dwór wczesnośredniowiecznego włodyki — rozwiniemy tu spostrzeżenie Kazimierza Tymienieckiego — nie różnił się od dworu smarda, przynajmniej zamożniejszego. Na gospodarstwie włodyczym spoczywał za to dużym ciężarem obowiązek utrzymania konia i posiadania rynsztunku bojowego, czemu w zmienionej sytuacji coraz trudniej było sprostać. Niejeden więc włodyka zrezygnował z przywilejów swego stanu stając się zwykłym smardem. Inni starali się utrzymać przywileje włodycze, ale sprostanie obowiązkom z tym związanym wypadało żałośnie i — jak powiadał autor *Księgi Henrykowskiej* — raczej „mieli się za rycerzy", niż nimi rzeczywiście byli. Bowiem i tak się zdarzało, że czterech braci-sąsiadów składało się razem, by jednego spośród siebie wyposażyć w bojowego rumaka i konieczny ekwipunek.

W nowych warunkach rosło zainteresowanie ziemią. Gdy wojny już nie żywiły, jedynie powiększenie dochodów uzyskiwanych z ziemi mogło zabezpieczyć dobrobyt i uprzywilejowane miejsce w hierarchii społecznej. Możnowładcą stawał się teraz ten, kto mógł czerpać zyski z odpowiednio wielkich przestrzeni uprawnych, zagospodarowywanych rękami ludności zależnej. Rosła więc wartość ziemi, a w jeszcze większym stopniu wartość siły roboczej, której dopływ zmniejszał się w miarę, jak wojny przestawały przynosić taniego niewolnika. Najwyższym dowodem łaski

książęcej, najbardziej upragnionym wynagrodzeniem za służbę było teraz nadanie ziemi, a nie — jak w X-XI w. — udziału w dochodach książęcych czy wora kosztowności. Ci, którzy wcześniej, gdy ziemia pusta wydawała się bezwartościową, zapewnili sobie hojne nadania — jak się o to zwłaszcza starały kierowane przez cudzoziemców instytuty kościelne — awansowali szybko na czołowe miejsca w społeczeństwie.

Oczywiście, mimo powszechnego wzrostu ceny ziemi prawdziwą wartość miała ona dopiero dla tego, kto był w stanie ją należycie użytkować dysponując dostateczną siłą roboczą. Stąd dzierżyciele większych obszarów ziemskich musieli się troszczyć przede wszystkim o ich zasiedlenie ludnością zależną i z tego tytułu obowiązaną do przekazywania części nadwyżek produkcyjnych w ręce swego pana. Ludność ta rekrutowała się od dawna z dwóch źródeł: z brańców wojennych osadzanych na ziemi książęcej, kościelnej i włodyczej jako niewolni oraz z deklasujących się smardów.

Smardowie byli ludźmi wolnymi i mieli prawo dziedzicznego dzierżenia ziemi, na której siedzieli. Z biegiem czasu jednak obydwie te cechy utrzymała tylko część ludności osiadłej i „wolni dziedzice" (*liberi heredes*), jak ich nazywają dokumenty, stali się już tylko jedną z kategorii ludności wiejskiej. Proces liczebnego zmniejszania się tej warstwy dokonywał się dwiema drogami: przez utratę wolności i przez utratę dziedzictwa. Przyczyny utraty wolności bywały rozmaite: wśród nich możemy stwierdzić przede wszystkim niewywiązywanie się z obowiązków wobec księcia i przekroczenia prawa. Utrata wolności łączyła się w zasadzie z utratą praw do ziemi, przysługujących ludziom wolnym. Przecież najczęściej nie rugo-

wano tych ludzi z ziemi, która — opustoszała — przestałaby przynosić dochód, lecz przeciwnie: pozostawiano ich na niej z obowiązkiem pełnienia służb na rzecz określonego pana. Stąd obok wolnych dziedziców źródła znają również dziedziców przypisanych (*heredes ascripticii*). W tym wypadku dziedzicznym pozostawało nie tyle prawo do korzystania z danego kawałka ziemi, co obowiązek uprawiania go i świadczeń na rzecz pana. Przypisańcy utraciwszy pełnię wolności i prawa dzierżenia ziemi zbliżali się swą pozycją prawną do osadzonej na gospodarstwach ludności niewolnej.

Częstszym zjawiskiem niż pozbawienie smarda wolności była utrata przez niego dziedzictwa. W tej sytuacji znajdował się więc wychodźca z rozradzającej się rodziny, która nie mogła się już w całości wyżywić z odziedziczonego źrebia. Zniszczenie gospodarstwa przez klęski żywiołowe, najazdy wroga, nadmierny ucisk ze strony urzędników książęcych bywały też przyczyną, że nieraz cała rodzina opuszczała dziedzictwo szukając gdzie indziej korzystniejszych warunków osiedlenia się jako tak zwani goście (*hospites*).

Osiedlenie się gościa w nowym miejscu, a więc na ziemi, do której prawo dzierżenia przysługiwało komu innemu, powodowało zmianę jego dotychczasowej pozycji prawnej. Czasem była to rezygnacja z wolności, a przynajmniej z jej pełni, wymagana przez pana ziemi w zamian za zezwolenie na osiedlenie się na niej przybysza, który w takim razie obejmował gospodarstwo jako człowiek zależny, sługa, ministeriał. W takiej sytuacji znaleźli się jeszcze goście osiedli w początkach XII w. w dobrach arcybiskupich, znani nam z *Bulli gnieźnieńskiej* 1136 r. W miarę jednak, jak wysychało źródło ludności niewolnej branej w wyprawach po łupy, człowiek uprawiający rolę stawał

się coraz cenniejszy i nie on szukał ziemi, ale sam był poszukiwany. Otrzymywał więc od innych ziemię do uprawy w zamian za określone i raczej nie wygórowane świadczenia, bez żadnych też ograniczeń własnej wolności — stąd nazywał się „wolnym gościem". Ekonomicznie wolny gość osiadły na urodzajnej roli górował nieraz nad wolnym dziedzicem wyjałowionego i niewystarczająco wielkiego jej kawałka. Ten drugi za to miał wobec uprawianej ziemi prawo dzierżenia, *dominium utile*, podczas gdy wolny gość żadnych praw do ziemi nie nabywał i — według nowożytnej terminologii — pozostawał w poddaństwie gruntowym.

Bogactwo nomenklatur, stosowanych przez dokumenty XII i XIII w. na oznaczenie grup ludności, stwarza złudne wrażenie wielkiego zróżnicowania ówczesnego społeczeństwa. Nomenklatury źródeł należy jednak badać w ich kontekście; okaże się wówczas, że ich mnogość bywa spowodowana akcentowaniem przez poszczególne dokumenty różnych aspektów sytuacji społecznej ludzi, o których mowa, i że wobec tego można w stosunku do tego samego człowieka zastosować kilka różnych terminów. Podstawowymi kryteriami podziału społecznego była wolność osobista lub jej brak czy ograniczenie oraz prawa do ziemi (*dominium utile*). Z tego punktu widzenia ludność nierycerska różnicowała się na kurczącą się liczebnie warstwę wolnych dziedziców zachowujących prawo dzierżenia swej dziedziny, na warstwę nieswobodnych (*ascripticii, obnoxii*), z których część pozostawała w dziedzicznym związku z uprawianym gruntem, oraz na warstwę wolnych gości, uprawiających na mocy dobrowolnej umowy ziemię podlegającą cudzeniu *dominium*.

Ulegamy czasem sugestiom późniejszej wartości ta-

kich uprawnień, jak wolność osobista i prawa do ziemi i niesłusznie, bo ahistorycznie, skłonni jesteśmy szeregować wymienione trzy warstwy ludności przypisując lepsze położenie wolnym niż nieswobodnym, dziedzicznym posiadaczom ziemi niż ludziom tego prawa pozbawionym. W odczuciu ówczesnych ludzi nie tak to jednak się przedstawiało. Wolność bywała nieraz wartością wielce uciążliwą i rezygnowano z niej chętnie w zamian za możną protekcję. Podobnie jak na Zachodzie, książęcy ministeriał, mając zabezpieczony byt materialny i profity płynące z łaski potężnego pana, spoglądał z góry na wolnego, borykającego się samotnie z przerastającymi jego siły trudnościami. Toteż procesu szybkiego zmniejszania się liczebnego warstwy wolnych dziedziców nie trzeba interpretować jako rezultat przymusu pozaekonomicznego, choć sporadycznie i ten mógł grać pewną rolę, zwłaszcza w późniejszych dziesięcioleciach rozpatrywanego okresu. Głównym czynnikiem, który warunkował wspomniany proces, było spontaniczne dążenie ludności do uzyskania najkorzystniejszej sytuacji materialnej i bezpiecznego bytu. Nadmiar ugorującej ziemi i niedostatek siły roboczej w kraju sprawiał, że gdy dopływ ludności niewolnej był w XII w. coraz słabszy, człowiek wolny stawał się obiektem konkurencyjnych zabiegów ze strony możniejszych, którzy oferowali coraz atrakcyjniejsze warunki służby.

Zanim więc miało się stać problemem zbiegostwo ludności nieswobodnej, masowym zjawiskiem stawało się opuszczanie ziemi przez wolnych dziedziców, którzy woleli osiedlać się w możnowładczych dominiach. Że przybierało to rozmiary groźne dla skarbu książęcego, tracącego świadczenia należne panującemu od dzierżycieli ziemi, świadczą represje, których — ku oburzeniu Mistrza Wincentego — jął się już syn Bole-

sława Krzywoustego, a trzeci z rzędu jego następca, Mieszko III Stary, aby procesowi temu zapobiec. Według świadectwa kronikarza, „jeśli kto przyjął przychodnia do swojej czeladzi, wołają go do sądu, oskarżają o zbrodnię, pytają: Czy ten przychodzień niewolnikiem jest, czy też wolny? Jeśli jest wolny, jakim czołem śmiałeś na wolnego człowieka jarzmo poddaństwa nakładać?".

Zakazy i kary nie mogły jednak zatrzymać naturalnej tendencji; tyle sprawiły, że hamowały przez pewien czas przyrost ludności nieswobodnej w dobrach możnowładczych skłaniając panów do osadzenia przybyszów jako wolnych gości.

Status wolnego gościa dawał punkt wyjścia do dalszego poprawiania sytuacji gospodarczej osadnika, który zachowując wolność osobistą, a więc i prawo wychodu ze wsi, mógł korzystać z coraz pomyślniejszej koniunktury i iść tam, gdzie by oferowano mu warunki lepsze od dotychczasowych. Dopóki więc trwał ostry brak rąk roboczych i konkurencyjna walka o nie, położenie wolnych gości wciąż się poprawiało, podczas gdy w sytuacji askryptycjów nie zachodziły widoczne zmiany. Skłaniało to tych ostatnich do zbiegostwa. Prawo przewidywało wprawdzie kary zarówno na zbiega, jak i na tego, kto by go przyjął, ale egzekucja prawa należała do księcia, któremu ludzie byli tak samo, albo i więcej potrzebni, jak innym feudałom. Stąd ucieczka ludności nieswobodnej pod opiekę księcia stwarzała jej duże szanse nie tylko bezkarności, ale też uzyskania korzystnej pozycji społecznej. Z dokumentów dowiadujemy się oczywiście tylko o tych wypadkach, kiedy pierwotny pan zbiega doszedł w końcu swych praw, nawet jednak wtedy rzuca się w oczy długotrwałość tych dochodzeń. Znana sprawa ludzi z Bielejewicz, należących do kościoła w Wol-

borzu, którzy ok. 1210 r. uciekli pod opiekę Leszka Białego zostając jako łowcy jego ministeriałami i dopiero po dwudziestu latach, już po śmierci Leszka, zostali rewindykowani przez biskupa wrocławskiego, może służyć za dowód, że nie było łatwo odzyskać zbiega, jeśli ten cieszył się protekcją książęcą. Jedynie potężnym instytutom kościelnym udawało się to czasem i to raczej na drodze politycznych przetargów niż normalnego procesu sądowego.

Przeciwdziałanie zbiegostwu wymagało więc nie tak wzmacniania sankcji karnych, jak uatrakcyjniania statusu przypisańców. Osiągnęły to instytuty kościelne, gdy wyjednały u książąt immunitet ekonomiczny zwalniający askryptycjów od świadczeń na rzecz księcia. Immunitet ten nie oznaczał bynajmniej — jak to czasem spotkać można w nadmiernie uproszczonych przedstawieniach podręcznikowych — aby świadczenia te nadal ciążyły na ludności, a tylko prawa do nich książę odstępował odbiorcy immunitetu; blisko pół wieku temu wykazywał przekonywająco Stanisław Arnold, że zwolnienia te czyniono rzeczywiście, aby przez zmniejszenie ciężarów ponoszonych przez ludność nieswobodną zapobiec jej ucieczkom.

Zwolnienia od owych, jak przyjęto je nazywać „ciężarów prawa książęcego" dorównywały lub nawet przewyższały atrakcyjnością przywileje wolnych gości w postaci niskiego czynszu. Niejeden wolny dziedzic pozostałby na swym gruncie, świadcząc posługi i daniny Kościołowi, jeśliby za to mógł zostać zwolniony od licznych i uciążliwych zobowiązań wobec księcia. Toteż z biegiem czasu immunitet ekonomiczny rozciągano częściowo również na ludność wolną w dobrach kościelnych, przyciągając ją w ten sposób do wstępowania w zależność od tak uprzywilejowanych instytucji.

Z pewnym opóźnieniem, w ślad jednak za immunitetem ekonomicznym, dobra feudalne, zwłaszcza kościelne, uzyskiwały immunitet sądowy, który stanowił rezygnację księcia z przysługującej mu władzy sądowej nad ludnością w nich zamieszkałą na rzecz pana feudalnego. Chociaż z reguły bywała to rezygnacja tylko częściowa, gdyż panujący zatrzymywał zazwyczaj w swej wyłącznej kompetencji czy to wyrokowanie w najcięższych sprawach karnych *(iudicia maiora)*, czy nawet ogół uprawnień sądowniczych w stosunku do niektórych grup ludności, aby — jak to wyraźnie motywowano — pozostał ślad jego władania zwierzchniego, to przecież nawet niepełny immunitet stwarzał łączenie w rękach feudała władztwa gruntowego z funkcjami państwowymi, co osłabiało więź między ludnością tych dóbr a panującym, prowadziło do mediatyzacji ludności i sprzyjało przekształcaniu się latyfundiów w feudalne półpaństwa.

Procesowi temu towarzyszyło zanikanie w dokumentach rozróżnień między askryptycjami i wolnymi, co uważa się powszechnie za dowód, że immunitet przyczynił się do zatarcia różnic między obydwiema kategoriami ludności dóbr feudalnych, gdyż obie stały się w równym stopniu zależne od panów i były zobowiązane do mniej więcej tych samych świadczeń. Wolni zachowywali tylko prawo wychodu, jak się jednak zdaje, również ten ich przywilej szedł z wolna w zapomnienie.

Od schyłku XII w. pojawia się na ziemiach polskich nowy typ wsi zależnych zwanych wsiami na prawie niemieckim, czyli — jak słusznie podkreśla Kazimierz Tymieniecki — na prawie lennym. Jego rozpowszechnianie się zapoczątkowało osadnictwo kolonistów niemieckich i flamandzkich we wsiach klasztornych w zachodnich prowincjach kraju; jego pierwszy ślad

znajdujemy w przywileju księcia Bolesława Wysokiego dla klasztoru cystersów w Lubiążu z r. 1175. Prawa i obowiązki obcych osadników regulowano na zrozumiałych dla nich zasadach prawnych. Rychło jednak ów obcy wzór okazał się tak korzystny dla panów feudalnych, a pod pewnymi względami atrakcyjny też dla ludności poddanej, że stosowano go również wobec osadnikow krajowych, a już w początkach XIII w. przenoszono nawet stare wsie na prawo niemieckie (pierwszy znany przykład na Śląsku w 1214 r.).

Na pojęcie prawa niemieckiego we wsi polskiej złożyły się dwa elementy: uregulowanie praw do ziemi osadników według pojęć prawa lennego oraz samorząd wiejski wzorowany na ustroju miast niemieckich, w szczególności Magdeburga. Ani jedno, ani tym bardziej drugie nie było bynajmniej rozpowszechnione na wsi w Niemczech i mogło tam stanowić co najwyżej śmiały postulat pozostającej w poddaństwie ludności chłopskiej. Dla kolonistów obcych osiedlenie się w Polsce na tych zasadach stanowiło niewątpliwy awans. Otrzymali ziemię w dziedziczne i wieczyste posiadanie i użytkowanie w zamian za uregulowane umową świadczenia, których najistotniejszą częścią był czynsz pieniężny obok niewielkich danin w naturze i robocizny nie przekraczającej kilku dni w roku. Dysponując w stosunku do nadanej ziemi prawem *dominium utile*, byli tym samym traktowani jak ludzie wolni, chociaż ich prawo wychodu ze wsi ograniczała umowa: koloniście nie wolno było pozostawić gruntu pustego, a więc na swoje miejsce musiał przedstawić panu następcę, którego z kolei pan mógł uznać za odpowiedniego i zgodzić się na zamianę albo też proponowanej transakcji się sprzeciwić. Praktycznie więc wychód ze wsi był możliwy za zgodą pań-

ską. Wieś podlegała też administracyjnej i sądowej władzy pana, czego ciężar łagodził fakt, że władzę tę wykonywał pan przez sołtysa, którym zostawał dziedzicznie organizator wsi, tzw. zasadźca, zazwyczaj przedsiębiorca miejski, związany pewną solidarnością z osadnikami; poza tym wzorowany na magdeburskim samorząd wiejski przewidywał też udział wybieranych przez gminę ławników w sądownictwie oraz wyrokowanie według prawa magdeburskiego.

Warunki osadnictwa na prawie niemieckim najlepiej z dotąd stosowanych form rozwiązywały trudności związane z zagospodarowaniem ziem tzw. wielkiej własności przez to zwłaszcza, że gwarantowały ich stałą uprawę, za co odpowiedzialny był już nie tylko poszczególny osadnik, ale też cała gmina oraz sołtys. Przywileje kolonistów dotyczyły głównie życia wewnętrznego wsi i nie kolidowały z interesami jej pana. Samorządu wiejskiego nie należy zresztą idealizować: także w warunkach polskich pozostawał on często tylko postulatem. Ławników wiejskich powoływał najczęściej pan wsi lub sołtys, trudno więc uważać ich za rzeczywistych przedstawicieli gromady. Ustrój wsi na prawie niemieckim sprzyjał jedynie wzrostowi pozycji sołtysa, co w dalszej przyszłości doprowadzi do konfliktu między nim i panem wsi. Początkowo jednak instytucja sołtysa jako pańskiego urzędnika, odpowiedzialnego za całość spraw wiejskich, uwalniała pana wsi od absorbujących obowiązków administracyjnych.

Zrozumiała staje się więc dążność do opierania na zasadach prawa niemieckiego także umów z polskimi gośćmi a nawet do przenoszenia już istniejących, ale inaczej zorganizowanych wsi na prawo niemieckie. Leżało to przede wszystkim w interesie pana i nie wydają się słuszne próby tłumaczenia tej akcji jako

zdobyczy chłopskiej wymuszonej na feudałach. W poszczególnych wypadkach nadanie prawa niemieckiego mogło być chętnie przyjmowane przez ludność ze względu na łączące się z tym doraźne korzyści ekonomiczne lub też na nadzieje wiążące się z gwarantowanymi przez to prawo przywilejami. Zwłaszcza przypisaniec upatrywał może w prawie niemieckim rozluźnienie swej zależności od pana ciesząc się z pozorów samorządu i możliwości wychodu. Dla wolnego gościa korzyść przyjęcia tego prawa nie była już tak oczywista. Dawało mu ono wprawdzie *dominium utile* nadanej ziemi, ale z drugiej strony wiązało go z nią zbyt silnie odbierając możność swobodnej zmiany warunków. Dopóki więcej będzie ugorującej ziemi niż chętnych do jej uprawiania, dopóty wolni goście będą mieli lepszą pozycję wyjściową do walki o korzystny dla nich wymiar świadczeń i swej swobody nie tak chętnie będą się zapewne pozbywali. Gdy jednak popyt na osadników zacznie się zmniejszać lub też zwiększy się podaż rąk do pracy, wówczas pan ziemi stanie się stroną silniejszą i korzystnie okaże się móc dysponować tymi prawami do ziemi jakie osadnikowi zapewniało prawo niemieckie.

Atrakcyjność prawa niemieckiego była więc względna i szerzyło się ono wobec tego w niejednakowym tempie w różnych stronach kraju. Objęte nim zostały głównie zachodnie połacie Polski, czego nie tłumaczy bliskość zachodnich kontaktów i wzorów, lecz szybsza pauperyzacja ludności; nie tylko zresztą smardów, bo i mas drobnych włodyków. Inaczej działo się na wschodzie, zwłaszcza na Mazowszu. Tam sąsiedztwo Prus, Jaćwieży, czy nawet rozdrobnionych księstw ruskich pozwalało jeszcze na kontynuowanie wypraw po łupy, co pozwalało włodykom utrzymywać swą pozycję społeczną niezależnie od stanu ich gospodarki.

Z drugiej strony na ziemie te sięgały również często zagony niespokojnych sąsiadów niosąc rabunek i pożogę; w tych warunkach wkłady w intensyfikację gospodarstwa nie mogły być opłacalne. Toteż stosunki społeczne w tych regionach ulegały bardzo powolnej tylko ewolucji. Mazowsze, w drugiej połowie XI w. przodująca kraina Polski, w półtora stulecia później jawi się nam jako okolica wyraźnie zapóźniona w rozwoju i taką pozostanie przez całe średniowiecze i dłużej.

Ale też stosunki utrzymujące się w regionach zacofanych nie powinny nam przesłaniać faktu, że w pozostałych prowincjach dawna struktura społeczeństwa uległa rozbiciu ustępując miejsca klasycznej strukturze feudalnej. W procesie tym osadnictwo na prawie niemieckim odegrało ważką rolę, gdyż umożliwiło budowę feudalnego *dominium*.

Toteż w XIII w. obserwujemy znaczny wzrost wielkich kompleksów dóbr możnowładczych. Najwięcej wiemy co prawda o majętnościach instytutów kościelnych, nierównie bardziej niż wielmoże świeccy dbałych o należyte dokumentowanie nabytych praw. A więc arcybiskupstwo gnieźnieńskie, które w 1136 r. miało 149 osad z ludnością zależną, w ciągu następnych dwóch wieków stan ten podwoiło. Biskupstwo wrocławskie w 1245 r. posiadało ok. 150 wsi oprócz kasztelanii otmuchowskiej i milickiej. Podobnie rosły też majętności klasztorne. Ale także podstawą znaczenia społecznego panów świeckich stała się zagospodarowana ziemia.

W miarę, jak upowszechniał się model wsi na prawie niemieckim, stosunki osadnicze coraz bardziej się stabilizowały i dzierżona przez wielmożów ziemia niosła systematycznie dochód pozwalający im powiększać uzyskaną w społeczeństwie przewagę. Powstawał

dwór feudalny, naśladujący dwór książęcy, z własnymi urzędnikami i pocztami rycerskimi. Pod opiekuńcze skrzydła potentata — czy był nim dostojnik kościelny, czy świecki możnowładca — chroniła się coraz liczniejsza klientela, złożona z ludzi, którzy w okresie przemian nie potrafili o własnych siłach stworzyć sobie odpowiadającego ich potrzebom i ambicjom miejsca w nowym społeczeństwie, a także z tych, którzy wydobywając się z dna hierarchii społecznej w służbie porastającemu w pióra feudałowi dostrzegali perspektywę własnego awansu. Części z nich zapewniał pan utrzymanie na swym dworze, chcąc na co dzień korzystać z ich usług; innych pozostawiał na ziemi, ułatwiając im jej zagospodarowanie przez obdarowanie ludnością zależną w zamian za pełnienie obowiązków rycerskich. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z rycerstwem służebnym, porównywanym do zachodnioeuropejskich ministeriałów, w drugim — z subinfeudacją, czyli tworzeniem lenn drugiego stopnia, obojętne czy, jak na Śląsku, przy użyciu form zapożyczonego prawa lennego, czy też, jak czasem może w Małopolsce, bez posługiwania się nimi. Najdawniejszy ślad tego rodzaju datuje się jeszcze z pierwszej połowy XII w.: jest nim nadanie wsi rycerzowi Rogerowi przez Piotra Włostowica.

Tworzyła się więc i w Polsce drabina feudalna, przynajmniej trójstopniowa, a więc słabiej rozwinięta niż we Francji, ale porównywalna z niemiecką w jej wcześniejszym stadium rozwoju, czy zwłaszcza z angielską.

Nie obyło się też w Polsce bez dążeń co znaczniejszych feudałów do uzyskania władztwa terytorialnego. Spośród świeckich udało się to najlepiej książęcym namiestnikom na Pomorzu Gdańskim, którzy w XIII w. sami dobili się monarszego stanowiska

w administrowanej przez siebie dzielnicy. Analogicznym zjawiskiem było też tworzenie się dzielnicowych księstw piastowskich, co obszerniej rozważymy w następnym rozdziale. Spośród książąt Kościoła biskupi kamieńscy osiągnęli w ciągu XIII w. zwierzchnictwo terytorialne w ziemi kołobrzeskiej. Nieco później zdobyli je też biskupi wrocławscy w ziemi nysko-otmuchowskiej.

Tyle można wymienić prób osiągnięcia pełni władzy terytorialnej uwieńczonych całkowitym powodzeniem aż do prawnego usankcjonowania wywalczonej pozycji. O wiele więcej było wypadków, gdy sankcji takiej zabrakło, ale faktyczna pozycja feudalnego możnowładcy zbliżała się do książęcej. Da się to powiedzieć o wszystkich niemal biskupach; na potężnych kompleksach immunizowanych dóbr wyrastały też — zwłaszcza w Małopolsce — takie możnowładcze dynastie, jak Odrowąże czy Gryfici. Przedstawicielowi tych ostatnich, Klemensowi z Ruszczy, wydał ks. Bolesław Wstydliwy w 1252 r. przywilej, który zawierał takie same sformułowania, jakie później znalazły się w przywileju Henryka Probusa dla biskupów wrocławskich (1290), interpretowanym przez nich jako uznanie ich władztwa terytorialnego w ziemi nysko-otmuchowskiej.

Obraz społeczeństwa feudalnego nie byłby kompletny, gdyby nie wspomnieć o przeobrażeniach, jakim u schyłku omawiango okresu podlegało życie miejskie. Intensyfikacja rolnictwa pociągała za sobą odejście od tradycji gospodarki naturalnej i wzrastające zapotrzebowanie na wytwory wyspecjalizowanego rzemiosła, a także na odbiorcę osiąganych już powszechnie nadwyżek produktów rolnych i hodowlanych. Zadaniom tym nie mogło sprostać wczesnofeudalne rzemiosło powołane do obsługi grodów książęcych, a wykonywa-

ne najczęściej bez zrywania z uprawą własnego kawałka roli. Rozwój osad targowych i wzrost frekwencji na cotygodniowych targach zwiększał wprawdzie atrakcyjność zajęć rzemieślniczych i budził pęd do nich, ale — z jednej strony — uzyskanie potrzebnej sprawności zawodowej było kwestią wielu lat, z drugiej zaś — w stałej obawie przed wyludnieniem się wsi panowie nie patrzyli chętnie na przechodzenie ludności zależnej do rzemiosła.

Tworzyło się więc na ziemiach polskich pole do działalności imigrantów. Już w pierwszej połowie XIII w. prosperowały w Polsce osady obcych rzemieślników pochodzenia niemieckiego, flamandzkiego lub walońskiego tworzące własne ulice lub dzielnice w większych miastach polskich. Uzyskiwały one od książąt przywilej rządzenia się własnym prawem. Korzystniejsze dla ludności miejskiej niż prawo miejscowe stało się rychło celem jej zabiegów. Wcześnie uzyskały prawo magdeburskie niektóre miasta śląskie (Złotoryja przed 1211, Środa przed 1215, Lwówek w 1217), gdy zaś eksperyment okazał się zachęcający, książęta nadali je także miastom największym — stolicom dzielnic (Wrocław 1242, Poznań 1253, Kraków 1257).

Prawo magdeburskie, acz samo przez się nieidentyczne z samorządem, dawało jednak dogodny punkt wyjścia do ubiegania się o niego. Przywilej lokacyjny (*lokacja* znaczy tyle, co nadanie prawa miejskiego, wyodrębnienie ustrojowe miasta) nadawał miastu immunitet sądowy i określał prawo sądowe, które miało w mieście obowiązywać; poddawał je zarazem jurysdykcji dziedzicznego wójta, będącego często reprezentantem społeczności miejskiej, a wyjmował spod kompetencji innych urzędników książęcych. Wójt wraz z ławnikami, powołanymi początkowo przez niego sa-

mego, później pochodzącymi z wyboru, sprawował sądy. Z biegiem czasu — począwszy od drugiej połowy XIII w. — władzę dziedzicznego wójta ograniczyła rada miejska, reprezentująca patrycjat, czyli wąską warstwę najbogatszych kupców i właścicieli nieruchomości, wśród której przeważał początkowo — zwłaszcza w miastach śląskich i w Krakowie — element etnicznie obcy. Miasto obwarowane własnym prawem stawało się ogromną siłą przyciągającą dla ludności wiejskiej doznającej ucisku feudalnego lub choćby nim zagrożonej. Chociaż zakazywano na różne sposoby zbiegostwa ludności zależnej do miast, przecież jej napływ był faktem. Pozostawanie w mieście przez rok i sześć tygodni czyniło przybysza wolnym od poprzednich zobowiązań i podległym jedynie prawu miejskiemu w myśl zasady: *Die Stadtluft macht frei.*

Rosnąc w liczbę mieszkańców, zdobywając wciąż nowe przywileje, bogaciły się miasta wraz z rozwojem gospodarki towarowej i pod koniec XIII w. mieszczanie liczyli się już jako siła społeczna. Oni też jedni w ówczesnym społeczeństwie zagradzali panom feudalnym drogę do wszechwładzy.

FEUDALIZACJA PAŃSTWA

Model państwa polskiego ulegał w ciągu XII i XIII w. przekształceniom odpowiednim do dokonujących się przemian społecznych. Wyniki badań lat ostatnich pozwalają prześledzić te zjawiska dokładniej i ujrzeć je w innym nieco świetle niż przedstawiały je tradycyjne schematy. Blednie dla nas znaczenie daty 1138, uważanej niegdyś za przełomową — zgodnie z popularnym poglądem, że jednolite do tej pory państwo uległo w wyniku testamentu Bolesława Krzy-

woustego trwałemu podziałowi na dzielnice. Zdajemy dziś sobie w pełni sprawę, że osadzenie młodszych członków dynastii na wydzielonych ziemiach było praktykowane bodaj przez wszystkich znanych nam Piastów. Nie ten więc fakt stanowił charakterystyczną cechę państwa w rozpatrywanym okresie, lecz postępujący zanik zwierzchniej władzy monarszej. Wyraźniejsze jego objawy odnieść jednak należy do lat późniejszych niż zgon Krzywoustego.

Znane nam sprzed r. 1138 wypadki wyznaczania dzielnic młodszym Piastowicom nie naruszały zasady jedności państwa. Najlepiej oświetlony źródłowo podział, jakiego dokonał Władysław Herman u schyłku XI w. osadzając w odrębnych dzielnicach Zbigniewa i Bolesława Krzywoustego, okazuje się w istocie oddaniem w ręce synów monarchy administracji prowincjonalnej. Ich samodzielność ograniczało utrzymanie w głównych grodach podległych im prowincji garnizonów wojskowych zależnych bezpośrednio od księcia zwierzchniego i jego palatyna, którzy także zatrzymali w swych rękach prawo powoływania urzędników w dzielnicach młodych książąt. Pozycja prawna juniorów piastowskich pozostawała więc skromna: ich tak zwane dzielnice były po prostu okręgami administracyjnymi, odpowiednikiem zachodnioeuropejskich hrabstw, a oni sami wykonywali w nich funkcje urzędnicze pozostające pod kontrolą centralnego aparatu państwowego.

Wyznaczanie takiej właśnie roli juniorom miało liczne uzasadnienia. Na pewno bywało nieraz ich własnym postulatem, gdyż zarząd prowincją dawał im w praktyce pewną samodzielność i mniejsze lub większe złudzenie udzielności. Jeśli jednak ten moment znajduje dostateczne zrozumienie w literaturze historycznej, to uchodzi często uwagi fakt, że po-

wierzanie zarządu prowincji najbliższym krewnym — braciom i synom —leżało też w interesie monarchy. Jakkolwiek bowiem ambicje niektórych juniorów prowadziły ich czasem do buntu przeciw władzy zwierzchniej, to przecież byli oni na ogół na tych stanowiskach najbardziej godni zaufania spośród możliwych kandydatów. Mając sami w perspektywie objęcie tronu, trudniej niż możni spoza dynastii dawali się użyć jako przywódcy ruchów odśrodkowych i antydynastycznych. Toteż nie zgodzimy się z tymi autorami, którzy rejestrują fakty wydzielania dzielnic juniorom jako rzekome przejawy wzrostu tendencji decentralizacyjnych. W rzeczywistości fakty te mają przeciwną wymowę: świadczą o skutecznym hamowaniu przez monarchię owych tendencji. Podobny sens — przynajmniej w intencjach, jeśli nie w skutkach — miała również w innych krajach europejskich praktyka obsadzania wakujących księstw i hrabstw krewnymi suzerena.

Przypominamy te rzeczy, aby spojrzeć krytycznie na pogląd narzucony nam jeszcze przez średniowiecznych historiografów, a umocniony przez wyznawców teorii o patrymonialnym charakterze państwa piastowskiego, jakoby Bolesław Krzywousty podzielił w 1138 r. państwo między czterech synów. Pogląd ten panuje dotąd powszechnie, chociaż jego podstawy leżą już w gruzach. Nikt chyba ze współczesnych historyków nie podtrzymuje mniemania, by średniowieczny monarcha mógł dowolnie państwo dzielić. Sceptycyzm budzi też teza, jakoby słowiańskie prawa dziedziczności wymagały podziału państwa między wszystkich spadkobierców zmarłego monarchy. W rozpatrywanym przez nas wypadku — w tak zwanym testamencie Krzywoustego — trudno by zresztą dopatrzeć się realizacji tej zasady: wszak jeden z synów książęcych,

najmłodszy Kazimierz, został niewątpliwie przy owym podziale pominięty, czego nigdy nie potrafiono zadowalająco wytłumaczyć. Jedni domyślali się, że Kazimierz Sprawiedliwy mógł być pierwotnie przeznaczony do stanu duchownego, na co jednak brak jakichkolwiek już nie dowodów, ale choćby poszlak; inni czynili z młodego księcia pogrobowca, co ani nie zgadza się ze źródłami, ani też niczego nie wyjaśnia, gdyż prawa syna pogrobowego nie były przecież mniejsze niż pozostałych.

Dociekania te stały się bezprzedmiotowe, odkąd Gerard Labuda przekonywająco wykazał, że nie tylko Kazimierz, ale i starszy od niego Henryk nie otrzymał w 1138 r. dzielnicy. A więc tylko trzech najstarszych synów Krzywoustego miałoby uczestniczyć w podziale państwa; obydwaj małoletni w chwili śmierci ojca byliby dziedzictwa pozbawieni. Ale przecież niedojrzały wiek nie uszczupla praw dziedzicznych, ani też nie oddala w czasie ich realizacji. U schyłku tego samego jeszcze XII w., po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, który pozostawił jedynie małoletnich synów, tłumaczył to zgromadzonym dostojnikom państwowym biskup krakowski Pełka: prawa dziedziczne małoletniego do tronu nie mogą być naruszone i nie ma ku temu, by je naruszyć, żadnego powodu, gdyż monarcha nie rządzi sam, lecz przez swoich urzędników. W słowach tych wyraził mądry biskup oczywistą prawdę, że dziecięcy wiek nie przeszkadza panowaniu, które jest czymś innym niż wykonywanie funkcji rządzenia. Nie innymi zapewne zasadami kierował się Krzywousty. Przy podziale spadku nie mógł pominąć żadnego dziecka. Jeśli Henryk i Kazimierz nie otrzymali dzielnic, znaczy to, że tak zwani książęta dzielnicowi z r. 1138 nie byli jeszcze w tych dzielnicach książętami panującymi, lecz tylko — tak jak

było to od dawna w zwyczaju — urzędnikami terytorialnymi, zarządcami prowincji.

Jedynym dziedzicem tronu Krzywoustego został w r. 1138 jego najstarszy syn Władysław II, książę Polski. Nikt wówczas nie próbował takiego jego stanowiska kwestionować. W pół wieku później będzie już nieco inaczej, co skłoni ówczesnego monarchę, Mieszka III Starego, do podkreślania z przesadnym naciskiem, że jest najwyższym księciem całej Polski — *maximus dux totius Poloniae*. Władysław II jeszcze nie odczuwał potrzeby wynagradzania sobie tytulaturą uszczerbku rzeczywistej pozycji.

To, co dziesięciolecia późniejsze tendencyjnie nazwały podziałem kraju, dokonało się najprawdopodobniej jeszcze przed śmiercią Bolesława Krzywoustego, który czynił synów w miarę ich dorastania zarządcami poszczególnych prowincji. Sam Władysław II administrował wtedy Śląskiem, znacznie od niego młodsi bracia przyrodni objęli kolejno: Bolesław Kędzierzawy — Mazowsze, Mieszko zwany później Starym — Wielkopolskę. Zastąpili oni tam komesów wywodzących się z możnowładztwa. Ale na przykład Pomorzem Gdańskim zarządzał już jakiś lokalny możny, a po r. 1138, gdy najstarszy Piastowic objął tron ojcowski, na Śląsku zastąpił go może Piotr Włostowic. Za graniczną miedzą nie orientowano się w polskich stosunkach wewnętrznych zbyt dobrze: za udzielnych książąt brano nieraz zarówno śląskiego Pietrka, jak tym bardziej Piastowiców.

Chociaż tak zwany testament lub statut Krzywoustego nie ustanawiał podziału dzielnicowego jednolitego nadal państwa, był przecież aktem wielkiej wagi ze względu na sformułowaną w nim zasadę dziedziczenia tronu. Miała nią być zasada senioratu: obejmowanie tronu przez każdorazowego seniora rodu — czyli

najstarszego wiekiem — nikogo z Piastów nie odsuwało od dziedziczenia, przed każdym z nich roztaczało perspektywę osiągnięcia w odpowiednim czasie stanowiska monarszego. Miało to cementować dynastię, zainteresować wszystkich jej członków udziałem w obronie jednolitości państwa.

Przez sformułowanie zasady senioratu Bolesław Krzywousty przeciwstawił się narastającym wraz z feudalizacją społeczeństwa tendencjom odśrodkowym. Jak się jednak zdaje, szedł jednocześnie na pewien z nimi kompromis. Z bezpośredniego źródła szczegółów jego postanowień nie znamy, nie zachowała się żadna ich dokumentacja. Tendencyjnie niejasna relacja kroniki Mistrza Wincentego musi nam ją zastąpić. Czytamy zaś w niej, że Bolesław „testament sporządzić kazał, w którym i przodków cnoty i królestwa dziedzictwo czterem synom w spadku przekazuje, określając pewne granice tych dzielnic (tetrarchii) z tym, aby przy najstarszym pozostały zarówno rządy w prowincji krakowskiej, jak władza zwierzchnia. Po jego zaś śmierci spory o spadek ma rozstrzygać zawsze starszeństwo wieku i zasada primogenitury". Na wyobrażenia kronikarza rzutuje tu znajomość sytuacji o kilkadziesiąt lat późniejszej niż opisywana oraz określona, a niezgodna z celami postanowień Krzywoustego, tendencja polityczna. Stąd nieścisłość jego informacji o podziale kraju między czterech synów i o ziemi krakowskiej jako jednej z „tetrarchii", stąd też może niezbyt jasne i na pozór wewnętrznie sprzeczne wywody o zasadach dziedziczenia. Z zasadą senioratu, czyli obejmowania dziedzictwa przez najstarszego wiekiem z całego rodu, kłóci się przecież zasada primogenitury, to jest przechodzenia spadku z ojca zawsze na najstarszego syna. Kadłubek połączył tu w jednym zdaniu dwie różne sprawy: sposobu

dziedziczenia władzy zwierzchniej w Polsce oraz poszczególnych „tetrarchii”. Władza naczelna miała należeć do każdorazowego seniora dynastii, rządy w dzielnicach zaś przechodziły z ojca na najstarszego syna.

Czy istotnie Krzywousty ustanowił taką zasadę, czy też przyjęli ją może dopiero jego synowie, pewności mieć nie możemy. W każdym jednak razie w ciągu XII w. ustaliła się dziedziczność urzędu naczelnika prowincji i to zarówno tam, gdzie dzierżyli go członkowie rodu piastowskiego, jak i na Pomorzu. Pierwotna zasada niepodzielności prowincji, podkreślająca jej charakter jednostki administracyjnej, w ciągu jednego pokolenia zostanie zachwiana. Książęta dzielnicowi odejdą rychło od zasady primogenitury i zaczną z administrowanego terytorium wydzielać nowe dzielnice synom i młodszym braciom, co postępować będzie równolegle z zatratą pamięci o urzędniczej genezie ich godności. Jak to się zwykło dziać w stosunkach feudalnych, dziedziczność urzędów terytorialnych utorowała drogę do przekształcenia się prowincji w dzielnicowe księstwa.

Pierwszy po śmierci Krzywoustego senior dynastii, Władysław II (1138—1146), usiłował tym tendencjom przeciwdziałać. Knowania macochy Salomei postawiły jednak przeciw niemu nie tylko braci przyrodnich, ale i najznaczniejszych dostojników państwowych z arcybiskupem Jakubem i wojewodą Wszeborem na czele. Po śmierci Salomei (1144) rozgorzała wojna domowa o dziedzictwo po niej i książę zdołał jeszcze poskromić juniorów, co prawda dzięki posiłkom ruskim i za cenę odstąpienia Igorowi mazowieckiej Wizny. Inaczej niż zwykli czynić jego poprzednicy, nie wygnał jednak braci, ani nie pozbawił ich stanowisk. Uważał ich może za mniej niebezpiecznych dla jedności monarchii od tych możnowładców, którymi

wypadłoby zastąpić tamtych. Nieporównanie też ostrzej wystąpił Władysław przeciw ujawniającemu coraz dalej sięgające ambicje Piotrowi Włostowicowi.

Dawny palatyn Krzywoustego, właściciel legendarnych skarbów, hojny fundator wielu kościołów i klasztorów, małżonek księżniczki ruskiej, w której żyłach płynęła krew cesarskich Komnenów, Piotr należał do stronników księcia w walce z obozem juniorów, ale sam na Śląsku poczynał sobie jak udzielny książę, a i za granicą lubił w tym charakterze występować. Pamięć o przeniewierstwie sprzed lat dwudziestu, gdy podstępnie pojął w niewolę Wałodara przemyskiego bawiąc u niego na chrzcinach, sprawiała, że trudno było mu zaskarbić zaufanie Władysława II, choć na pozór obu ich łączyła zażyła przyjaźń. Skoro więc — słusznie czy niesłusznie — książę nabrał podejrzeń do śląskiego wielmoży, nie wahał się przed użyciem środków bezwzględnych: kazał Piotra uwięzić, wyrwać mu oczy i język, a okaleczonego skazał na wygnanie.

Chociaż i w tym wypadku Władysław II postąpił mniej okrutnie, niż swego czasu Bolesław Krzywousty ze Zbigniewem, a potem ze Skarbimirem, sankcje przedsięwzięte wobec Piotra Włostowica spowodowały taki sam obrót sprawy, jakiego przed kilkudziesięciu laty doświadczył Bolesław Śmiały po skazaniu innego potężnego możnowładcy — biskupa Stanisława: książę został zegnany. Klęskę jego poniesioną w walce z nowym buntem braci poprzedziła dramatyczna scena klątwy, którą stary i sparaliżowany arcybiskup rzucił nań w jego własnym namiocie w przededniu — jak się zdawało — decydującego triumfu seniora. Oczekiwane zwycięstwo przemieniło się jednak pod Poznaniem w pogrom tak wielki, że księciu pozostawało już tylko biec do czeskich i niemieckich przyjaciół i tam kołatać o poparcie.

Do opuszczonego kraju Władysław II już nie wrócił. Resztę życia — a zmarł dopiero w 1159 r. — spędził na wygnaniu, w otoczeniu cesarskim, na próżno wyczekując skutecznej pomocy. Wyprawa Konrada III w 1146 r. zatrzymała się u dobrze bronionych granic polskich i zawróciła, gdy tylko prestiż króla niemieckiego ocaliło złożenie przez młodszych synów Krzywoustego mglistych obietnic, że niebawem zjawią się w Niemczech z trybutem i hołdem lennym. W jedenaście lat później (1157) Fryderyk Barbarossa wtargnął w głąb Wielkopolski, ale choć pretekstem jego wyprawy był zamiar przywrócenia tronu wygnanemu seniorowi Piastów, zadowolił się odebraniem w Krzyszkowie koło Poznania hołdu od Bolesława Kędzierzawego oraz licznych przyrzeczeń, których i tym razem strona polska nie zamierzała dotrzymać.

Nie okazała się skuteczna również interwencja papieska w sprawie Władysława. Wysłany przez Eugeniusza II do Polski kardynał Gwido zażądał od juniorów uznania zwierzchnictwa usuniętego brata, a gdy spotkał się z odmową, rzucił na nich klątwę, kraj zaś obłożył interdyktem (1148). Charakterystyczne dla stosunku Polski i Kościoła polskiego do Rzymu jest, że nawet episkopat nie uznał prawomocności tych kar, choć niebawem potwierdził je sam papież specjalnym listem do arcybiskupa gnieźnieńskiego (1150).

Bolesław Kędzierzawy (1146—1173) trzymał się więc na tronie objętym po bracie bardzo pewnie, ciesząc się, jak widać, trwałym poparciem sił, które obaliły jego poprzednika. Opinia o słabości rządów tego księcia, którą tu i ówdzie można spotkać, wcale się nie potwierdza. Jego wyniesienie trudno też łączyć ze zwycięstwem sił odśrodkowych, które właśnie w tych latach jak gdyby umilkły, a Polska była daleka od stanu rozbicia dzielnicowego. Bolesław — podobnie

jak przedtem ojciec i starszy brat — pozostawał monarchą, jemu też jedynie przysługiwał tytuł księcia Polski. Bracia uznawali jego autorytet i nie odgrywali właściwie żadnej samodzielnej roli politycznej. Najmożniejszy z nich Mieszko pomagał mu w grze dyplomatycznej, przez związki rodzinne z niemieckimi książętami sięgając na dwór cesarski i paraliżując zabiegi Władysława II. W roku drugiej krucjaty — 1147 — wraz z książętami saskimi wziął udział w wyprawie wendyjskiej, ale też chyba nie z własnej inicjatywy, ani nie w celu obrony polskich interesów na Pomorzu Zachodnim, lecz dla wzmocnienia tak potrzebnych wówczas Kędzierzawemu więzów sojuszniczych z pozostałymi uczestnikami tej ekspedycji. Młodszy Henryk, osadzony po dojściu do lat w Sandomierzu, był wiernym pomocnikiem Bolesława w jego przez całe życie podejmowanych próbach opanowania Pomorza pruskiego. Wiemy, że nie używał żadnego tytułu, wymieniany w dokumentach albo jako syn księcia Bolesława (Krzywoustego), albo jako brat książęcy. Z całkowitym posłuszeństwem odnosił się do Kędzierzawego także najmłodszy Kazimierz, choć wmawiano mu rzekome pokrzywdzenie i chciano w pewnym momencie pchnąć do buntu przeciw bratu.

W 1163 r. Bolesław Kędzierzawy zezwolił na powrót do kraju synom Władysława II i najstarszemu z nich, Bolesławowi Wysokiemu, powierzył zarząd prowincją śląską, sam zachowując w niej prawa monarsze i własne załogi w głównych grodach. Bolesław Wysoki inaczej jednak chciał rozumieć swą rolę na Śląsku, który uważał za odziedziczone po ojcu niezależne księstwo. Buntującego się synowca Kędzierzawy bez trudu pokonał, ale nowa interwencja Barbarossy (1173) narzuciła kompromis: Bolesław Wysoki utrzymał się przy Śląsku i tytułował się jego księciem, uznając

jednak zwierzchność Kędzierzawego, a po jego rychłej śmierci — Mieszka Starego.

Pod koniec życia Bolesława Kędzierzawego zawiązał się przeciw niemu spisek w Małopolsce, kierowany przez dwóch spadkobierców Piotra Włostowica: jego syna Świętosława i zięcia Jaksę z Miechowa. Do buntu jednak nie doszło. Małopolanom mógł nie odpowiadać mazowiecki punkt widzenia seniora i angażowanie sił w wyprawy pruskie, ale wystąpienie przeciw monarsze raczej nieuciążliwemu i na miano tyrana nie zasługującemu nie mogło liczyć na popularność, tym bardziej że na formalnego przywódcę rokoszu nie udało się pozyskać żadnego z członków dynastii.

Następcy swemu zostawił Bolesław Kędzierzawy państwo nieuszczuplone i władzę monarszą niemal nienaruszoną. Pewne niebezpieczeństwo dla niej wyrastało w postaci utrwalającej się zasady dziedziczności rządów w dzielnicach: po Śląsku zastosowano ją też do Mazowsza, które umierający senior przeznaczał swemu jedynakowi Leszkowi. Za to jednak, jak zauważył już Stanisław Smolka, możni „nie wywalczyli sobie w ciągu tych kilku dziesiątków lat żadnego przywileju, który by dawnym prawom książęcym przynosił jakiś uszczerbek".

Od czasu znakomitego dzieła Smolki o Mieszku Starym książę ten, który po śmierci brata przez cztery lata (1173—1177) dzierżył władzę monarszą w Polsce, uchodzi za najbardziej utalentowanego spośród następców Krzywoustego, „szermierza starej władzy książęcej Piastowskich czasów". W odróżnieniu od swego poprzednika, którego cele nie były chyba inne, nowy książę stosował bynajmniej nie tradycyjne środki, wśród nich praktykował na nie znaną dotąd skalę ucisk fiskalny. Rangę swej władzy podkreślał

demonstracyjną tytulaturą, głoszącą, że jest on panem najwyższym, panem całej Polski, czy nawet królem, jak głosił napis hebrajskimi literami na monetach. Pozostałych Piastów nękał częstymi wizytacjami ich dzielnic lub też wzywaniem ich na swój dwór, by — jak zachodnioeuropejscy wasale — dodawali mu swą obecnością splendoru. Możnowładców małopolskich ranił przez pomijanie ich przy obsadzaniu urzędów, które powierzał najchętniej obcym przybyszom.

Więcej w tym wszystkim było stwarzania pozorów siły i surowości niż rzeczywistego despotyzmu. Jeśli wierzyć kronikarzowi, biskup krakowski Gedko potrafił zdobyć się na taką zuchwałość, że rzucił pod adresem księcia pogróżkę: „Zginiesz, jak kogut!" — i uszło mu to bezkarnie. Demonstracje Mieszkowe drażniły za to wszystkich i doprowadziły niebawem do jego izolacji. Gdy możni małopolscy postanowili go obalić, spotkali się z aprobatą ze strony nie tylko Bolesława Wysokiego i Kazimierza Sprawiedliwego, ale nawet rodzonego syna seniora, Odona, który czuł się zagrożony przez ojca w swych prawach do dziedziczenia Wielkopolski.

Bunt krakowski w 1177 r. wprowadził na tron najmłodszego z synów Krzywoustego, Kazimierza Sprawiedliwego (1177—1194). Nie był on seniorem dynastii. Starszy od niego był nie tylko odsunięty od rządów brat, ale i synowie Władysława II. Niechęć do Mieszka Starego i obawa przed jego autokratycznymi zapędami sprawiły jednak, że uzurpator zyskał powszechne uznanie. Jako stronnik obalonego monarchy deklarował się jedynie młodszy syn Władysława II, Mieszko Plątonogi, próbujący właśnie wygnać ze Śląska swego brata Bolesława Wysokiego i zająć jego miejsce, ale i ten — przekonany najpierw siłą oręża, następnie zaś ugłaskany wyznaczeniem mu dzielnicy

na Górnym Śląsku — podporządkował się nowemu władcy.

Panowanie Kazimierza Sprawiedliwego przyniosło wreszcie widoczne zmiany w modelu polskiej monarchii, wiążące się zresztą z poważnymi odstępstwami od zasad tzw. testamentu Krzywoustego. Prowincje zatracały już charakter okręgów administracyjnych centralistycznie rządzonego państwa, a stawały się dziedzicznymi księstwami lennymi, choć ceremoniał stosowany przy ich obejmowaniu mógł odbiegać od zachodnioeuropejskich zwyczajów. Pełnię władzy monarszej zachował Kazimierz jedynie w swej domenie, którą stały się ziemie krakowska i sandomierska, traktowane już teraz jako jego dziedziczna dzielnica; po bezpotomnej śmierci Leszka mazowieckiego powiększył ją o Mazowsze i Kujawy. Nad pozostałymi prowincjami utrzymywał już tylko zwierzchność, prawda, że jeszcze całkiem realną, o czym jednak decydował nie tylko zakorzeniony zwyczaj czy prawo, ale korzystny dla księcia zwierzchniego układ sił. Jego ważkim elementem była między innymi przewaga terytorialna Kazimierza nad innymi książętami. Aby ją jeszcze powiększyć, Kazimierz chętnie udzielał zezwoleń na dalsze podziały dzielnic, co przekreśliło ostatecznie ich dawny charakter stałych jednostek administracji terytorialnej.

Precedens w tym względzie został stworzony na Śląsku już na początku nowego panowania. Chociaż Kazimierz pomógł swemu sojusznikowi Bolesławowi Wysokiemu pokonać zbuntowanego Mieszka Plątonogiego, zdecydował się jednak zaspokoić aspiracje młodszych synów Władysława II do własnych dzielnic dziedzicznych. Aby nie urazić zbytnio Bolesława Wysokiego, wykrojano dzielnicę Mieszka Plątonogiego częściowo tylko z ziem śląskich (Racibórz), częściowo

zaś z okręgów należących dotąd do prowincji krakowskiej (Oświęcim, Bytom); najmłodszy z braci, Konrad, otrzymał Głogów. W tym samym czasie (1177) również na Pomorzu Gdańskim dokonał się — jak się zdaje — podział dzielnicowy między awansującymi szybko do roli książąt miejscowymi wielmożami: Samborem i jego młodszym bratem Mszczujem. W kilka lat później nastąpił również podział Wielkopolski: część jej — z Poznaniem — objął już w 1177 r. najstarszy syn wypędzonego Mieszka Starego, Odon; drugą jej część — gnieźnieńską — odebrał Mieszko w r.1182, wprawdzie z pomocą zbrojną sojuszników pomorskich, ale nie bez akceptacji księcia zwierzchniego.

Podział dawnych prowincji na mniejsze jednostki nie tylko osłabiał książąt dzielnicowych, ale też stwarzał między nimi stan rywalizacji, a te lokalne antagonizmy między książętami śląskimi czy wielkopolskimi, podsycane nieraz przez księcia zwierzchniego w myśl zasady „divide et impera", ułatwiały Kazimierzowi utrzymanie pozycji nadrzędnej.

Doniosłą prerogatywą księcia panującego było prawo mianowania urzędników, także prowincjonalnych, dopóki prowincje nie przekształciły się w feudalne księstwa. Płakali już na tę zależność od księcia i jego palatyna młodzi synowie Władysława Hermana, ale prawa książęce nie zostały w tym względzie naruszone przez pierwsze trzy ćwierci XII w. Za Kazimierza Sprawiedliwego było już inaczej. Zniknęła ogólnopolska hierarchia urzędnicza, urzędnicy księcia zwierzchniego stali się sami urzędnikami lokalnymi, o kompetencjach ograniczonych do domeny książęcej lub nawet jej części. Każdy z książąt dzielnicowych nie tylko sam powoływał urzędników, ale tworzył też u siebie dostojeństwa, które niedawno jeszcze były rozumiane jako ogólnopolskie. Bez szczególnego aktu księstwa dziel-

nicowe zdobyły immunitet od podległości urzędnikom księcia zwierzchniego. Okres dzielnicowy nie zatracił dawnych tytułów, ale je rozmnażając pozbawił dawnej treści. Palatyn-wojewoda Kazimierza Sprawiedliwego nie był już zwierzchnikiem administracji terytorialnej i załóg grodowych całego państwa; pełnił analogiczne funkcje, ale tylko w Małopolsce. Książęta dzielnicowi ustanawiali sobie własnych palatynów czy kanclerzy, upatrując w posiadaniu takich urzędników własny awans w hierarchii feudalnej.

W stosunku do jednej tylko kategorii dostojników państwa utrzymywał książę zwierzchni bezpośrednie zwierzchnictwo: w stosunku do biskupów. Ci z jego rąk otrzymywali nadal inwestyturę i jemu składali przysięgę wierności. Ze względu na autorytet urzędu kościelnego mogli oddać wielkie usługi w walce o utrzymanie realnego znaczenia władzy ogólnopolskiej księcia zwierzchniego. Na ich lojalności udokumentowanej zjawieniem się ich wszystkich na wiecu urzędniczym w Łęczycy w 1180 r. opierał Kazimierz Sprawiedliwy swe plany polityczne. Nie była to bynajmniej koncepcja nie mająca precedensu. Wręcz przeciwnie: popieranie i nawzajem korzystanie z poparcia wasali duchownych przeciw bardziej niezależnym, bo dziedzicznym, lennikom świeckim od dawna praktykowali monarchowie feudalnej Europy, między nimi też sąsiadujący z Polską o miedzę królowie niemieccy. Współpracę najmłodszego syna Krzywoustego z episkopatem w tym też aspekcie należy rozpatrywać: nic fałszywszego niż traktowanie tego księcia jako potulnego narzędzia w ręku Kościoła!

Znaczenie też słynnego statutu łęczyckiego z 1180 r. interpretowanego ostatnio głównie jako etap w procesie emancypacji Kościoła, polegało przede wszystkim na tym, że Kazimierz już na początku swych

rządów wystawiał akt monarszy mający regulować stosunki w całej Polsce. Przypuszczenia, jakoby łęczyckie postanowienia Kazimierza miały dotyczyć jedynie własnej jego dzielnicy i nie wiązać innych książąt, stoją w sprzeczności z niewątpliwie ogólnopolskim charakterem wiecu, na którym statut ogłoszono. Jako odnoszący się do całej Polski potwierdziła go też następnie bulla papieża Aleksandra III. Co więcej, akt ten był właśnie skierowany przeciw książętom dzielnicowym. Zawierał on dwie grupy postanowień; po pierwsze, występował przeciw praktyce odbierania po śmierci biskupów nadanych im dóbr oraz znosił tak zwane *ius spolii*, czyli prawo zaboru pozostałych po biskupie ruchomości. Jak to formułuje zapis kronikarski Kadłubka: „Ktokolwiek zmarłego biskupa zagarnie mienie lub każe zagarnąć, czyliby księciem [*princeps*] był, czy jakąkolwiek znakomitą osobą lub urzędnikiem, bez wszelkiej różnicy niech będzie wyklęty". Było to więc najwyraźniej wzięcie w obronę zależnych od księcia zwierzchniego biskupów przed samowolą książąt dzielnic, na których obszarze stolice i dobra diecezjalne się znajdowały.

Nie inny adres ma druga grupa postanowień łęczyckich: „Ktokolwiek by biednym plony zabierał czy gwałtem, czy innym sposobem, niech będzie wyklęty. Ktokolwiek do dania podwód na posiłki kogobądź przymusi lub przymusić każe, niech będzie wyklęty, wyjąwszy tylko jeden przypadek, mianowicie, gdy której prowincji najazd nieprzyjacielski zagraża". Ostatnie zastrzeżenie wskazuje, że zakaz dotyczył rządców prowincji, a więc książąt dzielnicowych. Książę zwierzchni, monarcha polski, nie zrzekał się bynajmniej ani podwód, ani stanu należnych sobie i swym urzędnikom, występował natomiast przeciw uzurpacji tych uprawnień monarszych przez książąt dzielnicowych —

principes terrae, jak ich nazwie konfirmacyjna bulla Aleksandra III. To także nie było niczym nowym w dziejach średniowiecza: podobnymi zakazami próbowali już Karolingowie hamować proces uniezależniania się od monarchy hrabiów frankijskich.

Jak tamci, tak i monarchowie piastowscy procesu tego wstrzymać nie mogli. Książęta dzielnicowi, jeśli tylko sytuacja wewnętrzna w ich prowincjach na to pozwalała, ignorowali zarządzenia księcia zwierzchniego, a przeciw niemu uciekali się też pod protekcję czynnika obcego, a potężniejszego; Bolesław Wysoki już dawniej, Mieszko zaś Stary po swoim wygnaniu weszli w zależność wasalną od cesarza. Było to wasalstwo osobiste, nie pociągało za sobą wyłączenia dzielnic tych książąt z obrębu państwa polskiego, ale miało im zapewnić opiekę cesarza na wypadek konfliktu z księciem zwierzchnim. Jak się jednak przekonał niebawem Mieszko Stary, na próżno zabiegający o odzyskanie utraconej władzy zwierzchniej, opieka ta była dość iluzoryczna.

Śladem książąt piastowskich pospieszył również Bogusław I, książę Pomorza Zachodniego. Widzieliśmy go jeszcze w 1177 r., w otoczeniu Mieszka Starego na wiecu gnieźnieńskim, w tymże roku, po obaleniu Mieszka, złożył swe służby nowemu monarsze, w r. 1180 biskup jego kraju Konrad kamieński uczestniczył w wiecu łęczyckim nie z racji swego podporządkowania metropolii gnieźnieńskiej, bo do tego nigdy nie doszło, ale z racji państwowej zależności Pomorza Zachodniego od monarchy polskiego. Ale już w 1181 r. książę Bogusław ukląkł jako wasal przed Fryderykiem Barbarossą. Sprawa tego hołdu, różnie rozumiana, wymaga jeszcze dyskusji. Być może, że — podobnie jak hołdy składane cesarzowi przez poszczególnych Piastowiców — nie kolidował on z zobowiązaniami Bo-

gusława wobec władcy Polski i że momentu tego nie należy uważać za zerwanie przez Pomorze Zachodnie łączności państwowej z resztą Polski. Zerwanie takie niebawem jednak nastąpiło, gdy od r. 1185, po nieszczęśliwej wojnie, księstwo zachodniopomorskie uzależniło się od Danii.

Dla przeciwwagi także Kazimierz nie zaniedbywał starań o możne protekcje. W dobie rywalizacji papiestwa z cesarstwem orientował się bardziej na najwyższą instytucję kościelną, ale i cesarzowi oddawał honory, zapobiegając w ten sposób skutecznie ewentualnym próbom interwencji zewnętrznej w sprawę obsady polskiego tronu. Kto zresztą miał o niej decydować, pozostawało coraz bardziej niejasne. Zasadę senioratu raz już pogwałcono i sam Kazimierz objął tron w wyniku faktycznej elekcji, dokonanej przez książąt dzielnicowych i możnowładztwo urzędnicze. Należało się liczyć z tym, że i na przyszłość książęta zwierzchni będą powoływani drogą elekcji, a losy synów Kazimierzowych będą zależały od popularności, jaką zdobędzie ich ojciec w mających znaczenie polityczne kręgach społecznych. Sławiona przez kronikarza łaskawość, zarzucenie polityki fiskalnej i monetarnej poprzednika, hojność — umiarkowana zresztą — dla instytutów kościelnych miały mu zjednać tych, którzy myśleli już może nie tylko o obaleniu książąt tak niewygodnych, jak Mieszko Stary, ale o pozbyciu się całej dynastii piastowskiej: „Tą samą siekierą trzeba było poucinać gałązki tego samego szczepu, na próżno bowiem wypleniać oset, jeśli się pozostawi korzeń wewnątrz ukryty". Te antydynastyczne szepty nie znalazły zresztą wyrazu w godnych pamięci działaniach; realną groźbę stanowił dla Kazimierza tylko jego starszy brat, nie całkowicie pozbawiony sympatii możnych małopolskich, wśród których istnia-

ły zwalczające się wzajem ugrupowania. W 1191 r. Mieszko Stary zdołał nawet przejściowo opanować Kraków. O jego odzyskaniu przez Kazimierza zadecydowała zarówno postawa wiernych mu dostojników kościelnych, jak i pomoc podporządkowanych mu pogranicznych książąt ruskich: włodzimierskiego Romana i bełskiego Wsiewołoda.

Następne starcie stronnictw możnowładczych rozegrało się po nagłej śmierci Kazimierza Sprawiedliwego (1194). Przedmiotem sporu był dalszy los ziemi krakowskiej i obsada tronu. Odmienny pogląd na ustalenie tych spraw postawił przeciw sobie współpracowników zmarłego księcia. Z nich biskup krakowski Pełka reprezentował interesy partykularne i bronił dziedzicznych uprawnień małoletnich synów Kazimierzowych do spadku po ojcu; najstarszy Leszek powinien otrzymać prowincje krakowską i sandomierską, gdy młodszemu Konradowi przypadało Mazowsze. Kraków stał się jednak w ciągu stulecia w odczuciu powszechnym stolicą całego państwa i z rządami tu sprawowanymi łączyła się, jak dotąd, pozycja monarchy ogólnopolskiego. Wątpliwość, czy ośmioletni Leszek zyska uznanie w tym charakterze, kazała innym możnym wypowiadać się przeciw postulowanemu przez biskupa rozwiązaniu i obstawać za przywołaniem do Krakowa jedynego żyjącego jeszcze syna Krzywoustego, Mieszka Starego.

W sporze dwóch doktryn, którego nie rozstrzygnęło ani zwycięstwo Pełki na wiecu krakowskim, gdzie uznano prawa dziedziczne Leszka w Małopolsce, ani porażki orężnych prób opanowania Krakowa przez Mieszka, zwyciężyło po kilku latach rozwiązanie kompromisowe. Pogodzono tym razem prawa potomków Kazimierza Sprawiedliwego do dziedzictwa małopolskiego z niezależną od tego elekcją monarchy ogólno-

polskiego. Jeśli o losach prowincji małopolskich mogła decydować wola miejscowego możnowładztwa, to o tronie monarszym chcieli jeszcze rozstrzygać sami Piastowice. Porozumienie książąt, do którego przystąpiła w imieniu synów także matka Leszka Helena, sprawiło, że księciem zwierzchnim uznano ostatecznie Mieszka Starego i otworzono przed nim Kraków, gdzie możni małopolscy złożyli mu przysięgę wierności. Zwierzchnictwo Mieszka jako ogólnopolskiego monarchy nie miało jednak — według zawartej ugody — uszczuplać praw dziedzicznych Leszka do przypadającej mu po ojcu dzielnicy ani lokalnych przywilejów możnowładztwa małopolskiego. W praktyce wyglądało to tak, że Leszek z matką siedział w Sandomierzu, gdy stryj panował w stołecznym Krakowie, faktyczne zaś rządy w obu częściach Małopolski wykonywali książęcy urzędnicy: w Krakowie — Mikołaj, stary wojewoda Kazimierza Sprawiedliwego a teraz zagorzały zwolennik Mieszka Starego, w Sandomierzu — wojewoda Goworek.

Rychła śmierć sędziwego już Mieszka Starego postawiła znów w 1202 r. na porządku dziennym zarówno kwestię następstwa tronu, jak i procedury jego obsadzenia. Wbrew oporowi biskupa Pełki, który moment ten uważał za dogodny, by wreszcie wprowadzić do Krakowa młodego Leszka, zadecydowało i tym razem porozumienie Piastów. Za zgodą ich wszystkich — nie wyłączając Leszka — tron monarszy objął jedyny pozostały przy życiu syn Mieszka Starego, książę wielkopolski Władysław Laskonogi.

Współczesny wypadkom kronikarz, panegirysta Kazimierza Sprawiedliwego i jego syna, zgodę Leszka Białego na ustąpienie bratu stryjecznemu tronu, na którym chciała go widzieć część małopolskiego możnowładztwa, tłumaczy sentymentalną anegdotą.

Według niej panowie krakowscy z wojewodą Mikołajem na czele mieli postawić młodemu księciu jako zasadniczy warunek powołania go na tron oddalenie Goworka, na co szlachetny syn Sprawiedliwego ojca nie przystał. Można się domyślać, że myślący kategoriami ogólnopolskimi Mikołaj starał się o ograniczenie wpływów tej grupy możnowładczej, która — jak Pełka i Goworek — reprezentowała wąskie interesy partykularne. Wydaje się jednak, że sprawa Goworka nie była tylko konfliktem personalnym, ale problemem instytucjonalnym. Chociaż urząd wojewody przestał być już instytucją ogólnopolską, zachował przecież dawną treść w ramach księstwa dzielnicowego. Każdy z książąt miał — jak dotąd — jednego wojewodę, który był wciąż jeszcze jego urzędnikiem dworskim, a nie przedstawicielem administracji lokalnej. Rodziła się już wszakże tendencja do przekształcania się urzędów dworskich w urzędy ziemskie. Zgodnie z nią możni ziemi sandomierskiej pragnęli zachować wytworzoną przy Leszku hierarchię urzędniczą jako niezależną od analogicznej krakowskiej i stąd spór o Goworka.

Śmierć starego wojewody Mikołaja w tym samym jeszcze 1202 r. rozwiązała ręce Leszkowi Białemu, który wówczas zajął ziemię krakowską jako swą dzielnicę dziedziczną, a popierany przez młodszego brata Konrada Mazowieckiego zgłaszał jednocześnie pretensje do godności księcia zwierzchniego. Tej jednak nie wyrzekł się też Władysław Laskonogi. Przeciw niemu stronnictwo Leszka wysunęło stworzoną ad hoc teorię, że władza zwierzchnia w królestwie polskim jest nierozdzielnie związana z panowaniem w Krakowie — rzekomo na podstawie testamentu Krzywoustego. Laskonogi przeciwstawił temu uznanie przez książąt dzielnicowych jako legitymację swe-

go stanowiska monarszego, osiągnął też — jak się zdaje — poparcie niepiastowskich książąt pozostających w formalnej zależności od władców Polski, mianowicie książąt pomorskich i zwłaszcza Romana halicko-włodzimierskiego.

Ten ostatni, umocniwszy się przy poparciu Kazimierza Sprawiedliwego, a następnie jego syna, w Haliczu, rozszerzył w początku XIII w. swój wpływ na inne drobne księstwa ruskie i nawet Kijów poddał swemu zwierzchnictwu. W sporze między Władysławem Laskonogim a Leszkiem Białym stanął po stronie pierwszego, jak to wykazał już przed czterdziestu laty Bronisław Włodarski. Romana też rękami próbował Władysław podporządkować sobie Leszka. Zdawało się, że książę małopolski ugnie się przed szczytową wówczas potęgą zwycięzcy wszystkich książąt ruskich. Ten łatwo doszedł z wojskiem do Wisły i zamierzał się przez nią przeprawić, lecz tu niebacznie odłączył się z małym oddziałkiem od głównych sił, dał się zaskoczyć synom Kaziemierza Sprawiedliwego pod Zawichostem i w walce z nimi poległ (1205). Rusini wrócili do Halicza, Leszek — do Krakowa.

Niepowodzenie interwencji Romana zadecydowało o zwycięstwie Leszka w walce o Kraków, którego nie był zdolny mu odebrać Władysław Laskonogi, uwikłany w konflikt z arcybiskupem gnieźnieńskim Henrykiem Kietliczem i atakowany przez niespokojnego bratanka Władysława Odonica, domagającego się dzielnicy w Wielkopolsce. Przy poparciu kół kościelnych Leszek, który w 1207 r. oddał się pod opiekę papieską, co prawda jako książę krakowski, a nie monarcha Polski, uzyskał uznanie w większej części kraju i także przez księcia gdańskiego Mszczuja I był traktowany jako książę zwierzchni. Władysław Laskonogi wyciągnął wówczas z lamusa zasadę senio-

ratu i — sam na razie rezygnując z bezpośrednich pretensji do władzy najwyższej — wysunął przeciw Leszkowi najstarszego z Piastów, Mieszka Plątonogiego, który postarał się u papieża Innocentego III o bullę potwierdzającą obowiązywanie tej zasady w Polsce i grożącą klątwą kościelną tym, którzy by ją naruszyli (1210). Udało się też księciu raciborskiemu opanować Kraków, ale cieszył się nim zaledwie kilka miesięcy, gdyż niebawem zmarł (1211). Seniorem dynastii stał się wówczas Władysław Laskonogi, ale uzyskanie nowej legitymacji praw do władzy zwierzchniej nie na wiele mu się przydało wobec zwróconej przeciw niemu koalicji pozostałych książąt piastowskich i części hierarchii kościelnej.

Z przeciągającego się sporu między dwoma pretendentami do władzy naczelnej w Polsce korzystały przede wszystkim siły odśrodkowe. Następca Mszczuja I w Gdańsku, Świętopełk, objąwszy rządy po śmierci ojca (1220) nie zabiegał już o inwestyturę u żadnego z Piastowiców i miał się za udzielnego monarchę. Sojusznika znalazł sobie w wypędzonym przez stryja Odonicu, za którego wydał siostrę Jadwigę i któremu wywalczył nadnotecki skrawek Wielkopolski z Ujściem i Nakłem. Ponawiające się wichrzenia Odonica skłaniały Laskonogiego do szukania porozumienia z Leszkiem Białym, który ze swej strony czuł się bezpośrednio dotknięty wyłamaniem się Pomorza Gdańskiego spod jego zwierzchnictwa. Między rywalami doszło więc w tych okolicznościach do zgody; Laskonogi nie tylko uznał Leszka za dożywotniego władcę, ale uczynił go swym spadkobiercą, w zamian za co został przewidziany na opiekuna syna Leszka, gdyby ten zmarł wcześniej. Wobec znacznej różnicy wieku między partnerami ta ostatnia ewentualność nie wydawała się prawdopodobna i wspomniany uk-

ład zapowiadał korzyści małopolskiej linii Piastów. Los zrządził inaczej. Na obradujących w Gąsawie książąt piastowskich napadł niespodziewanie Świętopełk działający w porozumieniu z Odonicem i zaskoczony Leszek zginął w ucieczce (1227).

Według utartego poglądu śmierć Leszka Białego stanowi moment przełomowy w procesie rozpadania się państwa polskiego na niezależne od siebie dzielnice, książę ten bowiem miał być ostatnim, który pretendował do władzy zwierzchniej nad całą Polską i w pewnym zakresie ją wykonywał. Po 1227 r. zapomniano rzekomo o instytucji księcia zwierzchniego, a rywalizacja książąt o Kraków miała być już tylko fragmentem ich dążeń do rozszerzenia posiadanego terytorium.

Przestarzały ten pogląd coraz trudniej pogodzić z uznanym już w tej chwili faktem, że zarówno w powszechnej świadomości, jak w aktach prawnych utrzymywało się przez cały XIII w. pojęcie państwa polskiego, określanego bądź jako królestwo, bądź jako księstwo, ale rozumianego zawsze jako twór nadrzędny wobec poszczególnych dzielnic. Nawet w okresie szczytowego rozkwitu feudalizmu w pojęciu państwa zawiera się również pojęcie władzy naczelnej, jeśli nawet jej funkcjonowanie bywało poważnie zakłócone przez dążności autonomiczne potężnych wasali. Podobnie było w Polsce, gdzie lata po śmierci Leszka Białego wypełnia znów walka książąt o stanowisko suzerena.

Rozeznanie się w kolejach tej walki utrudnia konieczność rozróżniania między rozdzielonymi już od początku XIII w. tytułami: do panowania w Polsce i do panowania w ziemi krakowskiej. Ta ostatnia stała się dzielnicą dziedziczną w linii Kazimierza Sprawiedliwego, co w zasadzie uznali wszyscy Pias-

towice. Na innych zasadach — często spornych — opierało się następstwo tronu ogólnopolskiego. Inaczej niż to było w XII w., panowanie zwierzchnie i panowanie przynajmniej formalne w ziemi krakowskiej mogły przysługiwać różnym osobom. Dwoista przez to stawała się rola Krakowa, który nie przestał pełnić roli stołecznego grodu całej Polski, a więc grodu księcia zwierzchniego, będąc zarazem stolicą jednej z równouprawnionych dzielnic. Podział kompetencji między księciem zwierzchnim a księciem dzielnicowym krakowskim był więc bardzo subtelną kwestią prawniczą, w praktyce zaś regulował go faktyczny układ sił, który rzeczywiste rządy Krakowem oddał w ręce miejscowego możnowładztwa urzędniczego.

Precedens opisanej sytuacji został stworzony, gdy w kilka lat po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego uznano monarsze stanowisko Mieszka Starego, który ze swej strony uznał prawa małoletniego Leszka Białego do dzielnicy krakowskiej oraz inne, niepomiernie szersze niż w pozostałych dzielnicach przywileje tutejszego możnowładztwa. Wszystko to powtórzyło się po śmierci Leszka Białego, który pozostawił półtorarocznego syna-jedynaka, Bolesława Wstydliwego. Wdowa po Leszku, Grzymisława, dopilnowała wejścia syna w prawa dziedziczne, ale jako księcia zwierzchniego uznano w Krakowie seniora dynastii, Władysława Laskonogiego, który zarówno z tego tytułu, jak i na podstawie niedawnego układu z poległym Leszkiem, objął również funkcje opiekuńcze wobec małoletniego sieroty.

Z uznaniem przez możnowładztwo małopolskie zwierzchniej władzy Władysława Laskonogiego wiąże się wydanie przez tego księcia głośnego przywileju w Cieni (1228). W pewnym okresie przeceniany w historiografii — Józef Siemieński widział w nim

nawet akt otwierający nową epokę w dziejach Polski — był po prostu utwierdzeniem na piśmie zreferowanych wyżej zasad: potwierdzał prawa dziedziczne Bolesława Wstydliwego do dzielnicy krakowskiej i sandomierskiej oraz odrębności prawne tych ziem, wyrażające się szerszym udziałem wiecu urzędniczego („biskupa i baronów") w stanowieniu praw, wolnościami podatkowymi, szerokimi przywilejami Kościoła.

Ani Władysław Laskonogi (1228 - 1231), ani następny po jego śmierci senior dynastii, syn Bolesława Wysokiego, książę wrocławski Henryk Brodaty (1231 - 1238) nie rezydowali w Krakowie. Gród ten stawał się dla nich już tylko symboliczną stolicą Królestwa, trochę jakby na wzór cesarskiego Rzymu, do którego monarsze wypadało kwroczyć i odebrać przysięgę wierności od jego mieszkańców, aby wejść w pełni w określone tytułem prawa, ale w którym nie przebywało się dłużej, pozostawiając go rządom lokalnych potentatów. Wobec małoletności Bolesława Wstydliwego zarząd prowincją krakowską spoczywał w rękach urzędniczego możnowładztwa, przede wszystkim wojewodów — odrębnego dla Krakowa, odrębnego zaś dla Sandomierza — których rola tak niepomiernie wzrastała, że śmieli na wzór książąt poprzedzać swe tytuły formułą dewocyjną: „z bożej łaski wojewoda...".

Zmniejszało się też znaczenie księcia zwierzchniego w innych dzielnicach, nie podlegających jego bezpośredniej władzy. Hierarchia kościelna, niedawno jeszcze dogodne narzędzie monarchy, w ciągu pierwszych dziesięcioleci XIII w. przestała reprezentować jego punkt widzenia, odkąd nominację biskupów zastąpiła elekcja kanoniczna (w Krakowie 1207, w Poznaniu 1211). Wybór dokonywany przez kapituły nie

odbywał się wprawdzie bez nacisków ze strony czynników świeckich, nie książę zwierzchni jednak był tym, z kim liczyli się kanonicy, lecz książę dzielnicowy lub — jak w Małopolsce — miejscowe możnowładztwo.

Zachwianie równowagi między siłami księcia seniora i książąt dzielnicowych sprawiało, że potężniejsi z tych ostatnich niechętnie podporządkowywali się już nie tylko faktycznemu zwierzchnictwu pierwszego, ale nawet czczym formom uznania własnej zależności. Zgodę wszystkich książąt piastowskich na wyniesienie jednego spośród siebie do roli nadrzędnej coraz trudniej było uzyskać.

Po śmierci Leszka Białego nie zamierzał się więc podporządkować Władysławowi Laskonogiemu ani jego zacięty wróg Władysław Odonic, który zdołał nawet wyzuć stryja z Wielkopolski (1229), ani młodszy brat zmarłego — Konrad Mazowiecki. Ten drugi sam sięgał po Kraków i godność naczelną w Polsce, a sprzymierzony z książętami ruskimi odnosił nawet początkowo w prowadzonej walce przelotne sukcesy. Dwukrotnie wyparty z Krakowa (1229 i 1232) zaprzestał na kilka lat prób jego opanowania, uznając milcząco przewagę Henryka Brodatego, który po śmierci Laskonogiego rozprawił się także z Odonicem i odebrał mu większą część Wielkopolski (1234), gdzie osadził własnego syna, Henryka Pobożnego. Czasowe wyrzeczenie się przez Konrada Krakowa nie było jednak równoznaczne z uznaniem przez niego zwierzchnictwa rywala; książę mazowiecki nadal sam pretendował do roli monarchy i złudę takiego stanowiska usiłował stworzyć przynajmniej na ograniczonym terytorium. Powydzielał mianowicie ze swego dziedzictwa dzielnice synom — Bolesławowi Mazowsze, Kazimierzowi Kujawy — sam zaś sie-

dząc w ziemi łęczycko-sieradzkiej zachował sobie nad nimi władzę zwierzchnią. Według obiektywnych obserwatorów ruskich dwóch było wtedy wielkich książąt w Polsce: Henryk Brodaty i Konrad. Nie znaczy to jednak, by Polska rozpadła się na dwa państwa. Granice terytorialne władztwa obu rywali były płynne, obaj pretendowali do tego samego i można ich przyrównywać do króla i antykróla w sąsiednich Niemczech.

Późniejsze źródło podało wiadomość, jakoby Henryk Brodaty starał się o koronę dla swego syna. Przekaz ten, którego wiarogodność jest dyskutowana, bywa mylnie interpretowany jako ślad dążeń księcia śląskiego do odbudowy monarchii starego typu. W rzeczywistości redakcja sformułowania kronikarskiego nie powinna pozostawiać wątpliwości, że Brodatemu chodziło o zapewnienie po sobie następstwa w całej Polsce synowi, czyli o odejście od zasady senioratu. Ułatwiłaby to koronacja i zatwierdzenie cesarskie — z rąk bowiem Fryderyka II zapewne chciał ten przeciwnik polityczny papiestwa uzyskać tytuł królewski. Do aktów tych jednak nie doszło. Mimo to ze śmiercią ojca Henryk Pobożny objął po nim w zasadzie bez przeszkód rządy, a niebawem zasięg swego zwierzchnictwa rozszerzył jeszcze bardziej, wypierając Władysława Odonica z dzierżonej dotąd przez niego Wielkopolski wschodniej i pozostawiając w jego ręku jedynie Ujście, Śrem i Nakło (1238).

Dokładnych dat urodzin Konrada Mazowieckiego, Władysława Odonica i Henryka Pobożnego nie znamy. Trzej ci książęta byli mniej więcej w równym wieku, ale według najbardziej prawdopodobnych obliczeń seniorem dynastii stał się teraz Konrad. Część dzielnic — mamy na myśli zarówno książąt, jak możnowładztwo — która uznawała zwierzchnictwo Brodatego, po jego śmierci zaczęła się więc skupiać

wokół Konrada. Wymowny był pod tym względem zjazd w Przedborzu, w ziemi sandomierskiej, gdzie obok Grzymisławy i Bolesława Wstydliwego zjawił się też Konrad z synem Ziemowitem. Najprawdopodobniej możnowładztwo sandomierskie, które jeszcze w 1228 r. wspierało Konrada przeciw Laskonogiemu, ponownie w księciu mazowieckim uznało swego zwierzchniego pana. Na wiecu w Przedborzu znalazł się jednak także biskup krakowski Wisław, co świadczyłoby, że również w Krakowie wystąpiły wahania, komu z rywalizujących książąt należy się wierność feudalna. Po stronie Konrada, swego niebawem teścia, opowiadał się też pewnie Mieszko Otyły, książę opolsko-raciborski, choć jego matkę i młodszego brata Władysława widzimy nadal pod opieką Henryka Pobożnego, który ich osadził w Kaliszu.

Najazd tatarski 1241 r., którego ostatnim aktem była bitwa pod Legnicą i śmierć w niej księcia śląskiego, przekreślił dynastyczne aspiracje najstarszej linii Piastowiców. Pozostał im tylko zniszczony i ogarnięty po klęsce anarchią Dolny Śląsk, który niebawem rozpadł się na kilka dzielnic. Konrad Mazowiecki, bez kwestii już — zdawałoby się — jedyny możliwy kandydat do władzy zwierzchniej, zajął czym prędzej Kraków, wspierany nie tylko przez książąt piastowskich, ale i Romanowiczów halickich, a nawet Świętopełka pomorskiego. Opór stawiali mu jedynie przywykli do faktycznej udzielności możnowładcy ziemi krakowskiej z wojewodą Klemensem z Ruszczy na czele. Przeciw seniorowi, znanemu z twardej ręki i zamierzającemu w Krakowie sprawować rzeczywiste rządy, rozdającemu urzędy nie najmożniejszym panom prowincji, lecz własnym zaufanym sługom, wysunęli młodocianego Bolesława Wstydliwego. Starcie zbrojne obu stronnictw pod Sucho-

dołem przyniosło Konradowi klęskę (1243), a jego ponawiane aż do śmierci (1247) próby rewanżu nie przyniosły już zadowalającego rezultatu.

Przegrana Kcnrada była jednocześnie przegraną dynastii w walce z feudalnym możnowładztwem. Po raz pierwszy zgodne poparcie książąt nie wystarczyło do utrzymania władzy nad Krakowem. O tym chcieli decydować — i mieli dość sił, by postawić na swoim — wyłącznie panowie małopolscy.

Inna sprawa, że wola możnych ziemi krakowskiej mogła zagrodzić drogę do Krakowa, ale nie mogła sprawić, by wyniesiony przez lokalne czynniki książę został uznany zwierzchnikiem nad pozostałymi dzielnicami kraju. Toteż Bolesław Wstydliwy dobił się tylko władzy dzielnicowego księcia małopolskiego — krakowskiego i sandomierskiego — a nie władzy zwierzchniej w kraju. Do tej po śmierci Konrada Mazowieckiego nikt na razie jawnie nie aspirował. Nie stać na to było Kazimierza Konradowica, księcia kujawskiego, po r. 1248 najstarszego wiekiem członka dynastii, uwikłanego jednak w drobne, lecz zażarte spory zarówno z najbliższymi sąsiadami, jak z opozycją wewnętrzną we własnej dzielnicy.

Niemal jednocześnie z niemieckim zaczęło się także polskie Wielkie Bezkrólewie — szczytowa postać feudalizacji władzy państwowej.

WIELKIE BEZKRÓLEWIE I JEGO PRZEZWYCIĘŻENIE

Feudalne wielkie bezkrólewie charakteryzuje się tym, że chociaż istnieje pojęcie jednego państwa, stojącego ponad księstwami feudalnymi, oraz instytucja monarchy-suzerena w tym państwie; to jednak tronu monarszego przez dłuższy czas nie udaje się

obsadzić. Bezpośrednią przyczyną niepowodzenia usiłowań podejmowanych w tym kierunku jest bankructwo dotychczasowych zasad prawnych powoływania następcy zmarłego suzerena. W Polsce zasadę senioratu praktycznie pogrzebano jeszcze w XII w.; panowanie w Krakowie ceniono wysoko, ale nie wystarczało ono samo jako legitymacja praw zwierzchnich; przez całe stulecie od wygnania Władysława II do śląskich Henryków decydowała o stanowisku księcia zwierzchniego elekcja dokonywana przez ogół książąt dzielnicowych. W połowie XIII w. i to zawiodło; możnowładztwo małopolskie nie pozwoliło Piastowicom wprowadzić do Krakowa uznanego przez nich księcia.

Odtąd książęta piastowscy nigdy już nie osiągnęli między sobą zgody co do wspólnego kandydata na najwyższe stanowisko. Jak stwierdził niewiele później żyjący kronikarz, Janko z Czarnkowa, wszyscy Piastowice uważali się za równych sobie. Nie oznaczało to, aby przestali oni uznawać instytucję księcia zwierzchniego w Polsce; w formule tej wyrażało się tylko przekonanie, że każdy z nich ma do tego stanowiska jednakowe prawa i że ani starszeństwo wieku, ani prawa dziedziczne do Krakowa nie mogą rozstrzygać o władzy naczelnej. Kryła się w tym w gruncie rzeczy obrona praw elektorskich książąt najpierw przeciw możnowładztwu małopolskiemu, później także przeciw innym czynnikom społecznym, obrona przez to jednak słaba, że nie poparta solidarnością członków dynastii, z których niemal każdy uważał przede wszystkim siebie za najodpowiedniejszego kandydata na monarchę ogólnopolskiego.

Cokolwiek by się mówiło o słabości władzy centralnej w państwach feudalnych, o iluzoryczności panowania czy to ostatnich Hohenstaufów w Niemczech,

czy to wnuków Krzywoustego w Polsce, dopiero okres Wielkiego Bezkrólewia pozwala poznać, czym jest rzeczywisty brak władzy w państwie. Kraj pozbawiony najwyższego autorytetu pogrążał się w anarchii. Przestawały być egzekwowane uznawane do niedawna prawa, szerzyło się raubritterstwo upowszechniając nową zasadę współżycia społecznego: prawo pięści. Wiele przypadków jej stosowania przez silniejszych wobec słabszych przytacza nam *Księga Henrykowska*. Pewni bezkarności rycerze śląscy grabili i nawet zagarniali całe wsie nie licząc się ani z sąsiadami, ani z prawami księcia. Nie różnił się od nich ich senior, najstarszy syn Henryka Pobożnego, Bolesław Rogatka (Łysy), najeżdżający sąsiadów i własnych poddanych. Niewiele lepiej działo się w innych dzielnicach, po których coraz częściej szalały też hordy Tatarów, Jaćwingów i Litwinów.

Pogłębiająca się anarchia budziła żywy sprzeciw całego zorganizowanego społeczeństwa. Z przerażeniem patrzył na niszczenie owoców jego pracy bezbronny rolnik czy zaskoczony na drogach publicznych kupiec, ich straty materialne odczuwał pośrednio także pan feudalny. Poza jednostkami najbardziej zdemoralizowanymi nikt anarchii i bezprawia nie bronił jako zasady, tęsknota do przywrócenia porządku prawnego, a więc i do autorytetu, do jednej władzy zwierzchniej była powszechna.

Cóż, kiedy żaden z książąt piastowskich połowy XIII w. nie cieszył się powszechnym poważaniem i nie mógł wchodzić w grę jako ten, przy którym mogłaby się skupić przeważająca część społeczeństwa. Jakiekolwiek dążenia ze strony poszczególnych książąt lub warstw kierowniczych ich dzielnic do przywrócenia władzy naczelnej, choć zgodne z obiektywnymi tendencjami, w praktyce wywoływały natych-

miastową kontrakcję ze strony konkurentów i, zamiast jednoczyć, rozbijały kraj na zwalczające się obozy.

Brak autorytetu osobistego władcy wyrównuje mu nieraz autorytet zasady, na której podstawie władzę sprawuje. Ale — jak podkreślaliśmy już — zasady stosowane dotąd w Polsce jako legitymacja praw zwierzchnich zbankrutowały, a zresztą nigdy nie cieszyły się wielkim uznaniem. Trwało może jeszcze tylko przywiązanie do dynastii, jej kilkuwiekowa już tradycja, która zapobiegała szukaniu obcego pana. Tak mało jednak przypominali słabi i skłóceni książęta swych wyidealizowanych w legendzie przodków, że i tradycjom dynastycznym groził kryzys, tym bardziej że w życiu publicznym odgrywał coraz większą rolę element napływowy, w szczególności rycerstwo i mieszczaństwo pochodzenia niemieckiego, ze wspomnianymi tradycjami nie związany.

Tymczasem w całej Europie nabierała uroku nowa idea prawno-polityczna: idea korony królewskiej, która wraz z upadkiem uniwersalizmu cesarskiego stawała się jedynym symbolem suwerennej władzy w państwie. Od czasów wczesnośredniowiecznych treści wiązane z koroną i tytułem królewskim uległy znacznej ewolucji. Przyczynił się do tego faktyczny wzrost znaczenia królestw zachodnioeuropejskich, Francji i Anglii, które na zewnątrz utrzymały całkowitą niezależność od cesarstwa, wewnątrz zaś uporały się zwycięsko z niebezpieczeństwem feudalnej atomizacji państwa. W środkowej Europie najstarsza korona węgierska reprezentowała podobną treść. Upadek cesarstwa i wielkie bezkrólewie w Niemczech sprzyjały wzrostowi blasku koron królewskich.

Idea suwerennej korony w krajach Europy środkowej wykształcała się powoli, a jej ostrze skierowane

było przede wszystkim przeciw uroszczeniom cesarskim. Nic więc dziwnego, że silniej niż na Zachodzie czerpała z pojęć sakralnych i teokratycznych, przydatnych zresztą i w stosunkach wewnętrznych. Najwyraźniej widać to na przykładzie węgierskiej „korony świętego Stefana", która miała być darem papieskim dla świętego króla.

Jak silnie oddziaływała ta koncepcja na średniowieczne umysły — dowodem, że i królestwo czeskie, mające przecież zupełnie odmienną genezę i treść, powstałe w ramach cesarstwa i podporządkowane jako lenno królestwu niemieckiemu, zaczynało z wolna szukać uzasadnień sakralnych, co później doprowadziło do stworzenia pojęcia „korony świętego Wacława". W XIII w. władca czeski Przemysł Ottokar I, uzyskawszy od cesarza nadanie dziedzicznej godności królewskiej w r. 1198, postarał się niebawem (1203) o uznanie jej także przez papieża.

Pierwsze lata drugiej połowy XIII w. świadczą o ekspansji idei korony coraz dalej na wschód. Ozdobił nią sobie czoło litewski Mendog (1253), nieco później odbył uroczystą koronację w Drohiczynie Daniel halicki (1255). Rozbita politycznie Polska, choć nazywana królestwem, pozostawała w tej części Europy jedynym krajem bez koronowanego króla. Nie znaczy to jednak, by nowe prądy omijały kraj nad Odrą i Wisłą. Dwa wieki wcześniej recepcja korony istotnie nie cieszyła się popularnością w społeczeństwie nieufnie przypatrującym się inwazji obcych pojęć i obyczajów. Od tego czasu wiele się jednak w Polsce zmieniło: nie przeciwstawiała się już ona Europie, lecz stała się jej częścią składową. Intensywna zaś misja wewnętrzna związana z budową sieci parafialnej w XII—XIII w. oraz działalnością nowych, popularnych wśród ludu zakonów — dominikanów

i franciszkanów — sprawiła, że zwłaszcza idee aprobowane przez Kościół asymilowały się łatwo i poruszały całe społeczeństwo, a nie tylko jego wiodące warstwy, choć te przede wszystkim. Ale właśnie nimb, jaki w ówczesnych pojęciach otaczał koronę, utrudniał wyobrażenie jej sobie na głowie księcia, który w powszechnym odczuciu nie dorósł do takiej godności.

Przyciągały za to wyobraźnię postacie władców sąsiednich. Od Śląska zaczynał się szerzyć urok wzrastającego w potęgę króla czeskiego Przemysła Ottokara II (1253—1278), który ujarzmiwszy we własnym kraju możnowładztwo feudalne był na najlepszej drodze do zawładnięcia krajami alpejskimi i osiągnięcia hegemonii w Rzeszy Niemieckiej. Synom Henryka Pobożnego był bliski jako ich cioteczny brat, jednego z nich — Władysława — wyniósł na stanowisko kanclerza Czech i wystarał się dla niego o biskupstwo passawskie, a następnie arcybiskupstwo salzburskie. We Wrocławiu gościł nieraz, występował jako mediator sporów między książętami, ściągał ich na swój dwór, a pod koniec życia występował otwarcie w roli zwierzchnika Śląska. Gdy w 1266 r. zmarł Henryk III wrocławski, rządy bezpośrednie po nim objął arcybiskup Władysław, bezwzględnie oddany swemu protektorowi. Małoletni syn Henryka III, Henryk IV Probus (Prawy), wychowywał się tymczasem na dworze praskim i gdy po śmierci stryja (1270) odziedziczył księstwo wrocławskie, faktycznie rządy w tej dzielnicy objął król czeski jako jego opiekun.

Pozostali Piastowice grupowali się wokół króla węgierskiego Beli IV, antagonisty Przemysła Ottokara i jego długoletniego rywala w walce o Austrię. Związki książąt piastowskich z jego dworem wzmocniły liczne polsko-węgierskie związki małżeńskie: Bolesław Wstydliwy pojął za żonę córkę Beli — Kingę, wiel-

kopolski Bolesław Pobożny — jej siostrę Jolantę, syn Kazimierza kujawskiego Leszek Czarny — Gryfinę, siostrzenicę tamtych księżniczek. Bliskie stosunki z Węgrami utrzymywał także Daniel halicki. Wojska małopolskie i ruskie wspomagały Belę IV w wojnie z Ottokarem już w 1253 r. W kilka lat później (1260) w wojnie czesko-węgierskiej spotykają się w przeciwnych obozach wojska książąt polskich: Ślązacy po stronie Przemysła, Bolesław Wstydliwy i Leszek Czarny po stronie Beli.

Przyczyn takiego rozdarcia wśród Piastowiców nie można szukać tylko w odmiennym położeniu geograficznym poszczególnych dzielnic i związkach familijnych książąt. Opór części książąt przeciw Ottokarowi, uzasadniony zresztą własnym interesem dynastycznym, wiązał się ze sprzeciwem ideologicznym wobec królestwa Przemyślidów, rosnącego w ramach Rzeszy Niemieckiej i wspierającego gibelińską koncepcję cesarstwa. Przeciw niemu obóz węgierski akcentował swe podporządkowanie papiestwu (z rąk papieża dostał niegdyś koronę święty Stefan, a teraz Daniel halicki), wobec zagrożenia Węgier, Rusi i Polski ze strony Tatarów wysuwał hasła krucjaty przeciw poganom, demonstracyjnie obnosił się z protegowaniem przedsięwzięć kościelnych i z osobistą ascezą przedstawicieli dynastii. Księżniczki węgierskie już za życia chodziły w aureoli świętości, przydomki polskich Bolesławów — Wstydliwego i Pobożnego — także nie były przypadkowe.

Związki między Arpadami węgierskimi i najmłodszą linią Piastów wywodzącą się od Kazimierza Sprawiedliwego miały już zresztą dawną tradycję. Nowością było znalezienie się w tym bloku także Wielkopolski. Na jej orientację polityczną w drugiej połowie XIII w. wpływało decydująco sąsiedztwo zachodnie.

Marchia Brandenburska rozwijając żywą ekspansję ku wschodowi dotarła do Odry zagrażając bezpośrednio Wielkopolsce i bliskiemu jej Pomorzu Gdańskiemu. W rękach margrabiów znalazła się ok. 1253 r. ziemia lubuska, odstąpiona kilka lat wcześniej (1249) arcybiskupowi magdeburskiemu Wilibrandowi przez nieodpowiedzialnego Bolesława Rogatkę w zamian za pomoc w wewnętrznych walkach na Śląsku. Już w r. 1251 Brandenburczycy próbowali zająć wielkopolski Zbąszyń, a gdy to im się nie udało, rozpoczęli systematyczny podbój ziem leżących między Wielkopolską i Pomorzem, gdzie niebawem powstała tak zwana Nowa Marchia. W 1257 r. wznieśli u zbiegu Warty i Noteci gród Landsberg (dzisiejszy Gorzów Wielkopolski), w 1266 pochwycili przeciwległy Santok, uważany od dawna za „klucz królestwa polskiego" od tej strony, który po wieloletnich zmaganiach udało się odzyskać dopiero w 1278 r.

Marchia brandenburska wyrosła w całości na ziemiach słowiańskich i była typowym państwem kolonialnym. Jak w każdym takim państwie i tam istniały ostre antagonizmy między zwycięzcami i zwyciężonymi, a wszelkie dzielące ich różnice pogłębiały wzajemną wrogość. Tutaj właśnie rodził się nie znany wcześniejszemu średniowieczu antagonizm dwóch języków, dwóch narodowości. W miarę wzrostu nacisku Marchii na Wielkopolskę przenosił się też nad Wartę, tym bardziej że napastnikowi sprzyjali niedwuznacznie niepamiętni obowiązków wierności wobec swych dobroczyńców obcojęzyczni osadnicy.

W tej sytuacji nie sprzyjano w Wielkopolsce Ottokarowi, który w ojczystych Czechach był protektorem żywiołu niemieckiego, otaczał się niemieckim rycerstwem i partycjatem miejskim w tym stopniu, że rozniecił nad Wełtawą gwałtowne antago-

nizmy narodowościowe, odbite w pamfletycznej literaturze czeskiej przedstawiającej Niemców jako naród podstępnych zdrajców, łupieżców i tchórzów. Nie mógł budzić sympatii król, w którego usta wkładano obietnicę daną przez niego rzekomo Niemcom, że zaczerwienią się góry od krwi szlachty czeskiej.

Spośród panujących w Wielkopolsce dwóch synów Władysława Odonica starszy — Przemysł I (1239—1257), pan nie wojenny i nad inne zajęcia przekładający lekturę ksiąg, nad którymi miał nawet nocami przesiadywać, reprezentował tendencje pojednawcze wobec brandenburskich Askańczyków, a próbę porozumienia z nimi przypieczętował wydaniem córki Konstancji za margrabiego Konrada (1254). Młodszy — Bolesław Pobożny (1239—1279), który po śmierci brata zjednoczył w swych rękach całą dzielnicę, stał się natomiast wyrazicielem tendencji antyniemieckich, coraz silniej ogarniających społeczeństwo Polski północno-zachodniej. Sukcesami odnoszonymi w walce z Brandenburgią zasłużył sobie na epitet „największego triumfatora nad Niemcami" zanotowany przez jeden z roczników. Rosła też jego popularność wśród rycerstwa sąsiednich Kujaw, gdzie znów sąsiedztwo wyrosłego w ciągu XIII w. zakonnego państwa krzyżaków w Prusach rozpalało nastroje antyniemieckie. Gdy przeciw prokrzyżackiej polityce następcy Kazimierza kujawskiego, Ziemomysła, wybuchł rokosz, zbuntowane rycerstwo przywołało sobie na księcia właśnie Bolesława Pobożnego (1269) i brało następnie udział w jego wyprawach na Brandenburgię (1271).

Miejsce księcia wielkopolskiego w obozie związanym z Węgrami było więc nieco odrębne. Nie uczestniczył w wielu przedsięwzięciach tej koalicji, obcych partykularnym zainteresowaniom społeczeństwa wielko-

polskiego, solidaryzował się z nią jedynie jako przeciwnik Przemysła Ottokara II i związków politycznych z Niemcami. Zajęty sprawami lokalnymi, umacnianiem władzy książęcej w swej dzielnicy, obroną terytorium przed obcą agresją, nie budował — jak się zdaje — dalekosiężnych planów politycznych. Montując jednak przeciw Marchii i Zakonowi sojusze wielkopolsko-kujawskie i wielkopolsko-pomorskie przyczyniał się do wzrostu poczucia solidarności między ludnością tych ziem i kładł podwaliny pod ich późniejsze zjednoczenie.

Głową ugrupowania książąt popierających Węgry w ich walce z Ottokarem był Bolesław Wstydliwy. Nie sprawując formalnie władzy zwierzchniej nad całą Polską, mógł się uważać za uprawnionego do niej jako władca stołecznego Krakowa, zwłaszcza że po podziałach Śląska i spadku po Konradzie Mazowieckim dystansował pozostałych książąt rozległością swego władztwa terytorialnego. Z drugiej jednak strony właśnie w Małopolsce najdalej się posunął proces upadku realnej władzy książęcej i przejmowania rządów przez feudalne możnowładztwo, co sprawiało, że powaga księcia krakowskiego w kraju była mocno zachwiana.

Bolesławowi Wstydliwemu, o którym w historiografii utrwaliła się krzywdząca opinia jako o księciu nieudolnym, trzeba przyznać, że w niesprzyjających okolicznościach uczynił wiele, aby odbudować autorytet swego stanowiska. Wbrew popularnemu mniemaniu nie stał się wygodnym parawanem dla lokalnego możnowładztwa: choć Klemensowi z Ruszczy odwdzięczył się za tron przywilejem bez precedensu, przyznając mu w jego dobrach pełny immunitet skarbowy i sądowy (1252), ale już wcześniej ograniczył wszechwładną dotąd rolę wojewody krakowskiego,

a splendor samej tej godności umniejszył przez wysunięcie kasztelana krakowskiego jako pierwszego przed wojewodą urzędnika tej ziemi (1244). Lokacją Krakowa (1257) przyczynił się do stworzenia i rozwoju bogatego i silnego patrycjatu miejskiego, w którym książę mógł znajdować skuteczne oparcie w konfliktach z feudałami. We współpracy ze swoim biskupem Prandotą doprowadził do pomyślnego skutku zabiegi o kanonizację św. Stanisława (1254), wokół którego kultu rozwijała się ideologia przezwyciężenia rozdrobnienia feudalnego i wskrzeszenia monarchii. Jak — według hagiograficznej opowieści — zrosło się ciało męczennika poćwiartowane przez Bolesława Śmiałego, tak miało się też scalić za przyczyną świętego państwo polskie. Zjednoczenie polityczne kraju i odbudowę władzy naczelnej łączono z postulatem wskrzeszenia godności królewskiej, odjętej jakoby władcom Polski za karę za grzech Bolesława Śmiałego, godności, która po ekspiacji dynastii i uznaniu św. Stanisława za patrona kraju znów się należy Piastom — oczywiście Piastom krakowskim, bo Kraków był zarówno miastem świętego biskupa, jak miejscem przechowywania insygniów koronacyjnych.

Taka interpretacja kultu św. Stanisława, w połowie XIII w. jeszcze lokalnego, ale szybko popularyzującego się w całej Polsce, miała zabezpieczyć książętom krakowskim prawo do korony. Uroczystości kanonizacyjne w Krakowie w rok po koronacji Mendoga a kilka miesięcy przed koronacją Daniela miały utorować do niej drogę także Bolesławowi Wstydliwemu. Trudno wątpić, aby plan taki nie był obcy mężowi węgierskiej Kingi, związanemu blisko z krajem, gdzie tradycje korony sięgały początku XI w. Na to, że książę krakowski nie osiągnął celu za swego życia, wpływały liczne okoliczności. Brak więc

było w tym względzie jednolitego stanowiska polskiej hierarchii kościelnej, w szczególności arcybiskup gnieźnieński, koronator królów Polski, odczuwał krakowską inicjatywę jako zamach na prawa katedry Św. Wojciecha. Nie zdołał też Bolesław przeciwstawić się wzrostowi popularności Przemysła Ottokara II w Polsce: coraz większa część książąt i możnowładców orientowała się raczej na króla czeskiego niż na trzymającego się z uporem obozu przeciwnego księcia krakowskiego. Pod protekcję Ottokara udał się także Władysław opolski, który jeszcze w 1253 r. uczestniczył w wyprawie sojuszników Beli IV na Morawy, a już w trzy lata później zmienił orientację. On właśnie stał się kandydatem do tronu krakowskiego, wysuniętym przez bunt ulegających urokowi dworu praskiego panów małopolskich z następcą Prandoty, biskupem Pawłem z Przemankowa na czele (1273).

Małżonek Kingi pobił wprawdzie przeciwników, ale uległ ich perswazjom i sam przeszedł niebawem do obozu czeskiego. W konflikcie Ottokara z Rudolfem z Habsburga po stronie króla czeskiego stanęli prawie wszyscy książęta polscy, a oddziały ich stanowiły około trzeciej części jego wojsk w decydującej bitwie pod Suchymi Krutami (Dürnkrut) 15 sierpnia 1278 r. Klęska i śmierć ambitnego monarchy wyeliminowała Przemyślidów z rozgrywek o hegemonię w Niemczech, ale jego działalność pozostawiła trwałe ślady nie tylko w ojczyźnie. W Polsce wyraziły się one przetrwaniem orientacji czeskiej wśród książąt śląskich i części społeczeństwa innych dzielnic.

W historiografii współczesnej pojawiają się od czasu do czasu próby przedstawiania wojny Przemysła Ottokara z Rudolfem jako zmagań świata słowiańskiego z germańskim. Ich podstawą jest tekst tak zwanego manifestu Ottokara do książąt polskich, w któ-

rym król czeski przypomina pokrewieństwo języka i obyczaju, łączące Czechy z Polską, oraz uderza w akcenty antyniemieckie, siebie przedstawiając jako niezawodną tarczę przed „nienasyconymi pożądaniami Niemców": „Jesteśmy bowiem dla was i dla waszych ziem jak gdyby silną strażnicą, chroniącą wasze bezpieczeństwo, która jeżeli przypadkiem nie zdoła się oprzeć — czego oby Bóg nie dopuścił! — srożącej się gniewnie potędze, możecie zrozumieć, że wam i waszym poddanym zagroziłyby w takim razie wielkie niebezpieczeństwa, ponieważ zuchwałej żądzy posiadania nie zadowoliłoby podbicie tylko nas samych, lecz i wasze rozdrapałaby dobra, i na was by się srożyła nieznośnym uciskiem. O jakże okropnymi prześladowaniami uciśniony zostałby wówczas wasz liczny a Niemcom nienawistny naród! O jakże srogiej niewoli jarzma poddana zostałaby wolna Polska! O jekżeby ta klątwa roztrzaskała spoistość waszego narodu!... Dlatego pospieszajcie nam na pomoc...". Ten projekt listu, który się wylągł w kancelarii Ottokara nie jest jednak wyrazem rzeczywistych dążeń króla czeskiego, a tylko świadectwem giętkości dyplomatycznej jego dworu. Bo też był to dwór zaiste wspaniały, czerpiący z wzorów sycylijskiego dworu ostatnich Hohenstaufów. Gdy po przegranej elekcji najpotężniejszy członek Rzeszy składał hołd wybranemu królem rzymskim Rudolfowi, w pamięci świadków tej ceremonii utrwalił się jedynie olbrzymi kontrast między blaskiem bijącym od wasala a skromną postawą seniora. Ale od Fryderyka II zapożyczył Przemysł Ottokar II nie tylko zewnętrzne formy bycia, lecz i metody gry politycznej.

Jeśli rozważano w Pradze, czy nie najskuteczniej będzie pozyskać wahających się książąt polskich — a był wśród nich przecież Bolesław Pobożny! —

cytowaną wyżej argumentacją, dowodzi to, że polsko-niemiecki antagonizm narodowościowy osiągnął już takie natężenie, że opłacało się odwoływać do niego w manewrach politycznych. Podobne uczucia były jednak najzupełniej obce ostatnim Przemyślidom, a walka Ottokara z Rudolfem nie wynikała z ich przynależności do różnych wspólnot narodowościowych, ale z rywalizacji o prymat w tej samej wspólnocie: niemieckiej.

W szkole politycznej Przemysła Ottokara II wyrósł książę wrocławski Henryk IV Probus. Wychowany na dworze praskim, wykształcony, rozmiłowany w zachodnioeuropejskim obyczaju rycerskim i rycerskiej poezji, przyswoił sobie sposób myślenia swego opiekuna. Mieściło się w nim zarówno uznawanie nadrzędnego stanowiska suzerena Rzeszy, jak marzenie o własnej potędze utwierdzonej tytułem królewskim. Po śmierci króla czeskiego na polu bitwy Henryk uważał się za jego spadkobiercę i wystąpił z pretensjami do opieki nad małoletnim synem zmarłego, Wacławem II. Zwycięski Rudolf zadecydował jednak inaczej i opiekę nad Wacławem przyznał margrabiemu brandenburskiemu Ottonowi, Henrykowi IV dając na otarcie łez ziemię kłodzką. Książę śląski nie odczuł tej porażki zbyt głęboko i złożył hołd Habsburgowi (1280). Skoro nie uzyskał Pragi, starał się drugą Pragę uczynić z Wrocławia, gdzie jego dwór stał się skupiskiem artystów i uczonych oraz inspiratorem żywej twórczości historiograficznej. Uparcie przeprowadzał rewindykacje ziem utraconych przez poprzedników, wzorem swego nieżyjącego opiekuna uzależniał od siebie pozostałych książąt Śląska, który rozbił się już na dziesięć dzielnic, a zwłaszcza najznaczniejszego z nich Henryka głogowskiego.

Dążenia księcia wrocławskiego do wzmocnienia

władzy panującego w swej dzielnicy i do zwiększenia dochodów skarbu książęcego napotykały na opór biskupa wrocławskiego, Tomasza II (1270—1292), domagającego się dla Kościoła śląskiego pełnego immunitetu i zdążającego do przekształcenia kasztelanii nysko-otmuchowskiej, która stanowiła uposażenie biskupstwa, w osobne księstwo. Wywiązywał się na tym tle najostrzejszy bodaj i najbardziej przewlekły spór kościelno-polityczny w Polsce średniowiecznej. Biskup sięgnął po tradycyjną broń klątwy i interdyktu, poruszył cały polski episkopat, który w jego obronie zaniósł zbiorową skargę do papieża (1285), domagał się krucjaty przeciw Henrykowi i odebrania mu księstwa (1287). Środki te, stosowane przez Kościół bez umiaru w ciągu ostatnich dwóch stuleci, zdeprecjonowały się już jednak w opinii publicznej. Książę wrocławski w odpowiedzi na gromy ciskane przez biskupa wygnał go z Wrocławia, zajął grody biskupie Nysę i Otmuchów i zmusił Tomasza do szukania schronienia w Raciborzu. Nie tylko społeczeństwo świeckie — rycerstwo i mieszczaństwo — stanęło w tym sporze po stronie księcia, ale poparła go też spora część duchowieństwa, zwłaszcza zakonnego. Przewaga Henryka, który wyruszył z wojskiem na Racibórz, skłoniła biskupa pod koniec 1287 r. do poddania się księciu, który ze swej strony uwzględnił — jak się zdaje — niektóre postulaty episkopatu.

Przypuszcza się ogólnie, że kompromis, umożliwiony przede wszystkim ustępstwami biskupa Tomasza, doszedł do skutku dzięki zabiegom Jakuba Świnki, od 1283 r. arcybiskupa gnieźnieńskiego. Była to postać wybitna. Zająwszy wakujący od dwunastu lat tron arcybiskupi nie tylko odbudował w szybkim tempie autorytet metropolii, zagrożony w ostatnich dziesięcioleciach przez wzrastającą aktywność biskupstwa kra-

kowskiego, ale wsparł też z dużą energią kierunek polityczny postulujący przywrócenie w Polsce królestwa. Szerokie horyzonty myślowe i niewątpliwy patriotyzm łączył z obroną interesów kościelnych i partykularnych wielkopolskich. Widział jasno, że odnowienie królestwa rzuciłoby nowy blask na arcybiskupów gnieźnieńskich jako koronatorów z urzędu, a też i na sam prastary gród piastowski, od przeszło dwu wieków spychany do roli drugorzędnej przez stolicę Małopolski. W zjednoczonym królestwie upatrywał słusznie sojusznika w walce o utrzymanie stanu posiadania polskiej prowincji kościelnej, który stawał się coraz bardziej niepewny, gdyż za ekspansją polityczną Brandenburgii i Zakonu Krzyżackiego szła również ekspansja obcych ośrodków kościelnych. Jako Wielkopolanin był też germanofobem i z walki z niemczyzną uczynił jeden z naczelnych punktów swego programu, występując nie tylko przeciw agresji z zewnątrz, ale atakując też wytrwale żywioł obcojęzyczny osiadły w Polsce, w tym szczególnie kler niemiecki. Henryka Probusa nie cierpiał jako protektora Niemców i w pierwszych latach swych rządów kościelnych angażował się silnie po stronie biskupa Tomasza, kto wie, czy nie zachęcając go do zajmowania coraz to twardszego stanowiska w sporze z księciem. Niezależnie od posunięć biskupa wrocławskiego sam też rzucił klątwę na Henryka (1285). Rychło jednak docenił niebezpieczne konsekwencje tej gry. Oto w Kościele śląskim dokonał się rozłam, przy czym linia podziału między stronnikami księcia i stronnikami biskupa pokrywała się niemal z linią podziału narodowościowego: Niemcy szli za Henrykiem. Franciszkanie śląscy podjęli decyzję odłączenia się od polskiej prowincji zakonu i przyłączyli się do prowincji saskiej (1284). Cóż, że postępek ten potępił

synod duchowieństwa polskiego w Łęczycy (1285), cóż, że arcybiskup zwrócił się z protestem do papieża! Fakty dokonane liczyły się bardziej niż tytuły prawne i stawało się jasne, że przeciąganie sporu z księciem wrocławskim, który okazywał się stroną silniejszą, może doprowadzić nawet do oderwania się całego Śląska od polskiej prowincji kościelnej. Aspirowała do roli metropolii kościelnej biskupia Praga, ciesząca się pewnymi sympatiami wśród części duchowieństwa Polski południowej.

W chwili gdy dochodziło do porozumienia między Henrykiem Probusem a biskupem Tomaszem i stojącym za nim arcybiskupem, można się już było orientować, że w niedalekiej przyszłości książę wrocławski sięgnie również po tron krakowski i że w związku z tym nabiorą większych szans realizacji jego plany koronacyjne. Być może, że Jakub Świnka był skłonny je poprzeć, a w każdym razie nie chciał pozostawać w konflikcie z tym, który i bez jego poparcia może dopiąć celu. Z punktu widzenia zaś Henryka pozyskanie głowy polskiego Kościoła mogło stanowić jeden atut więcej w staraniach o koronę, podejmowanych już nie tylko u Rudolfa, ale i w Rzymie. Wystarczałoby to dla uzasadnienia kompromisu, choć konstrukcja to niepewna.

Tymczasem w Krakowie po śmierci Bolesława Wstydliwego (1279) zasiadł na tronie Leszek Czarny (1279—1288) jako najbliższy krewny zmarłego, wskazany jego wolą i uznany przez elekcję możnych małopolskich. Dotychczasowy książę łęczycko-sieradzki, wnuk Konrada Mazowieckiego, nie bacząc na ciągłe zagrożenie ze strony coraz częstszych napadów Jaćwingów, Litwinów i Tatarów, podjął energiczną walkę z możnowładztwem przeciwstawiając mu mieszczaństwo krakowskie. Kraków, a zapewne i Sandomierz,

otrzymały przywilej wzniesienia murów chroniących miasto (1286), co ocaliło je w r. 1287 przed Tatarami, ale też pomnożyło wielce ich znaczenie wewnętrznopolityczne. Możni z wojewodą sandomierskim Januszem i biskupem Pawłem z Przemankowa na czele podnosili dwukrotnie rokosz (1282, 1285) próbując zastąpić Leszka jego stryjecznym bratem Konradem czerskim, ale mieszczanie krakowscy nie dopuścili buntowników do grodu stołecznego, a reszty dokonały posiłki sprzymierzonych z Leszkiem Węgrów.

Stosunki Leszka Czarnego z Henrykiem Probusem były oziębłe, zarysowała się natomiast pewna współpraca między księciem krakowskim, a panującym niepodzielnie w Wielkopolsce po śmierci Bolesława Pobożnego Przemysłem II (1279—1296). Sprawy te nie są dotąd należycie zbadane, nie wytrzymało jednak krytyki przypuszczenie Oswalda Balzera, jakoby między tymi trzema książętami miało dojść do układów, przewidujących stopniowe zjednoczenie Małopolski, Śląska i Wielkopolski pod jednym berłem w wyniku ustalonego porządku dziedziczenia tych ziem.

Nie ma żadnego dowodu, by bezdzietny Leszek Czarny desygnował kogokolwiek na swego następcę na tronie krakowskim, tym zaś mniej, by miał testować na rzecz Henryka Probusa. Naturalnym następcą Leszka był jego brat przyrodni, najstarszy z pozostałych przy życiu synów Kazimierza kujawskiego, Władysław Łokietek książę Brześcia Kujawskiego. Objął on rzeczywiście bez przeszkód rządy w ziemi sieradzkiej, nie znalazł natomiast poparcia w Małopolsce. Tu możnowładztwo skłaniało się ku popieranym także przez Halicz książętom mazowieckim, wahając się między raz już przyzywanym Konradem czerskim a jego młodszym bratem Bolesławem II płockim. Po raz pierwszy jednak w dziejach dzielnicy małopolskiej

o obsadzeniu tronu miało zadecydować nie możnowładztwo feudalne, lecz mieszczaństwo krakowskie. Jego wola, wsparta przez część rycerstwa z kasztelanem Sułkiem na czele, wprowadziła na opróżniony tron Henryka Probusa (1288—1290).

Rządy Probusa w Krakowie pozostały krótkotrwałym epizodem. Nie były też całkowicie ustabilizowane. Konkurenci, zwłaszcza Władysław Łokietek, nie rezygnowali ze swych pretensji. Księciu brzeskiemu udało się nawet opanować chwilowo Kraków (wszakże bez zamku), a jego halicki sojusznik, Lew syn Daniela, złupił Śląsk po Nysę i Racibórz (1289). Poparcie mieszczaństwa krakowskiego przeważyło jednak ponownie szalę walk na rzecz Henryka. Wytrąciła go z gry politycznej dopiero przedwczesna śmierć, przez wielu jego stronników przypisywana truciźnie.

Śmierć Probusa oddaliła, być może, moment wskrzeszenia godności królewskiej w Polsce. Podobno tuż przed śmiercią czynił o to Henryk IV zabiegi u papieża, nie wiadomo co prawda, czy rokujące sukces. Wzniesienie w kilkanaście lat potem zmarłemu księciu w kościele Św. Krzyża we Wrocławiu nagrobka, na którym wyobrażono orła piastowskiego z koroną na głowie, jest świadectwem nie tak osobistych zasług i osiągnięć Henryka Probusa, jak faktu, że idea korony stawała się u schyłku XIII w. powszechna na ziemiach polskich. Zgon jednego z kandydatów do królewskiego tytułu nie zmniejszał jej popularności.

Epizod krakowskich rządów Probusa ma natomiast doniosłe znaczenie historyczne jako wynik nowego układu sił społecznych w Małopolsce. Przeciw potężnemu tam, jak w żadnej innej dzielnicy, możnowładztwu feudalnemu stanęło mieszczaństwo i ono — przy poparciu części rycerstwa — zadecydowało o obsadzie tronu. Nie było to zwycięstwo przypadkowe,

lecz precedens. Przez trzydzieści następnych lat nie uda się nikomu panować w Krakowie wbrew miastu. Podobna sytuacja wytworzyła się też we Wrocławiu.

Poparcie mieszczan krakowskich udzielone Henrykowi Probusowi w części tylko da się wytłumaczyć indywidualnością tego księcia. Rzecz pewna, że patrycjat krakowski mile patrzył na władcę kulturalnego, „nowoczesnego", doceniającego rolę miast i handlu w życiu społecznym, wyrosłego w szkole wielkiego Ottokara. Ale jeszcze większą rolę odegrała chęć zacieśnienia związków Krakowa i Wrocławia, dwóch największych i najbogatszych miast polskich, leżących przy tej samej drodze handlowej łączącej Wschód z Zachodem. Także na późniejsze — po śmierci Probusa — sympatie polityczne mieszczan krakowskich duży wpływ będzie wywierała orientacja Wrocławia.

Henryk Probus popierał rozwój miast i korzystał z ich poparcia, nie docenił jednak ich znaczenia politycznego. Jego testament, inspirowany zapewne przez koła klerykalne, wskazujący na następcę we Wrocławiu stryjecznego brata Henryka III księcia głogowskiego, w Krakowie zaś Przemysła II wielkopolskiego, ignorował całkowicie stanowisko obydwu miast nie tylko dlatego, że rozrywał znów jedność polityczną Małopolski i Śląska, ale też dlatego, że osoby desygnowanych książąt nie były tutejszemu mieszczaństwu miłe. Książę wielkopolski, uległy arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, cieszył się osławą wroga żywiołu i języka niemieckiego, a tym to przecież językiem posługiwali się w większości kupcy i rzemieślnicy Krakowa, ten to język był językiem ich praw, obrad i wyroków. Z podobnych względów Henryk głogowski nie był popularny we Wrocławiu. Mieszczanie zamknęli przed nim bramy, a przywołali księcia legnickiego Henryka V Grubego, syna Bolesława Rogatki.

Między obydwoma Henrykami wywiązała się walka zbrojna, która po kilku latach zakończyła się kompromisem. Henryk Gruby utrzymał się w samym Wrocławiu, ale większą część ziem należących dotąd do księstwa wrocławskiego ustąpił rywalowi, który stał się w ten sposób najpotężniejszym księciem śląskim i jednym z pretendentów do odegrania czołowej roli w Polsce.

Nie zrealizowano też testamentu Probusa w Małopolsce. Wprawdzie zaraz po śmierci Henryka IV zjawił się w Krakowie Przemysł II, ale w Sandomierskiem siedział Łokietek czyhając na odpowiedni moment, by zająć stolicę Małopolski, niebawem zaś wystąpił potężniejszy od obu konkurent do tronu krakowskiego — król czeski Wacław II.

Syn Przemysła Ottokara II, odkąd tylko doszedł do pełnoletności, aspirował do odegrania roli politycznej w Polsce. Z pretensjami do Krakowa wystąpił już po śmierci Leszka Czarnego, legitymując je zapisem wdowy po zmarłym księciu, a swojej ciotki, Gryfiny. Tytuł prawny był niepoważny, służył Wacławowi do szantażu wobec Henryka Probusa, którego zapraszał właśnie na tron czeski zbuntowany przeciw młodemu królowi, wszechwładny do niedawna faworyt jego matki, Zawisza z Falkensteinu. Henryk jednak zdobył władzę nad Krakowem nie bez trudu, a wmieszanie się Wacława do rywalizacji książąt piastowskich mogło pozbawić księcia wrocławskiego poparcia ze strony mieszczan. Wolał więc Probus dojść do bezpośredniego porozumienia z królem czeskim zawierając z nim układ przyjaźni i przyobiecując podobno spadek po sobie.

Testament Henryka IV przeznaczał Wacławowi jedynie ziemię kłodzką, czym król czeski nie zamierzał się zaspokoić, gdy przezwyciężył już trudności wew-

nętrzne we własnym kraju. Uzyskawszy od Rudolfa Habsburga nadanie lenn pozostałych po Probusie i zabezpieczywszy się w ten sposób przed ewentualną dywersją ze strony Niemiec, sięgnął po Kraków w momencie, gdy po powrocie Przemysła II do Wielkopolski bliski jego opanowania był Łokietek. Wacław znalazł poparcie nie tylko krakowskich mieszczan, ale i części możnowładztwa, którego obawy uspokoił przywilejem wydanym w Lutomyślu (1291). Za Wacławem opowiedziało się też wielu książąt: Kazimierz bytomski uznał się jego lennikiem jeszcze w 1289 r., to samo uczynili w 1291 r. książęta cieszyński, opolski i raciborski; obiecali go wspierać także synowie Bolesława Rogatki, tak więc spośród książąt śląskich jedynie Henryk głogowski zachował pozycję niezależną. Swych praw do Krakowa zrzekł się też na rzecz króla czeskiego Przemysł II, który obiecał przy tym wspomagać czynnie Wacława w walce z Łokietkiem.

Nietrudno dostrzec, że czynnikiem cementującym różne grupy społeczeństwa, które opowiedziały się po stronie Wacława II, był strach przed Łokietkiem. Na ogół nie zdajemy sobie dziś dostatecznie sprawy z tego, że książę ten reprezentował w owych latach najbardziej zanarchizowane żywioły społeczeństwa feudalnego. Późniejszy przebieg wypadków, który pozwolił księciu brzesko-kujawskiemu stać się symbolem zjednoczonej Polski, sprawił, że poszły w niepamięć początki jego działalności. Przy Łokietku skupiało się wtedy przede wszystkim zdeklasowane rycerstwo szukające możliwości łatwego rabunku. Łokietek niósł krajowi bezustanną wojnę, łupieskie najazdy, gwałty i rekwizycje, których nie rekompensowała żadna myśl polityczna. Natomiast Wacław II był władcą, pod którego rządami Czechy wkraczały w okres rozkwitu zarówno dzięki opanowaniu wszelkiej anarchii i bu-

dowaniu przy pomocy legistów scentralizowanego państwa, jak dzięki rozsądnej polityce ekonomicznej króla służącej rozwojowi gospodarki towarowej. Przeważająca już w społeczeństwie tęsknota do takichże stosunków w Polsce sprawiła, że Władysław Łokietek został w 1292 r. osamotniony. Bez walki ustąpił z ziemi sandomierskiej do swego Sieradza, lecz i tu pobity zrzekł się wszelkich pretensji do Małopolski, a dziedziczną dzielnicę (Sieradz i Kujawy brzeskie) przyjął od Wacława jako lenno.

Wacław II po opanowaniu Krakowa podjął zabiegi o koronę polską wysyłając do papieża swego kapelana Aleksego. Bez niej zresztą jego stanowisko nadrzędne było i tak uznawane przez większość książąt polskich. Do tych, którzy nie czuli się podlegli nowemu władcy Krakowa należał Henryk głogowski oraz Przemysł II wielkopolski, ale Wacław nie wywierał na nich nacisku, stawiając sobie za cel utwierdzenie swego panowania w Polsce drogą możliwie pokojową i licząc na to, że zamierzona koronacja przyciągnie do niego najbardziej opornych.

Plany pokrzyżował mu książę wielkopolski, którego w dniu 26 czerwca 1295 r. koronował w katedrze gnieźnieńskiej arcybiskup Jakub Świnka w asyście kilku innych biskupów. Nie wiemy wciąż, jak do tego doszło. Przypuszczać można, że inicjatywa tego kroku należała do arcybiskupa, obsesyjnie niechętnego językowi niemieckiemu, tak często dającemu się słyszeć na dworze czeskich Przemyślidów. W każdym razie Przemysł II już niedługo po porozumieniu z Wacławem II zaczął znosić się z jego przeciwnikami: Władysławem Łokietkiem i jego młodszym bratem Kazimierzem II kujawskim, a także z następcą Pawła z Przemankowa, biskupem krakowskim Prokopem. Wielkim sukcesem Przemysła II stało się zjednocze-

nie w swym ręku władzy nad Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim, które na mocy układu zawartego jeszcze w 1282 r. w Krzywinie odziedziczył po śmierci ostatniego księcia wschodniopomorskiego Mszczuja II (1294). Polsce południowej, uległej Wacławowi II, mógł przeciwstawić książę wielkopolski nie mniej znaczny kompleks ziem północnych, a z pomocą hierarchii kościelnej wystąpić przy tym nie jako przeciwnik dążeń zjednoczeniowych, lecz jako reprezentant innej niż obóz proczeski ich koncepcji. Istotnym jej składnikiem było ostrze antyniemieckie, w szczególności antybrandenburskie.

W literaturze przedmiotu znany jest spór między Oswaldem Balzerem a Stanisławem Kętrzyńskim o to, czy królestwo Przemysła II miało charakter ogólnopolski, czy też partykularny wielkopolski. Wydaje się, że nie było to całkiem jasne również dla współczesnych. W średniowieczu tytuł królewski bywał przede wszystkim wyróżnieniem osobistym monarchy, a jego treść terytorialna tworzyła się dopiero stopniowo. Przemysł II panował w Wielkopolsce i na Pomorzu, koronacja nie poszerzała mu państwa. Stanowiła jednak dogodny punkt wyjścia do starań o skupienie książąt i społeczeństwa innych dzielnic wokół własnej osoby, dodawała autorytetu, czyniła Przemysła równorzędnym partnerem Wacława.

Na razie sukcesami Przemysła II zaniepokoili się najbardziej Brandenburczycy, którym zjednoczenie Pomorza z Wielkopolską zamykało drogi ekspansji na wschód. Z ich też poduszczenia nowo kreowany król zaledwie w kilka miesięcy po koronacji padł w Rogoźnie ofiarą mordu (1296).

Na podstawie dawniejszego układu — nie wiadomo zresztą dokładnie, kiedy zawartego — spadek po bezdzietnym Przemyśle miał przypaść Henrykowi gło-

gowskiemu. Taki projekt sukcesji łączył się zapewne z sojuszami już przebrzmiałymi i dlatego rycerstwo i duchowieństwo wielkopolskie i pomorskie ofiarowało tron Władysławowi Łokietkowi. Przyzywano księcia, który był tradycyjnym i najbardziej upartym przeciwnikiem króla czeskiego, a który — jako Kujawianin — miał również zrozumienie dla antyniemieckiego programu rozwijanego przez Gniezno. Z niedojrzałości politycznej awanturniczego książątka zdawano sobie niewątpliwie sprawę w wielkopolskich kołach kierowniczych, sądzono jednak, że tym łatwiej będzie nim powodować, podobnie jak to czyniono z Przemysłem II, także pozbawionym walorów męża stanu, a jednak realizującym pomyślnie zasugerowane mu koncepcje. Toteż Łokietek znalazł zarówno w Wielkopolsce, jak na Pomorzu całkowite poparcie, a Henryk głogowski musiał się zadowolić niewielkim odszkodowaniem terytorialnym i obietnicą, że jego synowie będą mieli pierwszeństwo do spadku po Łokietku na wypadek jego bezdzietności.

W dwa lata później sytuacja zmieniła się radykalnie. Ubogi książę i jego otoczenie traktowali Wielkopolskę niemal jak terytorium okupowane łupiąc, jak niegdyś osławiony Bolesław Rogatka, własnych poddanych. Burzyły się miasta i choć nie tak potężne, jak na Śląsku czy w Małopolsce, przecież związane w konfederację zdołały wymusić na Łokietku przyznanie Poznaniowi, Gnieznu, Pyzdrom i Kaliszowi prawa do samoobrony i do karania łotrostw (1298). Dostojnicy kościelni, sam Jakub Świnka wraz z biskupem poznańskim Andrzejem i kujawskim Wisławem, weszli w porozumienie z Henrykiem głogowskim obiecując mu w tajnym układzie w Kościanie pomoc w opanowaniu Wielkopolski i Pomorza oraz koronację na króla. Gdy zaś okazało się, że Głogow-

czyk waha się przed podjęciem nowej wojny z Łokietkiem i że jedyną realną alternatywą rządów księcia brzeskiego mogą być rządy Wacława, zdecydowano się na te ostatnie. W 1300 r. król czeski za ogólnym poparciem opanował Wielkopolskę, Pomorze, Kujawy brzeskie i Sieradz, a Łokietek udał się na wygnanie.

Ahistoryczne byłoby doszukiwanie się czyjejkolwiek zdrady w tych wydarzeniach. Łokietek zawiódł całkowicie pokładane w nim nadzieje, nie umiał stać się postacią sztandarową obozu łączącego dążenia do odbudowy jednolitej monarchii z nieufnością do ulegających niemieckim wpływom kulturalnym Przemyślidów czeskich i Piastów śląskich. Sam skapitulował wobec Wacława II, zrzekając się najpierw swych roszczeń do Małopolski za odszkodowanie pieniężne (1297), a następnie uznając się lennikiem Wacława II także z Wielkopolski i Pomorza (1299). Król czeski natomiast umiał zręcznie rozpraszać istniejące zastrzeżenia w stosunku do swej osoby, budząc nadzieje, że połączone pod jednym monarchą dwa słowiańskie narody staną się dla niemczyzny zaporą nie do pokonania. Odwoływanie się do pokrewieństwa językowego należało do arsenału środków, którymi umiała się już posługiwać dyplomacja Przemysła Ottokara II; po tę samą broń propagandową sięgał obecnie jego syn świadom walorów takiej argumentacji dla ludzi pokroju arcybiskupa Świnki. Jeśli do tego dodać, że porównanie stosunków panujących w Małopolsce pod rządami Wacława i w Wielkopolsce pod panowaniem Łokietka przemawiało w sposób oczywisty za królem czeskim, nie można się dziwić, że początkowa nieufność do niego ustępowała wzrastającej sympatii.

Kierownicy polityki wielkopolskiej przywiązywali też wielką wagę do precedensu, jaki stworzyła koro-

nacja gnieźnieńska Przemysła II i pragnęli akt ten czym prędzej powtórzyć, by nie zaprzepaścić swego osiągnięcia. Koronacja Łokietka napotykała jednak opory tak wewnętrzne, jak zapewne i zewnętrzne, a poza tym przedstawiała ryzyko, że mało odpowiedzialny książę skompromituje nie mającą jeszcze tradycji koronę. Wacław II był za to mężem o dużym autorytecie, sam rozumiał wymowę koronacji i zabiegał o nią od chwili śmierci Henryka Probusa, uzyskał już też zapewne zgodę papieża. Zaręczyny z córką Przemysła II — Ryksą — pozorowały legitymistyczny charakter jego panowania w Wielkopolsce i następstwa po zamordowanym królu przynajmniej wobec czynników zewnętrznych, skoro prawo polskie nie uznawało dziedziczenia przez kobiety.

Zaraz też po zajęciu Wielkopolski przez Wacława nastąpiła jego koronacja w Gnieźnie, a wnet potem złożyli mu hołd książęta kujawscy, bratankowie Łokietka. W jednoczeniu Polski dokonywał się etap następny; królestwo Wacława nie było już wyróżnieniem osobistym, zostało powszechnie uznane za władzę najwyższą w całym kraju i spośród mających jakieś znaczenie książąt piastowskich jedynie Henryk głogowski kwestionował jego legalność aż do 1303 r. Sukcesy króla, który właśnie wtedy objął opiekę nad nieletnimi synami Henryka Grubego (zm. 1296), a wraz z tym rządy w księstwie wrocławsko-legnickim, skłoniły także Głogowczyka do rezygnacji z wysuwanych pretensji do następstwa po Przemyśle II.

Pejoratywne oceny rządów Wacława II w Polsce, jakimi szafuje nasza historiografia, domagają się rewizji. Zarzut, jakoby król czeski zmierzał do germanizacji kraju, zrozumiały jako inwektywa przeciwnego mu stronnictwa, brzmi zgoła niepoważnie w ustach nowożytnego historyka, obowiązanego do

krytycznego stosunku wobec stronniczych źródeł. Przemyślidzi prowadzili oczywiście politykę dynastyczną, podobnie jak niemal wszyscy współcześni im monarchowie. Ani jednak w Czechach, ani w Polsce nie posiadali władzy absolutnej i swe osobiste czy familijne interesy mogli realizować w tym stopniu, w jakim można je było pogodzić z dążeniami popierających ich ugrupowań. W Polsce ok. 1300 r. Wacław II miał bardzo poważne poparcie we wszystkich warstwach społeczeństwa, czego dowodzi fakt, że opanował kraj bez większego trudu i nie siłą obcego oręża, ale zapraszany przez czynniki miejscowe. Wśród tych czynników był też patrycjat Krakowa i Wrocławia, a to raziło niejednego z feudałów, nie przywykłych jeszcze do tego, by żywioł miejski występował jako równorzędny partner polityczny. Wielkopolski nie zyskał jednak Wacław II dzięki pomocy mówiącego po niemiecku mieszczaństwa, lecz dzięki temu, że okazywał się jedynym kandydatem na monarchę, chcącym i umiejącym realizować program odbudowy królestwa polskiego.

1300 - 1454

OD KRÓLA „NIEMCÓW" DO KRÓLÓW „CHŁOPKÓW"

Przezwyciężanie anarchii feudalnej wiodło w całej Europie do budowania państw scentralizowanych w formie zwanej najczęściej monarchią stanową. Powstawały one bowiem jako rezultat sojuszu władzy królewskiej z kształtującymi się w społeczeństwie stanami. Przesłanką tego sojuszu było ogólne dążenie do ukrócenia samowoli feudalnego możnowładztwa i walka z jednostkowymi przywilejami, uniemożliwiającymi w praktyce przestrzeganie praworządności.

Mówi się często, że stanowa struktura społeczeństwa jest charakterystyczna dla feudalizmu. Jednakże stany w tym znaczeniu, jak rozumie ten termin współczesna nauka, czyli jako grupy społeczne wyodrębnione od reszty społeczeństwa swym stanowiskiem prawnym, uformowały się ostatecznie dopiero w państwie scentralizowanym, na gruzach klasycznych struktur feudalnych. Te bowiem — jeśli chodzi o ich postać prawną — wyrosły z kontraktów między osobami i z przyznawanych także poszczególnym osobom wyłączeń spod ogólnego prawa. Prawo ogólne czy choćby grupowe stawało się fikcją; coraz mniej znaleźć można było jednostek, które by podlegały wszystkim jego normom. Paraliżowało to z kolei wszelki

instytucjonalny wymiar sprawiedliwości i w konsekwencji prowadziło do panowania bezprawia.

Pojęcie stanu (*ordo*), znane starożytnemu Rzymowi, nie zaginęło jednak w średniowieczu. Pielęgnował je zwłaszcza Kościół, który wprowadził je do prawa kanonicznego, odróżniając świeckich od duchownych, a wśród tych ostatnich wyodrębniając stan zakonny. W piśmiennictwie średniowiecznym nie zaprzestano też nigdy operować pojęciem stanu, rozumiano jednak przezeń grupę o określonym sposobie życia, pełniącą specjalną funkcję w społeczeństwie. Odróżniano mianowicie tych, których przeznaczeniem jest modlić się, od tych, którzy wojują i tych, którzy pracują. W naszym współczesnym rozumieniu specyfikowano w ten sposób klasy i warstwy, nie zaś stany, skoro nie było jeszcze mowy o jednym wspólnym prawie dla wszystkich członków każdej z tych grup.

Wystarczało już jednak rozpowszechnianie się subiektywnego przekonania o przynależności do określonego „stanu", by równocześnie rodziła się wśród mniej uprzywilejowanych jego członków tendencja do unifikacji prawnej w jego obrębie, rozumianej jako rozciągnięcie na ogół statusu najbardziej uprzywilejowanych jednostek. Ubogi kleryk marzył o uzyskaniu tych praw, co możny książę Kościoła, szeregowy rycerz nie uważał się za gorszego od tych, co stali bliżej szczytu hierarchii lennej, najbardziej upośledzone grupy ludności uprawiającej rolę dążyły do zrównania się z sąsiadami mającymi lepsze prawo do ziemi lub obarczonymi mniejszymi ciężarami.

Na rzecz realizacji tych dążeń działali prawnicy. Każdą próbą kodyfikacji prawa tworzyli w praktyce wizję społeczeństwa stanowego. Czynili tak nawet wtedy, jeśli nie służyli świadomie określonej tendencji i zamierzali zarejestrować stosunki faktycznie

istniejące, bowiem ich rozmaitości nie sposób było oddać. Urzędowy czy nieurzędowy zwód prawa zwyczajowego zawsze te stosunki upraszczał, pomijając przypadki indywidualnych odchyleń od statystycznej normy, a przez to tworząc odbiegający od rzeczywistości system norm obowiązujących każdego wasala, każdego rycerza, każdego „pracowitego". Najczęściej zresztą taki właśnie efekt był zgodny z intencją kodyfikatorów.

Pierwsze osiągnęło cel duchowieństwo. Odrębnym stanem było przecież w świetle prawa kanonicznego, a wzrastający w potęgę Kościół średniowieczny potrafił narzucić państwu swój punkt widzenia. W Polsce walkę o to podjął w początkach XIII w. arcybiskup gnieźnieński Henryk Kietlicz i w zasadzie ją wygrał, choć przeciw sobie miał, jak się zdaje, większość kleru, niechętnego wprowadzanym reformom gregoriańskim, w szczególności zaś zasadzie celibatu. Ta wewnętrzna opozycja w Kościele polskim skapitulowała dopiero po IV Soborze Lateraneńskim (1215). Już wcześniej, bo w 1206 r., wysunął Kietlicz postulat objęcia całego kleru immunitetem zapewniającym wolność podatkową i własne sądownictwo (*privilegium fori*). Oparł się temu stanowczo Władysław Laskonogi i nie przejmując się zbytnio zastosowanymi przez arcybiskupa karami kościelnymi wygnał go z Gniezna. Poparł za to Kietlicza rywalizujący z Laskonogim Leszek Biały i wraz z Konradem Mazowieckim i Władysławem Odonicem przyznał Kościołowi i duchowieństwu żądane przywileje na zjeździe w Borzykowej (1210), co następnie zostało potwierdzone i rozszerzone na dzielnicę raciborską po śmierci Mieszka Plątonogiego na zjeździe w Wolborzu (1215). Henryk Brodaty był ostatnim księciem piastowskim, który nie uznawał *privilegium fori* kleru i pozywał

duchowynych przed sąd książęcy. W połowie XIII w. nikt już odrębności stanowej duchowieństwa nie kwestionował.

Chronologicznie drugim wyodrębniającym się w Polsce stanem stawało się mieszczaństwo. Mianem tym obejmujemy ludność miast lokowanych na prawie niemieckim. Przywilej lokacyjny obdarzał bowiem miasto immunitetem sądowym, wyłączając je spod działania ogólnego „polskiego" czy „książęcego" prawa i pozwalał na stosowanie przez jego ludność obranego przez nią prawa miejskiego, najczęściej magdeburskiego. Proces lokacji miast zapoczątkowany na Śląsku w pierwszych dziesięcioleciach XIII wieku (Złotoryja przed 1211, Lwówek — 1217) przybrał na sile w połowie stulecia, kiedy to prawo magdeburskie otrzymały miasta przy stołecznych grodach najważniejszych dzielnic: Wrocław (1242), Poznań (1253), Kraków (1257).

Choć jednak miasta te posługiwały się tymi samymi źródłami zasad prawnych, mianowicie spisem zwyczajowego prawa saskiego zwanym *Zwierciadłem saskim* oraz magdeburskim *Ius municipale*, a korzystały też ze specjalnych pouczeń władz miejskich Magdeburga, to o całkowitej tożsamości panującego w nich systemu prawnego mówić nie można. W poszczególnych miastach utrwalały się różne zwyczaje prawne, nie było jednolitej praktyki w kwestii np. powoływania ławników, niejednakowy był stopień rozwoju samorządu miejskiego. Genezy tego ostatniego zjawiska dopatrywać się trzeba nie tyle w stosunkach miejscowych, co w fakcie postępującego rozwoju miasta-wzorca, jakim był dla większości miast polskich Magdeburg. Stąd miasta później lokowane recypowały samorząd bardziej rozwinięty, podczas gdy miasta starsze pozostawały przez dłuższy nieraz czas

przy zwyczajach dawniejszych. Tak więc spośród trzech największych miast polskich najpóźniej lokowany Kraków przejął już z Magdeburga instytucję rady miejskiej, której dopiero później dobił się Wrocław (1261) i Poznań (1280).

Różnicował miasta także fakt niejednakowego ich uprzywilejowania gospodarczego wyrażającego się w różnych przepisach dotyczących ceł, przymusu drogowego, prawa składu. Wprawdzie nie miały one wpływu na wyodrębnienie stanowe mieszczaństwa, ale osłabiały jego stanową solidarność, nad którą górowała czasem rywalizacja ekonomiczna. Takie jednak fakty, jak współpraca Wrocławia i Krakowa, czy wzmiankowana w poprzednim rozdziale konfederacja miast wielkopolskich, zawiązania dla obrony przed gwałtami Łokietkowego rycerstwa, świadczą, że już w XIII w. krystalizowała się także mieszczańska polityka stanowa.

Poza stanem mieszczańskim pozostawali mieszkańcy osiedli o charakterze miejskim, którym nie przyznano prawa niemieckiego, także mieszkańcy przedmieść lub dzielnic miasta lokowanego, wyłączeni spod działania tego prawa. Z nich Żydzi tworzyli właściwie osobny stan. Przywileje książąt — począwszy od wydanego w r. 1264 przywileju księcia wielkopolskiego Bolesława Pobożnego — pozwalały im rządzić się własnym prawem w osobnych gminach.

Prawo magdeburskie zastosowane do wsi stwarzało podstawy wyodrębniania się osobnego stanu również spośród ludności rolniczej. Podobnie jednak jak między miastami, istniały też i między poszczególnymi wsiami lokowanymi na prawie niemieckim poważne nieraz różnice prawne. Poza tym prawo niemieckie szerzyło się w kraju nierównomiernie. Jedynie

na Śląsku stwierdzamy poważniejsze nasilenie lokacji wsi przed końcem XIII w. W Małopolsce i Wielkopolsce proces ten przesuwa się wyraźnie na w. XIV, a na Mazowszu jeszcze później. We wszystkich dzielnicach znaczna część wsi pozostała przy prawie polskim. W literaturze zwykło się wprawdzie akcentować, że różnice w położeniu ludności w obu typach wsi zacierały się, że jej powinności upodobniały się i system czynszowy stawał się powszechny. Czy wystarcza to, by formującą się klasę chłopską uważać w średniowieczu za jednolity stan, pozostaje przedmiotem dyskusji. Stan kmiecy był bardziej chyba postulatem niż rzeczywistością. Samą już jednak tendencję do jego uformowania trzeba uznać za ważki czynnik w ówczesnych fermentach społecznych.

Najbardziej skomplikowanie przebiegały procesy organizowania się w stan panującej klasy społeczeństwa feudalnego. Wyodrębnili się z niej najwcześniej wielmoże, przedstawiciele najwyższych szczebli drabiny feudalnej, którzy zmonopolizowali w swych rękach prawo do urzędów, w ślad za duchowieństwem dobili się w ciągu XIII w. immunitetu dla dzierżonych dóbr i byli wyróżniani zaszczytną tytulaturą (*nobiles, domini, comites, barones*). Niektórzy z nich już wtedy uzyskali, inni dopiero ubiegali się o wyłączenie swych dostojnych osób spod sądownictwa kasztelanów i poddanie ich wyłącznemu sądownictwu samego księcia (*ins non responsivum*).

Wielmożów tych odróżniano zawsze od drobniejszych feudałów, a zwłaszcza od włodyków, którzy pełnili służbę rycerską, ale i sami gospodarowali, dysponując co najwyżej nieliczną czeladzią, nie mając zaś chłopów poddanych. Te warstwy klasy feudałów, znajdujące się na niższych szczeblach drabiny, korzystały tylko z tych przywilejów, jakie wiązały się

z faktem pełnienia służby rycerskiej. Było to przede wszystkim prawo do wyższej główszczyzny i nawiązki oraz do wolności podatkowej, ograniczonej wszelako do ziemi „oranej własnymi wołami", a więc uprawianej w ramach własnego gospodarstwa, nie zaś użytkowanej przez chłopów. Odmiennie niż ludność nierycerska mieli rycerze przywilej opłacania dziesięciny tak zwanej swobodnej, to znaczy na rzecz dowolnie przez siebie wybranego kościoła.

Zróżnicowanie klasy feudałów świeckich wiodło więc do wytworzenia się w jej łonie dwóch odrębnych stanów, jak się to działo także w wielu krajach zachodnioeuropejskich.

Taka tendencja rozwojowa pozostawała jednak w sprzeczności z utrwalonym już w świadomości ludzi średniowiecza podziałem społeczeństwa na trzy stany, uzasadnionym przez trzy różne obowiązki. służby bożej, obrony kraju i pracy. Na wyodrębnione możnowładztwo nie było w tym modelu miejsca. Z pewnym opóźnieniem docierała przecież do Polski ideologia instytucji rycerstwa, w której godność rycerza nabierała znamion sakralnych. Jak jednym prawem rządził się stan duchowny mimo niewątpliwego zróżnicowania wewnętrznego, tak i na całe rycerstwo — sądzili mniej możni jego przedstawiciele — powinny być rozciągnięte przywileje baronów.

W jednych dzielnicach postulat taki wyglądał bardziej realnie, w innych mniej. W Małopolsce zwłaszcza dystans między wielmożami a ogółem rycerstwa był przeogromny. W życiu politycznym rycerstwo jeszcze w końcu XIII w. nie potrafiło wystąpić jako samodzielna siła. Obejmując tu rządy Wacław II pertraktował z duchowieństwem, możnymi i miastami, jak o tym wyraźnie mówi przywilej lutomyski z 1291 r. W pozostałych księstwach było inaczej, nie

mówiąc już o Mazowszu, gdzie w ogóle stanowej organizacji społeczeństwa jeszcze nie obserwujemy. Toteż jednoczenie kraju zmniejszało przewagę możnowładztwa małopolskiego, ułatwiało rycerstwu jako całości walkę o zrównanie prawne z baronami.

Roli tej nie spełniało jednak jakiekolwiek jednoczenie. Nie spełniało jej w szczególności mechaniczne łączenie dzielnic, wynikające z przypadku nie ze świadomego programu unifikacyjnego, prowadzące do unii personalnej kilku księstw, z których każde zachować by miało lokalne stosunki, prawa i sposób sprawowania władzy. Monarchia, jakiej potrzebowano, nie miała być podporządkowaniem drabiny feudalnej różnych prowincji wspólnemu suzerenowi. Miała te drabiny obalić; miała być monarchią stanową.

Monarchia stanowa jest odmianą monarchii feudalnej i zarazem nią nie jest. Prawda, że zachowuje i umacnia podstawę feudalizmu — poddaństwo. Czyni to jednak inaczej niż klasyczne państwo feudalne, którego pod wieloma względami jest przeciwstawieniem. Ideologia monarchii stanowej przeciwstawia się średniowiecznemu uniwersalizmowi politycznemu, obojętne czy w cesarskim, czy w papieskim jego wydaniu, głosząc koncepcję suwerennego państwa. Wypowiada walkę przywilejom jednostek, podporządkowując każdego prawom jego stanu. Przekreśla hierarchię lenną i związaną z jej istnieniem mediatyzację ludności zbliżając władzę królewską do społeczeństwa. Porzuca patrymonialną koncepcję monarchii zastępując ją pojęciem państwa jako wspólnego dobra. W społeczeństwie stanowym także chłop ma mieć swoje określone prawem miejsce, własny samorząd i dostęp do króla jako arbitra konfliktów międzystanowych.

Narodziny tej ideologii i jej mniej lub więcej udol-

na realizacja stanowią istotną cezurę w dziejach społeczeństwa średniowiecznego. Zacieranie jej przez przesadne akcentowanie istnienia — tak przed nią, jak i po niej — feudalnych form wyzysku prowadzi do jakże fałszywego wyobrażenia o trwającym przez wieki bezwładzie społecznym, prowadzi do zupełnego niezrozumienia mechanizmu dziejów, a w końcu do ich całkowitego zagubienia. Czymże bowiem, jak nie gubieniem historii jest załatwianie jednym schematem przemian trwających od wczesnośredniowiecznych początków państw po połowę XIX w.?

Ideologia monarchii stanowej zrodziła się w rezultacie tych przemian gospodarczo-społecznych i społeczno-politycznych, które doprowadziły do powstania stanów. Jej krystalizowanie się przyspieszyła recepcja pojęć prawa rzymskiego, nad którym — w jego wersji justyniańskiej — począwszy od przełomu XI i XII w. ożywiały się studia w ośrodkach uczonych Europy zachodniej.

Zainteresowanie prawem rzymskim przejawiało początkowo najsilniej cesarstwo, które oczekiwało od niego wsparcia dążeń uniwersalistycznych. Z jego wzorów korzystał także — zwłaszcza w XIII w. — uniwersalizm papieski. Później posłużyło najbardziej królestwom, które w nim samym i w komentatorskich pracach odnalazły uzasadnienie z jednej strony suwerenności politycznej monarchii, z drugiej zaś — pierwszeństwa obowiązku wierności państwu reprezentowanemu przez króla nad innymi zobowiązaniami, w tym także lennymi.

Z prawa rzymskiego płynęła także zasada równości wobec prawa ludzi tego samego stanu, co łącznie z poprzednią podkopywało znaczenie hierarchii lennej, tym bardziej że w miejsce feudalnych pojęć

o prawach do ziemi i ich podziale prawo antyczne niosło jednoznaczne pojęcie własności. Rozróżnianie zaś prawa publicznego od prywatnego i rozumienie pojęcia państwa jako dobra publicznego — *res publica* — niezależnie od panującej w nim formy rządów burzyło zarówno wczesnofeudalne, karolińskie koncepcje monarchii patrymonialnej, jak i struktury lenne.

Z tych podstaw wywodzi się nowe w średniowiecznej teorii państwa pojęcie *Corona Regni* — Korony Królestwa, jako symbolu państwa i jego praw, istniejących niezależnie od osoby króla i jego własnych praw i zobowiązań. Pojęcie to, powstałe już w połowie XII w. w Anglii, w następnym stuleciu zostało recypowane we Francji, a spośród naszych sąsiadów znali je Węgrzy. W krajach słowiańskich, w tym także w Polsce, posługiwano się nim dowodnie dopiero w XIV w., co jednak nie oznacza, by jego przesłanki nie narastały już w okresie poprzedzającym restytucję zjednoczonego królestwa.

Oczywiście, doktryna polityczna monarchii stanowej wyrosła z prawa rzymskiego niejako pośrednio. Bezpośrednia recepcja prawa justyniańskiego uzasadniałaby przede wszystkim uniwersalną władzę cesarza i z tego przecież względu była lansowana głównie przez koła gibelińskie. Jak to świeżo uprzytomniły studia Jana Baszkiewicza, dążenie królestw do niezależności od cesarstwa łączyło się w XII i początkach XIII w. z ich negatywnym stosunkiem do poddania się prawu rzymskiemu. Nie było to jednak odrzucanie go bezwzględne; sprzeciwiano się głównie tezie, jakoby obowiązywanie prawa rzymskiego miało walor uniwersalny i było prostą konsekwencją takiegoż charakteru władzy cesarskiej. Pożytki płynące z precyzyjnych ustaleń prawników justyniańskich

sprawiały jednak, że nie wahano się ich stosować w pewnym zakresie np. we Francji, tyle że odrzucając uniwersalistyczną doktrynę. Posługiwanie się prawem rzymskim tłumaczono wówczas swobodną decyzją suwerennego monarchy, a nie obowiązkiem wynikłym z podległości cesarstwu.

Wpływu prawa rzymskiego na kształtowanie się modelu monarchii stanowej nie należy przecież łączyć z prostą jego recepcją. Przykłady takie nie są zbyt liczne. Rzecz główna w tym, że świadomość prawników coraz liczniej kształconych w Bolonii i Orleanie, wielkich ośrodków studiów nad Kodeksem Justyniana, nasiąkała pojęciami właściwymi prawu rzymskiemu. W jego duchu interpretowali oni prawo zwyczajowe, „romanizowali" instytucje feudalne, propagowali idee jakże odpowiadające dążeniom królów i stanów!

Dyskusja nad znajomością prawa rzymskiego w Polsce średniowiecznej, acz daleka od zakończenia, przywiodła w każdym razie do odrzucenia poglądu o jego recepcji w szerszym zakresie. Nie znaczy to, by rację mieli sceptycy zapatrzeni w stosunkowo niewielkie liczby Polaków na studiach w Bolonii i na tej podstawie negujący oddziaływanie prawa rzymskiego na kulturę prawniczą i polityczną naszego kraju. Pojęcia prawa rzymskiego docierały przecież także w przebraniu. Wiadomo, że średniowieczne kodyfikacje prawa feudalnego przeprowadzali legiści i wycisnęli na nich piętno swej umysłowości. Częściowa recepcja prawa lennego, którą obserwujemy w Polsce XIII w., otwierała więc drzwi także sformułowaniom wywodzącym się z prawa rzymskiego. Jego wpływ na rozumienie pojęć szedł poza tym nie tylko wprost z uniwersytetów zachodnich, ale też drogą pośrednią przez Niemcy, Czechy i Węgry.

Doniosłość wpływu czeskiego jest dobrze znana specjalistom. Wskazywano zwłaszcza na jego niewątpliwe oddziaływanie na przebieg procesu kształtowania się stanu szlacheckiego w Polsce, zaświadczone recepcją terminologii (szlachta, herby). Ideologia polskiej monarchii stanowej formowała się też w dużym stopniu pod wpływem wzoru czeskiego. Oddanie korony polskiej Przemyślidom miało przyspieszyć skopiowanie tego wzoru.

Wacław II był monarchą dążącym świadomie do budowy państwa scentralizowanego w sojuszu ze stanami. Jego kontakty z ośrodkiem uniwersyteckim w Orleanie i plany kodyfikacji prawa czeskiego przy zastosowaniu prawa rzymskiego najlepiej charakteryzują jego myśl polityczną. W swoim kraju ojczystym dał się także poznać jako protektor miast i mieszczaństwa, któremu dawał liczne przywileje, by podnieść jego rangę polityczną.

Początek drogi Wacława II do tronu polskiego znaczy niezmiernie charakterystyczny przywilej lutomyski z 1291 r. Można go traktować jako dokument programowy nowej monarchii, król bowiem zaciąga w nim zobowiązania wobec trzech stanów, które występują tu jako równorzędni partnerzy. Od tej chwili w walkach wewnętrznych w Polsce imię króla czeskiego kojarzy się niedwuznacznie z określonym programem społeczno-politycznym i temu przede wszystkim zawdzięcza Przemyślida swój sukces.

A sukces to nie byle jaki. Pod bezpośrednią władzą monarszą Wacława II znalazły się główne dzielnice Polski — Wielkopolska, Małopolska, Pomorze Gdańskie, a także ziemia sieradzka i część Kujaw — dzielnicowi zaś książęta piastowscy na Śląsku, Kujawach i Mazowszu uznawali nad sobą jego zwierzchność. Powstawało królestwo polskie w tych granicach, jakie

wykuli mu Bolesławowie, w granicach pokrywających się niemal z zasięgiem polskiej nacji. Po Przemyślidach przez prawie półósma stulecia nie mogła państwowość polska objąć znów wszystkich tych ziem; uczyniła to dopiero w XX w. po drugiej wojnie światowej.

Podporządkowanie kilku różnych księstw o odmiennej strukturze społecznej i odrębnych zwyczajach prawnych zwierzchnictwu wspólnego monarchy nie stwarza jeszcze ich zjednoczenia organicznego. Do tego trzeba czasu i świadomej polityki unifikacyjnej ośrodka kierowniczego, której w poprzek będą stawały tradycje dzielnicowego separatyzmu, a także ukrywające się za tymi tradycjami faktyczne interesy lokalnych wielmożów. Panowanie Przemyślidów w całej Polsce trwało zaledwie sześć lat. Należałoby oczekiwać, że w ciągu tak krótkiego okresu niewiele już na tej drodze zdołali uczynić poza mechanicznym zjednoczeniem kraju i restytucją królestwa.

Wbrew temu uczynili bardzo wiele. Te kilka lat stały się okresem poważnych przeobrażeń ustrojowych. Monarchia Wacławów z godną podziwu energią przystąpiła do tworzenia nowej administracji w zjednoczonym państwie. Nie miała najmniejszych złudzeń, że ten aparat urzędniczy, jaki wytworzył się w warunkach rozbicia dzielnicowego, byłby anachronizmem w państwie nowego typu. Wojewodowie i kasztelanowie dawno przestali być przedstawicielami władzy monarszej, stali się reprezentacją czynnika feudalnego. Wacław II nie próbował tego zmienić; przywilejem lutomyskim zagwarantował możnowładztwu małopolskiemu wyłączne prawo do tych dostojeństw w ich ziemi. Ale też od tego czasu stały się one głównie wysokim wyróżnieniem honorowym i tytułem do zasiadania w radzie baronów, czyli możnowładczej reprezentacji

stanowej. Administracja prowincji przeszła w ręce ustanowionych za wzorem czeskim starostów. Powoływani i odwoływani przez króla bez żadnych ograniczeń byli oni na terenie dzielnicy jego namiestnikami, wyposażonymi w pełnię władzy państwowej łącznie z prawem zwoływania pospolitego ruszenia w razie zagrożenia kraju.

Widać, że reforma odpowiadała potrzebom zjednoczonego państwa, skoro przetrwała także po wygaśnięciu Przemyślidów i zerwaniu się związków polsko-czeskich .

Tylko sześć lat królowali Przemyślidzi w zjednoczonej Polsce. Następnie po kilkunastoletnich perypetiach, o których później, koronę polską przywdział najwytrwalszy wróg Wacławów, Władysław Łokietek. Historiografia dziejów najnowszych służy zazwyczaj zwycięzcom i ich punkt widzenia reprezentuje, toteż pomniki XIV w. uczyniły z Łokietka niezmiennego reprezentanta polskiej racji stanu i jednoczyciela Polski, ostatnich Przemyślidów przedstawiły zaś jako uzurpatorów i zaborców, a przy tym przednią straż agresji niemieckiej. Powtarzały to bezkrytycznie następne pokolenia, aż po nowoczesne dziejopisarstwo, w którym skrajnością sądu odznaczył się Karol Potkański formułując tezę, że zjednoczenie Polski przez Wacława II „nie było to... wcale zjednoczenie, ale przejście pod obce panowanie".

Obóz Łokietka zdołał zasugerować potomnym, że u schyłku XIII w. doszło w Polsce do starcia między dwiema koncepcjami zjednoczenia; jedną miał reprezentować niemiecki żywioł w Polsce, który przez zniemczonego Przemyślidę chciał otworzyć kraj wrogom, drugą zaś — mającą rzekomo poparcie całego polskiego społeczeństwa — uosabiał książę brzeski. Za nim, a przeciw Wacławom, do których zrażało

popieranie przez nich „ukrytej niemieckiej agresji feudalnej, zdzierstwa starostów czeskich, bezwzględność rządów opartych o niemiecko-czeskie garnizony wojskowe, ucisk ludności, nieszanowanie interesów Polski" (Jan Baszkiewicz), rozwijać się miał masowy ruch, który doprowadził jakoby do obalenia rządów czeskich.

Wbrew tej popularnej interpretacji wydarzeń z przełomu XIII i XIV w. trzeba stwierdzić, że czynienie z Łokietka w okresie jego walk z Wacławami szermierza dążeń zjednoczeniowych jest stworzoną znacznie później legendą. Nie było wówczas starcia dwóch koncepcji zjednoczenia Polski; trwała walka między zwolennikami zjednoczenia, którzy poparli króla czeskiego, a żywiołami broniącymi anarchii, które skupiły się m. in. przy Łokietku. Sukces Wacława II wyjaśnia, kogo darzyła zaufaniem większość społeczeństwa.

Nieporozumieniem jest też nazywanie „rządami czeskimi" okresu, w którym zbudowano fundamenty polskiej monarchii stanowej. Wacław II nie sprawował władzy absolutnej i niewiele by mógł zdziałać popadając w konflikt ze stanami, które go na tronie polskim posadziły. Realizując ich wolę tworzenia scentralizowanego państwa spożytkował doświadczenia czeskie i na tamtejszych wzorach oparł wprowadzony system administracyjny. Starostami nie czynił jednak przeważnie Czechów i Niemców, jak mu imputowano. W Małopolsce widzieliśmy w tej roli śląskiego Piasta, a potem biskupa krakowskiego, na odległym zaś Pomorzu — lokalnych możnowładców Święców.

Źródła nie potwierdzają również późniejszej legendy, jakoby przeciw rządom Wacławów szerzyło się w Polsce ogólne powstanie na rzecz Łokietka. W rzeczywistości po koronacji gnieźnieńskiej Wacława II

książę brzeski znalazł się zupełnie osamotniony i musiał kraj opuścić, mimo prób poparcia go przez Halicz. Znaczenie króla wzrosło jeszcze bardziej, gdy po wygaśnięciu dynastii Arpadów sięgnął po tron węgierski. W krótkim czasie wyrosła w Europie środkowej wielka trójmonarchia, której stabilizacja mogła zmienić zasadniczo międzynarodowy układ sił. Przeciw Wacławowi II wystąpił teraz zaniepokojony król niemiecki Albrecht Habsburg, a także papież Bonifacy VIII, który uważał Węgry za lenno Stolicy Apostolskiej i przeznaczył je Karolowi Robertowi Andegaweńskiemu. Uruchomiono tradycyjny mechanizm kar kościelnych i dywersji, poszczuto też i Łokietka, który na czele zebranych na Węgrzech band wtargnął w końcu 1304 r. na obszar ziemi sandomierskiej. Tu rzeczywiście zyskał pewne poparcie i to nie tylko ze strony włodyków. Stanęli wówczas przy nim obaj wojewodowie małopolscy, zawiedzeni w swych nadziejach odegrania przy Wacławie poważniejszej roli politycznej i miotający oskarżenia przeciw sprawującemu starościńskie rządy biskupowi krakowskiemu Janowi Muskacie.

Sprawa owego księdza śląskiego, od lat czynnego w obozie zjednoczeniowym, stronnika najpierw Henryka Probusa, potem zaś Przemyślidów, to osobna karta dziejów ówczesnej Polski. Wrogowie uczynili z niego Niemca stawiającego sobie za cel wytępienie narodowości polskiej. Fakt, że Niemcem nie był, każe spojrzeć nieufnie i na drugą część oskarżenia. To pewne, że Małopolska poczuła jego twardą rękę, którą bezwzględnie tępił przejawy bezprawia i anarchii. Że zaś represje dotykały także osób przywykłych z racji swej pozycji społecznej do bezkarności, larum podniosło się wielkie. A nie ułatwiały życia Muskacie również jego nie najlepsze stosunki z arcybiskupem

Świnką, podejrzliwie patrzącym na zbytni wzrost roli politycznej biskupa krakowskiego w zjednoczonym królestwie.

Prócz niechęci osobistych, zawiści i rywalizacji, istniały zapewne także różnice spojrzenia na charakter monarchii przez poszczególnych jej budowniczych. Sam Wacław II prowadził przede wszystkim politykę dynastyczną i choć wkładał na głowę trzy różne korony, myślał o jednym tylko królestwie — Przemyślidów. Zdaje się, że ten punkt widzenia podzielali jego poplecznicy na Śląsku i w Małopolsce, którzy nie czynili rozróżnień między państwowym interesem Czech i Polski. Inną postawę przybrali Wielkopolanie z arcybiskupem na czele. Ci narzucili Wacławowi koronację w Gnieźnie i związek z Czechami rozumieli tylko jako unię personalną. Polską rację stanu przeciwstawiali czeskiej i w poszczególnych wypadkach potrafili sprzeciwiać się zamierzeniom królewskim, gdy te wypływały z innych, niż ich własne, przesłanek. W takich chwilach Świnka i Muskata znajdowali się niewątpliwie po dwóch różnych stronach linii podziału.

Te przeciwieństwa, różnice zdań i animozje nie były aż tak silne, by rozbić obóz królewski. Jak długo żył Wacław II wierność dla niego Kościoła polskiego, większości możnych i mieszczaństwa nie uległa zachwianiu, a rzekome wrzenie w Małopolsce przeciw Muskacie nie umożliwiło jednak Łokietkowi zajęcia kraju. Dopiero po śmierci Wacława II (21 VI 1305) stosunki zaczęły się zmieniać. Nowy król czeski Wacław III wobec coraz bardziej rozpaczliwego położenia międzynarodowego za poparcie Brandenburgii gotów był zapłacić Pomorzem, co zbyt jawnie pozostawało w sprzeczności z kanonami polskiej — zwłaszcza wielkopolskiej — polityki. Aczkolwiek niewątpliwy

dziedzic swego ojca, nie był przecież jeszcze koronowanym królem Polski, a więc nad istnieniem obowiązku wierności wobec niego można było dyskutować. W tych okolicznościach udało się Łokietkowi zająć w maju 1306 r. Kraków. Śmierć ostatniego Przemyślidy, który już w sierpniu padł ofiarą skrytobójczego zamachu w Ołomuńcu, sprawiła, że się w nim utrzymał.

Na wiadomość o śmierci Wacława III biskup Muskata uznał władzę Łokietka w Małopolsce. Tak samo postąpił patrycjat krakowski. Przywileje nowego pana z września 1306 r. dla biskupstwa krakowskiego i dla miasta świadczą o porozumieniu między niedawnymi przeciwnikami.

Nic w tym dziwnego. Z wygaśnięciem Przemyślidów dzieło Wacława II leżało w gruzach. O tron czeski toczyły się walki i dopiero w 1310 r. wyszedł z nich zwycięsko mąż Elżbiety Wacławówny, Jan Luksemburski. O unii czesko-węgierskiej nie było więcej mowy; na tronie w Budzie zasiadł kandydat papieski Karol Robert. W Polsce obóz zjednoczeniowy został bez przywódcy. Zabrakło koncepcji, w której imię miałoby sens przeciwstawiać się Łokietkowi.

W konsekwencji zjednoczone królestwo polskie znów się rozpadło. Gdy książę brzeski po ustaleniu się w Małopolsce poddał sobie także ziemię sieradzką i łęczycką, część Kujaw oraz Pomorze Gdańskie, to Wielkopolskę zajął dawny pretendent do spadku po Przemyśle II, tytułujący się „dziedzicem królestwa polskiego" Henryk głogowski. Ten zmarł wprawdzie już w 1309 r. zostawiając pięciu synów, z których najstarszy Henryk nie miał jeszcze 16 lat, ale Łokietek nie mógł skorzystać z chwili, by sięgnąć po jego spuściznę, bo wtedy sam już znajdował się w defensywie wobec sił sobie przeciwnych. Rozgorzał na

nowo spór między księciem a biskupem krakowskim, a choć księcia wspomagał w tym wypadku arcybiskup Świnka, przecież wyrok legata papieskiego we wszczętym procesie wypadł po myśli Muskaty i Łokietek doczekał się znów ekskomuniki. Odpadło od Polski Pomorze, wydane w 1308 r. przez Święców Brandenburczykom, których niebawem zastąpili przyzwani przez księcia krzyżacy. Zjawił się nowy pretendent do ziem polskich i polskiej korony w osobie Jana Luksemburskiego występującego jako spadkobierca Wacławów. Ożywiły się sympatie czeskie wśród mieszczan polskich i w maju 1311 r. zerwał się do walki z Łokietkiem Kraków pod wodzą wójta Alberta, a z błogosławieństwem Muskaty i współdziałaniem Sandomierza, co z sympatią obserwował także mieszczański Śląsk. Krakowianie przywołali na tron Bolka opolskiego, znanego dawniej stronnika Wacławów, obecnie Luksemburgów.

Trudności Jana Luksemburskiego ze szlachtą czeską nie pozwoliły mu przyjść z pomocą swoim stronnikom w Polsce. Władysław Łokietek, korzystający z posiłków węgierskich, pobił mieszczan, a następnie zastosował wobec przeciwników represje, po których Kraków jako miasto nie odzyskał już odgrywanej przy końcu XIII w. roli politycznej ani osiągniętego już stopnia samorządu.

Umocnienie się Łokietka w Małopolsce zbiegło się z podziałem Wielkopolski między synów Henryka głogowskiego (1312). O podziale zadecydowała umowa rodzinna, nie zaś wola Wielkopolan. Groźba rozbicia dzielnicowego, tak w ówczesnych stosunkach anachronicznego sprawiła, że akcje Łokietka poszły w górę. O rządach książąt głogowskich zaczęto mówić wśród rycerstwa jako o rządach niemieckich, a obracać oczy

ku księciu, który właśnie triumfował nad krakowskimi Niemcami.

Historiografia nowożytna długo brała te komentarze za przejaw zaostrzonych stosunków narodowościowych w ówczesnej Polsce. Dzisiejszy stan badań każe podać ten pogląd w wątpliwość. Osoby, nazywane na przełomie XIII i XIV w. przez niechętne im źródła Niemcami, okazują się najczęściej rdzennymi Słowianami. Również o niemieckości miast lokacyjnych mamy obecnie sąd inny, niż jeszcze przed kilkudziesięciu laty. Szczegółowe studia wykazały, że także wśród patrycjatu największych miast element niemiecki mieszał się z polskim, sam zresztą nieraz już w drugim lub trzecim pokoleniu ulegając polonizacji. Wśród pospólstwa i ludności miast mniejszych żywioł polski przeważał zdecydowanie.

Przypuścić więc trzeba, że nie pochodzenie mieli na myśli ci, którzy w omawianych latach pomawiali swych antagonistów o sprzyjanie Niemcom lub otaczanie się Niemcami. Sprawa wymaga specjalnych badań, których dotąd nikt nie podejmował. Wydaje się jednak, że epitetem „Niemiec" szafowano wówczas wobec ludzi żyjących pod prawem niemieckim i stosujących jako urzędowy język niemiecki, a więc przede wszystkim wobec mieszczan, bez względu na ich faktyczną narodowość. Jeśli nasz pogląd okaże się słuszny, wówczas rzekoma walka narodowościowa w XIII - XIV w. przedstawi się nam jako walka między stanami, w szczególności jako walka rycerstwa z mieszczaństwem.

A właściwiej może powiedzieć, że była to walka tworzącego się stanu rycerskiego z tą formułą państwa stanowego, którą dał przywilej lutomyski z 1291 r., a którą realizowała tak monarchia Wacławów, jak i książęta śląscy: z formułą państwa trój-

stanowego, opartego na klerze, możnowładczej szlachcie i na mieszczaństwie. Formuła ta skazywała rzesze włodyków, nie mówiąc już o rycerstwie służebnym, na deklasację, na zrównanie prędzej czy później z chłopami.

Odczuwano to wówczas bardzo silnie i nie brak na to dowodów. Dostarczy ich także wsłuchanie się w sens wzajemnych inwektyw, jakimi się obrzucały oba zwalczające się obozy. Jak bowiem zwolennicy jednego stawali się „Niemcami", tak ich przeciwników nazywano najwidoczniej „chłopkami". Pozostała po tym opowieść o Łokietku ukrywającym się w grotach Ojcowa i wspomaganym rzekomo tylko przez chłopów oraz zaskakujący epitet, jakim darzono jego syna Kazimierza — „króla chłopków".

W oczach wielmożów, którzy przez przeszło wiek czynili sobie igraszki z książętami, jak skarżył się jeszcze bezsilny wobec nich Mieszko Stary, a także w oczach bogatego patrycjatu wielkich miast, nie było istotnej różnicy między chłopem i ubogim włodyką. Dzierżenie przez tego ostatniego ziemi „na prawie rycerskim" nie ważyło już wiele w powszechnej opinii. W walce o tron włodycze miecze liczyły się przecież i — choć nie bez pomocy z zewnątrz — utorowały wreszcie Łokietkowi drogę do niego. W 1314 r. wytrwały książę opanował Wielkopolskę. I tu, jak poprzednio w Małopolsce, broniło się przed nim najbardziej mieszczaństwo. Opór Poznania kierowany przez wójta Przemka został jednak złamany, na miasto posypały się kary.

W tymże roku zmarł Jakub Świnka. W ostatnich latach przed jego śmiercią nastąpiło zbliżenie między nim a Łokietkiem. Sędziwy arcybiskup, przeciwny pretensjom luksemburskim, nie widział — jak się zdaje — innej alternatywy rządów „niemieckich".

Wspólna walka księcia Władysława i Świnki z ambitnym Muskatą doprowadziła do pojednania koronatora Wacława II z najbardziej upartym wrogiem Przemyślidów. Stanowisko Świnki podzielił cały wyższy kler wielkopolski. Poparł Łokietka nawet wieloletni jego przeciwnik, biskup poznański Andrzej Zaremba. Następcy Świnki na stolicy arcybiskupiej odegrali czynną rolę w staraniach Łokietka u papieża o zezwolenie na koronację. Arcybiskup Borzysław posłował w tej sprawie do Awinionu, a gdy tam zaskoczyła go śmierć, doprowadził rzecz do końca arcybiskup Janisław.

Wobec szeregu koncesji ze strony Łokietka na rzecz Stolicy Apostolskiej i zdecydowanej postawy zwierzchników polskiej hierarchii kościelnej papież Jan XXII przychylił się do przedłożonej mu prośby. Uczynił to jednak w sformułowaniach dwuznacznych, zastrzegając, by nie pogwałcić niczyich praw. Chodziło oczywiście o Luksemburczyka, który — choć nie koronowany — używał tytułu króla polskiego. Może, oprócz wewnętrznych, także ten wzgląd zadecydował, że koronacja odbyła się nie w Gnieźnie, lecz w Krakowie (20 I 1320). Zaakcentowano w ten sposób, że królestwo Łokietka nie jest kontynuacją królestwa Przemysła II Wielkopolskiego i Wacławów. Ale też nie wszyscy uznali nowego króla za króla Polski. Władysław Łokietek, jak później jego syn w pierwszych latach panowania, uchodzili w świecie za królów krakowskich. W sformułowaniu właśnie bulli papieskiej z 9 czerwca 1321, a więc półtora roku po koronacji, Władysław jest tylko księciem podającym się za króla Polski. Za właściwego króla Polski uważano Luksemburczyka.

Na prawa obydwu monarchów także i w samej Polsce różnie się zapatrywano. Z książąt dzielnicowych jedynie kujawscy i dobrzyńscy bratankowie

Łokietka uznali bez zastrzeżeń jego zwierzchnictwo. Na Śląsku Bolko brzeski i Konrad oleśnicki wśród walk feudalnych szukali przejściowo jego protekcji w latach 1322 - 1323, ale pozostało to epizodem nie zmieniającym faktu, że ta część Polski orientowała się na króla Jana. Dopóki pretensje luksemburskie występowały tylko na papierze, nie kwapiono się co prawda z wyraźnymi deklaracjami. Gdy jednak w r. 1327 Jan podjął walkę o tron polski, większość książąt śląskich skupiła się wokół niego, uznając przez hołd lenny jego zwierzchnictwo i udzielając pomocy zbrojnej przeciw Łokietkowi. Ci, którzy — jak Bolko II świdnicki — pozostali na uboczu, patrzyli z niechęcią i obawą na obu pretendentów.

Przeciwni Łokietkowi byli także książęta mazowieccy. Ci obawiali się zapewne, że poddanie się „królowi krakowskiemu" skończy się wyzuciem ich samych z ojcowizny. Obrony szukali więc u krzyżaków, z którymi Wańko płocki już w 1321 r. zawarł sojusz, wsparty następnie udziałem Ziemowita i Trojdena. Pośrednio oznaczało to opowiedzenie się za Luksemburczykiem, uznawanym przez krzyżaków za prawowitego króla Polski. Chociaż w kilka lat później między książętami mazowieckimi a Zakonem doszło do zatargów, nie pchnęło to Mazowszan w ramiona Łokietka; Wańko stał się lennikiem króla Jana.

Ostatecznie pod władzą Łokietka znalazło się mniej niż pół Polski, a rozdarcie królestwa między dwóch królów prowadziło do dalszych strat terytorialnych. Jan Luksemburski związał się przeciw rywalowi ścisłym sojuszem z krzyżakami i płacił za to sankcjonowaniem ich zdobyczy: Pomorza Gdańskiego (1329), ziemi dobrzyńskiej (1330), a wreszcie Kujaw (1332).

Niebawem zjawił się trzeci pretendent. Po wygaśnięciu dynastii askańskiej (1319) cesarz Ludwik Ba-

warski (Wittelsbach) osadził w Brandenburgii swego syna, margrabiego Ludwika (1323), a w pięć lat później nadał mu także ziemie polskie jako lenno Rzeszy (1328).

Przeciw tym wszystkim wrogom oparciem Łokietka był alians z węgierskimi Andegawenami, świeżo wzmocniony małżeństwem króla Karola Roberta z Elżbietą Łokietkówną (1320) i uzupełniony porozumieniem z zagrożoną przez Zakon pogańską Litwą, co przypieczętowało małżeństwo królewicza Kazimierza z Aldoną Giedyminówną (1325). Związkowi temu patronowało niechętne Wittelsbachom papiestwo i na jego wezwanie oddziały Łokietka i Giedymina spustoszyły Marchię (1326). Zaraz zresztą przyszło chyba żałować tego kroku, bo rozpoczynała się już wojna z koalicją krzyżacko-luksemburską. Bezpośredni atak Luksemburczyka na Kraków odparto dzięki Karolowi Robertowi, ale na północy kraju sytuacja stała się nader niepomyślna; krzyżacy najechali Kujawy, Brandenburgia — Wielkopolskę (1327). Po nietrwałym rozejmie walki rozgorzały na nowo w 1329 r. Łokietkowi udało się wówczas zneutralizować Brandenburgię za cenę rezygnacji z ziemi lubuskiej, co pozwoliło mu na pewną aktywność w wojnie z Zakonem. Gdy krzyżacy zajmowali Kujawy, on z posiłkami węgierskimi wtargnął na ziemię chełmińską, pustosząc ją i rabując (1330).

Ale już w lipcu 1331 r. wojska zakonne podjęły nową wyprawę, tym razem na Wielkopolskę. Łupiono systematycznie wieś po wsi i miasto po mieście, a czego nie zdołano uwieźć, to puszczano z dymem. Nie oszczędzano niczego i nikogo. Ofiarą rabunku padały również kościoły i tylko katedrę gnieźnieńską zostawiono w spokoju z obawy, że wieść o jej spro-

fanowaniu i złupieniu mogłaby wywołać zbyt silne wrażenie w Rzymie.

Tym razem Jan Luksemburski nie przybył z obiecanymi posiłkami, a bez nich krzyżacy nie mogli się kusić o opanowanie Wielkopolski. Poprzestali więc na jej zniszczeniu i poprzez ziemię sieradzką skierowali się na Kujawy. W zawładnięciu całą tą krainą nie zdołał im przeszkodzić orężny sukces Łokietka pod Płowcami (27 IX 1331), który tak wyczerpał siły polskie, że tylko jego niewątpliwe znaczenie moralne jako pierwszego zwycięstwa nad krzyżakami w otwartym boju odróżnia go od przysłowiowych zwycięstw Pyrrhusa. W zawartym znów rozejmie Łokietek godził się na pozostawienie Kujaw w rękach Zakonu.

Czy w tych ciężkich zmaganiach miał król Władysław przynajmniej jednomyślne poparcie podległych mu dzielnic? Nie są to sprawy na tyle dokładnie zbadane, by móc wyrokować kategorycznie. Wydaje się, że poparcie znajdował coraz bardziej w Małopolsce, podczas gdy w Wielkopolsce stała za nim mniej liczna, choć wpływowa grupa ludzi. Nie sprzyjano tu wprawdzie także Luksemburczykowi, natomiast Brandenburgia miała zwolenników, których można wyliczyć z imienia. Nie wiadomo na pewno czy należał do nich mąż zaufania Łokietka i jego starosta w Wielkopolsce, a zarazem wojewoda poznański Wincenty z Szamotuł, któremu w niewiele lat później zarzucano zdradę; w nauce dotąd trwają spory co do jego postawy. Ale już w latach 1316 - 1317 służył Marchii przeciw własnemu księciu ród Nałków-Jeleni, a następca Wincentego, wojewoda poznański Mikołaj był dowodnie płatnym agentem Brandenburgii.

Podobno i krzyżacy mieli w najbliższym otoczeniu Łokietka, w jego radzie, swoich ludzi, którzy donosi-

li im o planach króla, o czym czytamy zarówno w źródłach polskich, jak i zakonnych.

Można więc zaryzykować twierdzenie, że w polskiej opinii społecznej bynajmniej nie identyfikowano sprawy Łokietka z narodową racją stanu. Wojowniczego księcia brzeskiego fala wydarzeń wyniosła wysoko, skronie jego ozdobiono koroną, historiografowie wielcy i mali już w niewiele lat później utrwalili jego legendę jako tego męża, który zjednoczył królestwo. W rzeczywistości pozostał bodaj do śmierci ulubionym wodzem zubożałego rycerstwa, na którego czele zapuszczał się w młodości po łupy w obręb dobrze zagospodarowanych dóbr biskupich lub zasadzał się po drogach na kupców, jako król zaś prowadził je w głąb posiadłości brandenburskich i krzyżackich, mniej dbając o obronę własnych ziem. Toteż panował tylko nad resztkami państwa Piastów, w nich również niepewny jutra, wciąż zagrożony agresją z zewnątrz, a buntem i zdradą wewnątrz kraju.

Mimo wszystko odegrał ważną rolę w dziejach Polski. Pod jego panowaniem idea zjednoczonego królestwa utrwaliła się ostatecznie w Małopolsce i w Wielkopolsce i — niezależnie od silnych jeszcze separatyzmów — obie te dzielnice nie rozłączą się już aż po rozbiory. W obu też poniosła porażkę koncepcja wspólnego bytu państwowego z Czechami, co się łączyło z odmiennym modelem monarchii stanowej, jaki — w porównaniu z monarchią Przemyślidów i Luksemburgów — reprezentowała monarchia Łokietka. Główną jej siłą stały się rzesze średniozamożnego i ubogiego rycerstwa, które nie pozwoliło się zdeklasować i zdobyło sobie rangę społeczną równą możnowładczej szlachcie. Zwyciężyła więc zasada, że przynależność do rodu rycerskiego daje przywileje stanu szlacheckiego. Przyjęto z Czech nazwę stanu, ale roz-

ciągnięto ją, inaczej niż tam, na znacznie większy krąg społeczny. Jedynie w Małopolsce, prowincji najbardziej rozwiniętego możnowładztwa, nie całe rycerstwo zdołało uzyskać prawa szlachty. Rozróżniano tam w dalszym ciągu trzy jego kategorie: szlachtę, włodyków i panoszów, ale do tej pierwszej grupy udało się przeniknąć bodaj większości zainteresowanych.

Mieszczaństwo największych miast polskich przez długi czas opierało się Łokietkowi, a przegrawszy utraciło wiele ze swego znaczenia politycznego. Odmiennie niż w wielu innych monarchiach stanowych ówczesnej Europy, zabraknie przy królu krakowskim tak charakterystycznych w tej formie państwa legistów pochodzenia mieszczańskiego. Nie żeby ta rycerska monarchia obywała się bez prawników. Ale ci prawnicy, którzy stanęli za plecami starego króla, reprezentowali wciąż tę samą siłę: małopolskie rycerstwo.

Jarosław Bogoria, archidiakon krakowski, i Spytko z Melsztyna, kasztelan krakowski, przedstawiciele niewiele przedtem znaczących rodów rycerskich, wysunęli się na czoło doradców królewskich w ostatnich latach życia Łokietka i rolę tę odgrywali nadal, gdy siedemdziesięciotrzyletni król zamknął oczy (2. III. 1333).

W NOWYM KSZTAŁCIE TERYTORIALNYM

Panowanie Władysława Łokietka stanowiło niewątpliwy postęp w porównaniu z okresem nazwanym przez nas Wielkim Bezkrólewiem. Dwie główne dzielnice Polski znalazły się pod jednym berłem, wskrzeszone zostało królestwo. Z drugiej jednak strony osiągnięty stan odbiegał daleko od marzeń sprzed lat

trzydziestu o zjednoczeniu całego dziedzictwa Bolesławów.

Następca Łokietka dziedziczył po nim państwo składające się z dwóch odrębnych części, Małopolski i Wielkopolski, między którymi brak było połączenia terytorialnego. Rozdzielały je ziemie sieradzka i łęczycka, które od r. 1327 znajdowały się w dożywotnim posiadaniu bratanków Łokietka: Przemysława i Władysława. Otrzymali je ci książęta w zamian za swe dziedziczne Kujawy, okupowane teraz przez krzyżaków. Obydwaj uznawali zwierzchność stryja, a po jego śmierci stryjecznego brata Kazimierza, i wchodzili w skład królestwa.

Królestwo to — w Europie zwane wciąż „krakowskim" — obejmowało nieco ponad 106 tys. kilometrów kwadratowych i nie skupiało nawet połowy ludności polskiej.

Na Śląsku i na Mazowszu utrzymywali się liczni książęta dzielnicowi. Mieli oni świadomość przynależności do rodu Piastów i uważali się za książąt królestwa polskiego. Większość jednak książąt śląskich oraz książę Mazowsza płockiego uznawali za swego pana lennego i prawowitego króla Polski Jana Luksemburskiego. Pozostała część Mazowsza, a na Śląsku księstwa świdnickie, jaworskie i ziembickie oraz biskupie księstwo nysko-otmuchowskie zachowywały niezależność. Na Pomorzu Gdańskim i Kujawach z ziemią dobrzyńską panowali krzyżacy. Z ich państwem stykały się już bezpośrednio granice Marchii Brandenburskiej, która z ziem polskich zawładnęła nie tylko ziemią lubuską, ale także pasem nad dolną Wartą i Notecią oraz Głdą i Drawą, tworzącym tzw. Nową Marchię. Posiadłości krzyżackie i brandenburskie odcinały całkowicie od reszty ziem polskich księstwa zachodniopomorskie.

Daleko więc było do zjednoczenia Polski w jednym królestwie. To kadłubowe państwo, które zostawiał Łokietek, wyniszczone wojnami wewnętrznymi i zewnętrznymi, nie imponowało siłą i znajdowało się w stanie ciągłego zagrożenia. W tych warunkach zmiana na tronie mogła okazać się poważnym wstrząsem.

Syn i następca Władysława Łokietka, w chwili obejmowania dziedzictwa młody, zaledwie dwudziestotrzyletni Kazimierz, wydawał się pod każdym względem przeciwieństwem ojca. Już współcześni zwali go Wielkim, mając co prawda na myśli tylko jego potężny wzrost (ok. 185 cm), kontrastujący z maleńką figurką poprzedniego monarchy. Pochlebstwa w tym nie było, nowego władcę witano z rezerwą i opinie, które niosły się po Polsce, podkreślały bardziej jego wady niż zalety.

Kręcono więc niechętnie głowami na wieść o licznych miłostkach Kazimierza, prowadzących nieraz do skandalu, jak choćby ten na dworze węgierskim, gdy ojciec uwiedzionej Klary Zàch skierował w rozpaczy swój miecz przeciw rodzinie królewskiej (1330). Swobodny, jak gdyby już renesansowy stosunek młodego króla do uciech życia mało znajdował zrozumienia w kraju od tych prądów bardzo jeszcze dalekim, przywykłym do ascetycznych lub kalekich książąt drugiej połowy XIII w.: Pobożnych i Wstydliwych.

Więcej jeszcze zgorszenia, a i troski serdecznej, budziła szeroko kolportowana opowieść o tchórzliwej postawie Łokietkowego jedynaka w bitwie pod Płowcami. Fama niosła, że królewicz co koń wyskoczy uszedł z pola przed tumultem bitewnym, by zatrzymać się aż w Małopolsce. Potem wyjaśniano w kołach dworskich, że stało się tak na rozkaz starego króla i że plotkę o ucieczce królewicza puścili wrogowie dynastii. Ale w dementowane wiadomości tym chęt-

niej się wierzyło, zwłaszcza że młody Kazimierz na pewno różnił się od rodzica, który na wojowaniu życie długie strawił i całymi latami miecza z dłoni nie wypuszczał.

Jeśli martwili się z tego powodu towarzysze bojów zmarłego króla, to dobrej myśli byli zapewne ci, co w jego imieniu rządzili krajem, spodziewając się znaleźć więcej zrozumienia u syna, niźli go zwykli mieć u ojca. Arkana polityki do późnej starości pozostały obce Łokietkowi, który w tych sprawach zdawał się na doradców, ale też nieraz mieszał im szyki, nawykły do rozstrzygania wszelkich kwestii orężem. Prowadził też swoje oddziały bardziej po doraźne korzyści niż zgodnie z jakąś dalekowzroczną koncepcją. Młody król, do rządów wychowywany od kolebki, rozumiał więcej, i tak mianowicie, jak go jego nauczyciele, a teraz doradcy nauczyli.

Państwo Kazimierza otoczone było zewsząd albo wrogami, albo księstwami o wręcz przeciwnych interesach politycznych. Na północy na zdecydowanego wroga wyrósł w XIV w., od zajęcia Pomorza, Zakon Teutoński. Na zachodzie sprzymierzone z nim Czechy luksemburskie, roszczące sobie pretensje jeżeli nie do całej Polski, to przynajmniej do jej większej części: jedynie w Małopolsce gotów był już król Jan uznać władztwo „króla krakowskiego". Marchia Brandenburska, po wygaśnięciu dynastii askańskiej nadana przez cesarza Ludwika Bawarskiego synowi, była w rękach Wittelsbachów niewątpliwie mniej agresywna niż dawniej, ale przecież zawsze gotowa do dalszej ekspansji kosztem Wielkopolski; i ją więc należało liczyć wśród potencjalnych nieprzyjaciół. Na Śląsku większość książąt wiązała się z Luksemburgami z przekonania i wobec Łokietka i jego sukcesora zajmowała pozycję wrogą; do nielicznych wyjąt-

ków należał tutaj Bolko świdnicki, syn Łokietkowej córy. Książęta mazowieccy, nękani najazdami litewskimi, dbali o dobre stosunki z krzyżakami i siłą rzeczy znaleźli się w przeciwnej konstelacji politycznej niż monarchia krakowska. Na Rusi halicko-wołyńskiej tradycyjni sprzymierzeńcy Łokietka, Romanowicze, wygaśli już w 1323 r. Dziedzicem ich po kądzieli został syn Trojdena czerskiego, Bolesław Jerzy II, który zdobył wprawdzie tron przy pomocy Łokietka i Węgrów, ale solidaryzował się przede wszystkim ze swymi mazowieckimi krewniakami i, podobnie jak oni, stał się sojusznikiem krzyżaków. Bezpośrednio przeciw Polsce nie występował, stanowił nawet dla Małopolski tarczę przed Litwinami i Tatarami, ale jego cele polityczne nie były łatwe do pogodzenia z celami królewskiego Krakowa.

Wspólne zagrożenie przez krzyżaków było przesłanką podjętej przez Łokietka próby związania się przymierzem z Litwinami. Okazało się ono nietrwałe. Litwa prowadziła wobec Zakonu politykę elastyczną, okresy walk przeplatały się z okresami zbliżeń, główne zaś jej zainteresowanie pochłaniały możliwości ekspansji na wschód i południe. Podczas ostatniej wojny polsko-krzyżackiej w 1331 r. przymierze z Litwą praktycznie już nie istniało.

Spośród sąsiadów Kazimierza jedynym możliwym sojusznikiem pozostawali węgierscy Andegawenowie. Nie był to sojusznik doskonały, z którym by monarchię piastowską łączyła jedność celów politycznych i brak kwestii spornych. Dynastyczne cele Andegawenów nie miały nic wspólnego z celami Piastów, a kości niezgody między Węgrami a Małopolską również istniały, dość wspomnieć rywalizację obu państw o wpływy na Rusi halickiej. Wystarczyć jednak mu-

siało, że Węgry nie miały w zasadzie pretensji terytorialnych do ziem polskich i że z nieprzyjaciółmi Łokietka i jego spadkobiercy bywały często także na wrogiej stopie, choć z innych zgoła przyczyn. Tych minimalnych warunków nie spełniał nikt inny z sąsiadów. Dlatego sojusz z Węgrami stał się niewzruszalnym kanonem małopolskiej polityki.

Jakiż to mógł być sojusz? Andegawenowie liczyli się w XIV w. wśród ważniejszych aktorów polityki europejskiej, byli godnymi partnerami największych potęg. Z ich państwem monarchia krakowska nie mogła się w ogóle równać. Kto wie, czy bez ich poparcia Łokietek zdołałby się oprzeć naciskowi luksemburskiemu. Od początku sojusz ten nie był równy i Polska grała w nim rolę nie partnera, lecz satelity Węgier. Na innych warunkach był nie do pomyślenia. Istnienie zjednoczonego królestwa polskiego i niedopuszczenie Luksemburgów do władania nim leżało w interesie Andegawenów, ale nie na tyle, aby dla tego celu poświęcali inne swoje interesy. Za ich pomoc trzeba więc było płacić podporządkowaniem się politycznym. Co więcej, trzeba było utrzymywać Węgrów w przekonaniu, że to podporządkowanie jest trwałe i bezwarunkowe, że służba interesom andegaweńskim stanowi nadrzędny cel działań kierowników polityki polskiej.

Główni doradcy króla polskiego, kierownictwo rządu, jak byśmy dziś powiedzieli, Spytko z Melsztyna i kanclerz krakowski Zbigniew ze Szczyrzyca, otrzymywali od Karola Roberta nadania ziemskie na Węgrzech i roczną pensję. Niemal od początku panowania Kazimierza Wielkiego zapewniano ze strony polskiej Andegawenów, że czeka ich sukcesja po nim. Nie zaniedbywano niczego, by przyzwyczaić króla Węgier do traktowania Polski jak swej własności.

Wystarczyła śmierć Aldony w 1339 r., aby Kazimierz, który przecież nie dobiegł wtedy nawet trzydziestki, formalnie desygnował Karola Roberta lub jednego z trzech jego synów na swego następcę w wypadku, gdyby sam nie doczekał się potomka męskiego. Obietnicę tę ponowiono, gdy druga żona Kazimierza Adelajda heska, okazała się bezpłodna. Gdy w 1351 r. król zapadł ciężko na zdrowiu, następca nieżyjącego już wówczas Karola Roberta, Ludwik, odebrał od dostojników polskich przyrzeczenie, że w razie śmierci Kazimierza Wielkiego uznają go za króla Polski. Wreszcie w układzie budzińskim z 23 stycznia 1355 r. rozszerzono krąg spadkobierców także na bratanka Ludwika, Jana, i ewentualnych męskich potomków obydwu, wykluczając natomiast od dziedziczenia córki samego Kazimierza. Dopiero od tego roku obserwujemy w polityce polskiej próby oswobodzenia się od patronatu węgierskiego.

Jeśli będziemy pamiętać o tym uzależnieniu królestwa polskiego od Węgier, a ściślej — od dynastycznej polityki Andegawenów, wówczas zblednie wrażenie rzekomej przeciwstawności polityki zagranicznej Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Tym, co się naprawdę zaczęło zmieniać, były stosunki między Andegawenami a Luksemburgami. Do początku lat trzydziestych XIV w. charakteryzowała je wrogość. Karol Robert czuł się wciąż jeszcze zagrożony przez pretensje Jana Luksemburskiego do spadku po Wacławie III, a więc i do korony węgierskiej. Wikłanie luksemburskich Czech w wojny z Łokietkiem odpowiadało więc interesom andegaweńskim i król węgierski utwierdzał wówczas swego polskiego teścia w oporze i służył mu konieczną dla podtrzymania tego oporu pomocą.

W latach trzydziestych konstelacja się zmieniła.

Dynastyczne interesy Luksemburgów w Niemczech skrzyżowały się z interesami Habsburgów i Wittelsbachów. Walka o Tyrol i Karyntię znaczyła dla Jana Luksemburskiego więcej niż upieranie się przy mało realnych roszczeniach nad Wisłą i Wartą. Z drugiej strony Luksemburczyk, występujący przeciw cesarzowi Ludwikowi, stawał się pożądanym sojusznikiem wrogiego Wittelsbachom bloku papiesko-andegaweńskiego. W tych warunkach Węgry ofiarowywały swe usługi mediacyjne między obydwoma monarchami używającymi tytułu króla polskiego.

Kazimierz Wielki nie od razu, być może, zorientował się w nowym układzie sił. Z chwilą wybuchu konfliktu między cesarzem a Luksemburgami zademonstrował chęć współpracy z Wittelsbachami, z którymi sojusz miało umocnić małżeństwo córki królewskiej Elżbiety z synem cesarza Ludwikiem Rzymskim. Natychmiast jednak węgierski szwagier pouczył go o niewłaściwości tego kroku i Kazimierz wycofał się z owych zobowiązań, by przychylić się ku pokojowemu — ale też kompromisowemu — rozwiązaniu sporu luksembursko-piastowskiego.

Kompromis ten trudno nazwać szczęśliwym. Preliminarze pokojowe ułożone przy pośrednictwie węgierskim w Trenczynie (24 VIII 1335) przewidywały zrzeczenie się przez króla Jana tytułu króla polskiego i uznanie przez niego w tym charakterze Kazimierza Wielkiego. Kazimierz miał się za to zrzec praw do tych księstw na Śląsku i na Mazowszu, które uznawały swą zależność lenną od Jana.

Było to rozwiązanie sporu dynastycznego kosztem jedności Polski. Do tej pory nikt nie kwestionował przynależności Śląska i Mazowsza do królestwa polskiego. Sami książęta piastowscy z tych dzielnic nazywali siebie często książętami królestwa polskiego.

Ci z nich, którzy hołdowali Janowi Luksemburskiemu, czynili to uważając go za prawowitego króla Polski. Śląsk nie zamierzał odpaść od macierzy, popierał tylko inną niż Małopolanie i Wielkopolanie kandydaturę do korony polskiej. Walka Kazimierza z Janem nie była jeszcze rozumiana jako zatarg polsko-czeski, lecz jako zmagania dwóch rywali do tronu, jako wojna stronnictw. Porozumienie trenczyńskie tworzyło zupełnie nowy stan rzeczy; księstwa śląskie i Mazowsze płockie miały pozostać lennem Luksemburczyka, mimo że ten przestawał być królem Polski, a więc formalnie przechodziłyby do ziem korony czeskiej.

Nie znamy reakcji opinii polskiej na warunki trenczyńskie. Widocznie jednak nie uzyskało powszechnej zgody to, na co za radą Karola Roberta przystali pełnomocnicy Kazimierza: kanclerz Zbigniew i Spytko z Melsztyna, bo w ustalonym terminie król nie ratyfikował układu, a w trzy miesiące później, na zjeździe monarchów w Wyszehradzie zawarto pokój na nieco odmiennych zasadach. Jan zrzekał się roszczeń do korony polskiej za odszkodowanie pieniężne, a o formalnej rezygnacji Kazimierza z księstw śląskich i mazowieckich nie było tym razem mowy. Sam fakt zawarcia pokoju z Luksemburgami oznaczał jednak de facto uznanie zaboru Śląska, a wstrzymanie się od wyraźnego potwierdzenia tego było już tylko grą na zwłokę.

Od tego też roku notujemy systematyczne postępy integracji Śląska z królestwem czeskim. Jeszcze w czasie trwania zjazdu wyszehradzkiego, 24 listopada 1335 r., zmarł ostatni książę wrocławski Henryk VI, a spadek po nim zagarnęli Luksemburgowie, osadzając we Wrocławiu starostę czeskiego. W dwa lata później, w r. 1337, nastąpiły nowe fakty dokonane:

zwierzchność czeską uznał niezależny dotąd Henryk jaworski, a na wakującym księstwie raciborskim osadzony został książę opawski Mikołaj z bocznej linii Przemyślidów. Nie pomogły protesty uprawnionych do dziedziczenia według prawa polskiego Piastów opolskich. Tego samego roku król czeski wydał ordynację dla Śląska, ograniczającą władzę książąt dzielnicowych na rzecz starosty wrocławskiego. Próbował też podporządkować sobie biskupa i kapitułę wrocławską, ale w tym wypadku natrafił na opór Nankera podtrzymany przez papieża.

Gdy Kazimierz Wielki ociągał się z uznaniem praw czeskich na Śląsku, Luksemburgowie uzyskali je tymczasem od Węgier. Karol Robert zobowiązał się, że w razie konfliktu o Śląsk nie poprze polskiego szwagra, sam zaś — jeśli by odziedziczył tron polski — nie tylko nigdy nie będzie się starał o odzyskanie tej ziemi, ale również nie przyjmie hołdu od Piastów śląskich w wypadku, gdyby od nich wyszła tego rodzaju inicjatywa (1338). W ten sposób Andegaweńczyk postawił znów Kazimierza w przymusowej właściwie sytuacji. W lutym 1339 r. król Polski wystawił wreszcie dokument zawierający zrzeczenie się księstw śląskich i Mazowsza płockiego, uznanie ich zależności lennej od Luksemburgów i przyrzeczenie, że nie będzie się nigdy starać o odzyskanie tych ziem.

Obrona Śląska pozostała więc w rękach samych Ślązaków, rękach zbyt słabych, by długo opierać się coraz potężniejącym Luksemburgom. Prowadził przeciw nim walkę nieugięty biskup Nanker i zdołał sprawić, że w czasach, kiedy świat już przywykł do kar kościelnych i te nie robiły już wielkiego wrażenia, iście teatralna scena wyklęcia Jana Luksemburskiego w klasztorze franciszkańskim we Wrocławiu wśród wielu wzbudziła grozę. Najbardziej miało dotknąć

przy tym króla i jego dwór nazwanie wyklętego „królikiem", którą to obelgę Nanker tak następnie skomentował: „prawdziwi królowie mają własnych arcybiskupów, którzy ich... koronują, a król Czech... sprowadzać musi obcego, zwykle arcybiskupa Moguncji, za pieniądze lub prośbami".

Rogaty książę Kościoła rozstał się jednak niebawem z życiem (1341), a jego następca Przecław z Pogorzeli był już posłusznym poddanym króla czeskiego. Ostatni punkt oporu na Śląsku stanowiło jeszcze tylko księstwo świdnickie, którego władca Bolko, siostrzeniec Kazimierza Wielkiego, utrzymywał niezależność, w czym oczekiwał pomocy ze strony Polski. Toteż król Polski zawierając w lipcu 1341 r. przymierze z domem luksemburskim wyraźnie zastrzegł, że chociaż zobowiązuje się do niesienia pomocy swoim partnerom przeciw ich wrogom, to jednak nie wystąpi ani przeciw Karolowi Robertowi, ani przeciw Bolkowi świdnickiemu. W stosunku do reszty Śląska nie tylko nie podnosił pretensji, ale dozwolił, by właśnie w Poznaniu, w dniach jego własnych uroczystości weselnych z narajoną mu przez Luksemburgów Adelajdą heską, książęta śląscy i Bolesław płocki złożyli zobowiązanie, że po śmierci króla Jana uznają za swego pana lennego jego syna, Karola morawskiego. Gdy zaś nowy książę żagański Henryk po śmierci ojca odmawiał hołdu królowi czeskiemu, Kazimierz Wielki wystąpił lojalnie jako sojusznik dawnego swego rywala i spustoszył kraj piastowskiego książątka. Nie zapomniał co prawda i o własnych interesach, gdyż zajął przy tym i zatrzymał Wschowę, niegdyś przez książąt głogowskich oderwaną od Wielkopolski. Nie upominali się zbyt mocno o jej zwrot Luksemburgowie, poważnie wówczas zadłużeni u króla polskiego.

W latach czterdziestych pozycja międzynarodowa

dynastii luksemburskiej poważnie wzrosła. Ich bliskim przyjacielem był nowy — od 1342 r. — papież Klemens VI, dawny wychowawca Karola. Przy jego pomocy podjęli Luksemburgowie próbę obalenia cesarza Ludwika i zdobycia korony cesarskiej dla własnej rodziny. Groziło to zachwianiem równowagi sił w Europie środkowej i po śmierci Karola Roberta (16 VII 1342) Andegawenowie zmienili tradycyjną orientację przechodząc na stronę cesarza, zwłaszcza że nowy papież nie szedł im na rękę w polityce włoskiej. Wówczas to Kazimierz Wielki zaczął domagać się od Luksemburgów zwrotu zaciągniętego długu, w Nowy Rok 1345 zawarł przeciw nim przymierze z Wittelsbachami, a w kilka tygodni później uwięził Karola morawskiego, gdy ten wracał przez Kalisz od krzyżaków. Rozgorzały niebawem walki na Śląsku, gdzie jako sojusznik Kazimierza wystąpił Bolko świdnicki, spodziewający się może, że król polski rozpoczyna kroki zmierzające do rewindykacji tej ziemi. Tak zresztą i dziś bez dostatecznych podstaw sądzi wielu historyków, gdy w rzeczywistości była to ze strony polskiej raczej dywersja na korzyść Wittelsbachów nie łącząca się z szerszym programem politycznym.

Toteż gdy owe niemieckie sprawy się rozstrzygnęły — po śmierci Jana Luksemburskiego (1346) i cesarza Ludwika (1347) obie ich korony znalazły się na głowie Karola morawskiego (Karola IV) — Kazimierz zawarł z Czechami pokój w Namysłowie (22 XI 1348) i odnowił traktat przyjaźni z r. 1341, przyrzekając zarazem nie upominać się o pieniądze. Wcześniej jeszcze, bo w kwietniu, Karol jako król rzymski wydał akt inkorporacji Śląska do Czech. Pozostawiony sobie Bolko świdnicki w kilka dni potem podpisał również rozejm w Legnicy i stał się odtąd

wiernym przyjacielem Karola IV, za którego wydał później bratanicę Annę, swą jedyną dziedziczkę (1353). W ten sposób ostatnie niezależne księstwo śląskie miało po śmierci Bolka przypaść Czechom. Karol IV zapewnił sobie zgodę na to wszystkich sąsiadów, także Ludwika węgierskiego, który obiecał uzyskać ją także od polskiego wuja. Tu już Kazimierz Wielki zaczął się buntować, demonstrując swoje niezadowolenie zamknięciem dróg przez Polskę kupcom śląskim. Dopiero r. 1356 przyniósł nowe uładzenie sporów z Luksemburgami; odnowiono pokój namysłowski z tym, że Kazimierz zrzekł się praw do Świdnicy uzyskując w zamian od Karola IV zrzeczenie się Mazowsza.

Odtąd sprawy przynależności politycznej Śląska w stosunkach polsko-czeskich już nie poruszano oficjalnie. Wprawdzie w r. 1364 Kazimierz Wielki objawiał chęć zerwania jakichś traktatów, w których czynił zrzeczenia terytorialne, ale nie jest wcale jasne, czy chodziło tu właśnie o Śląsk i czy strona polska traktowała te zamiary serio. To tylko pewne, że mimo znalezienia się poza obrębem królestwa polskiego, Śląsk nie stracił charakteru ziemi polskiej. Opinia publiczna w Polsce przez usta kronikarza tych czasów, Janka z Czarnkowa, potępiła książąt śląskich za to, że „swoje księstwa... wolne dotąd i nikomu pod żadnym względem nie podległe... przyjęli w lenno", co „ściągnęło na tych książąt hańbę wieczystą". Żal, że księstwo wrocławskie przeszło „w ręce obce" wyrażał też kronikarz śląski, co jest wymownym świadectwem, że ludność tamtejsza miała nadal poczucie łączności z Polską.

Gdy Śląsk został złożony przez Piastów na ofiarę ich źle pojętym interesom dynastycznym, to odzyskanie ziem zabranych przez krzyżaków zawsze figurowało wśród naczelnych celów polskiej polityki. Nie

zrealizowano go w ciągu XIV w., choć zapowiedzi te wciąż ponawiano, gdyż ewentualna wojna z Zakonem nie mieściła się w ówczesnej koncepcji dyplomacji polskiej. Po śmierci Łokietka Węgry parły do porozumienia z krzyżakami, których przedtem zwalczały jako sojuszników luksemburskich. Związki czesko-krzyżackie też się zresztą rozluźniły, odkąd Luksemburgowie znaleźli się w ostrym sporze z Wittelsbachami. Zakon Teutoński stał bliżej cesarza niż papieża, chociaż w walkę obu stron nie angażował się czynnie. W tej sytuacji także Luksemburgowie woleli położyć kres konfliktowi polsko-krzyżackiemu. Kiedy zgodzili się na to wszyscy zainteresowani, sprawa została przedłożona polubownemu sądowi królów czeskiego i węgierskiego i rozstrzygnięto ją na tym samym zjeździe w Wyszehradzie 1335 r., na którym doszło do pierwszego zbliżenia polsko-czeskiego.

Wyrok wyszehradzki pozornie kompromisowy, w istocie zaakceptował propozycje krzyżackie. W zamian za zwrot Kujaw i ziemi dobrzyńskiej Zakon miał zatrzymać Pomorze Gdańskie jako „wieczystą jałmużnę" od Polski. O to właśnie chodziło krzyżakom, którzy ani myśleli o trwałej okupacji Kujaw, traktując je tylko jako przedmiot przetargu. Istotnym przedmiotem sporu było Pomorze. Ale Pomorze darował już krzyżakom Jan Luksemburski, występujący wówczas jako król polski, toteż utrzymanie ważności tego aktu stanowiło dlań kwestię prestiżową. Dyplomacji andegaweńskiej zależało w tym momencie znacznie bardziej na Luksemburgach niż na Kazimierzu, nie zamierzała więc zrażać ich przez zbyt gorliwe popieranie polskiego punktu widzenia.

Wyrok wyszehradzki miał się uprawomocnić po jego zatwierdzeniu przez papieża, o co — według orzeczenia sędziów — powinien był się postarać król

polski. Kazimierz Wielki oficjalnie wystąpił z taką prośbą do Awinionu, potajemnie czynił natomiast zabiegi o decyzję przeciwną. Te drugie odniosły skutek. Papież Benedykt XII zganił najpierw zapadły wyrok, następnie zaś w bulli z 12 grudnia 1336 zapowiedział wzięcie sprawy we własne ręce. Ostatecznie został powołany sąd papieski, przed którym proces polsko-krzyżacki otwarto w lutym 1339 r. w neutralnej mazowieckiej Warszawie. Można się było spodziewać, że wyrok wypadnie po myśli polskiej.

W literaturze podkreśla się nieraz, że przychylność papieża dla Polski w jej ówczesnym sporze z Zakonem miała źródło w obawie o utratę opłat ze świętopietrza, które przestawały wnosić prowincje odpadające od królestwa polskiego. Nie było to zapewne bez znaczenia i atut ten polska dyplomacja wielokrotnie próbowała wygrywać w różnych sporach granicznych. O niechęci papieskiej do Zakonu decydowało jednak wówczas jego procesarskie stanowisko. Za zachętą cesarza Ludwika krzyżacy zgłosili też protest przeciw kompetencji wyznaczonego przez papieża sądu i na proces się nie stawili. Mimo to sędziowie papiescy — kardynałowie Galhard z Chartres i Piotr Gerwazy — poprowadzili normalny przewód sądowy, podczas którego skarga królewska została poparta zeznaniami 126 świadków ze wszystkich stanów. Zeznania te dokumentowały zarówno fakt zagrabienia Pomorza, jak i gwałtów i okrucieństw krzyżackich w czasie ostatniej wojny. Po przeszło półrocznym postępowaniu zapadł w Warszawie wyrok zaoczny przysądzający Polsce wszystkie ziemie sporne oraz odszkodowanie (15 IX 1339).

Zakon ani procesu, ani wyroku nie uznał, ale przewód miał dużą wymowę propagandową i jego przeprowadzenie należy zaliczyć do istotnych sukcesów

polskiej dyplomacji. Nie umniejszył go fakt, że ostatecznie Benedykt XII nie potwierdził wyroku warszawskiego i wyznaczył nowy skład sądu dla ponownego rozpatrzenia sprawy (1341). Zanim do niej doszło, namowy z zewnątrz i wewnątrz skłoniły Kazimierza do ugody z Zakonem na zasadach wyroku wyszehradzkiego. Bezpośrednie rokowania z krzyżakami zapośredniczył nowy — po śmierci Janisława — arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogoria, jako małopolanin podchodzący mniej emocjonalnie do sprawy niż jego zasłużony poprzednik.

Pokojem w Kaliszu (8 VII 1343), który miał przetrwać nienaruszony przez kilkadziesiąt lat, Kujawy i ziemia dobrzyńska wróciły ostatecznie do prawowitych władców, Pomorze zaś, ziemia chełmińska i michałowska pozostały przy krzyżakach. Układ potwierdzili ze strony polskiej przedstawiciele stanów — rycerstwa i miast — przyrzekając, że odmówią poparcia królowi, gdyby ten złamał traktat. Nie uzyskali natomiast krzyżacy zrzeczenia się pretensji do Pomorza ze strony Andegawenów jako sukcesorów tronu polskiego. Nie potwierdził też traktatu papież, co w przyszłości mogło stwarzać pretekst do zakwestionowania jego ważności.

Zarówno przed pokojem kaliskim, jak i po jego zawarciu, dyplomacja polska zabiegała szczególnie o zacieśnienie stosunków z sąsiadami państwa zakonnego. Zabiegi o pozyskanie książąt Pomorza Zachodniego doprowadziły w 1343 r. do przymierza w Poznaniu z trzema książętami wołogoskimi, utwierdzonego wydaniem córki Kazimierza Wielkiego Elżbiety za Bogusława V. W tymże roku podjęte w kurii starania o rozciągnięcie na Pomorze Zachodnie polskiej zwierzchności kościelnej przez włączenie biskupstwa kamieńskiego do prowincji gnieźnieńskiej nie

zostały wprawdzie uwieńczone pomyślnym rezultatem, ale pozostają wymownym świadectwem dążeń do przywrócenia królestwu tego kształtu terytorialnego, jaki rzeźbili pierwsi Piastowie od Mieszka I po Bolesława Krzywoustego.

Pokój z krzyżakami stworzył też przesłanki do poprawy stosunków Polski z Mazowszem. Pierwszym spośród Piastów mazowieckich, który zbliżył się do Kazimierza Wielkiego, był Bolesław Trojdenowic, pod imieniem Jerzego II panujący na Rusi halicko-włodzimierskiej. Choć trwał w sojuszu z Zakonem, już w 1338 r. zabiegał także o poparcie węgierskie i zgodził się prawdopodobnie na uznanie Kazimierza swoim następcą. Na to powoływał się w każdym razie król polski, gdy w kwietniu 1340 r. po śmierci Bolesława Jerzego, otrutego przez niechętnych mu bojarów, podążył na Ruś. W walce o dziedzictwo ruskie wspierali Kazimierza już książęta mazowieccy, chociażby po to, aby nie dopuścić do opanowania go przez Litwę. Wspólne działanie wytwarzało więzy, Mazowszanie przyzwyczajali się w królu polskim widzieć najskuteczniejszą tarczę przeciw najazdom litewskim, czego słuszność potwierdziły wypadki r. 1350, kiedy to książę litewski Kiejstut po przejściu Wisły i zniszczeniu miast mazowieckich na jej lewym brzegu, Warszawy i Czerska, został zatrzymany i pobity przez Kazimierza pod Żukowem koło Sochaczewa (20 V).

Gdy więc w następnym roku po śmierci Bolesława III płockiego, który poległ w walce z Kiejstutem, Karol IV jako pan lenny Mazowsza dał na Płock inwestyturę Henrykowi głogowsko-żagańskiemu, szwagrowi zmarłego, pozostali książęta mazowieccy, Trojdenowice czerscy i rawscy, acz także lennicy czescy, przeciwstawili się tej decyzji i poparli pretensje Ka-

zimierza Wielkiego. Ten zaś zajął Płock, unieważnił hołd księcia płockiego na rzecz Czech, jako rzekomo wymuszony, Trojdenowicom — Kazimierzowi I i Ziemowitowi III — dał w lenno ziemię sochaczewską, a zatrzymał płocką, zakroczymską i wiską, które też po jego bezpotomnej śmierci miały przypaść książętom mazowieckim. W 1355 r., po bezpotomnej śmierci Kazimierza Trojdenowica, dziedziczący po nim Ziemowit III czerski złożył w Kaliszu hołd z całego swego księstwa Kazimierzowi Wielkiemu z zastrzeżeniem, że nie zobowiązuje go to do podległości jego andegaweńskim sukcesorom.

Zabiegi u książąt mazowieckich ustawiały króla niejako automatycznie po stronie nieprzyjaciół Litwy. Z drugiej jednak strony w Polsce nie zapominano o wartości sojusznika litewskiego w zmaganiach z Zakonem i podejmowano stale próby normalizacji stosunków z Litwą. W pertraktacjach polsko-litewskich brak było jednak z obu stron szczerości. Kazimierz łudził Kiejstuta wspólną wyprawą przeciw krzyżakom, o czym w rzeczywistości nie myślał, Kiejstut zaś szafował wszelkimi obietnicami — także przyjęcia chrztu — po to tylko, by w chwilach trudnych zyskać na czasie. Z większym powodzeniem udawało się stronie polskiej budować porozumienia z innymi książętami litewskimi.

Kością niezgody pomiędzy Kazimierzem Wielkim a Litwinami była też sprawa Rusi halicko-włodzimierskiej, która przez ćwierć wieku stanowiła główny przedmiot starań królewskich.

O spadek po Bolesławie Jerzym ubiegali się wszyscy sąsiedzi: Polacy, Węgrzy, Litwini i Tatarzy. Wołyńską część księstwa zajął książę litewski Lubart, w halickiej zjawiły się najwcześniej oddziały polskie i węgierskie. Tatarzy przyszli później, wezwani przez

grupę miejscowych bojarów, liczących na utrwalenie własnych rządów oligarchicznych pod formalną tylko zwierzchnością Ordy. W tej sytuacji Polacy i Węgrzy patrząc sobie wzajemnie na ręce, by sojusznik nie uszczknął zbyt wiele z łupu, formalnie musieli występować razem. Po ich stronie była przewaga i błogosławieństwo papieskie, gdyż walkę z Tatarami uznał Benedykt XII za krucjatę. Król Kazimierz nie dopuścił do zniszczenia ziem małopolskich przez skierowane tu wojska tatarskie, zmierzających ku Lublinowi rozbił tak, że zawiedzeni szukali rekompensaty w łupieniu samej Rusi. Ochłodli więc dla nich bojarzy, ich przywódca, wojewoda przemyski Dymitr Dietko ujrzał możliwość zachowania rządów w oparciu o Polskę i Węgry. Z ramienia obu tych państw, które w 1341 r. obejmowały kondominium nad Rusią halicką, został starostą tego kraju, a faktycznie niemal udzielnym jego książątkiem. Łupem Kazimierza stała się wówczas tylko ziemia sanocka i Rzeszów.

Kazimierz Wielki tolerował Dietkę tylko jako mniejsze zło w porównaniu z ewentualnym zajęciem Rusi przez któregoś z silniejszych konkurentów, choćby nim byli nawet zaprzyjaźnieni Węgrzy. O zwolnienie go z przysięgi danej Dietce i bojarom postarał się u papieża natychmiast po jej złożeniu. Aby jednak podjąć samodzielną próbę opanowania Rusi musiał czekać jeszcze osiem lat. Dopiero w 1349 r., zabezpieczony od gróźb ze strony czeskiej czy krzyżackiej, bez porozumienia z Węgrami uderzył na Ruś i w krótkim czasie zajął nie tylko księstwo halickie, ale wyparł Litwinów z Włodzimierza i Brześcia, godząc się zostawić Lubarta w Łucku, ale pod własnym zwierzchnictwem.

Andegawenowie uznali fakt dokonany i w układzie z r. 1350 Ludwik węgierski wraz z bratem Stefanem

darowywali „królestwo ruskie” Kazimierzowi z tym zastrzeżeniem, że jeśli by król polski pozostawił syna, co przekreśliłoby istniejące umowy o dziedziczeniu, Węgry będą miały prawo wykupu Rusi za sto tysięcy florenów.

Wkrótce potem Litwini odzyskali jednak Wołyń. W walce z nimi Kazimierz korzystał coraz bardziej z pomocy węgierskiej, na prawo i lewo mobilizował środki pieniężne w sposób, który dziś nam wydaje się ryzykowny. Za udzielane pożyczki oddawał w zastaw ziemie: płocką — Ziemowitowi III, dobrzyńską — krzyżakom. Wielka wyprawa przeciw Litwinom w 1352 r. doprowadziła do kompromisowego rozejmu: Litwini zatrzymali Wołyń z ziemią bełską i chełmską, Kazimierz — Ruś halicką. W trzy lata później starannie przygotowana wyprawa na Wołyń, pobłogosławiona jako „krucjata” przez papieża i poparta przez Tatarów, przyniosła połowiczny tylko rezultat na skutek dywersji krzyżaków, którzy zamiast na Litwę, jak obiecali, uderzyli na Mazowsze.

Dopiero znacznie później, bo w 1366 r., wyprawa Kazimierza przyniosła mu ostateczny sukces na Wołyniu. Lubart został wówczas przy Łucku, obiecując królowi polskiemu pomoc przeciw wszystkim jego wrogom, pozostałe zaś grody wołyńskie przechodziły pod zwierzchnictwo Kazimierza, który Krzemieniec i Olesko włączył do Rusi halickiej, a inne dał w lenno przychylnym sobie książętom litewskim: Aleksandrowi Koriatowiczowi i Jerzemu Narymuntowiczowi.

Już jednak ok. 1355 r. zarysował się wyraźnie nowy kształt terytorialny państwa polskiego, rezygnującego z rewindykacji prowincji najbardziej zachodnich — Pomorza nadodrzańskiego i Śląska — odkładającego na bliżej nieokreśloną przyszłość upomnienie się o Pomorze Gdańskie, zwróconego natomiast na po-

łudniowy wschód, ku ziemiom, przez które wiódł szlak czarnomorski. Kontrola nad nim przynosiła monarchii poważne zyski, a wpływała też na rozwój handlu krajowego, rozkwit miast i pomyślność gospodarczą całego kraju, ograniczaną tylko bezwzględną polityką fiskalną króla. Dawała też w ręce oręż dyplomatyczny; zamykanie przez Kazimierza Wielkiego przed kupcami ze Śląska, z Czech lub z terenów państwa zakonnego drogi przez Lwów, który wyrósł na największy ośrodek handlowy wśród miast ruskich, okazywało się skutecznym środkiem nacisku tak na Karola IV, jak i na krzyżaków. Okrężną drogą trzeba nieraz realizować cele polityczne i prymitywny byłby sąd upatrujący przyczynę utraty Śląska i Pomorza w zaangażowaniu się Kazimierza w walkę o Ruś.

Niepomyślne było co innego. Oto korzyści ze zdobytej dużym nakładem sił i środków prowincji miały tylko przez niedługi czas przypadać Polsce. Zgodnie z układem z r. 1350 po śmierci Kazimierza Wielkiego Ruś halicką obejmowaliby w swe władanie Węgrzy. Wprawdzie ówcześni kierownicy polityki polskiej odnosili się do zobowiązań traktatowych dość swobodnie, a w sporze o Ruś z Węgrami sprzyjałby im fakt, że przedmiot sporu trzymali w garści, ale wywiązanie się takiego sporu wykluczała perspektywa sukcesji andegaweńskiej na tronie polskim. Zbyt wiele znaczącą instytucją w ówczesnej monarchii był sam monarcha, by taką grę można było prowadzić wbrew niemu, a trudno by było domagać się od Ludwika, by jako król polski działał na niekorzyść samego siebie jako króla węgierskiego.

Toteż właśnie ok. 1355 r. daje się zaobserwować w Polsce słabnięcie wpływów andegaweńskich. Wyrasta stronnictwo, które zajmuje wobec sukcesji andegaweńskiej stanowisko niechętne i rade by ją —

jeśli nie obalić — to przynajmniej ograniczyć do przemijającego epizodu.

Ujawniło się to już pewnym oporem stanów wobec układu budzińskiego z 23 stycznia 1355 r. Ich zgodę na koncesje Kazimierza wobec Andegawenów musiał Ludwik okupić wydanym następnego dnia przywilejem, zapowiadającym znaczne ograniczenie władzy królewskiej na rzecz stanów — rycerstwa i miast — po jego wstąpieniu na tron polski.

W tym czasie zmarli obydwaj główni poplecznicy Andegawenów w otoczeniu królewskim: Spytko z Melsztyna i Zbigniew ze Szczyrzyca. Urząd kanclerski po tym ostatnim objął wykształcony legista Jan Suchywilk ze Strzelec, Grzymalita, przeciwnik andegaweńskiego kierunku polityki. W życiu państwowym coraz częściej było widać Wielkopolan, odnoszących się zawsze do związków z Andegawenami z wielką rezerwą; wśród nich był Janko z Czarnkowa, w przyszłości autor wrogiej Andegawenom kroniki, archidiakon gnieźnieński, pod koniec panowania Kazimierza Wielkiego podkanclerzy królewski (od 1364).

Ochłodzeniu — ledwo zresztą dostrzegalnemu — stosunków polsko-węgierskich towarzyszył wzrost uroku Karola IV w Polsce. Liczne podobieństwa między rządami Kazimierza Wielkiego w Polsce a znakomitego Luksemburga w Czechach nie są może tylko przypadkową zbieżnością działań dwóch wybitnych jednostek w analogicznych warunkach, ale też wynikiem świadomego naśladownictwa. W stosunkach obu państw nastąpiło zbliżenie, król czeski (i cesarz) udzielał poparcia akcjom polskim na południowym wschodzie, obietnicą zbrojnej pomocy pozwalał uprawiać wobec krzyżaków politykę szantażu, stanowił wreszcie asekurację na wypadek, gdyby skryte za formalnie

najserdeczniejszym sojuszem sprzeczności polsko-węgierskie miały zaostrzyć się w sposób widoczny.

Polityka polska ostatniego piętnastolecia panowania Kazimierza Wielkiego zmierzała bowiem coraz wyraźniej do pozbawienia Andegawenów spodziewanych przez nich korzyści z układu sukcesyjnego. Zadowalający się długo pobocznymi miłostkami i odsunięciem od siebie niemiłej i bezpłodnej Adelajdy heskiej, król przeprowadził z nią teraz rozwód, by w 1363 r. z nowego małżeństwa z Jadwigą, córką księcia żagańskiego, starać się jeszcze o legalnego syna. Gdy zaś po urodzeniu się trzech córek stracił już nadzieję doczekania się upragnionego następcy, adoptował w r. 1368 ulubionego wnuka, księcia Kaźka słupskiego, syna Elżbiety i Bogusława V.

Trudno wątpić, że adopcja Kaźka miała mu utorować drogę do tronu polskiego. Istniał w tym względzie, jak się zdaje, pomysł najbardziej zaciekłych wrogów orientacji prowęgierskiej, by użyć owej adopcji jako pretekstu do całkowitego przekreślenia praw przyrzeczonych Ludwikowi w układzie budzińskim. Rozsądniejsi tak daleko się nie posunęli. Zaprzeczenie korony polskiej Ludwikowi nie wydawało się zresztą potrzebne. Słabe zdrowie króla węgierskiego i nieposiadanie przez niego synów rokowało nadzieję, że jeśli nawet przeżyje on Kazimierza Wielkiego, to nie o wiele, na nim zaś dynastia andegaweńska wygaśnie i otworzą się widoki na sukcesję Kaźka.

Aby ją zabezpieczyć, kierujący polityką polską przedstawiciele obozu antywęgierskiego, wytrawni przy tym legiści, uciekli się do takiej interpretacji uprawnień królewskich w stosunku do poszczególnych ziem polskich, która by władzę Andegawena w Polsce jak najbardziej ograniczyła terytorialnie. Za kraje Korony Królestwa Polskiego uznano mianowicie tylko

Małopolskę i Wielkopolskę oraz utracone Pomorze; do tego więc obszaru odnosić się miały zobowiązania króla i stanów wobec Ludwika. Pozostałe ziemie podległe Kazimierzowi Wielkiemu znajdowały się według tej teorii poza monarchią; były osobistą własnością króla. Do niej zaliczano Łęczyckie i Sieradzkie, następnie ziemię dobrzyńską i części Kujaw odziedziczone przez Kazimierza po zmarłych bezpotomnie braciach stryjecznych, a wreszcie odzyskaną w r. 1368 od margrabiów brandenburskich część Nowej Marchii z grodami Wałczem, Drahimem i Czaplinkiem. Nie należała też do Korony Królestwa Polskiego Ruś halicka, którą określano jako odrębne Królestwo Ruskie, ani ziemie mazowieckie. Z tych ostatnich Mazowsze płockie miało po śmierci Kazimierza Wielkiego przypaść Ziemowitowi III, który był lennikiem tylko króla, a nie Korony, i to z wyraźnym zastrzeżeniem, że prawa do zwierzchności lennej nad Mazowszem nie przejdą na Andegawenów.

Zrealizowana intryga antyandegaweńska polegała na tym, że swoje dziedziczne ziemie — z niewielką poprawką w rejonie północnej Wielkopolski — zapisał Kazimierz Wielki w testamencie Kaźkowi. O ile istnieją uzasadnione przypuszczenia, że na adopcję Kaźka król uzyskał uprzednio zgodę — kwaśną zapewne — Ludwika, o tyle treść testamentu, spisanego na dwa dni przed śmiercią, stanowiła całkowite zaskoczenie. Przez zapis dziada zyskiwał książę słupski bardzo mocną pozycję w Polsce, zwłaszcza że łączyły go bliskie więzy z Mazowszem, skąd po śmierci pierwszej żony Litwinki, córki Olgierda Kenny, wybrano mu następną — Małgorzatę, córkę Ziemowita III — z którą zaślubiny odbyły się w tymże czasie, co adopcja księcia przez króla polskiego. Za Kaźkiem stali też Luksemburgowie: jego siostra Elżbieta była mał-

żonką Karola IV, a na kilka miesięcy przed śmiercią Kazimierza Wielkiego książę słupski zawarł z cesarzem porozumienie przewidujące współdziałanie w celu opanowania Brandenburgii.

W sformułowaniu kronikarza tych lat, a zarazem czynnego aktora na ówczesnej scenie politycznej, Janka z Czarnkowa, w Polsce stanęły naprzeciw siebie dwa stronnictwa: węgierskie i „narodowe" (*pars terrigenarum*). W rzeczywistości chodziło o rywalizację dwóch orientacji: andegaweńskiej i luksemburskiej. Ta druga miała w Polsce już półwiekową tradycję, ale do niedawna właśnie jej przeciwnicy stroili się w pióra patriotyczne, na nowych dynastów czeskich i ich popleczników wskazując jako na „Niemców". Że — zarówno w odniesieniu do kosmopolitycznego przedstawiciela francuskiej kultury rycerskiej Jana Luksemburskiego, jak tym bardziej do „ojca Czech i ojczyma Niemiec" Karola IV — kwalifikacja to niepoważna, przypomniał niedawno w swej przedśmiertnej pracy Józef Sieradzki. Wyjaśnialiśmy już jednak, że w ówczesnym żargonie politycznym termin „Niemiec" miał specyficzne znaczenie. W zmienionych okolicznościach, jeszcze zapewne za życia Kazimierza Wielkiego, owi „Niemcy" przedzierżgnęli się bez trudu właśnie w obóz „narodowy", piętnując stronników andegaweńskich jako wysługujących się obcej sprawie.

W r. 1364 Kazimierz Wielki starał się u papieża o zwolnienie od przysiąg chroniących niekorzystne dla Polski traktaty. Zważywszy na to, że nie gotował się wówczas do zrywania umów ani z Czechami, ani z Zakonem, można by w tym upatrywać chęć uwolnienia się od zobowiązań wobec Andegawenów. Przed r. 1369 były czynione z inicjatywy najbardziej zainteresowanego Karola IV, ale przecież nie bez akcep-

tacji króla polskiego, próby wysunięcia praw sukcesyjnych córek Kazimierza przed prawa syna Elżbiety Łokietkówny. Awinion zbyt mocno był jednak związany z domem Andegaweńskim, by na to przystać. Sukcesji Ludwika w Krakowie obalić się nie dało. Ale sztych zadany przez umierającego króla był jeszcze jedną próbą odarcia siostrzeńca ze spodziewanych korzyści.

Ludwikowi manifestującemu bardzo gorliwie żałobę po zgonie wuja nie wypadało kwestionować jego ostatniej woli. Ostatecznie zresztą sam mniej się zapewne obawiał Kaźka niż polscy przywódcy partii andegaweńskiej. Obalenie testamentu zmarłego króla przeprowadził... sąd ziemski sandomierski, którego kompetencje i sposób uzasadnienia wyroku budziły wątpliwość nawet w zainteresowanym Ludwiku. Kaźkowi ofiarowano tylko ziemię dobrzyńską oraz grody Bydgoszcz, Złotów i Wałcz jako lenno od króla i Korony Królestwa Polskiego.

Kaźko ku zawodowi swoich zwolenników wziął, co mu dawano, najdalszy od myśli podejmowania walki z Ludwikiem. Dał się w tym celu użyć najbliższy krewny Kazimierza Wielkiego po mieczu, książę gniewkowski Władysław Biały. W chwili śmierci króla był on mnichem w Dijon, a swoją dzielnicę ustąpił był Kazimierzowi. Po jego zgonie zgłosił się jednak z pretensjami do spadku, ale stwierdziwszy, że szanse na sukces są nikłe, zadowolił się wytargowaniem w Budzie odszkodowania za księstwo gniewkowskie. Dopiero w r. 1373, przeceniwszy siłę opozycyjnego wobec Ludwika nurtu w Wielkopolsce, podjął walkę zbrojną, lecz po chwilowym sukcesie na Kujawach został przez wojska królewskie pobity i schronił się za granicę. Ponowił próbę w dwa lata później, podstępem opanował Złotorię i siał zamęt przez kilka

miesięcy. Oblężony w Złotorii przez przeważające siły, zrezygnował po długich targach z wszelkich pretensji terytorialnych w zamian za nowe odszkodowanie pieniężne. W ostatniej fazie walk z Władysławem Białym poległ występujący jako lennik Ludwika Kaźko słupski.

Ludwik węgierski objął tron polski przyjmując między innymi zobowiązanie, że siłami królestwa węgierskiego i własnym kosztem przywróci dawne granice królestwu polskiemu. Jedynym jednak osiągnięciem jego w tym kierunku było złączenie z królestwem ziemi sieradzko-łęczyckiej i Kujaw, które jego poprzednik traktował — jak wyżej wywodziliśmy — nieco inaczej. O żadnych innych rewindykacjach terytorialnych nowy król ani myślał, potwierdził zrzeczenie się Śląska na rzecz Czech, a z krzyżakami utrzymywał stosunki lepsze niż kiedykolwiek przedtem. Dopuścił natomiast do strat; Brandenburgia zagarnęła odebrany przez Kazimierza Wielkiego Santok i Drzeń, a Litwini pochwycili najpierw ziemię włodzimierską (1370), później zaś zawładnęli przejściowo chełmską i bełską (1376).

Ruś halicką oderwał od Polski sam król. Wprawdzie i za jego poprzednika stanowiła ona formalnie osobne królestwo złączone z polskim tylko osobą wspólnego monarchy, ale nawet o tej teorii nieraz zapominano, praktycznie zaś Lwów i Przemyśl należały do tego samego państwa co Kraków i Poznań. Ludwik, będąc w Polsce królem elekcyjnym, podkreślał swe dziedziczne prawa do Rusi i powierzył ją rządom osobnego namiestnika księcia Władysława opolskiego, co prawda nawet Piastowica, ale z własnego wyboru dostojnika węgierskiego (1372). W kilka lat później (1377) Ruś została poddana normalnemu systemowi administracji węgierskiej, a Opolczyk

otrzymał w zamian księstwo gniewkowskie oraz lenno opróżnione przez poległego Kaźka.

Tarcia między Ludwikiem, zastępującą go w Polsce Elżbietą Łokietkówną oraz nową małopolską ekipą rządzącą z Zawiszą z Kurozwęk na czele a wielkopolską opozycją antyandegaweńską groziły też nieraz oderwaniem się najstarszej ziemi polskiej od coraz bardziej krakowskiego królestwa. Talenty dyplomatyczne Andegawenów zapobiegły temu na okres życia Ludwika. Po jego śmierci (1382), mimo udzielonej wcześniej przez stany zgody na sukcesję wyznaczonej przez dwór andegaweński córki królewskiej, doszło do rozdwojenia. Mąż przewidzianej na tron polski Marii, Zygmunt Luksemburski, wówczas margrabia brandenburski, nie cieszył się popularnością i jego osoba, zamiast skupić przy sobie tak stronników andegaweńskich, jak luksemburskich, przyczyniła się nieomal do przekreślenia obietnic danych Ludwikowi. W niechęci do Zygmunta kraj był dość jednomyślny, ale Małopolan usatysfakcjonowała decyzja skierowania na tron polski najmłodszej królewny, Jadwigi, podczas gdy znaczna część Wielkopolan domagała się całkowitego zerwania z domem andegaweńskim i wysuwała kandydaturę księcia płockiego Ziemowita IV. Ten, choć w 1383 r. opanował Kujawy i wkroczył do Wielkopolski, gdzie na zjeździe w Sieradzu okrzyknięto go królem, musiał skapitulować wobec przewagi wojskowej stronnictwa andegaweńskiego, wspieranego przez Węgrów.

Jadwidze, koronowanej w 1384 r. na króla Polski, wybrali panowie małopolscy męża w osobie aktualnego wielkiego księcia Litwy, Jagiełły, odrzucając zarówno przeznaczonego jej jeszcze przez ojca księcia austriackiego Wilhelma, jak i mazowieckiego Ziemowita. Był to wybór trzeźwy. Nikt inny nie mógł być

w równym stopniu zainteresowany polskim programem rewindykacyjnym, obejmującym postulat odebrania Węgrom Rusi halickiej a krzyżakom Pomorza.

Zgodnie z hierarchią celów uznawaną przez małopolską grupę rządzącą najpierw zatroszczono się o Ruś. Ledwo więc po wstępnych pertraktacjach ochrzczony w Krakowie Jagiełło — od tej chwili Władysław — poślubił Jadwigę i został koronowany (1386), skierowano wyprawę na ten kraj. Nieustabilizowane wciąż po śmierci Ludwika stosunki na Węgrzech sprawiły, że z tej strony nie napotkano przeciwdziałania. Przemyśl i Lwów poddały się łatwo Jadwidze, pewien opór Halicza przełamały posiłki litewskie (1387).

W tymże roku przybył do Lwowa wojewoda mołdawski Piotr I, by złożyć hołd lenny parze królewskiej, a w dwa lata później opiece monarchii polsko-litewskiej poddały się też — choć na niedługo — Multany (południowa Wołoszczyzna). Odcięta od Bałtyku szukała Polska wyjścia na Morze Czarne.

W 1395 r., po bezpotomnej śmierci Marii Andegaweńskiej, Jadwiga wystąpiła także z pretensjami do korony węgierskiej zaprzeczając praw do niej owdowiałemu Zygmuntowi Luksemburskiemu. Był to jednak raczej szantaż wobec tego monarchy, podjęty po to, by skłonić go do zerwania z nieprzyjaciółmi Polski i wyrzeczenia się dążeń do wyparcia jej wpływów z Mołdawii. Gdy cel ów dyplomacja polska osiągnęła, zaprzestano dywersji na Węgrzech.

W stosunku do krzyżaków Polska dokładała na razie starań, by utrzymać stosunki pokojowe, choć Zakon poczynał sobie dość agresywnie, mobilizując przeciw Jagielle opinię europejską i nie tając, że nie rezygnuje z dążeń do podboju Litwy. Ustępliwa postawa Jadwigi i stojącego za nią ugrupowania spra-

wiała, że w toczącej się grze dyplomatycznej inicjatywa należała do krzyżaków. Jeśli ich niewątpliwą porażką było dojście do skutku sojuszu polsko-litewskiego, to od tej pory zaczęli odnosić same sukcesy. Udało im się zwłaszcza rozerwać zmontowany za czasów Kazimierza Wielkiego pierścień sprzymierzeńców Polski otaczający do niedawna posiadłości zakonne.

Chwiejna była więc postawa książąt zachodniopomorskich w konfliktach polsko-krzyżackich, choć niektórzy z nich pospieszyli z hołdem lennym Jagielle. Z książąt mazowieckich zawiedziony pretendent do tronu polskiego i ręki Jadwigi Ziemowit IV płocki nie należał na pewno do przyjaciół króla, a jego starszy brat, Janusz czerski, choć nie brał udziału we wrogich knowaniach, przecież nie kwapił się do odnowienia stosunku lennego.

W obozie otwartych wrogów Królestwa znalazł się Władysław Opolczyk. Wraz ze swoimi bratankami, książętami opolskimi, między którymi był też zawiedziony w oczekiwaniach na paliusz arcybiskupi biskup kujawski Jan Kropidło, stał się duszą intryg, wiodących do stworzenia antypolskiej koalicji, i rozsnuwał przed Zygmuntem Luksemburskim plany rozbioru ziem królestwa między Zakon, Brandenburgię, Węgry i książąt śląskich. Z dzierżonych przez siebie ziem na północy Polski oddał krzyżakom w zastaw ziemię dobrzyńską (1392). Rozgromienie Opolczyka przez wojska królewskie związało na powrót Kujawy z głównym kompleksem ziem polskich (1396). O zwrot ziemi dobrzyńskiej Jadwiga bezskutecznie pertraktowała z krzyżakami.

Sojusz polsko-litewski też nie okazał się w pierwszych kilkunastu latach groźny dla Zakonu. Różnice między stroną polską a litewską w interpretacji za-

sad wzajemnego stosunku oraz niechęć Krakowa do zbrojnego mierzenia się z krzyżakami sprawiły, że Litwa przez długi czas pozostawała w gruncie rzeczy samotna wobec najazdów. Od 1392 r. skupiający w swym ręku rządy w Wielkim Księstwie Litewskim brat stryjeczny Jagiełły, Witołd, doszedł więc na własną rękę do porozumienia z Zakonem oddając mu w 1398 r. Żmudź w zamian za poparcie planowanej przez niego wyprawy przeciw Tatarom (traktat na Ostrowie Salińskim).

Dopiero przełomowe lata XIV i XV w. zmieniły sytuację. Rok 1399 przyniósł śmierć Jadwigi (17 VII) i klęskę wyprawy Witołda nad rzeką Worsklą (12 VIII), a oba te fakty ułatwiły uładzenie stosunków polsko-litewskich. Umocniony na tronie polskim Władysław Jagiełło, który stał się teraz samodzielnym monarchą a nie przydatkiem do „przyrodzonej pani królestwa polskiego", jak tytułowano Jadwigę w aktach oficjalnych, mógł teraz sformułować doktrynę, że „wojna z Litwą — to wojna z Polską". Posiłkował więc Witołda w jego wojnie z Zakonem w latach 1401 - 1403, a kończący ją pokój w Raciążu (1404) zawrzeć musieli krzyżacy z obydwu sprzymierzonymi państwami. Zgodzili się wtedy m.in. na wykup przez Polskę zastawionej przez Opolczyka ziemi dobrzyńskiej, co też niebawem nastąpiło (1405).

Przed zwrotem ziemi dobrzyńskiej dostali jednak krzyżacy od Zygmunta Luksemburskiego tytułem zastawu Nową Marchię (1402). O należący do niej Drzeń rozpalił się nowy spór między Polską a Zakonem. W jego atmosferze, wobec nieustępliwości obu stron, tendencje pojednawcze w stosunku do krzyżaków z wolna traciły na popularności, tak że gdy w 1409 r. doszło do wojny Witołda z Zakonem o Żmudź, Jagiełło nie miał większych trudności w przekonaniu

panów polskich o konieczności wywiązania się z obowiązków sojuszniczych. Oferty krzyżaków, skłonnych nawet do ustępstw na korzyść Polski, byle tylko utrzymać ją w postawie neutralnej, odrzucono w lipcu 1409 r. na zjeździe generalnym w Łęczycy.

W odpowiedzi na to Zakon zadeklarował, że znajduje się w stanie wojny z Polską i jednocześnie zajął ziemię dobrzyńską. Odwlekane od śmierci Władysława Łokietka starcie doszło do skutku.

„Wielka wojna" 1410 - 1411 r. miała zmienne koleje. Starcie w polu przyniosło połączonym siłom polsko-litewskim sukces olbrzymi, jeden z największych w dziejach obu państw. W bitwie pod Grunwaldem, 15 lipca 1410 r., doborowe hufce krzyżackie, posiłkowane nadto przez kwiat rycerstwa zachodnioeuropejskiego, uwiedzionego zakonną propagandą, zostały rozgromione. Wśród poległych ciał, które zasłały pole bitwy, znaleziono też zwłoki wielkiego mistrza Zakonu, Ulryka von Jungingen. Ci, co wyszli z życiem, a nie dostali się do niewoli, rozpierzchli się. Potężna armia uległa prawie doszczętnemu zniszczeniu.

Ale pod Świeciem pozostało nietknięte 3 tysiące jazdy krzyżackiej, nie biorącej udziału w bitwie, które dowodzący teraz wojskami zakonnymi komtur Heinrich von Plauen odprowadził szybko do Malborka. Umocnień tej twierdzy nie przełamało dwumiesięczne oblężenie. Państwo zakonne ocalało.

I nie tylko ocalało, ale utrzymało zagarnięte polskie ziemie. Zawarty w Toruniu pokój (1 II 1411) sprowadzał konsekwencje przegranej przez krzyżaków wojny do odszkodowania pieniężnego, które Zakon miał wypłacić Polsce.

Kilkakrotnie jeszcze w latach panowania Władysława Jagiełły dochodziło do zbrojnych starć polsko-

-krzyżackich. Nie podejmowano ich jednak ze strony polskiej z myślą o rewindykacji Pomorza. Walki te z obu stron prowadzono w celu związania przeciwnika, utrudnienia mu działań na innej scenie. Tak więc jako sojusznicy Zygmunta Luksemburskiego, który po bracie Wacławie odziedziczył tron czeski, ale spotkał się tam z powstaniem narodu pod sztandarem ruchu husyckiego, uderzyli krzyżacy na Polskę w 1422 r., aby powstrzymać Jagiełłę przed aktywnym poparciem powstańców, proponujących koronę czeską to królowi polskiemu, to Witołdowi. Brak sukcesów skłonił rychło napastników do rokowań i tego samego jeszcze roku stanął pokój nad Jeziorem Melneńskim, na mocy którego wróciła do Polski Nieszawa i kilka mniejszych grodów. W 1431 r., korzystając ze starcia Polski z następcą nieżyjącego już Witołda, Świdrygiełłą, wtargnęli krzyżacy na Kujawy i ziemie wielkopolskie, pustosząc kraj; odwetowa wyprawa polska w 1433 r. dotarła aż po Gdańsk, także siejąc zniszczenia. Mimo prowadzonych potem rokowań pokojowych krzyżacy nadal wspomagali Świdrygiełłę, czemu kres położyła dopiero poniesiona przez nich klęska pod Wiłkomierzem (1 IX 1435), po której spiesznie zawarto pokój w Brześciu, nie pociągający za sobą poważniejszych zmian granicznych.

Pokój ten przetrwał nienaruszony przez lat dziewiętnaście. Nie szukał już zwady Zakon, zrażony powtarzającymi się od czasu Grunwaldu porażkami, niezdolny do odbudowania swej minionej potęgi militarnej, niepewny własnych poddanych, skłaniających się ku związkom z Polską. Zadowolona ze spokoju na północnej granicy była też oficjalna polityka polska, zaabsorbowana trudnościami ułożenia stosunków z drugim państwem jagiellońskim — Litwą, zainteresowana wydarzeniami u sąsiadów południo-

wych w Czechach i na Węgrzech, gdzie po wygaśnięciu Luksemburgów (1437) otwierały się perspektywy wprowadzenia na opróżnione trony Jagiellonów. O tym, że sprawa przynależności państwowej Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej nie przestała być aktualna, zadecydowała wówczas postawa ludności tych ziem.

Na przełomie XIV i XV w. rozwój gospodarczy państwa zakonnego uległ wyraźnemu zahamowaniu, a załamanie się polityki podbojów, przypieczętowane klęską grunwaldzką, wpędziło je w krytyczną sytuację finansową, która pogłębiła się jeszcze po spustoszeniach wojennych r. 1433. Próbą wyjścia z rosnących trudności był zwiększony ucisk fiskalny stosowany przez Zakon w stosunku do wszystkich bez wyjątku warstw społecznych. Rodziło to opozycję stanów, które dobijały się współuczestnictwa w rządach krajem i po r. 1410 ograniczyły w pewnym stopniu samodzielność Zakonu, nie tak jednak bardzo, jak to postulowały i czego przykład miały w sąsiedniej Polsce. Jednocześnie rosły gospodarcze związki Pomorza z ziemiami wchodzącymi w skład państwa polskiego, gdyż po zniszczeniach wojennych państwo krzyżackie zdane było na import zboża i drzewa, a częściowo także wyrobów rzemiosła, których głównym dostawcą stały się Kujawy, Mazowsze i Wielkopolska. Te powiązania łącznie z rosnącą niechęcią do Zakonu czyniły w społeczeństwie pomorskim coraz popularniejszą myśl o zjednoczeniu politycznym z Polską.

Wyrazicielem tej tendencji stał się założony 14 marca 1440 r. Związek Pruski, konfederacja rycerstwa i miast pomorskich. Powołany pierwotnie do obrony interesów stanowych, a w pewnych okresach chwiejny w swym stosunku do władz zakonnych, stopnio-

wo przechodził do coraz ostrzejszej opozycji i gdy zagroziły mu sankcje, zaczął szukać pomocy w Polsce. W połowie 1452 r. Polska występowała już niedwuznacznie jako protektor Związku i oficjalnie ostrzegała Zakon, że król polski nie pozostanie obojętny wobec skarg, jakie mu przedkładają poddani krzyżaccy. Nie bez zachęty umacniającego się na tronie polskim Kazimierza Jagiellończyka (1447 - 1492) doszło wreszcie 4 lutego 1454 r. do wypowiedzenia posłuszeństwa wielkiemu mistrzowi przez kierownictwo Związku, działające w imieniu wszystkich poddanych Zakonu. Skonfederowani przypuścili w całym kraju szturm na zamki krzyżackie i w ciągu miesiąca większość z nich opanowali. Poselstwo Związku, któremu przewodniczył rycerz pomorski Jan von Bayssen (Bażyński), przyjęte 20 lutego w Krakowie przez króla, złożyło mu prośbę o przyłączenie Prus i Pomorza do ziem koronnych.

Po pertraktacjach, w których spierano się o rozmiary przywilejów, jakie miały być zagwarantowane stanom pruskim, 6 marca 1454 r. król wydał uroczysty akt inkorporacji ziem zakonnych, który zarazem stwierdzał likwidację państwa krzyżackiego. Niebawem też zjawił się Kazimierz Jagiellończyk na Pomorzu — w Toruniu i Elblągu — by odebrać hołd i przysięgę wierności od nowych poddanych.

Realizacja aktu inkorporacji przewlekła się przez lat trzynaście, tyle bowiem czasu trwał opór krzyżacki. Zawarty po tej długiej wojnie traktat pokojowy w Toruniu (19 X 1466) potwierdzał inkorporację dawnych ziem zakonnych do Korony, część z nich jednak wschodnią pozostawiono krzyżakom jako lenno, z obowiązkiem składania przez każdorazowego wielkiego mistrza Zakonu hołdu królowi polskiemu. Część zachodnia: Pomorze Gdańskie, ziemia chełmiń-

ska i michałowska oraz Warmia przechodziły pod bezpośrednie panowanie polskie.

Stworzono w ten sposób kontur granic państwa polskiego, który na północy, zachodzie i południu przetrwał bez zasadniczych zmian przez następne wieki aż po rozbiory. Pomorze Zachodnie i Śląsk pozostały na zewnątrz tej linii. Zmienił się poważnie kształt terytorialny państwa, rozciągniętego teraz w kierunku południowo-wschodnim i coraz bardziej konsekwentnie aspirującego do obejmowania swym władaniem coraz nowych terytoriów na wschodzie.

KU RZECZYPOSPOLITEJ SZLACHECKIEJ

W inaczej geograficznie ukształtowanym państwie zmieniały się też proporcje społeczne. Pod panowaniem obcym znalazły się najbardziej zurbanizowane prowincje Polski, a więc przede wszystkim Śląsk, a także Pomorze z ziemią chełmińską. Największe miasta Małopolski i Wielkopolski doznały klęski w walce z Łokietkiem i nie odzyskały już tej roli politycznej, jaką grały na przełomie XIII i XIV w. Wprawdzie rządy Kazimierza Wielkiego i Andegawenów otoczyły je opieką, a na XIV w. przypadło największe nasilenie lokacji miast w Małopolsce, wprawdzie opanowanie Rusi halickiej stworzyło warunki przychylne dla rozkwitu gospodarczego Krakowa i Sandomierza, a na przyłączonym obszarze — Lwowa, ale równowaga stanów została już naruszona i w wyścigu o wpływ na kształtowanie losów państwa stan mieszczański zostawał coraz bardziej w tyle.

Nie od razu było to widoczne. Pomyślna koniunktura gospodarcza, związana w szczególności z ożywieniem się handlu z wybrzeżami Morza Czarnego, sprawiła, że mieszczaństwo nigdy przedtem ani potem nie

imponowało takimi bogactwami, jak właśnie w XIV i XV w. Symbolem tego dobrobytu stała się słynna „uczta Wierzynka”, wspaniałe przyjęcie, które patrycjusz krakowski wyprawił dla monarchów goszczących u Kazimierza Wielkiego na kongresie debatującym we wrześniu 1364 r. nad planem ligi antytureckiej, forsowanym przez króla Cypru, Piotra Lusignana. Szkatuła mieszczańska nieraz też zasilała skarb królewski, a ponawiane wciąż rozporządzenia wymierzone przeciw zbytkowi w miastach są nie tylko świadectwem obyczajowości, ale i poziomu zamożności powszechnej.

O roli politycznej miast zdaje się świadczyć pozytywnie fakt, że występowały one za Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły w roli gwarantów traktatów międzynarodowych; po raz pierwszy w traktacie kaliskim, zawartym przez Polskę z krzyżakami w 1343 r. Ich uprawnienia do udziału w elekcji monarchy honorował jeszcze Ludwik Węgierski obejmując mieszczan zarówno przywilejem budzińskim 1355 r., jak i koszyckim 1374 r. W pierwszym z nich za uznanie własnych praw do tronu, w drugim — za zgodę na objęcie tronu polskiego przez jego córkę, zobowiązywał się do niepobierania nadzwyczajnych podatków i zatwierdzał uzyskane już dawniej przez miasta przywileje.

Krytyczne spojrzenie na wymienione dokumenty prowadzi jednak do wątpliwości, czy rzeczywiście liczono się z miastami tak, jakby na pozór z nich wynikało. Zwrócić trzeba uwagę, że spośród zawieranych przez Polskę umów międzynarodowych tylko te, których partnerem byli krzyżacy, są sygnowane także przez miasta obu państw; wydaje się więc to odbiciem znaczenia politycznego miast nie tak w królestwie polskim, jak w państwie zakonnym. Jeśli zaś

chodzi o przywileje króla Ludwika, to zastosowana w nich frazeologia dotyczy na równi mieszczan i chłopów, choć o uczestnictwie tych ostatnich w obiorze monarchy nie było mowy. Uprzywilejowanie podatkowe dobrze zagwarantowane dawały przywileje andegaweńskie tylko szlachcie; od miast zastrzegał sobie król prawo pobierania dobrowolnych danin. I to miało znaczenie, i to mogło stać się dla miast dogodnym punktem wyjścia do walki o nowe przywileje, ale jednocześnie jest to dowodem, że o równowadze stanów w Polsce XIV w. nie można mówić, że w zakresie uprawnień politycznych istniała hierarchia stanów, w której mieszczaństwo ustępowało stanom rycerskim.

Nie rzutowało to jeszcze na pozycję towarzysko-społeczną mieszczan. Pod tym względem uważano ich za równych szlachcie, międzystanowe małżeństwa były rzeczą normalną, sam król Kazimierz Wielki pojął przecież jako trzecią z kolei żonę mieszczkę praską Krystynę Rokiczana (1356), a bogate krakowianki nawet w XV w. znajdowały sobie mężów wśród Piastów śląskich i mazowieckich.

Nie było natomiast równości między samym mieszczaństwem. Istniało w miastach zróżnicowanie klasowe na patrycjat, pospólstwo i plebs, istniało też i prawne, bo tylko dwóm pierwszym klasom przysługiwało obywatelstwo miejskie. Ale i miasta między sobą różniły się potęgą i zamożnością, toteż mieszczanin krakowski czy lwowski z góry spoglądał na przedstawiciela małego miasteczka. Uwzględnić jeszcze trzeba też różnicę między bardziej niezależną pozycją mieszczan z miast królewskich z jednej strony, a coraz liczniejszych miast prywatnych z drugiej.

To wszystko sprawiało, że mieszczaństwo polskie nie potrafiło zdobyć się na solidarność stanową

i wspólnie występować na zewnątrz. Ojczyzną mieszczanina było jego własne miasto, walczył więc tylko o jego przyszłość, mało dbając o losy miast innych. Więcej: gotów był traktować inne miasta jako niewygodnych konkurentów i cieszyć się z ich niepowodzeń. Państwo ostatnich Piastów, nieufne wobec mieszczan jako siły politycznej, podsycało owe niechęci, stosując zasadę divide et impera. Już Łokietek protegował Kalisz przeciw Poznaniowi, a Nowy Sącz przeciw Krakowowi, i z tym się nie krył. Bardziej wyrafinowana dyplomacja Kazimierza Wielkiego umiała przedstawić króla i państwo jako dobrodziejów całego mieszczaństwa, ale wytyczne polityki miejskiej w gruncie rzeczy się nie zmieniły i przy tym królu. Rozdawane poszczególnym miastom przywileje ekonomiczne burzyły równość prawną miast. W dodatku, charakter takich przywilejów, jak prawo składu przy wprowadzanym jednocześnie przymusie drogowym, ograniczał bardzo udział miast nieuprzywilejowanych w wielkim handlu i płynących zeń korzyściach.

Prawo składu polegało na tym, że kupiec, przejeżdżający przez obdarzone tym przywilejem miasto, musiał wieziony towar wystawić w nim na sprzedaż. Przymus drogowy oznaczał drogi, którymi kupcy byli obowiązani przewozić towary. Przymus drogowy stał się jednym z głównych narzędzi polityki ekonomicznej Kazimierza Wielkiego. W jego stosowaniu dostrzega się zazwyczaj aspekt fiskalny — przy obowiązujących drogach rozmieszczano komory celne — oraz walkę z obcymi miastami, których przedstawicielom wyznaczano dłuższe, okrężne drogi na Ruś, podczas gdy kupcy krajowi mogli korzystać ze szlaków najkrótszych i najdogodniejszych. Przymus drogowy, służąc niewątpliwie wskazanym celom, był jednak również narzędziem polityki wewnętrznej i dawał królowi

broń przeciw nie dość uległym miastom: wystarczało pozostawić je poza liniami obowiązujących tras handlowych.

Nawet najbogatszy stołeczny Kraków, który w połowie XIV w. zaczynał się liczyć do najznaczniejszych miast europejskich, trwał w ciągłym niepokoju, by niełaska lub kaprys królewski nie stworzyły mu pod bokiem lepiej uprzywilejowanego konkurenta, czym szantażował mieszczan podwawelskich król Kazimierz, lokując w ich bezpośrednim sąsiedztwie dwa nowe miasta: Kleparz i Kazimierz.

W tych warunkach zniknął niemal zupełnie tak nabrzmiały u schyłku XIII i jeszcze na początku XIV w. problem „Niemców" w Polsce. Choć ze słownictwa nie zniknął termin „prawo niemieckie", to jednak zakaz zwracania się miast po pouczenia prawne do Magdeburga i ustanowienie krajowych instancji odwoławczych dla ludności podlegającej prawu magdeburskiemu oraz zastąpienie języka niemieckiego łaciną w ich pracy (przekład *Zwierciadła Saskiego* i *Weichbildu* na łacinę ok. 1359 r.) odebrało temu prawu posmak obcości. Przyspieszyło też asymilację żywiołów wywodzących się z Niemiec i coraz więcej Wirsingów stawało się Wierzynkami, choć wielojęzyczność ludności państwa była rzeczą naturalną w średniowieczu, gdy wspólnoty polityczne i więzi społeczne nie opierały się na wspólnotach językowych.

Wzrost roli ziem polskich w wielkim handlu przyciągał też do miast naszych, począwszy od XIV w., przybyszów z coraz to odleglejszych krajów. W szczególności wśród patrycjatu wielu miast pojawiły się rodziny włoskie. Prawdziwą wieżą Babel był Lwów, gdzie żywioł rdzenny — polski i ruski — mieszał się nie tylko z niemieckim i włoskim, ale też z orientalnym, który reprezentowali zwłaszcza Ormianie, osa-

dzeni tu jeszcze w XIII w. przez księcia Lwa i podlegający osobnym sądom wójta ormiańskiego na podstawie zwodu praw wywodzącego się z Armenii.

Licznie siedzieli też po miastach Żydzi zorganizowani w osobne gminy. Ich obecność w Polsce datuje się co najmniej od wczesnego średniowiecza. Z tego okresu znamy kolonię żydowską w Przemyślu. Od schyłku XI w. zaczęła napływać masowo do Polski prześladowana ludność żydowska z krajów Europy zachodniej. Osiedlała się ona zarówno na wsi, jak na podgrodziach i reprezentowała różne profesje. W XII w. i początkach następnego widzimy wśród nich rolników i urzędników książęcych — w szczególności mincerzy i celników, a niektórzy z nich dzierżyli nawet ziemię na prawie rycerskim. Wśród wygnańców z Zachodu coraz większy procent stanowiła ludność rzemieślnicza i kupiecka. Wielu też Żydów trudniło się operacjami kredytowymi, w którym to zawodzie nie znajdowali wielkiej konkurencji, gdyż chrześcijanom prawa średniowieczne zabraniały udzielania pożyczek na procent, kwalifikując je jako lichwę, i niewielu tylko — przeważnie bogate klasztory — wiedziało, jak te prawa można obejść. Do połowy XIII w. nie było mowy o ograniczeniach prawnych ludności żydowskiej, później zaczęły się szerzyć wierzenia, przypisujące Żydom odpowiedzialność za klęski żywiołowe, co prowadziło do sporadycznych wystąpień przeciw „niewiernym". Ale choć i ze strony legatów papieskich szły naciski, by izolować Żydów od społeczeństwa chrześcijańskiego (kardynał Gwido na synodzie wrocławskim w r. 1267), nie znajdowały one przez dłuższy czas oddźwięku, a książęta zapewniali gminom żydowskim opiekę i samorząd; w Wielkopolsce stwierdzał to przywilej Bolesława Pobożnego

(1264), na Śląsku — Bolka świdnickiego (1295) i Henryka głogowskiego (1299).

Jednym też z pierwszych aktów Kazimierza Wielkiego było zatwierdzenie przywileju Bolesława Pobożnego (1334), a następnie rozszerzenie jego zasad na całą Polskę. Nastroje w społeczeństwie nie były już jednak w XIV w. tak przychylne dla Żydów jak dawniej. Propaganda nienawiści wyznaniowej robiła swoje, zwłaszcza że padała na podatny grunt; tendencje do zamykania się stanu szlacheckiego wyeliminowały Żydów z grona posiadaczy dóbr ziemskich, w miastach zaś jedni obawiali się żydowskiej konkurencji, inni niechęć do gnębiącego ich lichwiarza przenosili łatwo na ogół jego współwyznawców. Zagrażająca w 1349 r. zaraza („czarna śmierć") spowodowała falę rozruchów antyżydowskich we Wrocławiu, Krakowie, Kaliszu i Poznaniu; powtórzyły się one w r. 1360, kiedy wielu Żydów utraciło życie, zwłaszcza w miastach śląskich, gdyż na ziemiach Królestwa Polskiego skutecznie chroniła prześladowanych opieka króla, który udzielił także chętnie azylu wypędzonym w tym czasie ze swego kraju Żydom węgierskim. Żydowskie miasteczko w Krakowie przy dzisiejszej ulicy Św. Anny, wówczas zwanej Żydowską, przeżywało mimo wszystko rozkwit i w r. 1369 zanosili do króla rajcy krakowscy gorzkie skargi na „przewagę Żydów", aż wyjednali przeniesienie ich na sąsiedni Kazimierz.

Rządy Andegawenów i Władysława Jagiełły były mniej przychylne Żydom i pod naciskiem duchowieństwa statut warcki z r. 1423 przyniósł pewne ograniczenia ich działalności gospodarczej. Do dawniejszych tradycji wracał Kazimierz Jagiellończyk, który chętnie posługiwał się Żydami w aparacie fiskalnym, a w r. 1453 potwierdził im przywileje Kazimierza

Wielkiego, choć wtedy właśnie grzmiał przeciw nim w Krakowie kaznodzieja franciszkański Jan Kapistran.

Ostatecznie Żydzi stali się odrębnym stanem, podlegającym — jak inne — określonym ograniczeniom, ale korzystającym też ze szczególnych przywilejów. Ich odrębność wyznaniowa sprawiała, że był to stan najbardziej zamknięty, bo droga do niego mogła prowadzić tylko przez przyjęcie judaizmu, co w praktyce nie było dla chrześcijan możliwe, choć tendencje tego rodzaju sporadycznie występowały.

Prawo nie odsuwało Żydów od funkcji publicznych; wielu z nich widzimy w tym okresie poborcami ceł, niektórzy wybijając się jako finansiści trafiali do grona doradców królewskich, jak Lewko syn Jordana, dzierżawca żup solnych i mennicy krakowskiej, bankier Kazimierza Wielkiego. Były to jednak kariery indywidualne, choć nie pozostawały bez wpływu na ogólne traktowanie ludności żydowskiej w państwie.

Również mieszczaństwu chrześcijańskiemu dostępne były wysokie stanowiska państwowe, też zazwyczaj łączące się z działalnością fiskalną. Na urzędzie podskarbiego najczęściej zasiadali bogaci mieszczanie, biegli finansiści, umiejętnie doskonalący organizację tej części aparatu państwowego. Nie podnosiło to jednak znaczenia stanu mieszczańskiego. Najwybitniejsi jego przedstawiciele osiągając zaszczyty utrwalali pozycję swej rodziny przechodząc po nabyciu dóbr ziemskich, prędzej czy poźniej, do szeregów szlachty i w następnych wiekach szły w zapomnienie mieszczańskie początki Bonerów, Morsztynów i wielu im podobnych.

W omawianym okresie mówienie o jednolitym stanie szlacheckim jest jeszcze uproszczeniem. Tworzył się on dopiero, a jego podstawy prawne nie były wyklarowane. Wyłaniały się one dopiero z walki, jaką

z jednej strony monarchia, z drugiej zaś zainteresowane grupy rycerstwa toczyły z poszczególnymi elementami klasycznej struktury feudalnej społeczeństwa.

Jeszcze w statutach Kazimierza Wielkiego, których data jest sporna, ale które po badaniach zmarłego niedawno Stanisława Romana skłonni jesteśmy uważać za pochodzące z ostatnich lat panowania tego króla, pojęcie rycerstwa jest znacznie szersze niż pojęcie szlachty. Do tej ostatniej zaliczano tylko członków kilkudziesięciu rodów heraldycznych, łączących rodziny możnowładcze z ich uboższymi krewniakami, a także z zależnym rycerstwem i ministeriałami walczącymi w ich drużynie, a więc pod tymi samymi znakami rodowymi (herbami). Tym się tłumaczy fakt, że liczebność owych rodów stała w prostym stosunku do znaczenia ich przywódców.

Rycerstwo nie przyjęte do rodów heraldycznych zachowało dawną nazwę włodyków. Liczebniejszą grupę stanowili oni w XIV w. jeszcze w Małopolsce, gdy w Wielkopolsce zlali się już wtedy ze szlachtą. W ciągu w. XV zniknęli także małopolscy włodycy; najuboższa część z nich może schłopiała, część wchłonęły miasta, większość zapewne została w końcu uznana za szlachtę. Przenikanie nowych elementów do szlachty nie było trudne; w procesie tak zwanego oczyszczenia szlachectwa wymagano postawienia sześciu świadków, którzy by stwierdzili pochodzenie delikwenta od przodków szlacheckich, przy czym w Małopolsce wystarczało początkowo świadectwo przedstawicieli rodu ojczystego, podczas gdy w Wielkopolsce wylegitymowaniu szlachectwa musiało służyć zeznanie dwóch świadków z rodu ojca, dwóch z rodu matki oraz dwóch postronnych. W miarę jak zanikał niepełnoprawny stan włodyczy, surowsza praktyka wielko-

polska przyjęła się na obszarze całego państwa. Nie zamknęła ona jednak dróg awansu społecznego dla jednostek ekonomicznie silniejszych, które pozyskiwały sobie potrzebnych świadków spośród ubogich herbowców w zamian za świadczenia materialne.

Ujednolicanie się stanu szlacheckiego było mile widziane przez koronę, czynnie przeciwdziałającą mediatyzacji rycerstwa. Wchodzenie klienteli możnowładczej do rodów heraldycznych równało ją prawnie z patronami i burzyło zarysowującą się już kilkustopniową hierarchię feudalną. Prawo wykluczyło niebawem możliwość dzierżenia ziemi na prawie rycerskim z nadania feudała; kto z takiego nadania korzystał, tracił prawo rycerskie i stawał się chłopem. W ten sposób rycerstwo zmediatyzowane ograniczyło się do wójtów i sołtysów wsi lokowanych na prawie niemieckim w dobrach szlacheckich; ciążyły na nich obowiązki lenne wobec pana wsi. Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego uczyniło z nich osobny stan w obrębie rycerstwa, obowiązany do konnej służby wojskowej na wezwanie króla, i próbowało poddać ich sądownictwu królewskiemu (tzw. sądom wyższym prawa niemieckiego). Miało to sprowadzić do czczej formalności zależność lenną sołtysów od panów wsi i zastąpić ją bezpośrednim ich podporządkowaniem monarsze. Budziło to opór szlachty, rodziło rozmaite konflikty i kto bardziej przedsiębiorczy z sołtysów, ten starał się sam uzyskać prawa szlacheckie. Próba stworzenia osobnego stanu sołtysiego okazała się ostatecznie nie do pogodzenia ze wzrastającym znaczeniem herbowej szlachty w państwie. Przekreślił ją wymuszony na Jagielle statut warcki z 1423 r., umożliwiając panom wsi wykup sołectw. Szlachta korzystała odtąd masowo z tego sposobu likwidacji niewygodnego dla niej problemu. W rezultacie u schyłku

średniowiecza pojęcie rycerza utożsamiło się wreszcie z pojęciem szlachcica.

Walkę z mediatyzacją rycerstwa prowadziła monarchia czerpiąc natchnienie z prawa rzymskiego. Wprawdzie, wbrew przypuszczeniom Rafała Taubenschlaga, nie doszło w Polsce do formalnej recepcji tego prawa i dojść nie mogło, gdyż mieściłoby się w niej także uznanie zwierzchnictwa cesarskiego, co znów nie godziło się z silnie podkreślaną zasadą suwerenności królestwa; wbrew jednak tym razem niektórym krytykom Taubenschlaga trzeba docenić niewątpliwy wpływ prawa rzymskiego na rozwój prawa krajowego. Formalnie artykuły statutów XIV w. wywodzą się z dawnego polskiego zwyczaju prawnego wzbogaconego jeszcze częściową recepcją prawa lennego w jego saskim wydaniu, ale sposób rozumienia pojęć prawnych kształtowała już nie tradycja, lecz prawo rzymskie. Ono urobiło sposób myślenia współrządzących monarchią Kazimierza Wielkiego legistów, a w celu upowszechnienia go w kraju fundował ów król krakowską Alma Mater, pomyślaną przede wszystkim jako szkoła prawa rzymskiego (1364) i dopiero przez Jagiełłę przekształconą w prawdziwy średniowieczny uniwersytet z uprzywilejowanym studium teologii.

Między interesem króla a interesem szlachty ujawnił się także taki konflikt, w którym nie król, lecz właśnie szlachta odwoływała się do pojęć prawa rzymskiego. Szło o interpretację dzierżenia ziemi na prawie rycerskim, o rozumienie stosunku osiadłego szlachcica do ziemi. Kazimierz Wielki stał w tej sprawie na stanowisku tradycyjnym, że król jest panem całej ziemi w państwie, a szlachta-rycerze dzierżą ją z jego łaski i to warunkowo, mianowicie w zamian za obowiązek służby wojskowej na sposób rycerski; zakres

tej służby miał być różny zależnie od wielkości dzierżonego majątku. Głosiły to statuty — wyraźniej wielkopolski — nawiązywał jeszcze do tych zasad, choć z nikłym skutkiem, Jagiełło, a nawet Kazimierz Jagiellończyk.

Konsekwencją takiego stanowiska musiało być uznanie prawa monarchy do cofania nadań, czyli do odbierania ziemi czy to w wypadku, gdy rycerz nie wywiązywał się należycie ze swych obowiązków, czy także wtedy, gdy królowi podobało się inny użytek uczynić z danej majętności. Praktyka taka była znana i niekwestionowana w ciągu XII i XIII w. Słabi książęta dzielnicowi nie za często ją jednak stosowali, a w każdym razie nie tak, by wchodzić w kolizję z tymi, o których poparcie musieli zabiegać. Tracił, owszem, majętności zdrajca czy poplecznik rywala, jeśli wpierw został pokonany, a opinia możnych prowincji zgodnie go potępiła. I wtedy jednak nie śmiał książę sięgać po ziemię, jeśli ów wydziedziczony zdążył ją alienować na rzecz jakiejś instytucji kościelnej.

Kazimierz Wielki, wielokrotnie potężniejszy od swoich poprzedników, odbierał dobra ziemskie masowo i to zarówno szlachcie, jak i duchownym. Budziło to nie tylko zrozumiałe niezadowolenie zainteresowanych, ale i protest zasadniczy, kwestionujący prawo króla do takiego postępowania. I właśnie w prawie rzymskim reprezentanci interesów szlacheckich znaleźli odpowiadające im pojęcie własności, pod które podciągali stosunek szlachcica do posiadanej dziedzicznie ziemi. Świadczenia związane z dzierżeniem ziemi na prawie rycerskim interpretowali jako obowiązki publiczno-prawne wobec państwa, a nie jako powinność feudalną wasala.

Mimo oporu króla ten punkt widzenia zwyciężył ostatecznie w okresie monarchii stanowej. Należało

do cech charakterystycznych tej formy państwa, że we władzy królewskiej widziano instytucję prawa publicznego i najwyższą reprezentację społeczeństwa, odmawiano jej zaś charakteru patrymonialnego. Za Kazimierza Wielkiego te nowe pojęcia jeszcze się nie utrwaliły; dowodem jest choćby testament królewski na rzecz Kaźka, całkowicie jeszcze z ducha dawnych czasów poczęty. Ale obalenie owego testamentu wskazuje również, że raził on już poczucie prawne warstwy rządzącej.

Legiści otaczający Kazimierza Wielkiego byli wprawdzie współautorami jego polityki wewnętrznej, ale często szukali dla niej nowych uzasadnień prawnych, nie zawsze może zgodnych z poglądami samego króla. Najwymowniejszym bodaj przykładem takiego stanowiska jest znana formuła arcybiskupa Janisława z r. 1339, według której „król Polski jest panem całej ziemi znajdującej się w obrębie królestwa i daje, komu chce, a komu chce, odbiera". Te nadrzędne prawa królewskie nie mają już jednak wynikać ze szczególnego stosunku suzerena do ziemi ani z patrymonialnej koncepcji państwa; ich źródłem jest doktryna o „pełni królewskiego majestatu", na co powoływała się kancelaria Kazimierza Wielkiego zgodnie z aktualnie głoszonymi teoriami uczonych romanistów.

Według tych teorii, panujących w kołach uczonych w połowie XIV w. i z uderzającą szybkością — jak zwrócił uwagę Jan Baszkiewicz — przyjmujących się w Polsce, monarsze przysługiwało prawo do swobodnego dysponowania dobrami poddanych, a więc także odbierania ich, jeśli tak nakazywała słuszna przyczyna — *iusta causa*. Rozumienie owej słuszności bywało rozmaite; jedni identyfikowali ją po prostu z wolą królewską, inni interpretowali ją raczej w sensie racji stanu, jeszcze inni — w sensie wymagań

sprawiedliwości obrażonej przez niegodnego posiadacza. W tym znów stanowiska monarchii i zainteresowanej szlachty rozbiegały się. Ta ostatnia, uznając w zasadzie uprawnienia monarsze, kwestionowała konfiskaty dokonywane przez Kazimierza Wielkiego jako czynione niesłusznie — *minus iuste.*

Protest przeciw nim leżał może u genezy niedostatecznie zbadanej i domagającej się pilnie monografii konfederacji rycerstwa wielkopolskiego z 1352 r., skierowanej formalnie przeciw samowoli rządów starościńskich, faktycznie zaś przeciw polityce wewnętrznej monarchii Kazimierza Wielkiego. Te i owe postulaty konfederacja przeforsowała, choć jej przywódca, wojewoda poznański Maćko Borkowic, krzyżowanie planów królewskich przypłacił okrutną śmiercią, w lochu zamkowym zakuty w kajdany i zamorzony głodem (1360), i choć dobra niektórych jej uczestników uległy konfiskacie. Statut wielkopolski, spisany — jak wskazują najnowsze badania — już po konfederacji i uwzględniający niektóre z jej żądań, stanowił także, że „darowizny mocne a niewzruszone być mają".

Przytoczony artykuł mógł być punktem wyjścia do żądań przywrócenia dawniejszym posiadaczom odebranych im przez króla dóbr i tego właśnie domagano się od następcy ostatniego Piasta, Ludwika Andegaweńskiego, zobowiązując go, by sporne wypadki rozpatrzył i pogwałconą przez poprzednika sprawiedliwość przywrócił. Ta tak zwana akcja restytucyjna utonęła jednak w formalnościach, świadomie przewlekana przez Elżbietę Łokietkównę, a potem przez Zawiszę z Kurozwęk. Co więcej, także Ludwik odbierał beneficja, m. in. Nowy Targ cystersom. Później cicho w źródłach o restytucji. Należałoby może zbadać, czy nie próbowano jej dokonać przemocą w okresie bezkrólewia 1382 - 1384. Być też może, że upływ czasu

łagodził ostrość pretensji. Nie zapomniano jednak o nich i od niepewnego swych praw do tronu Jagiełły wyjednano w 1422 r. wielkiej wagi przywilej czerwiński. Król zatwierdzał w nim generalnie wszystkie nadania poprzedników i deklarował, że bez wyroku sądowego nie będzie konfiskował dóbr szlacheckich. Było to równoznaczne z ostatecznym uznaniem, że prawa szlachty do dziedziczonej ziemi są prawami własności. Naruszyć je mogło teraz państwo jedynie w drodze represji karnej za popełnione przez właściciela przestępstwa, jeśli karę taką przewidywały statuty i orzekł ją sąd. Szlacheckie prawo własności uchylało prawa monarsze do ziemi nie będącej własnością królewską, przekreślało ostatecznie patrymonialną koncepcję państwa, przygotowując upowszechnienie poglądu, że to państwo, w którym ziemia należy tak do króla, jak i do szlachty, nie jest już królestwem, lecz dobrem wspólnym — rzeczą pospolitą.

Zanim jednak do tego doszło, od momentu zmiany dynastii w Polsce rosło systematycznie uprzywilejowanie stanu szlacheckiego.

Już przywilej budziński z r. 1355, acz wystawiony przez uznanego za następcę tronu Ludwika dla wszystkich stanów, tylko szlachcie i duchowieństwu dawał konkretne obietnice wychodzące poza potwierdzenie dotychczasowych praw. Wyrzekał się w nim przyszły król pobierania nadzwyczajnych podatków choćby nawet miały mieć pozór dobrowolnych, a zobowiązywał się do pokrywania rycerstwu wszelkich strat poniesionych w bojach poza granicami kraju. Przywilej koszycki z r. 1374 — cena uznania uprawnień córek Ludwika do tronu polskiego — obniżał wysokość poradlnego płaconego przez szlachtę z łanu kmiecego z 12 do 2 groszy z łanu, co rychło stało się

opłatą symboliczną, która zrazu miała przypominać zwierzchnie prawa feudalne monarchy do tej ziemi. Dalszemu też ograniczeniu uległ obowiązek pełnienia służby rycerskiej, poza granicami państwa wynagradzanej.

Najliczniejszymi przywilejami obsypał szlachtę Władysław Jagiełło. Uzyskanie korony polskiej wraz z ręką Jadwigi opłacił nowymi ulgami w zakresie obowiązków rycerskich (Nowy Korczyn 1386, Piotrków 1388). Aby nie dopuścić do rozejścia się szlachty przed wyprawą na krzyżaków w 1422 r., podjął w obozie pod Czerwińskiem wzmiankowane wyżej zobowiązanie szanowania własności ziemskiej. W następnym roku statut warcki dał panom wsi prawo wykupu sołectw, co było naturalną konsekwencją uznania szlacheckiego prawa własności. Zabiegi Jagiełły o zapewnienie następstwa tronu synom pociągnęły za sobą przyznanie szlachcie przywileju nietykalności osobistej — *neminem captivabimus nisi iure victum* — (nie uwięzimy nikogo, jeśli nie zostanie pokonany prawem, tj. jeśli nie zapadnie skazujący wyrok sądowy) — w Jedlni (1430) i w Krakowie (1433).

Przywileje uzyskiwane przez szlachtę w drugiej połowie XIV i w pierwszej — XV w. nie ograniczały jeszcze praw innych stanów, lecz tylko uniezależniały w coraz większym stopniu stan szlachecki od samowoli królewskiej. Szlachcic przekształcał się z wasala w osiadłego obywatela-ziemianina i domagał się prawnego zabezpieczenia tej jego pozycji. Nie czuł się jeszcze bynajmniej pierwszym w państwie. Zamożnością przewyższali go mieszczanie, sołtysi, często nawet kmiecie.

Położenie ekonomiczne tych ostatnich bardzo się poprawiło w XIV w. Ustanie wojen wewnętrznych stwarzało pomyślne warunki rozwoju gospodarstw,

postępująca urbanizacja przybliżała i rozszerzała rynek zbytu na produkty rolne, wzrost cen zapewniał opłacalność produkcji. Czynsze, których wysokość nie wzrastała, zabierały coraz mniejszą część produktu dodatkowego chłopa. W szczególnie korzystnej sytuacji znajdowali się kmiecie pełnorolni, siedzący na łanowych lub większych gospodarstwach.

Nie miał czym puszyć się wobec niego szlachcic, który w bezpośrednim użytkowaniu miał zazwyczaj tyle tylko ziemi, ile było potrzeba dla wyżywienia rodziny. Jego dochodem były pobierane z gospodarstw chłopskich czynsze, coraz bardziej niewspółmierne do powszechnego wzrostu cen, do kosztów spełnianego obowiązku rycerskiego, do wysokich jeszcze za Kazimierza Wielkiego podatków.

Toteż walki szlachty o ulgi podatkowe i o ograniczenie obowiązku bezpłatnej służby rycerskiej, a także o spokojne korzystanie z własności nie można traktować jako dążenia do uprzywilejowanego stanowiska w społeczeństwie. Była to raczej walka o utrzymanie się na powierzchni coraz trudniejszego życia, o utrzymanie się wśród posiadających, by nie znaleźć się pośród służących.

Udział w rządach nie należał początkowo do postulatów ogółu szlacheckiego. W pierwszej fazie swego istnienia monarchia stanowa w Polsce nie wytworzyła jeszcze instytucji reprezentacji stanowych. Formalnie król skupiał w swym ręku pełnię władzy i dobierał współpracowników i doradców według własnego uznania. Faktycznie królewska swoboda doboru ludzi była ograniczona. Monarcha musiał mieć w swym otoczeniu tych, którzy reprezentowali siłę. Różne są postaci siły; jest nią wpływ na społeczeństwo, jest pieniądz, jest również umiejętność. Toteż przedstawicieli ich wszystkich spotkamy w gronie współpracowników

Kazimierza Wielkiego: będą tam i biskupi, i wybijający się przywódcy rycerstwa, i najznakomitsi mieszczanie, i żydowscy lichwiarze, i wykształceni legiści. Odrzucony zostanie tylko jeden stan: feudalne możnowładztwo. W walce z nim i z popieranym przez nie modelem społeczeństwa i państwa pozostałe stany występowały solidarnie, przeciwstawiając mu ideę silnej władzy państwowej, co — wobec braku wykształconych instytucji przedstawicielskich — oznaczało jeszcze silną władzę monarszą.

Rządy Kazimierza Wielkiego miały więc pozór samowładnych, gdyż król zaniedbał zwoływania feudalnych wieców — *colloquiów*, bez których nie ośmielał się jeszcze władać państwem jego ojciec. Dzielnicowe urzędy, które już od schyłku XIII w. traciły dawne znaczenie, stając się nie tyle ogniwami aparatu państwowego, co reprezentacją lokalnego czynnika możnowładczego właśnie na wiecach dochodzącą do głosu, obecnie i tę funkcję przestały pełnić. W roli kolegium rządzącego wystąpiła pod nowym królem nowa instytucja: rada królewska, składająca się z rzeczywistych współpracowników monarchy, przeważnie Małopolan, o dość pstrym składzie społecznym, choć bezwzględną przewagę mieli w niej przedstawiciele rycerstwa. Niełatwo zbadać mechanizm powoływania tego grona, będącego na pół zaufanymi króla, na pół zaś — reprezentantami czy przywódcami popierających monarchię sił społecznych.

Owi baronowie, jak lubili się nazywać, stali się sami w krótkim czasie możnowładcami. Głosząc doktrynę, że król „odbiera, komu chce, i komu chce daje", potrafili pierwsi z niej skorzystać. W parze z licznymi konfiskatami szły też obfite nadania królewskie na rzecz najbliższych współpracowników. Rosły w ten sposób błyskawicznie nowe fortuny takich

Melsztyńskich, Tęczyńskich czy Tarnowskich, ludzi niemal zupełnie nowych, którzy zajmowali miejsce pognębionych Gryfitów i Odrowążów. Przyjęcie się koncepcji szlacheckiej własności ziemskiej miało ich zdobytą pozycję utrwalić i zabezpieczyć ją także na tę ewentualność, kiedy już nie oni sami będą inspirować łaskę królewską.

Próbą oporu tak przeciw centralizacji władzy, jak i przeciw rządom nowego możnowładztwa było zawiązanie w Wielkopolsce konfederacji rycerskiej (1352), która miała aspiracje do odegrania roli przedstawicielstwa stanowego. Inicjatywę tę potraktował jednak król jako bunt, a spełniwszy część postulatów najpopularniejszych wśród ogółu rycerstwa, zdołał izolować przywódców ruchu i bezwzględnie się z nimi rozprawić.

Także okres andegaweński nie przyniósł jeszcze bardziej istotnych zmian ustrojowych, choć jego zewnętrzne akcesoria mogą łatwo wywołać złudzenie, że ze śmiercią Kazimierza Wielkiego wkraczamy w nową epokę. Trwała nieobecność króla Ludwika w kraju pozwala wyraźniej dostrzec sprawowanie władzy przez grupę nowobogackich baronów małopolskich, za poprzedniego panowania skrytą za barczystymi plecami ostatniego Piasta.

Co prawda, ta zmiana scenerii też nie jest bez znaczenia. Odbija ewolucję doktryny monarchii stanowej, w której z początku bardziej akcentowano jej monarchiczność, później zaś — stanowość. Za dwóch ostatnich Piastów nikt nie kwestionował formalnie, że podmiotem władzy jest król. Udział społeczeństwa w rządach nie znalazł jeszcze sankcji prawnej, przedstawiciele stanów kryli się wstydliwie za szyldem „doradców królewskich" podtrzymując fikcję, jakoby swój mandat otrzymali od monarchy, nie od społe-

czeństwa. Za Ludwika cały szereg aktów podkreślał już uzależnienie króla od woli stanów.

Znajdowała ona najdobitniejszy wyraz w przyjęciu się zasady elekcyjności tronu. Miała ona w Krakowie już długą tradycję, ale przezwyciężenie rozbicia dzielnicowego i tendencje centralistyczne sprzyjały uznaniu prawa dziedziczności władzy królewskiej. Kazimierz Wielki objął ją po ojcu bez przeszkód, choć można się domyślać, że i w tym wypadku dokonano jego formalnego wyboru u łoża umierającego Łokietka. Spytko z Melsztyna i Jarosław Bogoria woleli jednak akcentować desygnację młodego króla przez ojca, w niej upatrując legitymację najwyższej godności w państwie. Prawie czterdziestoletnie panowanie Kazimierza na tyle umocniło autorytet monarchy, że jego prawa dziedziczne wydawały się oczywiste. Brak legalnego syna skomplikował sprawę. Z desygnacją Ludwika Węgierskiego na następcę tronu pogodzono się wprawdzie, nikt jednak — ani też sami zainteresowani — nie uważał, że przesądza ona sprawę. Toteż jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego dokonano formalnej elekcji następcy (1355). Odbyła się ona w wąskim gronie, które miało jednak oficjalny charakter reprezentacji stanów i które postawiło elektowi określone warunki, spełnione przez przywilej budziński.

Elekcja 1355 r. była nie tylko wyborem osoby, ale i dynastii. Tron polski został wyraźnie uznany za dziedziczny w rodzie andegaweńskim, lecz zgodnie z polskim prawem zwyczajowym — z wyłączeniem sukcesji kobiet. Ale dynastia wygasała. Chcąc zapewnić koronę polską córce, Ludwik musiał znów zwrócić się do stanów. Tym razem elekcja odbyła się na raty. W Koszycach w r. 1374 uznali prawa królewien andegaweńskich do tronu świeccy przedstawiciele sta-

nów — szlachta za cenę znacznych ulg podatkowych — natomiast duchowieństwo trwało w oporze jeszcze kilka lat, aż otrzymało analogiczny przywilej (1381). Układ koszycki, podobnie jak przedtem budziński, akceptował wyznaczoną przez dynastię księżniczkę jako dziedziczkę tronu i on więc nie utrwalał jeszcze zasady elekcyjności.

Po śmierci Ludwika doszło w społeczeństwie polskim do rozdwojenia. Stronnictwo antyandegaweńskie, silne zwłaszcza w Wielkopolsce, chciało zerwać układy z dynastią i wprowadzić na tron Ziemowita mazowieckiego. Obóz ten znalazł się jednak ostatecznie w mniejszości. Ale i wiernych literze układu koszyckiego nie było wielu. Baronowie polscy odrzucili kandydaturę Marii Andegaweńskiej, desygnowanej na tron polski jeszcze przez Ludwika, a godzili się tylko pod pewnymi warunkami na Jadwigę. Wprawdzie układ koszycki zastrzegał prawo wskazania dziedziczki korony polskiej dla dynastii, ale strona polska dowodziła, że nie wyrzekła się prawa wyboru małżonka dla swej królowej, a wobec tego Maria, zaślubiając Zygmunta Luksemburskiego bez porozumienia ze stanami polskimi, nie może już rościć pretensji do sukcesji w Polsce. Niezamężnej jeszcze Jadwidze narzucono zerwanie zaręczyn z Wilhelmem austriackim i oddanie ręki litewskiemu Jagielle.

Epoka ówczesna nie znała instytucji księcia-małżonka. Mąż królowej sam wchodził w prawa króla i na króla był koronowany. O jego wyborze powinna więc zadecydować elekcja i rzeczywiście dokonali jej przedstawiciele stanów na zjeździe lubelskim 1386 r.

Odmiennie niż poprzednio, był to wybór konkretnej osoby, a nie dynastii, gdyż prawa dynastyczne reprezentowała Jadwiga. Synowie pary królewskiej byliby dziedzicami tronu jako synowie Jadwigi, nie

jako synowie Jagiełły. Pod tym względem sytuacja była jasna. Jeśli coś podlegało dyskusji, to tylko prawa królewskie samego Jagiełły, które może usiłowano podważać. Faktem jest, że gdy Jadwiga umarła, nie zostawiając dziedzica (1399), Jagiełło poczuł się zachwiany w swych prawach, które stały się przedmiotem roztrząsań w radzie królewskiej. Wypadły one na pół tylko pomyślnie dla Litwina; uznano go wprawdzie legalnym monarchą w Polsce, ale zakwestionowano jego tytuł dziedzica i wypływające stąd uprawnienia jego ewentualnego potomstwa.

Rezerwie polskich mężów stanu trudno się dziwić. Zdumiewa raczej odwaga, z jaką wprowadzili na tron monarchę agresywnego państwa, od kilku pokoleń zapisującego się w pamięci polskiej łupieskimi najazdami, a przy tym niewątpliwie dość odmiennego kulturalnie. Przypomina się skojarzenie Jana Mosdorfa, autora jednej z publicystycznych syntez historii Polski pisanej na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, który tak tę decyzję skomentował: „Wyobraźmy sobie atamana Konowalca na fotelu Prezydenta Rzeczypospolitej!”.

Ta efektowna analogia jest oczywiście fałszywa. Nacjonalistyczne namiętności były obce ówczesnej epoce, osoba Jagiełły nie zapisała się niczym takim w stosunkach litewsko-polskich, co by ją z polskiego punktu widzenia dyskwalifikowało, a współżycie sojusznicze z Litwą miało już tradycję z okresu współpracy Łokietka z Giedyminem. Litwinka Aldona zasiadała nie tak dawno na tronie polskim, a Piastowie mazowieccy także koligacili się z dynastią panującą w Wilnie. Polski też nad Niemnem nie otaczano nienawiścią, jej instytucje budziły tam raczej sympatię, podobnie jak jeszcze znacznie później pociągać będą poddanych książąt moskiewskich, nie było więc powodu,

by związek obu państw miał być dla którejkolwiek strony szokujący. Jeśli podkreślamy śmiałość polskiej decyzji, to widzimy ją głównie w podjęciu ryzyka wyboru władcy nawykłego do innego modelu ustrojowego, a dysponującego na tyle dużą własną siłą militarną, by można się było bać, że w ewentualnych sporach wewnętrznych zechce jej użyć jako argumentu.

W stosunku do samego Jagiełły obawy te — jeśli istniały — okazały się rychło płonne. Najwyższy książę Litwy, jak się niebawem począł tytułować, nie miał najłatwiejszej pozycji w swej ojczyźnie i właśnie przez uzyskanie tronu polskiego spodziewał się ją wzmocnić. Ale inaczej mogłoby być z jego dziedzicami. Wobec tego, że warunek porozumienia panów polskich z Jagiełłą zawartego w Krewie w 1385 r., dotyczący „wieczystego wcielenia" ziem litewskich i ruskich do Korony Królestwa Polskiego, nie został ostatecznie spełniony i Litwa pozostawała faktycznie odrębnym państwem, jeśli nawet w poszczególnych aktach publicznych rzecz przedstawiano inaczej, nie w każdych warunkach utrzymywanie unii personalnej obu państw byłoby dla stanów polskich wygodne.

Dlatego przez dłuższy czas trwano przy doktrynie, że tylko krew Kazimierza Wielkiego może mieć dziedziczne prawo do korony polskiej i panowanie Jagiełły po śmierci Jadwigi legitymowano nowym jego małżeństwem z Anną cylejską, wnuczką ostatniego Piasta. Z tego związku zrodzona Jadwiga (1408), zaręczona za zgodą stanów z Fryderykiem Hohenzollernem (1421), synem nowego margrabiego brandenburskiego, była uznaną dziedziczką tronu polskiego. Los chciał jednak, że Jagiełło pochowawszy kolejno trzy żony — po Annie (zm. 1416) jeszcze Elżbietę Pilecką, córkę wojewody sandomierskiego (zm. 1420) —

z czwartej, księżniczki holszańskiej Sonki, doczekał się w 1424, 1426 i 1427 r. synów. Im też chciał zapewnić dziedzictwo po sobie. Sprawa stała się przedmiotem długich targów, już na zjeździe w Brześciu Kujawskim w 1425 r. szlachta uzależniła swą zgodę od uzyskania przywileju nietykalności osobistej, na co król nie chciał przystać. Do ugody doszło dopiero w pięć lat później, pod wpływem groźnego kryzysu w stosunkach polsko-litewskich. Jagiełło wydał w Jedlni postulowany przez szlachtę przywilej, a w zamian uzyskał od stanów przyrzeczenie, że wybór jego następcy zostanie dokonany spośród jego synów.

Uchwała ta świadczy już o świadomym dążeniu stanów do utrwalenia formy elekcji, choćby ograniczonej do kręgu członków dynastii jagiellońskiej. Elekcja dawała sposobność do nacisku na kandydatów i wyjednywania nowych przywilejów i z tej broni nie chciano rezygnować przez przyjęcie określonego porządku dziedziczenia. W systemie monarchii stanowej dawna jednolitość dążeń obu jej głównych czynników stawała się już historią. Coraz silniej dochodziła do głosu odmienność celów czynnika monarchicznego i stanów, a wraz z tym sprzeciw ze strony tych ostatnich przeciw aktualnej do niedawna jeszcze formule, stawiającej króla ponad społeczeństwem. Uczynienie z godności królewskiej wysokiego — to prawda — ale tylko urzędu przyświecało zabiegom i intrygom przywódców politycznych Polski pierwszej połowy XV w. Elekcja królów była do tego środkiem.

Droczenie się z Jagiełłą nie oznaczało natomiast, by rzeczywiście skłaniano się ku innym możliwościom dynastycznym. Unia z Litwą gwarantowała Polsce utrzymanie tego znaczenia politycznego, jakie uzyskała po Grunwaldzie, i tendencje do jej zerwania

reprezentowała strona litewska, nie polska. Skoro zaś przyszło uznać odrębność państwową Litwy, nie było innego wyjścia, jak szukać monarchy dla Polski wśród przyrodzonych panów Wielkiego Księstwa.

Elekcyjność tronu — co było też nie bez znaczenia — sprzyjała rozwojowi reprezentacji stanowych i umacniała ich autorytet. Od przywilejów Ludwika Węgierskiego z lat 1374 i 1381 także potrzeby finansowe państwa, wymagające nadzwyczajnych obciążeń podatkowych, zmuszały do zwoływania stanów w celu uzyskania od nich przyzwolenia na te kroki. Toteż metody rządzenia, praktykowane za Kazimierza Wielkiego, który starał się jak najrzadziej dopuszczać do narad w szerszym gronie niż rada królewska, po jego śmierci nie dały się utrzymać.

Zmieniał się też charakter rady królewskiej. Za Kazimierza Wielkiego była ona właśnie reprezentacją stanów. Rychło przekształciła się w przedstawicielstwo jednego tylko z nich — możnowładztwa. Prawda, że owi magnaci, często dopiero od niedawna wyrośli ponad poziom ogółu szlacheckiego, rozpoczynali swe kariery polityczne jako przywódcy całej szlachty i przyczynili się niemało do realizacji jej podstawowych postulatów. Oni przecież — nie masa rycerstwa — wytargowali przywilej koszycki, oni ograniczali coraz bardziej osobistą rolę króla, oni strzegli zasady elekcyjności tronu. Ale z biegiem lat i wzrostem własnych fortun i wpływów, to nowe możnowładztwo kształtowało się w odrębną warstwę w obrębie stanu szlacheckiego, coraz bardziej ogółowi obcą. I gdy samowiedza polityczna owego ogółu rosła wraz z uzyskiwanymi przywilejami, drogi obu warstw zaczęły się coraz wyraźniej rozchodzić i lansowana przez baronów teza, że są oni reprezentantami całego stanu szlacheckiego, coraz mniej znajdowała uznania. Za

Władysława Jagiełły sprzeczności te były już oczywiste i wciąż dawały znać o sobie. Przeciwnicy oligarchicznych rządów możnowładczych, łączonych zazwyczaj z osobą biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, znajdowali posłuch głównie u średniozamożnej szlachty.

Przeprowadzanym w ostatnim dwudziestoleciu przez historyków państwa i prawa, a w szczególności przez Juliusza Bardacha, badaniom nad genezą polskiego parlamentaryzmu zawdzięczamy obserwację, że każdy z dwóch odłamów szlachty miał odmienną koncepcję instytucji przemawiającej w imieniu stanów. Możnowładztwo urzędnicze chciało ją mieć w ogólnokrajowym sejmie, którego jądrem byłaby rada królewska powiększona o delegatów szlachty nieurzędniczej, miast i kapituł diecezjalnych. Za Kazimierza Wielkiego zwoływany sporadycznie, od schyłku XIV w. stał się niezbędnym czynnikiem politycznym zbierającym się nieledwie co roku. Rola jego nie ograniczała się do udzielania przyzwoleń na nadzwyczajne podatki; w okresie jagiellońskim sejm występował z inicjatywami prawodawczymi, jego dziełem był m. in. statut warcki z r. 1423, uchwalony najpierw przez stany, a dopiero później zatwierdzony przez króla. Częstotliwość obrad sejmowych w tym okresie pozwala się domyślać, że omawiano na nich wszystkie bieżące zagadnienia polityczne formułując wiążące króla opinie.

Ponieważ na ówczesnych sejmach bezwzględną przewagę mieli możnowładcy — członkowie rady królewskiej i piastuni najwyższych godności — świeckich i duchownych — w państwie, prowadziło to do narzucania królowi woli owej oligarchii, która coraz bardziej ograniczała władzę królewską. Władysław Jagiełło, nie od razu pogodzony z tym stanem rzeczy,

u schyłku swego panowania uległ Oleśnickiemu całkowicie. Po nieszczerych targach o uznanie praw synów królewskich do tronu oligarchia poparła całą siłą kandydaturę dziesięcioletniego królewicza Władysława. Jej zwycięstwo pozwalało utrwalić tworzony system rządów, gdyż funkcje małoletniego monarchy miała wykonywać regencja, co do swego składu osobowego identyczna z przywódcami rady królewskiej i sejmów. Zbigniew Oleśnicki głosił wtedy publicznie, że „rząd i wolność w Królestwie polega nie na władzy króla, lecz na władzy jego doradców i przedniejszych w państwie. Ci, nawet kiedy król dorośnie, nie odstąpią mu władzy w Królestwie, dopóki nie potwierdzi jego praw i wolności". Istotnie, w ciągu całego panowania Władysława III Warneńczyka (1434 - - 1444) posługiwano się nim tylko jak narzędziem. Gdy zaś dorastał i mógł chcieć zaznaczyć własną indywidualność, Oleśnicki uzyskał dla niego drugi tron na Węgrzech (1440) i uwikłał w wojny węgiersko-tureckie, z których młodociany król nie wrócił już żywy, kładąc głowę w bitwie pod Warną (1444).

Ogół szlachecki, któremu zresztą przewodzili zazwyczaj także możni, tyle że skłóceni z grupą pozostającą u władzy, przez długi czas bez większego powodzenia dobijał się głosu w państwie. Bywało, że na sejmy — zwłaszcza elekcyjne — zjeżdżała się tłumnie szlachta, by demonstracją swej postawy wywrzeć nacisk na obradujące dostojne grono. Na wyniki elekcji nie miało to — jak się zdaje — żadnego wpływu; były one przesądzone z góry i dopiero po śmierci Jagiełły kandydatura nieletniego królewicza wywołała gwałtowniejsze sprzeciwy, nad którymi jednak oligarchia rządząca przeszła do porządku. Co innego też, nie wysuwanie własnych kandydatów do tronu, absor-

bowało umysły szlachty na zjazdach elekcyjnych. Oto nie była ona jeszcze oswojona z uzyskanymi tak niedawno przywilejami stanowymi, żyła w ciągłej obawie, że nowy monarcha mógłby nie potwierdzić praw wydanych przez poprzedników. Nie osoba króla, lecz zaprzysiężenie przez niego — kimkolwiek był — szanowania praw, w szczególności prawa szlachty do ziemi, interesowało ogół i aby tego dopilnować, czuwał zjazd szlachecki nad przebiegiem elekcji.

Toteż główny antagonista Oleśnickiego Spytko z Melsztyna, wnuk pierwszego doradcy Kazimierza Wielkiego, syn faworyta Jagiełły i Witolda, później usunięty poza krąg rządzących, agitując przeciw kandydaturze Władysława Warneńczyka na tron podsycał przede wszystkim niepokój szlachty o jej przywileje, których król wybrany jako pacholę później jako dorosły mógłby nie zechcieć uznać. By rozproszyć obawy, musiała królowa Sonka wraz z dygnitarzami królestwa złożyć uroczystą przysięgę, że król po dojściu do lat piętnastu potwierdzi przywileje.

Poza zjazdami elekcyjnymi głos masy szlacheckiej rozbrzmiewał silniej wtedy, gdy występowała jako pospolite ruszenie, świadoma wówczas swej siły i niezbędności dla państwa. W takiej właśnie sytuacji, zwołana na wyprawę przeciw krzyżakom, wymogła ów podstawowy dla niej przywilej czerwiński z 1422 r. Drugi raz wojsko szlacheckie podyktuje rządzącym własne warunki w przededniu rozprawy z Zakonem w r. 1454.

Walkę o udział we władzy utrudniał długo szlachcie brak własnej organizacji stanowej; jej reprezentowanie uzurpowali sobie możni. W połowie XIV w. próbą stworzenia takiej organizacji w Wielkopolsce była konfederacja Maćka Borkowica. Po jej rozbiciu

i potraktowaniu udziału w niej na równi z buntem zrezygnowano na pewien czas z tej formy organizacyjnej. Odżyła po trzydziestu latach, po śmierci Ludwika Węgierskiego, gdy stan bezkrólewia i niepewność dalszych losów państwa wymagał oparcia administracji na autorytecie reprezentacji stanowej. W XV w. sięgano znów po formę konfederacji w konfliktach międzystanowych. Tak więc w latach 1406 - - 1407 w okresie konfliktu między szlachtą a duchowieństwem o dziesięciny obie strony wiązały się w konfederacje.

Stopniowo nabierały one charakteru nie tyle organizacji stanowej, co stronnictwa. Dotyczy to zwłaszcza konfederacji zawiązywanych przeciw wpływom husytyzmu (1423 - 1424 i 1438). W świadomości uczestników nie przestawały jednak być organem społeczeństwa uprawnionym do współrządów.

Słyszy się to wyraźnie w tonie uchwał konfederacji Spytka z Melsztyna powołanej do życia w r. 1439 przeciw Oleśnickiemu. Oskarżając rządzących magnatów o wszelakie nadużycia, żądano postawienia ich przed sąd, w którym zasiadaliby w równej liczbie przedstawiciele rady królewskiej i przedstawiciele konfederacji. Tę ostatnią uważano więc za instytucję równorzędną z radą królewską: gdy tamta była organem możnowładztwa, ta mieniła się organem mas szlacheckich.

Klęska Spytka w starciu zbrojnym obu stronnictw pod Grotnikami (1439) położyła kres tendencjom, by z konfederacji uczynić stały i legalny organ opinii szlacheckiej. Na przyszłość konfederacja miała pozostać związkiem tworzonym sporadycznie dla osiągnięcia nadzwyczajnego celu i zazwyczaj skierowanym przeciw określonemu przeciwnikowi. Charakteru insty-

tucji stałej zaczęły za to nabierać szlacheckie zjazdy dzielnicowe, partykularne quasi-sejmy czyli sejmiki.

Wywodziły się te zjazdy z tradycji wieców dzielnicowych z okresu rozbicia Polski na księstwa feudalne. Zjednoczenie państwa piastowskiego odbierało im — zdawałoby się — rację istnienia, tymczasem znalazły sprzyjające warunki rozwoju już w monarchii Kazimierza Wielkiego. Król niechętny sejmowi, a konfederację traktujący jako bunt, nie mógł przecież zamknąć przed szlachtą wszelkich możliwości wypowiadania opinii. Za bezpieczniejsze dla władzy najwyższej od zjazdu ogólnokrajowego uważał owe colloquia dzielnicowe, na których gromadzili się urzędnicy ziemscy i przedstawiciele rodów szlacheckich. Zwoływane zresztą nieczęsto, stanowiły forum dialogu z monarchą, przed którego wytaczano lokalne bolączki.

Przywileje: budziński, koszycki i następne zmuszały już króla do pytania o zgodę szlachty w niektórych sprawach, zwłaszcza z dziedziny polityki fiskalnej. Nigdzie jednak nie było powiedziane, jaki organ szlachty jest w tych wypadkach kompetentny. Wiadomo, że w roli reprezentacji wszystkich stanów występował sejm, ale sejm był zmajoryzowany przez możnowładztwo. Gdy więc między możnymi dostojnikami a Jagiełłą występowały rozdźwięki, król próbował zignorować sejm odwołując się do sejmików, w których udział szlachty był tłumny, a rola możnych stosunkowo mniejsza. Tak uczynił na przykład wtedy, gdy targowano się z nim o prawa dziedziczne jego synów. Czego nie mógł uzyskać od wytrawnych polityków dążących świadomie do ograniczenia władzy królewskiej, to przyznawała mu bez większych trudności bardziej prostoduszna szlachta sejmikowa.

W ten sposób zarysowało się porozumienie między monarchą i szlachtą, przy czym obydwaj partnerzy, wadząc się z możnowładztwem, w sejmikach a nie w sejmie upatrywali rzeczywistą organizację stanową szlachty.

Wzrost wpływu Oleśnickiego u schyłku życia Jagiełły i przy młodziutkim Warneńczyku sprawił, że zjazdy sejmikowe znów utraciły znaczenie. Ale postulatem opozycji było podniesienie ich do rangi pełnoprawnego organu opinii i woli stanu szlacheckiego. Do tego samego musiał dążyć monarcha, który by chciał odzyskać swobodę ruchów i wyzwolić się spod kurateli możnowładczej. Takim królem był drugi syn Jagiełły, Kazimierz.

Wstąpiwszy na tron po długich targach, podczas których szantażowano go możliwością wyboru Ziemowita V mazowieckiego, wbrew ustalonej już tradycji nie potwierdził po koronacji praw ustanowionych przez poprzedników. Możnowładztwu nie udało się uzyskać poparcia tej tezy, że bez takiego potwierdzenia król nie może sprawować swego urzędu. Poparty przez opinię szlachecką Kazimierz Jagiellończyk wygrał batalię z Oleśnickim, którego odsunął od wpływów na rządy. Rada królewska powoli zmieniała swój skład, wprowadzał do niej król coraz więcej ludzi nowych.

Nie skończyło się na samych tylko zmianach personalnych, choć te wystarczyłyby może królowi. Szlachta w zamian za udzielone monarchii poparcie domagała się zmian ustrojowych: uznania kompetencji sejmików. Dobiła się tego, gdy w r. 1454 występując jako pospolite ruszenie uzależniła podjęcie działań przeciw krzyżakom w rozpoczynającej się wojnie o Pomorze od realizacji swych postulatów.

W obozie pod Cerekwicą zobowiązał się król wobec szlachty wielkopolskiej, „aby pospolite ruszenie nie było na przyszłość powoływane bez sejmiku ziemskiego, lecz aby wszystkie nowe rzeczy najpierw były dyskutowane, postanawiane i uchwalane na sejmikach ziemskich”. Potwierdziły to wydane niebawem statuty nieszawskie.

Rozpoczynała się era Rzeczypospolitej Szlacheckiej.

EKSKURS O CZŁOWIEKU ŚREDNIOWIECZNYM

W przemianach gospodarczych, społecznych i politycznych, które z mniejszym lub większym trudem odczytujemy w źródłach, przegląda się człowiek badanej epoki. On był przecież motorem owych przemian, a jednocześnie i one nie mogły pozostawać bez wpływu na mentalność przeżywających je ludzi. Badania nad dziejami mentalności, a tym bardziej nad ich związkiem z innymi stronami procesu dziejowego, są jednak na razie wciąż tylko postulatem; w nauce światowej stawia się w tym kierunku zaledwie pierwsze kroki.

Odczuwamy to przykro. Ubogi bowiem jest obraz dziejów, gdy gubi ich nić przewodnią: ewolucję powszechnej kultury, traktowanej nie tylko jako autonomiczny składnik nadbudowy, ale też — jako ważki element sił wytwórczych. Dopóki przemiany w stosunkach międzyludzkich traktujemy w oderwaniu od przemian, jakie dokonywały się w samych ludziach, dopóty — z konieczności — nasza rekonstrukcja dynamiki dziejów ma w sobie coś z mitologii: światem — w takim ujęciu — rządzą abstrakcyjne siły, tylko w teorii mające jeszcze coś wspólnego z człowiekiem.

Zdając sobie sprawę z tych niedostatków, musimy też jednak dostrzec ich obiektywne przyczyny, tkwiące w trudnościach warsztatu nowoczesnego historyka. Inaczej niż nasi poprzednicy rozumiemy rolę wybitnych

jednostek w historii, usiłujemy badać dzieje mas ludowych, interesuje nas mentalność dla swej epoki typowa, powszechna, bo dopiero w zestawieniu z nią można będzie zrozumieć genezę i znaczenie także owych zjawisk nieprzeciętnych, wyjątkowych. Ale badacz odleglejszych czasów nie wypracował jeszcze metody wydobywania wiedzy o tym ze źródeł tworzonych głównie przez elitę umysłową dla równie wąskiego kręgu odbiorców.

Sporne bywa przy tym samo pojmowanie przedmiotu tych badań. Wydaje się bowiem, że jak nie można uważać za typową umysłowości jednostek wyraźnie górujących intelektualnie nad społeczeństwem, tak byłoby równie niesłuszne utożsamiać typowe ze statystycznie przeważającym. Rola poszczególnych środowisk w życiu społecznym nie jest przecież jednakowa. Wpływ na dzieje mają przede wszystkim postawy czynne; od mentalności ludzi je reprezentujących zależy kierunek rozwoju — ją wobec tego uznajemy za charakterystyczną dla epoki.

Tę charakterystyczną mentalność człowieka przeszłości próbujemy odczytywać z jego dzieł, a więc ze stwarzanego przez niego świata, bardziej bezpośrednio dostępnego naszemu poznaniu. Nawet z tego niedoskonałego przedstawienia rozwoju gospodarczego, społecznego i politycznego w średniowieczu, na jakie nas dzisiaj stać, wyłaniają się niektóre rysy ówczesnego człowieka i nie sposób nie dostrzec, jak różny był on u schyłku średniowiecza od swego prapradziada z okresu rozkładu społeczeństwa rodowego.

Zmieniał się co prawda powoli. Tak długo jak praktyczne doświadczenie nie ujawniło brutalnie niewystarczalności odziedziczonych wyrażeń, pojęć, schematów myślowych, trwał wygodnie przy tym, w co wdrażano go od kolebki. Często też wolał przechodzić

do porządku dziennego nad zaobserwowanymi sprzecznościami między tradycyjnym obrazem świata a rzeczywistością. Dopiero narzucający się mu natłok takich obserwacji, a zwłaszcza dotkliwe szkody, którym bezskutecznie próbował zapobiegać zalecanymi przez poprzednie pokolenie środkami, mogły go zmusić do porzucenia nawyków i rewizji poglądów, a nawet do decyzji o charakterze przełomowym.

Taką decyzją była u progu istnienia państwa polskiego chrystianizacja. W odpowiednim miejscu wiązaliśmy jej genezę z mentalnością ówczesnych ludzi, wskazując jak doświadczenie produkcyjne i społeczne prowadziło ich coraz bardziej do wniosków sprzecznych z tradycyjnymi wzorami postępowania i ułatwiło częściowe odejście od dawnych wierzeń („Fermenty wewnętrzne", s. 134 nn.).

Doniosłości przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa nie trzeba dowodzić. Jego najważniejszym bodaj skutkiem było przyspieszenie rozwoju kulturalnego Polski przez ułatwienie jej recepcji uniwersalnej europejskiej kultury średniowiecza. Pojawienie się na naszych ziemiach rozmaitych, mniej lub więcej zewnętrznych, przejawów tej kultury —pisma, architektury, państwowych i kościelnych form organizacyjnych — wyprzedzało przemiany w popularnych wierzeniach i interpretacjach świata.

Sama chrystianizacja społeczeństwa była przecież procesem nader powolnym, choć może nie aż tak długotrwałym, jak przedstawiają to najskrajniejsze ujęcia. W każdym razie stałą opiekę duszpasterską nad całą ludnością kraju zapewniło dopiero powstanie sieci parafialnej, której elementy w końcu XII w. już dostrzegamy. Odtąd do zupełnych już tylko wyjątków mogło należeć, by ktoś spośród ludności miejscowej żył niechrzczony, by do kogoś nie dotarły podstawowe

wyobrażenia i symbole średniowiecznego chrystianizmu.

Zapewne, poziom wiedzy religijnej przeciętnego człowieka w dwu pierwszych wiekach obecności Kościoła w Polsce nie był wysoki. Nie można go też jednak sprowadzać do zera, choć pozornie tak sugerują niektóre źródła. Wprawdzie długo jeszcze legaci papiescy rozdzierali z oburzenia szaty pisząc w sprawozdaniach do Rzymu, że wielu ludzi w Polsce nie wie, w co wierzy, ale trzeba się liczyć z przesadą tych sformułowań, które znamy też z Europy zachodniej — również w wiekach nowożytnych — i które odzwierciedlają nie stan obiektywny, lecz raczej maksymalistyczne postulaty legatów — wykształconych teologów. Ludzie, którzy — według tych raportów — nie umieli powiedzieć, w co wierzą, narażali się prawdopodobnie na tę ocenę przez nieznajomość wyznania wiary w formie tzw. Składu Apostolskiego. Skądinąd wiemy jednak, że bardziej realistyczni pisarze kościelni postulowali wówczas zaledwie, by każdy ksiądz posiadł znajomość tego tekstu. Rozmaicie bowiem bywało w przedtrydenckiej Europie z ową wiedzą księżowską. Czegóż więc wymagać od świeckich?

Błędem jest interpretowanie niedostatków wiedzy katechizmowej pierwszych pokoleń polskich chrześcijan jako świadectwa powierzchownej lub — jak to się nieraz określa — formalnej tylko chrystianizacji. To ostatnie określenie należy zachować dla sytuacji, gdy państwo w osobach monarchy i jego współpracowników zadeklarowało się jako chrześcijańskie, a większość ludności trwa przy dawnej wierze. Polska — jak każdy inny kraj — przeszła przez ten etap; nic jednak nie wskazuje na to, by miał on trwać jeszcze w XII w. Niezależnie od poziomu wiedzy ludzie ówcześni mieli się za chrześcijan i jeśli nawet

ostały się w Polsce różne obrzędy pogańskie, to w świadomości powszechnej nie kłóciły się z oddawaniem czci Bogu chrześcijańskiemu. Nazwą poganina posługiwano się już wtedy jak obraźliwym wyzwiskiem, co było oczywistym wpływem Kościoła.

Bardziej niż przeżytkowe obrzędy skłania do zastanowienia się fakt, że z subiektywną wiernością chrześcijaństwu godził się jednak wciąż pogląd na świat charakterystyczny raczej dla wierzeń przedchrześcijańskich. Powszechnie stosowano przeróżne zabiegi magiczne, tyle różniące się od pogańskich, że posługujące się chętnie przedmiotami kultu kościelnego: sznurem dzwonu, księgą liturgiczną, relikwiami świętych. Obrzędy liturgiczne rozumiano też jak magię; przyjęcie chrześcijaństwa było przecież faktycznie uznaniem wyższości czarów duchownych chrześcijańskich nad magią tradycyjną, chociaż nie negowano też wartości doświadczeń dawnych pokoleń i chętnie wzmacniano siłę magiczną Kościoła zabiegiem tradycyjnym. Wierzono więc na przykład, że obrzęd chrztu zabezpiecza dziecko przed złymi mocami, ale nie zaniedbywano w tej samej intencji rozdeptania jajka pod progiem chałupy, rytualnej kąpieli dziecka itp. A i sam obrzęd kościelny wydawał się zbyt ubogi, więc uzupełniano go takimi szczegółami, jak dotykanie ołtarza nóżkami dziecka, a księgi liturgicznej ręką.

Głębokie przekonanie o magicznej sile liturgii przejawia się w tendencji, by zawieranie małżeństwa łączyć z inną jeszcze uroczystością kościelną, o czym z dezaprobatą opowiada Gall, sam zresztą też przeświadczony, że nie jest to obojętne dla losów ludzi, tyle że upatruje w tej praktyce źródło nieszczęść. W anegdocie Galla ślub odbył się razem z poświęceniem kościoła; państwo młodzi byli fundatorami świątyni, a więc

zaliczali się do najmożniejszych i pozostawali w kręgu najsilniejszego oddziaływania Kościoła, taki to jednak tylko miało wpływ na ich magiczny pogląd na świat, że większą może niż lud przywiązywali wagę do siły magicznej obrzędów chrześcijańskich.

Wierzenia XII w. mają więc niewątpliwie charakter synkretyczny: z chrześcijaństwem łączy się w nich magia innego pochodzenia. Pytanie tylko, czy ów synkretyzm wytworzył się na gruncie polskim. Przypuszcza się, że przynajmniej częściowo — tak; że niektóre z zachowywanych praktyk były reliktem rodzimego pogaństwa. Jest to prawdopodobne, choć o dowód na to niełatwo. Z całą pewnością natomiast wiele praktyk magicznych przyszło do nas z zewnątrz, razem z chrześcijaństwem, na Zachodzie nie mniej pomieszanym z wszelkimi tradycyjnymi zabobonami. Przeszczepiał je na polski grunt cudzoziemski duchowny, który nieraz znał lepiej zaklęcia magiczne od pacierza, a zresztą i słowom pacierza przypisywał znaczenie zaklęć. Także ruchliwość społeczna okresu kolonizacji sprzyjała rozpowszechnianiu się w społeczeństwie polskim magii pochodzenia zachodnioeuropejskiego.

Duchowni bardziej oświeceni, przedstawiciele wyższych stopni hierarchii kościelnej mieli może do tych obrzędów inny stosunek. Jednakże gdy Włodzisław Herman trapił się brakiem dziedzica, polecili mu nie tylko modły do św. Idziego połączone ze zwykłymi w takich razach darami, ale jeszcze złożenie jako wotum złotego posągu chłopca, aby — jak to skomentował Gall — święty „za fałszywego dał prawdziwego". Jeśliby nawet przyjąć, że ani autor pomysłu, biskup poznański Franko, ani referujący go kronikarz nie wyobrażali sobie tak prosto zależności między ofiarowaniem figurki chłopca a narodzinami dziecka

i chcieli tylko wycisnąć jak najwięcej złota ze skarbca książęcego, to pozostaje faktem, że za najskuteczniejszy sposób trafienia do księcia uznali zaapelowanie do jego magicznego poglądu na świat. Mimo chrześcijańskiego nalotu nie różnił się on bardzo od poglądu pogańskich praszczurów; oni też w podobnych czarach szukali lekarstwa na bezpłodność.

Chociaż więc proporcje elementów rodzimych i importowanych w polskiej magii średniowiecznej są przedmiotem trudnych do rozstrzygnięcia sporów, chociaż jest wielce prawdopodobne, że importu było w niej więcej niż tradycji, to przecież właśnie łatwość, z jaką przyswajano sobie nowe zabiegi magiczne, dowodzi, że ta obrzędowość obcego pochodzenia godziła się ze sposobem myślenia ukształtowanym jeszcze przez rodzime pogaństwo. W tym sensie możemy więc mówić o jego pozostałościach w średniowiecznym społeczeństwie polskim.

Ale też tylko w tym sensie. Bo o jakimś zdecydowanym przeciwstawieniu kultury ochrzczonej Polski kulturze Europy łacińskiej nie może być mowy. Polska XII w. należy już niewątpliwie do tego samego świata, choć stanowi jego peryferię. Jest to świat, w którym panuje chrześcijaństwo pogodzone z magią i — u prostaków świadomie, u światlejszych podświadomie — pojmowane jako system magiczny. Jest to zarazem świat, w którym elitę umysłową stanowi duchowieństwo, niemal wyłączny twórca i konsument kultury piśmiennej rozwijanej tylko w języku ksiąg liturgicznych, w łacinie, obcej ludności krajów nieromańskich na równi z pismem. Wśród tej elity magia cieszy się na ogół takim samym poważaniem, jak wśród niepiśmiennej powszechności i tylko wybitniejsze jednostki dzięki łacińskim księgom wzbogacają swój umysł także okruchami tradycji antycznych.

Łacina była w średniowiecznej Europie zachodniej językiem międzynarodowym, ale też językiem bardzo wąskiego kręgu, a nie powszechnego porozumienia. Nie ona też sprawiła, że kultura tej epoki zachowywała cechy uniwersalne. Średniowiecze posługiwało się jeszcze innym językiem, jednako przemawiającym do piśmiennych i niepiśmiennych, do uczonych i prostaczków. Był to język obrazu i symbolu.

Znajomość historii biblijnej i Ewangelii szerzył Kościół średniowieczny wśród wiernych za pomocą Biblii ubogich — *Biblia pauperum* — przekazując obrazem treść świętych ksiąg. W pewnym sensie cała sztuka i architektura średniowieczna spełniała zadania Biblii ubogich. Siliła się ona zresztą na więcej niż tylko przekazanie biblijnej anegdoty: starała się ją także zinterpretować. Umożliwiał to rozwój języka symboli. Kierunek, kształt, nawet materiał plastyczny — nic nie było bez znaczenia w budowli, rzeźbie, malowidle średniowiecznym. Język ten, dla nas dziś skomplikowany i trudny, zdolny był do wyrażania myśli bardzo subtelnych i pojęć bardzo abstrakcyjnych. Pozwalał zaś stworzyć ze świątyń chrześcijańskich potężne środki masowego przekazu przewyższające swoimi możliwościami to, co aż po nasze czasy potrafi zapewnić druk.

Wszystkie te cechy kultury zachodnioeuropejskiego średniowiecza odnajdujemy w Polsce już nawet w niewiele dziesięcioleci po zorganizowaniu się diecezjalnej sieci kościelnej. Duchowieństwo chrześcijańskie od początku swej obecności w nowo pozyskanym kraju nie tylko wprowadzało pismo do obrzędów religijnych, ale uczyło utrwalać w nim także akty państwowe. W regeście dokumentu *Dagome iudex* mamy dowód, że w stosunkach międzynarodowych posługiwało się nim już państwo Mieszka I. Znacznie później — za-

pewne dopiero w XII w. — zaczęto wystawiać dokumenty na poświadczenie czynności prawnych dokonywanych wewnątrz państwa.

Wraz z duchowieństwem trafiły do Polski księgi. Były to przede wszystkim księgi liturgiczne, niezbędne dla sprawowania Służby Bożej. Ale że zadania przybywających tu biskupów i zakonników nie ograniczały się do wznoszenia modłów i — abstrahując nawet od roli w aparacie państwowym, jaka tym ludziom wówczas z reguły przypadała — obejmowały przynajmniej organizację Kościoła i szkolnictwa kościelnego, więc w ich skromnych zasobach bibliotecznych znajdujemy jednak i prawo kanoniczne, i podręczniki gramatyki, i trochę najpopularniejszych wypisów z autorów klasycznych, przez których lekturę ćwiczono się w rozumieniu języka łacińskiego: Owidiusza, Salustiusza i niektórych innych.

Stosunek do ksiąg i pisma ze strony osiadłego w Polsce duchowieństwa był aż po w. XII wyłącznie niemal konsumpcyjny. Poza krótkim okresem ok. 1000 r. nie przybywała do Polski elita intelektualna zachodniego kleru, lecz raczej te jednostki, dla których konkurencja w ojczyźnie była za silna i które wybierały peryferię świata łacińskiego, by mniejszym wysiłkiem osiągnąć wysokie godności kościelne. Toteż po Brunonie z Kwerfurtu, który swój krótki pobyt w naszym kraju skwitował pięknymi utworami hagiograficznymi — *Żywotem św. Wojciecha* i *Pięciu Braci Polskich*, przez dłuższy czas nikt w Polsce nie chwytał za pióro. Nawet początków kancelarii książęcej, poświadczonych źródłowo dopiero w 1112 r., nie da się cofnąć przed schyłek XI w.; pierwsze dokumenty polskie — nie tylko Mieszka I, ale i Władysława Hermana — spisywała obca ręka.

Późne są też początki annalistyki polskiej. Jedynie

o zapis faktów związanych z przyjęciem przez dwór polski chrześcijaństwa — „965 Dobrawka przybywa do Mieszka. 966 Mieszko chrzci się" — trwa jeszcze w nauce dyskusja, ale bezstronna ocena przedkładanych argumentów każe powątpiewać, by notatki te były rzeczywiście współczesne wydarzeniom, o których informują. Z oświeconym dworem Mieszka II i Rychezy można prędzej związać obudzenie się skromnych zainteresowań historiograficznych, pobudzonych importem do Polski zachodnioeuropejskiego rocznika; próbowano go kontynuować lub naśladować zapisując bardzo jeszcze niesystematycznie zdarzenia, które skryba uznał za godne pamięci.

Dopiero w początkowych latach XII w. znalazł się w Polsce tajemniczy cudzoziemiec sprawnie władający piórem, który obdarzył nas łacińskim dziełkiem przedstawiającym w pierwszej księdze krótki zarys dziejów dynastii od jej legendarnych początków do czasów Włodzisława Hermana, w dwóch zaś następnych — czyny wojenne aktualnie panującego Bolesława Krzywoustego. Ponieważ nie wiemy wciąż nic pewnego o osobie autora, który jakby specjalnie rozmaitymi aluzjami prowadzi nasz domysł to w tym, to w innym kierunku, również wartość kreślonego przezeń obrazu staje się częstym przedmiotem sporów. Jedno wydaje się pewne, że nie pisał tylko dla zaspokojenia własnej pasji twórczej, by nie wyjść z wprawy, jak sam w jednym miejscu powiada, ale że liczył na czytelnika lub przynajmniej słuchacza. Żywił przy tym nadzieję, że właśnie dzieło świeckie, świadomie i rygorystycznie rezygnujące z tematyki hagiograficznej, znajdzie chętnego odbiorcę. Jeśli okazało się to złudzeniem, to w każdym razie musiał Anonim mieć do takiego sądu przesłanki. Widocznie kultura rycerstwa w jego najwyższych kręgach kształtowała

się już w Polsce pod wpływem rycerskiej kultury feudalnego Zachodu.

Możemy tak sądzić nie tylko na podstawie dedukcji. Znamy jej niektóre przejawy zewnętrzne. Na dworze Włodzisława Hermana młodzieńcy z możnych rodów dostępowali pasowania rycerskiego. Wzorem Zachodu praktykowano w tych kołach pielgrzymki do słynnych a odległych ośrodków kultu religijnego, by przy tej pobożnej okazji poznać świat, a może też doznać przygód, o których ciekawie będzie snuć opowieść przy wieczornej biesiadzie.

Znajomość pisma nie należała w średniowieczu do umiejętności zalecanych świeckim, zwłaszcza tym, których ręka miała nabierać rutyny w zamaszystym władaniu bronią, a nie w cierpliwym wodzeniu piórem po pergaminie. Wydaje się jednak, że rycerscy Piastowie przez kilka pokoleń uważali obydwie sztuki za potrzebne władcy. Według świadectwa Thietmara Bolesław Chrobry sam chciał sprawdzać w księgach, jaka pokuta należy mu się za popełnione grzechy. Uczoność Mieszka II wysławia znany list Matyldy. O naukach szkolnych Kazimierza Odnowiciela dowiadujemy się z niejednego źródła; również jego siostra Gertruda umiała posługiwać się pismem. Dane pośrednie pozwalają to samo sądzić o Bolesławie Śmiałym i Włodzisławie Hermanie. O uczoności posiadającego zresztą święcenia kapłańskie Zbigniewa mówili współcześni. Dopiero z Bolesławem Krzywoustym zaczynają się wątpliwości, ale i te nie będą zbyt wielkie, gdy wspomnimy, że w latach jego dzieciństwa przebywał na dworze płockim jako nauczyciel późniejszy biskup bamberski i apostoł Pomorza.

O Ottonie bamberskim źródła mówią nawet, że prowadził szkołę. Może więc nie tylko kandydaci do stanu duchownego i dzieci książęce, ale i pozostała młodzież

wychowywana na dworze bywała wprowadzana w arkana mowy łacińskiej i pisma?

Nie było tak wykształconych wielu i dzieło Galla nie uzyskało rozgłosu w świecie sobie współczesnym. Może zresztą nie to było przyczyną niepowodzenia kronikarza, a raczej ideologia jego dzieła. Sławił bowiem Anonim silną monarchię w okresie, gdy przeżywała ona swój łabędzi śpiew. Już następnemu pokoleniu rycerskiemu tendencja taka nie mogła odpowiadać.

Niezależnie od tego, jaka przyczyna sprawiła, że dzieło Galla nie znalazło u współczesnych należytego uznania i na kilka wieków poszło w zapomnienie, trzeba się zgodzić, że piśmiennictwo odgrywało w Polsce aż do schyłku XII w. skromną rolę. Nie ono przekazywało ludności tego kraju podstawowe cechy zachodniochrześcijańskiej kultury i nie ono też było tej kultury najbardziej charakterystycznym obrazem. Świadectwem jej rozpowszechnienia są nie tak księgi, co kościoły. Toteż wysiłek chrystianizacyjny mierzono liczbą wznoszonych budowli sakralnych. Gall, który kreślił wizerunek Chrobrego przede wszystkim jako wodza i rycerza, nie omieszkał przecież wspomnieć o gorliwości, jaką ów ideał władcy okazywał „w budowaniu kościołów". To samo staje się głównym tytułem do chwały Mieszka II w panegirycznym liście Matyldy szwabskiej.

Ślady owej działalności nie zachowały się liczne, ale w ostatnich dziesięcioleciach pomnożyła je odkrywczość archeologów. Z najwcześniejszych lat chrześcijaństwa w Polsce pochodzą niewielkie rotundy odnajdywane w głównych grodach państwa oraz trójnawowa bazylika katedralna w Poznaniu; rośnie liczba tych zabytków w wieku XI; wiek XII obok książęcych przynosi też liczne fundacje możnowładców,

wśród których legenda rozsławiła szczególnie Piotra Włostowica, przypisując mu wzniesienie 77 kościołów.

Jest to architektura przedromańska i romańska, jeśli skromniejsza niż na Zachodzie, to przecież przemawiająca tym samym językiem, za pomocą tych samych środków. Historycy sztuki podejmują próby odczytania tej mowy kamieni; nad wysuwanymi hipotezami trwa dyskusja; język ten — według niektórych — jest tak bogaty, że aż trudno uwierzyć w jego powszechną zrozumiałość w społeczeństwie, któremu tradycyjny pogląd skłonny byłby przypisywać intelektualny prymitywizm. Jak to zazwyczaj bywa w pierwszych fazach sporu naukowego, obie strony zajmują zbyt skrajne stanowiska: gdy jedni dopatrują się symbolu także tam, gdzie konstrukcję tłumaczy dostatecznie stan techniki, inni — niewierni Tomasze — przesadzają chyba w sceptycyzmie. Symbole średniowiecznej plastyki wydają się skomplikowane umysłowi współczesnemu, człowiekowi nowożytnej cywilizacji pisma i druku, w której symbol przestał być narzędziem powszechnej wymiany myśli i pociąga raczej umysły przerafinowane. Ale etnografia poucza nas, że przed powstaniem tej cywilizacji wrażliwość ludzi na symbol była niepomiernie większa. I jak ociemniały kształci swój dotyk tak, że może porozumiewać się sposobami dla widzących niezmiernie trudnymi, tak społeczeństwa niepiśmienne posługują się z łatwością własnym językiem symboli, dla człowieka nowożytnego subtelnych i skomplikowanych.

Plastyka średniowieczna posługiwała się zresztą także najprostszym obrazem, bez żadnych już wątpliwości dla wszystkich zrozumiałym. Najwspanialszym przykładem są u schyłku XII w. odlane z brązu Drzwi

gnieźnieńskie przedstawiające sceny życia i męczeństwa św. Wojciecha. Łatwo zrozumieć, że zakres ich oddziaływania był wielokrotnie większy niż hagiografii literackiej.

Nie wdając się w dalsze szczegóły możemy więc stwierdzić, że Polska w ciągu XI - XII w. weszła w obręb świata o kulturze łacińsko-chrześcijańskiej. Odnajdujemy w naszym kraju wszystkie najistotniejsze elementy i właściwości tej kultury. Z drugiej jednak strony jej wyraz był niewątpliwie skromniejszy niż w wielu innych krajach. Tym się tłumaczy, że chociaż w opiniach współczesnych notowano na ogół Polskę jako kraj chrześcijański i kulturalny, trafiały się także osądy odmienne. Tak więc z kręgu bliskiego królowej Rychezie pochodzi wspomnienie o Polsce jako o kraju nieokrzesanych pogan, a w dwa wieki później tendencyjnie złą opinię wystawią poziomowi cywilizacji na Śląsku tzw. wiersze lubiąskie autorstwa niemieckich cystersów. Obserwacje tych oczywiście niechętnych Polakom autorów, jeżeli nawet przybierają formę paszkwili, świadczą o różnicy między centrami kultury średniowiecznej a naszym krajem. Nie była to jednak różnica jakościowa, lecz ilościowa: taka, jaka normalnie istnieje między ośrodkiem stołecznym a prowincjonalnym w obrębie tej samej kultury.

Różnice te wychodzą na jaw zwłaszcza przy analizie zabytków tego czasu. W porównaniu z Włochami, Francją, Anglią, Niemcami, a także Czechami, Węgrami i — z innego już kręgu kultury chrześcijańskiej — z Rusią, są one zdumiewająco ubogie. Ustępują tamtym krajom także liczebnością. Do niedawna chcieliśmy tłumaczyć to późniejszymi zniszczeniami, zwłaszcza rzekomej reakcji pogańskiej po 1034 r., a następnie łupieskimi najazdami XIII w. Dziś wiemy już, że

badania archeologiczne zaprzeczyły tej hipotezie. Odnaleziono wprawdzie ślady kilkunastu nie znanych ze źródeł pisanych kościołów wczesnośredniowiecznych, ale jednocześnie wykopaliska na terenie głównych grodów ówczesnej Polski wykazały jasno, jak ubożuchne w budowle sakralne było takie Gniezno czy przedkolonizacyjny Kraków w porównaniu z Moguncją, Kolonią, Ratyzboną a — z drugiej strony — Kijowem, nie mówiąc już o prawdziwych stolicach średniowiecznego świata.

Mówi to o powolności recepcji wzorów zachodnich, a więc pośrednio także o względnej trwałości elementów przedchrześcijańskiej kultury słowiańskiej. Toteż choć słusznie mówimy o jedności kultury średniowiecznej, z łatwością dostrzeżemy pewne jej rysy specyficzne w Polsce, podobnie zresztą jak w innych krajach, zwłaszcza na peryferiach świata zachodniego. Boć i w Danii potrafiono wówczas boczyć się na „ubiór niemiecki" księcia, a więc nawet w stroju odrębności obyczajowe się przejawiały. O wychowanym na dworze piastowskim królewiczu węgierskim Władysławie pisał Gall, że „pod względem obyczajów i sposobu życia niejako stał się Polakiem". A więc różnice obyczajowe między Polską a Węgrami nawet wśród kosmopolitycznych dynastów rzucały się współczesnym dość wyraźnie w oczy.

Nam dziś trudno dociec, na czym one polegały. Za to zauważymy inną specyfikę polskiej odmiany kultury średniowiecznej w jej pierwszych dwu wiekach: stosunkowo dużą niezależność od propagowanych przez Kościół wzorów postaw życiowych.

Zwraca więc uwagę fakt, że żaden z władców Polski nie został wyniesiony na ołtarze, choć kanonizacja założycieli dynastii i innych szczodrobliwych dla Kościoła monarchów była w X - XI w. niemal regułą.

Zostają uznani za świętych Wacław czeski, Stefan, Emeryk i Władysław węgierscy, Włodzimierz kijowski, cesarz Henryk II, królowie skandynawscy. Spośród Piastów nikt do tego rodzaju kultu nie pretenduje. I w ogóle wiele wody upłynie, zanim znajdą się Polacy odpowiadający ideałowi kościelnemu. Polska była jedynym bodaj krajem chrześcijańskim, który nie miał patrona-rodaka. Czczony w tym charakterze św. Wojciech był przecież obcym wygnańcem związanym całym życiem i działalnością z innymi krajami. Jedynie jego konflikt z dworem czeskim z jednej strony, a talent polityczny Bolesława Chrobrego z drugiej strony sprawiły, że Gniezno, a nie Praga, stało się stolicą kultu nieszczęśliwego misjonarza Prus.

Jeszcze w drugiej połowie XII w. odczuwał Kościół polski bardzo ostro brak lokalnych świętych. Dopiero w następnym stuleciu zdobędzie się na udaną próbę stworzenia legendy około zapomnianej postaci biskupa krakowskiego skazanego na śmierć przez sąd królewski. Na razie jedynym wyjściem wydawała się asymilacja kultów obcych. Stąd też sprowadzenie w 1184 r. do Krakowa relikwii mało znanego św. Floriana, odbierającego dotąd lokalną cześć w północnych Włoszech, a teraz pasowanego na patrona diecezji krakowskiej. Nie przemawiający do wyobraźni życiorysem nie mógł zdobyć późniejszy opiekun strażaków większej popularności.

Nad przyczyną braku świętych w Polsce wczesnośredniowiecznej, a w szczególności braku starań o kanonizację monarchów zasłużonych około wprowadzenia chrześcijaństwa i zorganizowania Kościoła polskiego, zastanawiano się nieraz. Wydaje się, że trzeba jej szukać w niepopularności kościelnego ideału życia. Stałym jego elementem była mianowicie asceza. Wzorów życia ascetycznego dostarczała już Bib-

lia, propagowali je tak w starożytności, jak w średniowieczu pustelnicy i zakonnicy. W żywotach świętych podkreślano z reguły ich ascezę. Kościół zachodni podziwiał i akceptował nawet takie praktyki ascetyczne, które graniczyły z wynaturzeniem.

W Europie zachodniej ideał taki pociągał nawet najmożniejszych. Nurzał się w ascezie z całą właściwą sobie namiętnością cesarz Otto III. Wyrzeczeniem się współżycia z małżonką pracował na aureolę jego przeciwnik ideowy i następca na tronie — Henryk II. Te same cechy przypisywała dwunastowieczna hagiografia węgierska także swoim władcom: jeśli mniej św. Stefanowi, to już bardzo wyraźnie jego synowi, królewiczowi Emerykowi, pasowanemu na „anioła czystości". A w tym samym czasie w Polsce przechodzi do legendy jurność Bolesława Chrobrego, umiarkowany tryb życia Mieszka II budzi niepochlebne komentarze, a opowiadając o pielgrzymce węgierskiej Bolesława Krzywoustego demonstruje nam kronikarz wzór formalistycznej pokuty, dalekiej — mimo praktykowanych umartwień ciała — od ducha prawdziwej ascezy.

Ideał panującego był więc w Polsce co najmniej do końca XII w. ideałem świeckim. Nawet próby sakryfikacji monarchii przez namaszczenie i koronację nie cieszyły się poparciem społeczeństwa: poświęconą koronę Bolesława Chrobrego z 1025 r. traci już po sześciu latach jego syn, a nawet tak długo nie udało się jej nosić Bolesławowi Śmiałemu (1076 - 1079). Nie przeszkadzało to nazywać królami także władców niekoronowanych.

Kościół w Polsce był w tym okresie szanowany, ale państwu i społeczeństwu podporządkowany. Siła magiczna obrzędów chrześcijańskich, skuteczniejszych niż dawne zabiegi, miała wspierać człowieka w rea-

lizacji jego jak najbardziej doczesnych celów. Tezy kościelnej, że celem życia ziemskiego ma być gromadzenie zasług dla zapewnienia sobie zbawienia po śmierci, powszechnie jeszcze nie przyjęto, a zapewne jej też nie rozumiano, opornie przyjmując nawet chrześcijański obrządek pogrzebowy. Panujący pogląd na świat, sposób myślenia i interpretowania zjawisk nieznacznie się tylko zmieniał od czasów pogańskich. Z chrześcijaństwa wzięto to głównie, co służyło rozbiciu dawnego modelu społecznego, dawnych więzów ustroju rodowego.

Mimo tych czy innych klęsk okres pierwszych Piastów aż po w. XII włącznie był pomyślny dla kraju, który najpierw bogacił się łupami wojennymi, później zaś także sukcesami kolonizacji wewnętrznej. Rozwój sił wytwórczych, ekspansja gospodarcza, powodzenie człowieka — wszystko to stawało się widocznym potwierdzeniem skuteczności stosowanych zabiegów magicznych, hamując zarówno postępy racjonalistycznego widzenia świata, jak i pogłębienie chrystianizacji. Po nowy oręż w walce z przeciwnościami sięga się zawyczaj wtedy, gdy stary nie spełnia już swych zadań. Schrystianizowana magia dobrze zdawała egzamin, nie było powodu jej odrzucać ani reformować.

Powodzenie pierwszych lat kolonizacji rychło jednak zostało zakłócone. Stosowane dotąd zaklęcia i zabiegi, w połączeniu z żelazną siekierą i udoskonalonym radłem tak skutecznie podporządkowujące człowiekowi przyrodę, nie zapobiegały klęskom niesionym przez anarchię feudalną lat polskiego Wielkiego Bezkrólewia.

Nietrudno też zauważyć, że w XIII w. zmienia się w Polsce panujący pogląd na świat. Dawniejsza literatura zwróciła już na to uwagę nazywając owo stulecie „wiekiem świętych", mówiąc o ogarnięciu

Polski przez „religijnego ducha wieków średnich" (Juliusz Kleiner). Są to obserwacje słuszne. Od połowy XIII w. Polska zyskuje serię świętych narodowych, a sam ideał świętości propaguje się jeszcze wcześniej — od początku stulecia.

Literackim tego przejawem jest kronika Mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem. Wykształcony za granicą kapelan Kazimierza Sprawiedliwego dziełem swym chciał wystawić pomnik swemu dobrodziejowi. Jakże inne cechy dobrego władcy eksponuje jednak niż Gall Anonim! W jego ujęciu tytułem do chwały także monarchów są cnoty ewangeliczne. Ilustracją sprawiedliwości i wielkoduszności Kazimierza ma być między innymi anegdota o zajściu przy grze w kości, kiedy to ograny przez księcia dworzanin w ostatecznej rozpaczy miał go uderzyć w twarz; szlachetny książę nie tylko nie pomścił się za zniewagę, lecz nadto uznał publicznie własną winę.

Pewno, że jest to historyjka charakterystyczna także dla okresu upadku autorytetu książęcego w Polsce w ogóle, a w ziemi krakowskiej w szczególności. Kilkadziesiąt lat temu nie było w zwyczaju grozić księciu: „zginiesz jak kogut!" ani go policzkować, teraz rzeczy te stały się możliwe i mówiono o nich z pewną satysfakcją. Nie samymi jednak tylko zmianami układu sił w społeczeństwie da się wytłumaczyć fakt, że rycerski ideał panów mszczących się za zniewagi ustępował miejsca kultowi pokory. To powierzchownie chrześcijański światopogląd magiczny przekształcał się w formowany przez ideologię Kościoła światopogląd dewocyjny.

Przemiana ta następuje stopniowo, a dewocja bynajmniej nie eliminuje magii. Stworzony przez Kadłubka a rozwinięty przez Wincentego z Kielc wizerunek pierwszego narodowego świętego, biskupa Sta-

nisława, czyni z niego nie tylko obrońcę praw Kościoła i męczennika, ale także magika-cudotwórcę. Polemiką z tymi, którzy powątpiewają w moc magiczną biskupa, jest opowieść o chwilowym wskrzeszeniu zmarłego możnowładcy, by mógł zaświadczyć o słuszności majątkowych pretensji Kościoła.

Żywot świętego biskupa otrzymuje też specyficzną interpretację: jak ciało Stanisława porąbanego rzekomo przez króla zrosło się w sposób cudowny, tak zrośnie się w jedną całość rozbite politycznie królestwo polskie. A więc kanonizacja i kult św. Stanisława nabierają tu sensu zabiegu magicznego: mają spowodować zjednoczenie Polski.

Już jednak nieco późniejsze żywoty świętych polskich — pobożnych księżniczek Jadwigi i Kingi — kreślą nowy wzór do naśladowania, którego głównym elementem jest asceza. Około połowy XIII w. można już mówić o modzie na ascezę w Polsce. Świecą jej przykładem dwory książęce i to nie jakieś drugorzędne, ale właśnie te z największymi ambicjami politycznymi: wrocławski, krakowski, także poznański. Można wprawdzie śluby czystości różnych Brodatych, Wstydliwych i Pobożnych próbować wyjaśnić ich upośledzeniem fizycznym, a wynaturzenia praktyk ascetycznych wdów książęcych odnosić również do sfery ich życia seksualnego. Ale patologią indywidualną nie sposób wytłumaczyć zjawiska niewątpliwie masowego.

Asceza świętych księżniczek nie była bowiem wzorem, który by miał być dopiero upowszechniany przez propagowanie ich żywotów. Postawy ascetyczne nie wiązały się też w drugiej połowie XIII w. tylko ze środowiskiem dworskim. Jeśli wskazujemy na ten krąg społeczny, to głównie dlatego, że o nim najwięcej mówią bezpośrednie źródła. Sposób życia w innych

środowiskach nie ma tak bogatej dokumentacji. O pospolitości praktyk ascetycznych świadczą jednak zanotowane w 1261 r. przez roczniki polskie wystąpienia na Śląsku, w Małopolsce i w Wielkopolsce tak zwanych biczowników. Gromady kobiet i mężczyzn wędrowały przez kraj, z miasta do miasta, biczując się wzajemnie; przywódcy ich wygłaszali kazania i udzielali rozgrzeszenia uzurpując sobie w ten sposób prawa zastrzeżone stanowi duchownemu. Między innymi dlatego biczowników — znanych też w Europie zachodniej — Kościół uznawał za heretyków i wzywał do walki z nimi.

Ruch biczowników był niewątpliwie skrajną postacią powszechnego prądu ascetycznego, choć już nie mieszczącą się w ramach posłusznej Kościołowi konwencji. Dwory piastowskie szły za gustem współczesnych i jemu też schlebiać miały opisy praktyk pokutnych świętych księżniczek w poświęconych im utworach hagiograficznych. Opisy te dawały zarazem wzór dewocji prawowiernej.

Tak jednak jak chrześcijańska magia wydaje się z naszej perspektywy jedynie wzbogaconą magią pogańską, również propagowane w średniowieczu praktyki ascetyczne nasycały się magiczną treścią. Weźmy na przykład taki typowy fragment żywota świętej: oto Jadwiga „chusty, którymi zakonnice po umyciu się obcierały ręce... gorąco całowała, a czyniąc na tych brudem powalanych chustkach znak krzyża przykładała je do oczu i piersi jak relikwie drogocenne”. Widzimy tu elementy swoiście pojętej ascezy, a bardziej jeszcze chrześcijańskiej pokory, ale nad wszystkim dominuje gest magiczny i wiara w czarodziejską moc rzeczy należących do osób związanych z Kościołem, w konkretnym wypadku — do zakonnic.

Podobnych przykładów przytacza polska hagiografia tego okresu więcej. Odrażające często praktyki świętych księżniczek są z reguły nową postacią zabiegów magicznych, choć żywociarze potrafią je skomentować jako przejawy cnót ewangelicznych i może nawet tak je rozumiały owe szlachetne panie należące bądź co bądź do światlejszej części społeczeństwa. Trudno jednak przypuszczać, by przypisywane im praktyki były oryginalnym wynalazkiem Jadwigi czy Kingi; chciałoby się nawet powątpiewać, czy wszystko to czyniły rzeczywiście. W utworach hagiograficznych panuje zazwyczaj schemat, na życie świętego składać się mają typowe cnoty obowiązującego w danym okresie wzoru obyczajowego. Najprawdopodobniej żywociarze wdów piastowskich skatalogowali po prostu typy praktyk szerzej rozpowszechnionych, choć zapewne nie stosowanych dzień w dzień. Odbijał się w nich w dalszym ciągu magiczny pogląd na świat.

Obok magii było w tym jednak coś nowego, co wywodzi się niewątpliwie z Ewangelii, a nie z tradycyjnych pojęć pogańskich, mocnych jeszcze w poprzednim stuleciu, mianowicie kult ubogich i pokrzywdzonych. W magii pogańskiej dotykano kłów dzikiego zwierzęcia, by nabyć podobnej mu siły; rozdzierano na amulety szatę czarownika, by uzyskać część jego nadprzyrodzonych zdolności; podobna intencja tkwiła w praktykach z relikwiami lub przedmiotami kościelnego kultu. W każdym z tych wypadków chciano coś zyskać przez posłużenie się rzeczą, która należała do kogoś potężnego lub symbolizowała potęgę. Magia trzynastowiecznych ascetów każe całować ślady żebraka, człowieka nic nie posiadającego, nawet urody, „wśród innych najpotworniejszego".

„Ubogi" zawsze zajmował niezgorsze miejsce w retoryce chrześcijańskiej. Był on jednak we wcześniej-

szym średniowieczu co najwyżej przedmiotem miłosierdzia; „ubogimi i sierotami" powinien się był możny chrześcijanin opiekować, ale oczywiście patrzył na nich z góry — „łaskawie". Ponieważ instytucją organizującą pomoc dla najuboższych i chorych był Kościół, zaczął się sam z nimi identyfikować, występować jako reprezentant świata ubogich — aż dobrze się dzięki jałmużnom wzbogacił. Toteż pojęcie ubogiego ulegało ewolucji. Nie był „ubogim" rycerz bez względu na swój stan materialny i w jego obowiązkach mieściła się opieka nad ubogimi, wdowami i sierotami. „Ubogim" był natomiast każdy, choćby najmożniejszy, instytut kościelny i korzystał z prawa do opieki. Jak widać, ubóstwo zrównywano pojęciowo nie tak z brakiem majątku, co ze słabością, bezbronnością, brakiem naturalnego opiekuna-obrońcy. Upodobniało to „ubogiego" do owych wdów i sierot, z którymi wymieniano go jednym tchem.

W XIII w. takie pojęcie ubogiego nie należało jeszcze do przeszłości. Ale obok niego rozpowszechniało się coraz bardziej pojęcie — i kult — rzeczywistej biedy. Kult ubóstwa, sprzeczny z ideologią panującą społeczeństwa klasowego, nawiązywał do Ewangelii; był wynikiem jej odczytania na nowo nie przez książąt Kościoła, a przez samych ubogich. Toteż warunkiem jego powstania i rozpowszechniania się była znajomość tekstów ewangelicznych wśród ludu.

W Polsce stała się ona możliwa właśnie w XIII w. Rozwój sieci parafialnej sprawił, że stała opieka duszpasterska objęła w zasadzie całą ludność kraju. Władze kościelne kładły nacisk na wyjaśnianie wiernym w ich ojczystym języku treści łacińskich modlitw i perykop ewangelicznych. Znamy zarządzenie tej treści wydane przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnkę w 1285 r.; zmierzało ono niewątpliwie

do rozszerzenia na cały kraj rozpowszechnionej już praktyki. *Kazania świętokrzyskie,* najdawniejsze znane nam kazania w języku polskim, spisane zostały w początkach w. XIV, ale to właśnie dowodzi, że kaznodziejstwo polskie rozkwitło już znacznie wcześniej.

Dzięki temu wiele fragmentów Ewangelii stawało się własnością powszechną, przedmiotem gawęd i rozważań, wreszcie prób własnej interpretacji. Biedakom i pokrzywdzonym nie mogła ujść uwagi wysoka ranga nadawana ubóstwu w tych tekstach i potępienie bogactwa czy to w opowieści o pobożnym młodzieńcu, któremu jednak przywiązanie do dóbr doczesnych zamknęło drogę do doskonałości, czy w przypowieści o bogaczu i Łazarzu. Tendencje antyfeudalne znajdowały tu sankcję ideologiczną.

Toteż heretyckie ruchy ubogich nie zatrzymały się na granicach Polski. W połowie XIII w. przekroczyły je wpływy waldensów, u schyłku stulecia szerzył się ruch begardów. Świadczy to nie tylko o popularyzacji Ewangelii, ale też o chęci jej samodzielnego interpretowania bez oglądania się na naukę oficjalnego Kościoła.

Dzięki Tadeuszowi Manteufflowi rozumiemy tożsamość genezy zarówno ruchów przez Kościół odrzuconych i opatrzonych etykietą herezji, jak i podporządkowanych władzom kościelnym zakonów żebrzących. Nie dziwi więc, że i one znalazły chętne przyjęcie w Polsce. Franciszkanie już w kilkanaście lat po zatwierdzeniu ich reguły przez papieża osiedli w Krakowie i Wrocławiu stając się ulubieńcami zwłaszcza mieszczaństwa pochodzenia niemieckiego. Wcześniej, w 1223 r., biskup Iwo Odrowąż sprowadził do Krakowa dominikanów; ten zakon, w przeciwieństwie do franciszkanów, szybko się polonizował.

Postawa życiowa propagowana przez ruchy ubogich — tak te pogodzone z Kościołem, jak i owe wobec niego opozycyjne — była nacechowana zapatrzeniem się w niebo, oczekiwaniem sprawiedliwości pośmiertnej. Heretycki protest przeciw bogactwom Kościoła nie stawał się jeszcze punktem wyjścia do walki o zmianę porządku panującego na ziemi. Odrzucano tylko autorytet hierarchii kościelnej jako przewodniczki na drodze do zbawienia. Przy całej pogodzie ducha, jaka cechowała np. ruch franciszkański, hasłem wszystkich odłamów ruchu ubogich było *memento mori*. Jeśli ruchy te wpływały również na życie i zostawiały nawet trwały ślad swej działalności, to nie wynikało to z ich świadomych założeń. Te negowały nawet wartość pracy produkcyjnej, zalecając żyć na podobieństwo ptaków niebieskich, które nie orzą ani nie sieją, jak powiedziano w Ewangelii.

Dewocyjno-ascetyczną postawę życiową wyraziła plastycznie sztuka gotycka. Strzeliste kościoły symbolizowały wzlot duszy ludzkiej ku niebu, ku Bogu, a drobiazgowo przemyślane szczegóły architektoniczne, rzeźby i malowidła składały się na całość, która — użyjemy tu słów kompetentnego historyka architektury — „była dydaktycznym kazaniem o grzechu, pokucie i odkupieniu" (Lech Kalinowski). W Polsce gotyk pojawił się ok. 1230 r., a głównym jego propagatorem stały się zakony żebrzące.

Geneza gotyku jest jednak dwojaka. Wyrósł on nie tylko z porywów mistycznych, ale i z postępu technicznego wiążącego się z rozwojem miast i produkcji cechowej. Był w ten sposób wyrazem współistnienia, twórczego kompromisu i wzajemnego uzupełniania się metafizycznych tęsknot średniowiecznego człowieka i jego trzeźwej postawy w codziennej walce o byt.

Społeczeństwo okresu świetności feudalizmu nie pogrążało się też wyłącznie w kwietystycznym oczekiwaniu sprawiedliwości na sądzie Bożym. Na utrapienia życia codziennego, na krzywdy doznawane od silniejszych reagowano rozmaicie. Szukanie ratunku w nowych formach magii, w popartych ascetycznymi wyrzeczeniami modłach, w pociechach religii obiecującej ostateczny triumf ubogim nie było dominującym akcentem w postawach ówczesnych ludzi, choć właśnie ten akcent został najlepiej utrwalony w słowie i w kamieniu. Nie rozmyślania przecież ani praktyki pokutne przywiodły do zjednoczenia rozbitego państwa i do zmiany modelu społeczeństwa, lecz przybierająca w całej Europie na sile uparta walka z anarchią feudalną, walka o sprawiedliwość na ziemi.

Jej natężenie łączyło się ze wzrostem samowiedzy społecznej stanów i przybierało formę walki o prawa stanów, a zwłaszcza o autonomiczne sądownictwo stanowe. Wierzono bowiem, że wymarzoną sprawiedliwość zapewni oddanie sądu w ręce ludzi podobnych obwinionemu, w ręce ludzi tego samego, co on, stanu. I czy to będą rycerze, czy duchowni, mieszczanie czy wieśniacy, wszyscy wołali wówczas o sąd równych — sąd parów. Sądownictwo stanowe wydawało się panaceum na wszelkie bolączki, osiągnięciem rewolucyjnym, które odbierze porządkowi średniowiecznemu charakter klasowego panowania feudałów. W krwawych walkach zdobywały więc ów przywilej czy to poszczególne potężne komuny miejskie krajów przodujących w rozwoju gospodarczym, czy to zespolone w solidarnej walce z koroną stany angielskie, zanim wygrały Wielką Kartę Wolności i jej poszanowanie.

W Polsce przebiegało to jakoś inaczej. Źródła nie ukazują równie jak na Zachodzie zaciętej walki o są-

downictwo stanowe. Przyszło ono jak gdyby z dobrej woli góry feudalnej recypującej owe postępowe nowości z Zachodu. Wydaje się czasem, że sądownictwo stanowe zaczęto u nas wprowadzać wcześniej, niż ludność rodzima doszła do wysunięcia takiego postulatu. Czy to jednak możliwe? Czy czegoś nie przeoczamy? Oto otwarty problem badawczy.

Skoro już jednak pojawiło się to sądownictwo dla nielicznych obcych, stało się atrakcyjnym wzorem dla wszystkich. Jakkolwiek więc skąpe źródła nadal nie dają obrazu toczącej się walki, teraz już negować jej nie sposób. Przenoszenie polskich osad wiejskich i miejskich na prawo niemieckie znaczy zwycięstwa pospolitej ludności w tej walce.

U schyłku średniowiecza, w dobie poprzedzającej przekształcenie się monarchii stanowej w rzeczpospolitą szlachecką, stanowy samorząd sądowniczy był już obwarowany licznymi przywilejami. Człowieka określało to, jakiemu prawu podlegał i przez kogo był sądzony. A praw tych występowała rozmaitość mimo wysiłków kodyfikacyjnych państwa Kazimierza Wielkiego. Zatarto niektóre różnice dzielnicowe, ale wciąż inne w szczegółach prawo ziemskie obowiązywało w Małopolsce, inne zaś w Wielkopolsce. Ziemie mazowieckie, czerwonoruskie, później też pomorskie wchodziły następnie w skład monarchii zachowując odrębne zwyczaje prawne.

W poszczególnych miastach panowały różne odmiany prawa niemieckiego, a poza nim także prawo żydowskie i ormiańskie. Na wsiach organizacja wzorowana na miastach nie zawsze łączyła się z pełną recepcją prawa niemieckiego; importowane zasady prawne mieszały się z normami polskiego prawa zwyczajowego. Na południowym wschodzie państwa nadawano wsiom prawo wołoskie.

Wspólne tym prawom było jedno: udział społeczeństwa w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości.

Warto by się pokusić o obliczenie, jaki procent ludności brał wówczas bezpośredni udział w ferowaniu wyroków sądowych. Ale nawet bez takich obliczeń, które i tak nie mogłyby być ścisłe i musiałyby operować elementami hipotetycznymi, widać, że był to procent znaczny. W każdej osadzie lokowanej funkcjonował przecież sąd ławniczy, w każdym powiecie — szlachecki sąd ziemski. Zasiadający w tych sądach rycerze, mieszczanie, kmiecie musieli znać przepisy prawne i umieć je interpretować. A i stającym przed sądami w roli procesujących się stron, obwinionych, czy nawet świadków problematyka prawnicza nie pozostawała obca. Jej znajomość ułatwiała życie, pozwalała unikać zastawianych pułapek, dochodzić swego.

Jeśli więc nie większość, to w każdym razie poważna część ludności w społeczeństwie stanowym była otrzaskana z prawem i sądem.

Nie pozostawało to bez wpływu na mentalność tych ludzi. Im bliżej końca średniowiecza, tym wyraźniej myślenie magiczne ustępuje myśleniu prawniczemu. W niczym nie przejawia się to tak wyraźnie, jak w późnośredniowiecznych herezjach, na naszym gruncie — w husytyzmie. Z ruchami podobnego typu wieków wcześniejszych łączy go niewątpliwie protest przeciw niesprawiedliwościom ustroju feudalnego i bunt przeciw hierarchii kościelnej identyfikującej się w tym ustroju z klasą wyzyskującą. Ale jakże inny jest sposób myślenia tamtych i tych herezjarchów!

Kacerze wcześniejszego średniowiecza apelowali do uczuć uciskanych mas, przypominali im potępienie bogactwa w tekstach świętych, ale ostatecznie ich krytyka Kościoła sprowadzała się w praktyce do wskazywania na bicz i włosiennicę jako najpewniejsze

drogi do Królestwa Bożego. Mówiliśmy już, ile wiary w siłę magii w tym tkwiło.

Husyci interpretowali teksty. Interpretowali je jak juryści. Rozważali przede wszystkim, jakie komu przysługują prawa. Czy duchowny ma mieć większe prawo niż świecki do udziału w Uczcie Pańskiej? Skąd się bierze uprawnienie duchowieństwa do udzielania sakramentów? Czy grzeszny ksiądz zachowuje swoje uprawnienia? Z analizy tych problemów — co do treści i teologicznych, i społecznych, ale co do formy oczywiście prawniczych — wyciągali dopiero te wnioski, które postawiły ich w opozycji do rzymskiego Kościoła, a bardziej radykalnych — do całego feudalnego świata. A i te wnioski formułowano językiem prawniczym, jak w czterech artykułach praskich, gdzie potępienie przejawów niesprawiedliwości feudalnej i wezwanie do walki z nią wyrażono postulatem karania grzechów śmiertelnych.

Widocznie był to język powszechnie zrozumiały i trafiający do przekonania, skoro husytyzm znajdował gorliwych wyznawców wśród wszystkich stanów.

Wrażliwość człowieka schyłku średniowiecza na problematykę prawną znalazła wyraz także w łatwym przyswajaniu najmodniejszych kierunków uczonej myśli prawniczej, dzięki czemu — jak o tym w odpowiednim miejscu wspominaliśmy — wpływ pojęć prawa rzymskiego na prawo polskie okazywał się znacznie silniejszy, niż by się tego można było spodziewać zliczając niezbyt imponującą kadrę wykształconych za granicą prawników.

Innym przejawem tej wrażliwości był coraz powszechniejszy postulat praworządności, z którym spotykamy się już za Kazimierza Wielkiego, a który za ostatnich Jagiellonów wyrazi się w haśle egzekucji praw.

I jeżeli właśnie już Kazimierz Wielki próbuje powołać do życia uniwersytet z uprzywilejowanym studium nauk prawniczych, to chyba odpowiadało to nie tylko upodobaniom i ambicjom królewskim, ale też — i może przede wszystkim — żywej potrzebie społecznej.

Przyszłe badania skontrolują bardziej systematycznie piśmiennictwo tego okresu — świeckie i kościelne — by wydobyć z nich dalsze ślady kształtującej się mentalności prawniczej. Kronika Janka z Czarnkowa i Ostrorogowe *Monumentum pro Reipublice ordinatione* można na pewno z pożytkiem analizować z tego punktu widzenia. Nie wiadomo, czy doczytamy się podobnych akcentów w kazaniach i literaturze dewocyjnej korzystającej ze starszych wzorów. W *Bogurodzicy* obraz Adama jako kmiecia zasiadającego na wiecu wart jest w każdym razie poddania ponownej dyskusji.

Schyłek Średniowiecza to zarazem próg Renesansu. Jeśli za cechę charakterystyczną mentalności średniowiecznej uznać zaufanie do magii i skłonności ascetyczno-mistyczne, to rychły triumf renesansowego stosunku do życia wyda się czymś zaskakującym i nieprawdopodobnym. Stanie się on zrozumiały, gdy dojrzymy na przełomie XIII i XIV w. kryzys dawnego pojmowania świata i nowe, realistyczne spojrzenie — jeśli jeszcze nie na przyrodę (choć i tu już coś się zmienia), to w każdym razie na społeczeństwo. Było to zarazem spojrzenie optymistyczne, ufne w prawo jako gwaranta sprawiedliwości. Ten optymizm wyzwalał człowieka z pęt ascezy, pozwalał cieszyć się życiem.

Trwały jeszcze formy średniowieczne. Przenikała je jednak nowa treść. W sztuce późny gotyk zakwitający w Polsce arcydziełami Wita Stwosza swym

realizmem i humanizmem przygotowywał grunt rozumieniu artystów Odrodzenia. W życiu codziennym, w obyczajowości już dwór Kazimierza Wielkiego, biskupi polscy, mieszczaństwo reprezentowane przez sławnego Wierzynka mało mieli wspólnego z wzorami stworzonymi przez Średniowiecze: doceniali powaby życia i korzystali z nich bez skrępowania.

Gdy czytamy w kronice Janka z Czarnkowa, jak to biskup krakowski i regent królestwa Zawisza z Kurozwęk w pogoni za nadobną wieśniaczką wspinał się nocą po drabinie na stertę zboża, gdzie ową dziewoję schował ojciec, by ocalić ją przed zapałami rozpustnika, to wydaje się nam, że odwracamy stronice Dekamerona. I nic dziwnego — to przecież te same lata.

Podobnych anegdot przytacza kronikarz wiele i choć jego dzieło ma niewątpliwie charakter paszkwilancki, nie można wątpić, że owe sytuacje były w tych czasach typowe. W skandaliczne epizody obfitowała zresztą także biografia króla. Minęła już epoka, gdy takimi sprawami się gorszono. Życie stawało się swobodne, choć jeszcze nie podnoszono tego do godności zasady. Ale już w kilkadziesiąt lat później, tuż przed wojną trzynastoletnią i statutami nieszawskimi otrzymać miał jedną z najwyższych godności w Kościele polskim, arcybiskupstwo lwowskie, świadomy humanista i propagator renesansowego stylu życia, Grzegorz z Sanoka (1451).

Choć nie było to wydarzenie wielkiej doniosłości, jest przecież na tyle charakterystyczne, że można tą datą zamknąć rozważania na temat średniowiecznego człowieka i średniowiecznej kultury w Polsce.

WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE

Najbardziej wszechstronnym opracowaniem dziejów polskiego średniowiecza jest przygotowana zbiorowo w Instytucie Historii PAN pod redakcją naczelną T. Manteuffla *Historia Polski*, t. I, cz. I pod redakcją H. Łowmiańskiego (Warszawa 1957). Nie straciły jednak wartości również dawniejsze, przedwojenne syntezy, zwłaszcza w zakresie dziejów politycznych, jak przede wszystkim M. Bobrzyńskiego, *Dzieje Polski w zarysie*, t. I (wyd. 4, Warszawa 1927) oraz R. Grodeckiego, S. Zachorowskiego i J. Dąbrowskiego, *Dzieje Polski średniowiecznej*, t. I—II (Kraków 1926). W ostatnich latach własny wykład dziejów epoki dał K. Tymieniecki, *Polska w średniowieczu* (Warszawa 1961).

W zakresie dziejów państwa i prawa Polski średniowiecznej korzystamy dziś z obszernego i przejrzystego opracowania J. Bardacha, *Historia państwa i prawa Polski*, t. I (wyd. 2, Warszawa 1964). Dorobek dawniejszej nauki sumują z punktu widzenia dwu różnych szkół historyczno-prawnych S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski w zarysie. Korona* (wyd. 8, przejrzał i uzupełnił A. Vetulani, Warszawa 1949) i Z. Wojciechowski, *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju* (wyd. 2, Poznań 1948).

Ostatnią wielką syntezą dziejów gospodarki pozostaje J. Rutkowskiego, *Historia gospodarcza Polski* (Poznań 1946, ostatnie wydanie Warszawa 1953) przedstawiająca wyniki badań przedwojennych i dziś już niewystarczająca wobec poważnego postępu wiedzy w tej dziedzinie.

Również w zakresie historii kultury średniowiecznej Polski ostatnim wielkiej miary opracowaniem całości jej problematyki są od prawie czterdziestu lat A. Brücknera, *Dzieje kultury polskiej*, t. I (Kraków 1930, ost. wyd. Warszawa 1958).

Rozpatrując dzieje Polski na tle dziejów powszechnych się-

gamy po pracę T. Manteuffla, *Średniowiecze powszechne* (Warszawa 1958) oraz jej przeróbkę podręcznikową *Historia powszechna — Średniowiecze* (Warszawa 1967). Wiele istotnych problemów z tej dziedziny pozwalają zrozumieć K. Tymienieckiego, *Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej*, Poznań 1948.

Szczegółową bibliografię można znaleźć w wyżej wymienionych pracach, a zwłaszcza w *Historii Polski*, t. I, cz. III IH PAN. W dalszym więc ciągu ograniczamy się do wskazania niektórych tylko monografii, które przy pisaniu poszczególnych rozdziałów niniejszej książki były autorowi szczególnie pomocne, których tezy autor przyjął za swoje lub którym przeciwstawiając się sformułował sądy odmienne.

Wiek IX i pierwsza połowa X wieku

Społeczeństwo wczesnośredniowieczne

Opracowanie szczególnie tu ważnej podstawy źródłowej, jaką stanowią materiały archeologiczne dali: J. Kostrzewski, *Kultura prapolska* (wyd. 2, Poznań 1949) i *Pradzieje Polski* (Poznań 1949) oraz W. Hensel, *Słowiańszczyzna wczesnośredniowieczna* (Warszawa 1956). Ze źródeł pisanych cenne, ale bezpośrednio niedostępne historykowi-nieorientaliście relacje arabskie można było uwzględnić dzięki wydawnictwu T. Lewickiego, *Źródła arabskie do dziejów Słowiańszczyzny*, t. I (Wrocław—Kraków 1956) i opracowaniu tegoż, *Świat słowiański w oczach pisarzy arabskich* (Slavia Antiqua, t. 2, 1949). Spośród studiów nad organizacją społeczeństwa wczesnośredniowiecznego i jego podstawami ekonomicznymi najwięcej materiału do przemyśleń dostarczyły autorowi następujące prace (w porządku chronologicznym ich ukazania się): K. Potkańskiego, *Ze studiów nad ustrojem grodowo-plemiennym. Pisma pośmiertne*, t. I (Kraków 1922); K. Tymienieckiego, *Społeczeństwo Słowian lechickich* (Lwów 1928); H. Łowmiańskiego, *Podstawy gospodarcze formowania się państw słowiańskich* (Warszawa 1958); tegoż, *Zagadnienie niewolnictwa u Słowian we wczesnym średniowieczu* (w: *VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich*, sekcja I, Warszawa 1960); K. Tymienieckiego, *Przemiany społeczne w związku z powstawa-*

niem państwa polskiego (w dziele zbiorowym: *Początki państwa polskiego*, t. II, Poznań 1962). Z ukazującego się właśnie częściami monumentalnego dzieła H. Łowmiańskiego, *Początki Polski*, autor znał w chwili pisania książki tylko dwa pierwsze tomy (Warszawa 1963—1964).

Geografia polityczna ziem polskich do połowy X w.

Ponieważ podstawowym źródłem dla omawianego tu problemu jest tzw. *Geograf bawarski*, szczególną rolę gra literatura temu zabytkowi poświęcona, przede wszystkim zaś S. Zakrzewskiego, *Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju, czyli tzw. Geograf bawarski* (Lwów 1917), gdzie mamy również reprodukcję źródła, oraz najbardziej dotąd krytyczne analizy H. Łowmiańskiego, *O pochodzeniu Geografa Bawarskiego* (Roczniki Historyczne, t. 20, 1951—1952) i *O identyfikacji nazw Geografa Bawarskiego* (Studia Źródłoznawcze, t. 3, 1958). Główne stanowiska w sporze naukowym o lokalizację, granice, dzieje i rolę Wiślan i Lędzian przedstawili: K. Potkański, *Kraków przed Piastami* (Rocznik Krakowski, t. 1, 1898); J. Widajewicz, *Państwo Wiślan* (Kraków 1947). H. Łowmiański, *Lędzianie* (Slavia Antiqua, t. 4, 1954); J. Dąbrowski, *Studia nad początkami państwa polskiego* (Rocznik Krakowski, t. 34, 1958); K. Tymieniecki, *Początki państwa Polan* (Przegląd Historyczny, t. 50, 1959).

Państwo Polan

Próby określenia głównych cech tzw. państw plemiennych podjęli w dawniejszej literaturze O. Balzer, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny Zachodniej. Pisma pośmiertne* (Lwów 1937) i Z. Wojciechowski, *Ustrój polityczny ziem polskich w czasach przedpiastowskich* (Pamiętnik Historyczno-Prawny, t. 4, 1927, z. 2). Własny pogląd uzasadnił autor szerzej w pracy *Ewolucja państwa wczesnofeudalnego na Pomorzu Zachodnim* (Przegląd Historyczny, t. 47, 1956). Dla wczesnych dziejów Gniezna jako ośrodka państwa Polan podstawową jest praca kierownika prowadzonych tam badań

archeologicznych K. Żurawskiego, *Gniezno, stołeczny gród pierwszych Piastów, w świetle źródeł archeologicznych* (w: *Początki państwa polskiego*, t. II, Poznań 1962).

Około 960—1138

Narodziny państwa polskiego i jego miejsce w Europie

Z bardzo licznej literatury poświęconej temu zagadnieniu największe znaczenie mają z natury rzeczy prace nowsze. Nie utraciła jednak wartości monografia pierwszego historycznego władcy Polski pióra S. Zakrzewskiego, *Mieszko I jako budowniczy państwa poskiego* (Warszawa 1921). W trudnej i spornej kwestii stosunków polsko-niemieckich za pierwszych Piastów nauka wiele zawdzięcza M. Z. Jedlickiemu, *Stosunek prawny Polski do cesarstwa do r. 1000* (Poznań 1939). Po wojnie nowe spostrzeżenia dorzucili G. Labuda, *Studia nad początkami państwa polskiego* (Poznań 1946) i Z. Wojciechowski, *Studia historyczne* (Warszawa 1955). Ostatnio omawiał rolę międzynarodową młodego państwa polskiego T. Manteuffel, *Państwo Mieszka a Europa* (Kwartalnik Historyczny, t. 67, 1960, z. 4), a studium nad wczesnymi dziejami dynastii dał H. Łowmiański, *Dynastia Piastów we wczesnym średniowieczu* (w: *Początki państwa polskiego*, t. I, Poznań 1962), tenże uczony w pracy *Bolesław Chrobry w Krakowie w końcu X wieku* (Małopolskie Studia Historyczne, t. 4, 1961, z. 3—4) przedstawił hipotezę, wyjaśniającą niektóre pozorne sprzeczności źródeł. Genezę i okoliczności chrztu Mieszka I analizował J. Dowiat, *Metryka chrztu Mieszka I i jej geneza* (Warszawa 1961); tamże omówienie odmiennych poglądów i polemika z nimi.

Od współpracy z cesarstwem do korony królewskiej

Dysponujemy dwiema monografiami panowania Bolesława Chrobrego: S. Zakrzewskiego, *Bolesław Chrobry Wielki* (Lwów 1925) i A. F. Grabskiego, *Bolesław Chrobry* (Warszawa 1964). Sprawy kościelne w tym okresie zbadał W. Abraham, *Gniezno i Magdeburg* (Kraków 1921). Mimo obfitej lite-

ratury — część jej wymieniono w bibliografii poprzedniego rozdziału — sporne pozostało zagadnienie prawno-politycznych decyzji zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 r.; autor zbliżał się do poglądów wyrażonych przez Z. Wojciechowskiego, *Patrycjat Bolesława Chrobrego* (w tegoż: *Studia Historyczne*, Warszawa 1964). Ostatnio nowe światło rzucił na tę kwestię T. Wasilewski, *Bizantyjska symbolika zjazdu gnieźnieńskiego i jej prawno-polityczna wymowa* (Przegląd Historyczny, t. 57, 1966, z. 1).

Fermenty wewnętrzne

Gospodarkę książęcą w państwie Piastów poznajemy dzięki dwóm klasycznym już pracom: R. Grodeckiego, *Książęca włość trzebnicka w XII wieku* (Kwartalnik Historyczny, t. 26—27, 1912—1913) i K. Tymienieckiego, *Majętność książęca w Zagościu i pierwotne uposażenie klasztoru joannitów na tle osadnictwa dorzecza dolnej Nidy* (Rozprawy Akademii Umiejętności, Wydział Hist.-Filoz., t. 55, 1912). Świadczeniom ludności na rzecz księcia poświęcili badania J. Widajewicz, *Powołowe-poradlne, danina ludności wiejskiej w dobie piastowskiej* (Lwów 1919) i *Danina stołu książęcego w Polsce piastowskiej* (Lwów 1926) oraz O. Balzer, *Narzaz w systemie danin książęcych pierwotnej Polski* (Lwów 1928). Zmian struktury społecznej w rozwijającym się państwie dotyczą m. in. prace S. Arnolda, *Możnowładztwo polskie w XI i XII w. i jego podstawy gospodarczo-społeczne* (Przegląd Historyczny, t. 25, 1925), K. Buczka, *Książęca ludność służebna w Polsce wczesnośredniowiecznej* (Wrocław 1958), K. Tymienieckiego, *Przypisańcy w gospodarstwie feudalnym* (Kwartalnik Historyczny, t. 70, 1963) i inne. Przełomowe znaczenie w badaniach nad genezą miast polskich ma studium K. Tymienieckiego, *Podgrodzia w północno-zachodniej Słowiańszczyźnie i pierwsze lokacje miast na prawie niemieckim* (Slavia Occidentalis, t. 2, 1922); z nowszej literatury zwraca uwagę praca tegoż uczonego, *Organizacja rzemiosła wczesnośredniowiecznego a geneza miast polskich* (Studia Wczesnośredniowieczne, t. 3, 1954) oraz studia T. Lalika, *Stare Miasto w Łęczycy* (Kwart. HKM t. 4, 1956, z. 4), *Początki miast w Polsce* (Kwart. Hist., t. 67, 1960) i *Kształtowanie się miast za pierwszych Piastów*,

(w: *Początki państwa polskiego*, t. II, Poznań 1962). Kościół wczesnośredniowieczny poznajemy przez wciąż niezastąpione dzieło W. Abrahama, *Organizacja Kościoła w Polsce do połowy XII w.* (wyd. 2, uzup. i powiększone, Kraków—Lwów 1893; wyd. 3, Poznań 1962). Siłom zbrojnym tego okresu poświęcił pracę A. F. Grabski, *Polska sztuka wojenna w okresie wczesnofeudalnym* (Warszawa 1959), ważne obserwacje wniósł następnie T. Wasilewski, *O służbie wojskowej ludności wiejskiej w składzie społecznym wojsk konnych i pieszych we wczesnym średniowieczu polskim* (Przegląd Historyczny, t. 51, 1960).

Osłabienie monarchii po śmierci Chrobrego

Do dziś nie straciła wartości pierwsza nowoczesna monografia pierwszych lat po śmierci Bolesława Chrobrego pióra A. Lewickiego, *Mieszko II* (Rozprawy Akademii Umiejętności, Wydz. Hist.-Filoz., t. 5, 1876). Przed samą wojną posunęła naprzód badania A. Pospieszyńska, *Mieszko II a Niemcy* (Roczniki Historyczne, t. 14, 1938). Dla następnych lat aż po połowę XI w. ostatnim słowem nauki pozostawały do niedawna monografie S. Kętrzyńskiego, *Kazimierz Odnowiciel* (Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. Hist.-Filoz., t. 38, 1899) i nowa jej wersja w pośmiertnie wydanych studiach tego uczonego *Polska X—XI wieku* (Warszawa 1961). Dopiero ostatnie lata przyniosły kilka nowych prób rozwiązania licznych zagadek tego ciemnego okresu: T. Grudziński, *Uwagi o genezie rewolucji w Polsce za Kazimierza Odnowiciela* (Zapiski Tow. Nauk. Toruńskiego, t. 18, 1952); J. Bieniak, *Państwo Miecława* (Warszawa 1963); D. Borawska, *Kryzys monarchii wczesnopiastowskiej w latach trzydziestych XI wieku* (Warszawa 1964); J. Dowiat, *Bela I węgierski w Polsce 1031/32—1048* (Przegląd Historyczny, t. 56, 1965).

Wzloty i upadki „zacnych" Piastów

Monografię pierwszych lat panowania Bolesława Śmiałego dał T. Grudziński, *Bolesław Szczodry* (Toruń 1953). W kwestii konfliktu tego króla z biskupem wciąż aktualne są do-

ciekania T. Wojciechowskiego, *Szkice historyczne jedenastego wieku* (Lwów 1902; wyd. 3, Warszawa 1951). Walki między synami Włodzisława Hermana wywołały dyskusję między T. Tycem, *Zbygniew i Bolesław* (Poznań 1927) a R. Grodeckim, *Zbigniew książę polski* (w: *Studia staropolskie. Księga ku czci Aleksandra Brücknera*, Kraków 1928); monografię zwycięskiego księcia wydał po wojnie K. Maleczyński, *Bolesław Krzywousty* (Kraków b.d. [1947]). Próbę radykalnej rewizji poglądów na ustrój państwa w tym okresie podjął J. Adamus, *O monarchii Gallowej* (Warszawa 1952).

1138—1300

Społeczeństwo feudalne

Z bogatej literatury poświęconej strukturze ludności wiejskiej wspominamy prace analizujące dane *Księgi Henrykowskiej:* A. Małeckiego, *Ludność wolna w Księdze Henrykowskiej* (Kwartalnik Historyczny, t. 8, 1894), K. Tymienieckiego, *Z dziejów zaniku drobnej własności na Śląsku w wieku XIII* (w: *Księga pamiątkowa ku czci O. Balzera*, t. II, Lwów 1925). Wieloletnie badania nad ludnością chłopską zebrał i podsumował K. Tymieniecki w swej *Historii chłopów polskich*, t. I (Warszawa 1965). Całokształt przemian społecznych na przełomie XII i XIII w. przedstawił S. Smolka, *Mieszko Stary i jego wiek* (Warszawa 1881) i część jego spostrzeżeń wytrzymała próbę czasu. Na feudalny charakter przemian zwrócił uwagę S. Arnold, *Władztwo biskupie na grodzie wolborskim w wieku XIII* (Warszawa 1921); elementy kształtującej się hierarchii feudalnej w Polsce ukazują prace M. Friedberga, *Klientela świecka biskupa krakowskiego w w. XII—XIV* (w: *Studia historyczne ku czci S. Kutrzeby*, t. I, Kraków 1938) i M. Sczanieckiego, *Nadania ziemi na rzecz rycerzy w Polsce do końca XIII wieku* (Poznań 1938). Miasto lokacyjne badał J. Ptaśnik, *Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce* (Lwów 1934; wyd. 2, Warszawa 1949).

Feudalizacja państwa

Postęp badań nad następstwem tronu w Polsce i testamentem Krzywoustego wyznaczają następujące prace: S. Smolka, *Testament Bolesława Krzywoustego* (Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. Hist.-Filoz. t. 13, 1881); O. Balzer, *O następstwie tronu w Polsce* (Rozprawy..., t. 36, 1897); T. Wojciechowski, *Objaśnienie testamentowego Statutu Bolesława III* (Kwartalnik Historyczny, t. 31, 1917); J. Adamus, *Testament Bolesława Krzywoustego* (Sprawozdania Łódzkiego Tow. Nauk., t. 8, 1953); G. Labuda, *Testament Bolesława Krzywoustego* (w: *Opuscula C. Tymieniecki... dedicata*, Poznań 1959). Problematyką zjazdu w Łęczycy w 1180 r. zajmowali się: W. Abraham, *Zjazd łęczycki z r. 1180* (Kwartalnik Historyczny, t. 3, 1889), A. Vetulani, *Studia nad tekstami i znaczeniem statutu łęczyckiego z r. 1180* (Lwów 1932), J. Adamus, *O mniemanej łęczyckiej ustawie sukcesyjnej roku 1180* (Collectanea Theologica, t. 17, 1936), A. Gieysztor, *Nad statutem łęczyckim 1180 r.* (w: *Księga pamiątkowa 150-lecia AGAD*, Warszawa 1958). Dla historii politycznej stulecia po Bolesławie Krzywoustym posługujemy się dawnymi monografiami: S. Smolka, *Mieszko Stary i jego wiek* (1881, wyd. 2, 1959), B. Włodarski, *Polityka ruska Leszka Białego* (Lwów 1925), S. Smolka, *Henryk Brodaty* (Lwów 1872). Usamodzielniania się Kościoła polskiego dotyczy studium J. Umińskiego, *Henryk arcybiskup gnieźnieński zwany Kietliczem* (Lublin 1926) i jego krytyka przez R. Grodeckiego, *O charakterystykę Kietlicza* (Kwartalnik Historyczny, t. 44, 1930). Ważny przyczynek do dziejów Kościoła dał S. Łaguna, *Dwie elekcje. Pisma* (Warszawa 1915).

Wielkie Bezkrólewie i jego przezwyciężenie

Brak dotąd monografii okresu, który nazwaliśmy polskim Wielkim Bezkrólewiem. Próbę syntezy trzeba tu opierać na drobnych przyczynkach. Z nich wspomnimy J. Krzyżanowskiego, *Polityka miejska Bolesława Wstydliwego* (w: *Studia historyczne ku czci St. Kutrzeby*, t. II, Kraków 1938); inną —

lecz równie ważną — problematykę podjęła D. Borawska, *Z dziejów jednej legendy. W sprawie genezy kultu św. Stanisława* (Warszawa 1950). Większym zainteresowaniem u badaczy cieszyły się próby zjednoczenia państwa, przy czym dokoła poszczególnych faktów i ich znaczenia rozwijała się w początkach XX wieku żywa dyskusja: S. Kutrzeba, *Kilka kwestii z historii ustroju Polski* (Kwartalnik Historyczny, t. 20, 1906), S. Kętrzyński, *O królestwie wielkopolskim* (Przegląd Historyczny, t. 7, 1909); wielką monografię zjednoczenia Polski dał O. Balzer, *Królestwo Polskie 1295—1370*, 3 tomy (Lwów 1919—1920); naświetlenie tego procesu historycznego z marksistowskich pozycji metodologicznych stawiał sobie za zadanie już w Polsce Ludowej J. Baszkiewicz, *Powstanie zjednoczonego państwa polskiego na przełomie XIII i XIV wieku* (Warszawa 1954). Postaci przywódcy Kościoła polskiego tego okresu poświęcił rozprawę W. Karasiewicz, *Jakub Świnka arcybiskup gnieźnieński* (Poznań 1948).

1300—1454

Od króla „Niemców" do króla „chłopków"

Oprócz prac wyzyskanych w rozdziale poprzednim istotne znaczenie mają tu wyniki badań nad treścią pojęcia Królestwa i Korony, co absorbowało wielu specjalistów tego okresu. Wymienimy tu M. Łodyńskiego, *Regnum Poloniae w opini publicznej XIV wieku* (Kwartalnik Historyczny, t. 28, 1914), Z. Wojciechowskiego, *W sprawie Regnum Poloniae za Władysława Łokietka* (Lwów 1924), a przede wszystkim J. Dąbrowskiego, *Korona Królestwa Polskiego w XIV wieku* (Wrocław 1956) i K. Grzybowskiego, *„Corona Regni" a „Corona Regni Poloniae"* (Czasopismo Prawno-Historyczne, t. 9, 1957, z. 2). Kształtowanie się idei państwa suwerennego w średniowiecznej Europie badał J. Baszkiewicz, *Państwo suwerenne w feudalnej doktrynie politycznej do początków XIV wieku* (Warszawa 1964). Historii politycznej lat panowania w Polsce czeskich Wacławów i Władysława Łokietka są poświęcone monografie B. Włodarskiego, *Polska i Czechy w drugiej połowie XIII i początkach XIV wieku* (Lwów 1931)

oraz E. Długopolskiego, *Władysław Łokietek na tle swoich czasów* (Wrocław 1951). Działalnością Muskaty zajmował się po W. Abrahamie, *Sprawa Muskaty* (Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. Hist.-Filoz., t. 30, 1894) jeszcze A. Kłodziński, *Polityka Muskaty* (Sprawozdania PAU, t. 41, 1936).

W nowym kształcie terytorialnym

Monografistą Kazimierza Wielkiego stał się Z. Kaczmarczyk, dając po *Monarchii Kazimierza Wielkiego*, t. I—II (Poznań 1939—1946) popularniejszy zarys panowania tego króla — *Kazimierz Wielki* (Warszawa 1948), a w kilkanaście lat później ponownie podejmując ten temat z nowych pozycji metodologicznych: *Polska czasów Kazimierza Wielkiego* (Kraków 1964). Dla poszczególnych kwestii w polityce Kazimierza Wielkiego mamy cenne studia J. Dąbrowskiego, *Polityka andegaweńska Kazimierza Wielkiego* (Kwartalnik Historyczny, t. 36, 1922) i S. Kętrzyńskiego, *Zapis Kazimierza Wielkiego dla Kazimierza Bogusławowicza* (Przegląd Historyczny, t. 14, 1912). Postacią obrońcy polskości na Śląsku zajął się T. Silnicki, *Biskup Nanker* (Warszawa 1953). Rehabilitację źle notowanych w kronikach polskich rządów andegaweńskich przeprowadzał J. Dąbrowski, *Elżbieta Łokietkówna* (Rozprawy Ak. Um. Wydz. Hist.-Filoz., t. 57, 1914) i *Ostatnie lata Ludwika Wielkiego 1370—1382* (Kraków 1918). Przeciw obrazowi XIV w. ukształtowanemu przez J. Dąbrowskiego wystąpił z wielką pasją polemiczną J. Sieradzki, *Polska wieku XIV* (Warszawa 1959). Unia polsko-litewska znalazła badaczy w O. Haleckim, *Dzieje unii jagiellońskiej*, t. I—II (Kraków 1919—1920); L. Kolankowskim, *Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego za Jagiellonów*, t. I (Warszawa 1930) i *Polska Jagiellonów* (Lwów 1936); H. Łowmiańskim, *Uwagi w sprawie podłoża społecznego i gospodarczego unii jagiellońskiej* (w: *Księga pamiątkowa ku uczczeniu czterechsetnej rocznicy wydania pierwszego statutu litewskiego*, Wilno 1935); H. Paszkiewiczu, *O genezie i wartości Krewa* (Warszawa 1938). Monografię zwycięskiej wojny z krzyżakami zawdzięczamy S. M. Kuczyńskiemu, *Wielka wojna z Zakonem Krzyżackim w latach 1409—1411* (Warszawa 1955).

Ustrojowi społecznemu i walce klasowej w miastach późniejszego średniowiecza poświęcił S. Piekarczyk, *Studia z dziejów miast polskich XIII i XIV w.* (Warszawa 1955); pozycję społeczną patrycjatu miejskiego poznajemy poprzez S. Kutrzeby, *Historię rodziny Wierzynków* (Rocznik Krakowski, t. 2, 1898); asymilację mieszczaństwa pochodzenia niemieckiego do polskości pokazał K. Tymieniecki, *Polszczenie się Niemców w miastach wielkopolskich w XV wieku* (Roczniki Historyczne t. 14, 1938). Rolę elementu żydowskiego w życiu największego ośrodka miejskiego średniowiecznej Polski przedstawił M. Bałaban, *Historia Żydów w Krakowie i na Kazimierzu*, t. I (Kraków 1931). Nowe rezultaty badań nad działalnością prawodawczą Kazimierza Wielkiego przyniosła praca S. Romana, *Geneza statutów Kozimierza Wielkiego* (Kraków 1961). Wpływ prawa rzymskiego w Polsce przedyskutował ostatnio J. Baszkiewicz, *Prawo rzymskie i prawo kanoniczne w kulturze politycznej Polski XIII i XIV stulecia* (w: *Historia kultury średniowiecznej w Polsce. IX Powszechny Zjazd Historyków Polskich*, Warszawa 1963).

Poszczególne przywileje szlacheckie mają od dawna swe monografie: P. Skwarczyński, *Z badań nad przywilejami ziemskimi budzińskimi i koszyckimi* (Lublin 1936), A. Prochaska, *Przywileje czerwińskie z 1442 roku* (Przegląd Historyczny, t. 4, 1907), S. Kutrzeba, *Przywilej jedlneński z roku 1430 i nadanie prawa polskiego na Rusi* (w: *Ku uczczeniu Bolesława Ulanowskiego*, Kraków 1911), M. Bobrzyński, *O ustawodawstwie nieszawskim Kazimierza Jagiellończyka* (Kraków, 1873). Sporą literaturę ma instytucja konfederacji: B. Ulanowski, *Konfederacje polskie XIV i XV wieku* (Rozprawy Ak. Um. Wydz. Hist.-Filoz., t. 24, 1891), W. Hejnosz, *Uwagi o konfederacjach w średniowiecznej Polsce* (Kwart. Hist., t. 51, 1937), R. Grodecki, *Konfederacje w Polsce w XV w.* (Sprawozdania PAU, t. 52, 1951). Sposobem powoływania monarchy zajął się T. Silnicki, *Prawo elekcji królów w dobie jagiellońskiej* (Lwów 1913). Rodzącego się parlamentaryzmu polskiego dotyczą: A. Pawiński, *Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój* (Warszawa 1895), A. Prochaska, *Geneza i rozwój parlamentaryzmu za pierwszych Jagiellonów* (Rozprawy Ak. Um. Wydz. Hist.-Filoz., t. 38, 1899), S. Kutrzeba, *Sejm walny dawnej Rzeczy-*

pospolitej Polskiej (Warszawa 1919) i wreszcie J. Bardach, *O genezie sejmu polskiego* (w: *VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich*, Warszawa 1959).

Ekskurs o człowieku średniowiecznym

Poza wspomnianym na wstępie zarysem syntetycznym dziejów kultury polskiej A. Brücknera wprowadzają w tę dziedzinę zarysy historii literatury — J. Krzyżanowski, *Historia literatury polskiej od średniowiecza do XIX wieku* (Warszawa 1964), J. Kleiner, *Zarys dziejów literatury polskiej* (Wrocław 1963) — i historii sztuki — *Dzieje sztuki polskiej* pod redakcją T. Dobrowolskiego i W. Tatarkiewicza, t. I (Kraków 1962). Problematyka badawcza sygnalizowana w omawianym rozdziale przeważnie czeka dopiero na opracowanie. W aktualny stan badań nad kulturą polskiego średniowiecza wprowadza *Historia kultury średniowiecznej w Polsce* (w: *IX Powszechny Zjazd Historyków Polskich*, Warszawa 1963).